

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 1 (26) Zielona Góra 2009

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 1(26) – 2009

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Piotr Czech

Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2009

Redaktor naczelny
Sławomir Kufel

Zastępca redaktora naczelnego
Grzegorz Gorzechowski

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:
Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Tomasz Mróz, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesołowski

Fotografie
Daniel Adamski, Ewa Duma, Ireneusz K. Szmidt, Łukasz Trzosek

Wydawca
*Pro Libris - Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

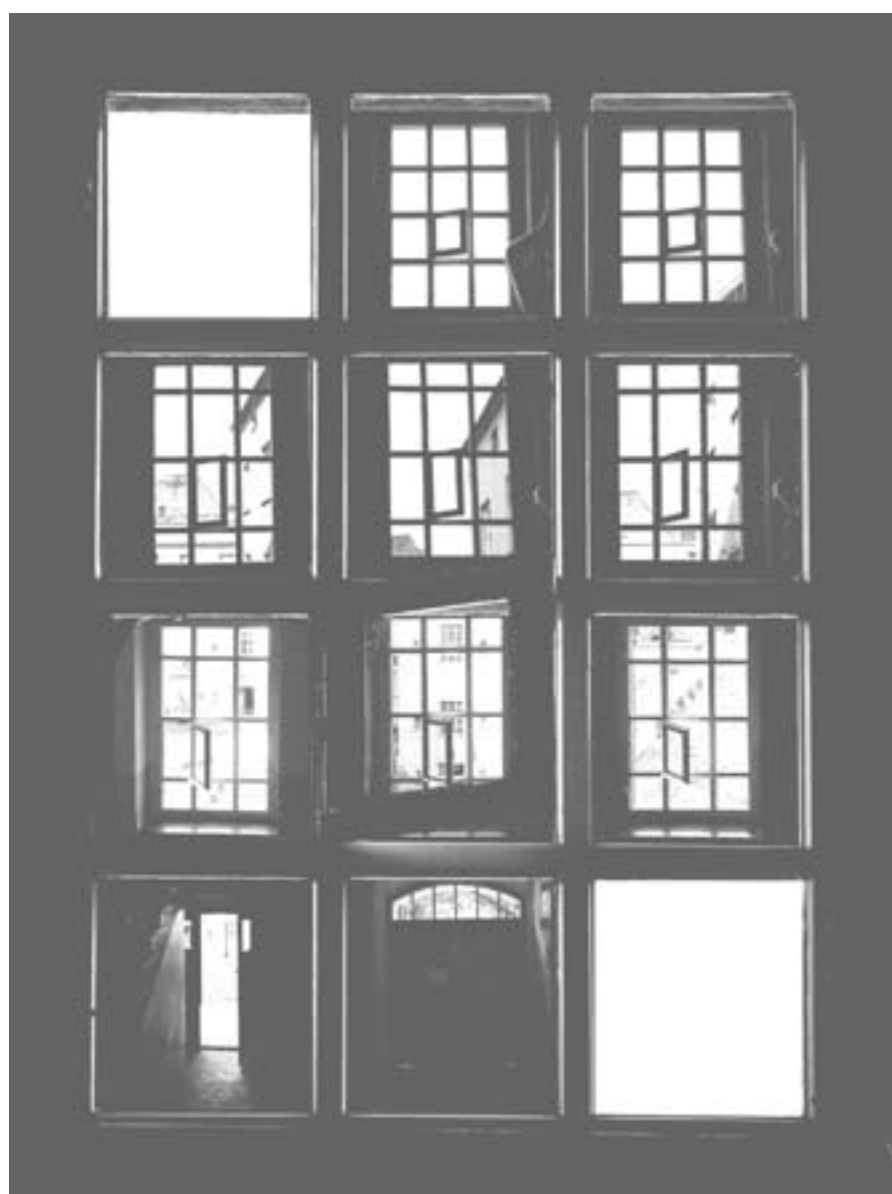
Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78

Druk i oprawa
Drukarnia FILIP

Nakład – 400 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres Redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: Wydawnictwo.Prolibris@wimbp.zgora.pl, Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>



Spis treści

Grażyna Zwolińska, Bunt kur	6
Lidia Głuchowska, Geniusz, macho, efeb, androgyne...	
Metamorfozy męskości we współczesnej polskiej ikonosferze (Genius, Macho, Ephebus, Androgyne...)	13
Metamorphosen der Männlichkeit in der polnischen Ikonosphäre der Gegenwart)	13
Anita Kucharska-Dziedzic, Pytania...	30
Katrin Lechler, Fahrtziel Hoffnung (Cel podróży – nadzieja)	34
Agnieszka GraczeW-Czarkowska, Widzialne wśród niewidzialnych. O sztuce KOBIE	38
Jerzy Bielerzewski, Seksistowskie cechy języka w badaniach z zakresu lingwistyki feministycznej	42
Adam Bolesław Wierzbicki, Wiersz [Autoportret]	45
Czesław Sobkowiak, Życie we fragmentach	46
Jacek Wesołowski, Fajny facet	50
Agnieszka Der, Wiersze [#25, #21, #13, #22]	54
Zbigniew Kozłowski, Tabloidyci	56
Przemysław Kot, Wiersze [*** nie od razu wychodzę, *** brnąc w śniegu]	60
Alfred Siatecki, Imieniny szefa	62
NA GRANICY	68
Jacek Wesołowski, Niemcopolak/Polakoniemiec w literaturze (Rozwagi polsko-niemieckie V)	68
Deutschpole/Polendeutscher in der Nachkriegsliteratur (Deutsch-polnische Abwägungen 5)	68
Eva-Maria Budemann, Deutsch-polnischer Frauenworkshop in Cottbus (Polsko-niemieckie warsztaty kobiece w Cottbus)	77
Rita König, In der Partnerstadt von Zielona Góra (W mieście partnerskim Zielonej Góry)	81
PREZENTACJE	84
Piotr Czech	84
Piotr Czech, Przestrzenie i Światy ilustracji	85
Andrea Böning, Die Touristische Wahrnehmung (Widzieć świat jak turysta)	86
KRAJOBRAZY LUBUSKIE	92
Krystyna Kamińska, Landsberg an der Warthe – Gorzów Wielkopolski	92
Woldemar Nürnberger, Wiersz [Das Lied von der Frau Warthe. Eine Romanze (Romanca o Pani Warcie)]	104
	107
VARIA BIBLIOTECZNE	109
Alicja Lipińska, Wczesne polonica zielonogórskiej księżnicy. Charakterystyka i typologia	109
Jakub Rawski, Konferencja: Spadkobierca Norwida?	
Wokół romantycznej genealogii Zbigniewa Herberta	118
Piotr Michałowski, Wiersz [Milczenia-klasyk]	120
Elżbieta Wozowczyk-Leszko, Mistrz Florkowski	121
Uważajcie, co mówicie przy niej i do niej, bo może to wykorzystać	
Z Eugenią Pawłowską Snobką rozmawia Elżbieta Wozowczyk-Leszko	123
Joanna Wawryk, Lubuskie Wawrzyny 2008	128
Karol Graczyk, Wiersze [Henri Landru wychodzi na towy, Życie po porodzie nie istnieje, *** (Maleństwo), *** (Załóżmy na chwilę)]	130

Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII	134
Anna Janczys , Rudolf Haym – zielonogórski krytyk filozofii G. W. S. Hegla	134
RECENZJE I OMÓWIENIA	139
Berliński collage. O łamaniu stereotypów „polskości” na wystawie <i>My, berlińczycy!/ Wir, Berliner!</i> <i>Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa</i> – raz jeszcze (Lidia Głuchowska)	139
Berliner Collage. Zur Überwindung der Stereotype des „Polentums” auf der Ausstellung <i>My, berlińczycy!/ Wir, Berliner! Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft</i> – noch ein Mal (Lidia Głuchowska) ..	141
Bywalec w spódnicy Eugenia Pawłowska (Snobka), <i>I ja tam byłam...</i> (Leszek Żuliński)	143
Niebezpieczne Muzy. Kobiety wokół Maxa Ernsta Karoline Hille, Gefährliche Musen. Frauen um Max Ernst (Lidia Głuchowska)	145
Mędzy kontestacją a popkulturą Anna Pelka, <i>Teksas-land. Moda w PRL</i> (Lidia Głuchowska)	147
O dyskretnym uroku klasyki i pochvale istnienia Wisława Szymborska, <i>Tutaj</i> (Anna Szóstak)	149
Tęsknota za istotnością i impresje wyobraźni Dariusz Dziurzyński, <i>Metrum</i> (Anna Szóstak)	151
Oczyrna dwudziestokilkulatka Karol Graczyk, <i>Osiemdziesiąt cztery</i> (Joanna Wawryk)	154
Poemat Wachowiaka Eugeniusz Wachowiak, <i>Wolności dla nas idzie czas</i> (Janusz Koniusz)	156
Przywołanie biografii Stanisława Plewińska, <i>Świat był piękny, a ludzie niegorsi</i> (Czesław Sobkowiak)	158
Nowy tomik Władysława Łazuki Władysław Łazuka, <i>Kilka słów</i> (Czesław Sobkowiak)	159
Wezwany w górę Wystawa Władysława Kłępki ANABAZA II (Maria Miłek)	160
Refleksje o pamiętniku Marii Dąbrowskiej Maria Dąbrowska, <i>Dzienniki</i> (Eugeniusz Kurzawa)	163
Męczący „Bóg urojony” Richard Dawkins, <i>Bóg urojony</i> (Eugeniusz Kurzawa)	166
Deutschland in Polen/Niemiec w Polsce Steffen Möller, <i>Viva Polonia. Als deutscher Gastarbeiter in Polen/ Viva Polonia.</i> <i>Niemiecki gastarbeiter w Polsce</i> (Carmen Winter)	167
Tutam w Lubuskim Teatrze Sztuka Bogusława Schaeffera, <i>Tutam</i> (Agnieszka Szpyłma)	168
KRONIKA LUBUSKA	171
KSIĄŻKI NADEŚLANE	174
AUTORZY NUMERU	175

Bunt kur

Od pewnego czasu koguty mają problem. Piór w ogonie wyraźnie ubyło, czerwony grzebień bez dawnego wigoru, pianie też już nie tak donośne jak kiedyś. Na domiar złego kury nie zamierzają poprzestać na tym, co już mają. Czym to się skończy? Końcem świata w kurniku?

Czy tak można zacząć tekst o feminizmie, a właściwie o równouprawnieniu kobiet? Czyli o tym, że wieki całe było dla wszystkich oczywiste, że po pierwsze, kogut jest z natury mądry, a kura z natury głupia. Po drugie, kogut jest panem podwórka, a kura ma posłusznie znosić jajka. Tyle lat świat był po bożemu poukładany i dobrze było. I komu to przeskadzało? No, komu?

Oczywiście feministkom. A wcześniej sufrażystkom. A jeszcze wcześniej niejakej Mary Wollstonecraft, Angielce, która w 1792 r. wydała książkę *Obrona praw kobiet*. Natychmiast męscy krytycy rzucili się na Mary, nazywając ją czule hieną w spódnicy. Bo kto to widział, żeby pisać o niewolniczym poddaniu kobiet, wynikającym z nakładanych na nie ograniczeń edukacyjnych i tym podobnym bzdurach. Mężczyźni nie przypuszczali jeszcze wtedy, że to dopiero początek.

Zresztą Mary Wollstonecraft i tak może mówić o dużym szczęściu. Rok później, w 1793 r. w rewolucyjnym ferworze ścięto, popierającą zresztą rewolucję francuską, Olympię de Gouges, pisarkę i aktywistkę na rzecz praw kobiet. W 1791 r. ogłosiła ona słynny manifest, w którym domagała się między innymi przyznania kobietom prawa do edukacji i rozporządzania własnością prywatną, prawa do hono-

rów i funkcji równych tym posiadanym przez mężczyzn oraz równości płci w rodzinie i w Kościele. Manifest był wzorowany na Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela i nosił tytuł Deklaracja Praw Kobiety i Obywatelki. Wprawdzie Olympię ścięto głównie za pyskowanie przeciwko Robespierrowi, ale jakby nie była taką feministką i nie wypowiadała się w publicznych sprawach, dożyłaby pewnie w domowym zaciszu później starości.

Kompletny dziwoląg

Wieki całe utrzymywano kobiety w sferze życia prywatnego, domowego. Sfera życia publicznego była zarezerwowana dla mężczyzn. W hierarchii wartości stała zdecydowanie wyżej. Uczestnicząc w publicznej sferze, kogut był więc z definicji mądry. Pozbawiona do niej dostępu kura, cóż, głupia... Choć nieraz miła, ładna, ciepła, wyszywająca makatki, a czasem nawet grająca na fortepianie. Do takiej kury kogut lubił wracać z publicznej zimnej sfery.

Tak się jednak porobiło, że w miastach coraz więcej kogutów nie było w stanie utrzymać rodziny. Do pracy poszły więc też kury. Do dotychczasowych obowiązków, dołożyły nowe. Gdy zmęczone zawodową pracą koguty ucinają sobie poobiednią drzemkę lub szły z kolegami na piwo, zmęczone zawodową pracą kury zmywały naczynia, sprzątały, prały, prasowały, doglądały dzieci, przygotowywały obiad na następny dzień. Bo przecież poobiednia drzemka koguta bez domowego obiadu to byłaby, choćby tylko lingwistycznie, kompletny dziwoląg.

Rano kury wstawały pierwsze, żeby wyszykować męża do pracy, dzieci do szkoły lub przedszkola. No i nie spóźnić się do roboty. W powrotnej drodze robiły zakupy. W niedzielę gotowały coś ciekawszego, bo przecież nie szły w tym dniu do pracy, więc rodzina mogła się spodziewać szczególnego potraktowania. Kura leżąca do góry brzuchem na kanapie w wolnym od pracy zawodowej dniu byłaby czymś zgoła antyrodzinnym. Co innego kogut.

W tym codziennym kołowrocie kury nawet nie miały czasu pomyśleć, że coś chyba jest nie tak. A jak pomyślały, to nie miały siły, żeby dzień w dzień egzekwować udział koguta w domowych obowiązkach. Zresztą kogut, czule patrząc w oczy, przekonywał, że on nie potrafi, że ona robi to lepiej. Ona wiedziała, że na pewno robi to szybciej, niż użerając się z udającym niepełnosprawność manualną i umysłową kogutem. I tak płynęły lata. Czasem tylko kurze w nocy śniło się równouprawnienie. Z zabarwieniem sentymentalnym, jeśli kochała swego koguta.

Przekleństwo złotej klatki

Majątkne z urodzenia lub dobrze zarabiające koguty od wieków swoje kury trzymały w domu. Pod hasłem, że tam będzie im najlepiej. Kury godziły się na to, bo tak je od zawsze wychowywano. Poza tym klatka była złota, więc myślały, że będzie w niej wygodnie. Rodziły dzieci, dbały, by rosły zdrowo, no i żeby w domu było ciepło i przytulnie. Gdy zmęczony kogut wracał z pracy, miał podane i poukładane. Czegoż więcej trzeba? – myślał, robiąc co jakiś czas niewinny skok w bok.

Jak grom z jasnego nieba spadł na niego bunt kur. I to nie tych, co biegały do fabryk i nisko płatnej biurowej pracy, a potem jeszcze harowały za darmo w domu, ale jego kur, tych ze złotych klatek, w których – zdaniem koguta – niczego im nie brakowało. – Głupie kury! – mówił wściekły.

Najpierw wściekł się kogut amerykański. Bo to właśnie w USA w klasie średniej białych kobiet narodził się współczesny feminizm, potomek licznych wcześniejszych ruchów równouprawnienia kobiet. Z klasy średniej wywodziła się feministka Betty Friedan, przywódczyni ruchu w latach 60. XX w. W książce *Mistyka kobiecości* zakwestionowała powojenny kontrakt społeczny w USA kładący kobietom spełniać się wyłącznie jako niepracujące żony

i lokować wszystkie ambicje w prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci.

Zaczęło się od tego, że pod koniec lat 50. ubiegłego wieku wyszło na jaw, jak wiele żon ze złotych klatek jest w psychicznym kryzysie, cierpi na nerwicę, popada w alkoholizm. Zamknięcie w domu, nawet luksusowym, wyraźnie nie robiło im dobrze. Po odchowaniu dzieci próbowały wrócić do pracy, ale ich miejsca były już zajęte, a ich umiejętności, po latach, już gorszej jakości. Amerykańskie społeczeństwo zamknęło przed nimi drzwi. Złota klatka stała się przekleństwem.

Na to nałożyły się młodzieżowe socjalizujące ruchy w imię praw człowieka, o równouprawnienie Murzynów, przeciw wojnie w Wietnamie. Brały w nich udział także dziewczęta. Szybko odkryły, że koledzy traktują je instrumentalnie. Nastroszeni rewolucyjnie młodzi działacze albo kpili z aspiracji koleżanek, albo przyznając im rację w ocenie sytuacji kobiet, mówili: poczekajcie na swoją kolej, najpierw trzeba wyzwolić ludy kolonialne, które jęczą pod uciskiem. A dziewczęta odkryły, że kobiety to też taki lud kolonialny, skolonizowana wykorzystywana masa, mająca od wieków zdecydowanie mniejsze prawa. Kolejna fala feminizmu przybierała na sile.

Już w tamtych latach ruchy feministyczne zaczęły się dzielić na wiele odłamów. Feministki od złotych klatek nazwano z czasem liberalnymi. Ich centralnym pojęciem było słowo dyskryminacja (z powodu płci). Te młode to feministki radykalne. Używały słowa ucisk i wyraźnie wskazywały na beneficjenta, czyli mężczyznę. Były jeszcze feministki socjalistyczne, które mówiły o wyzysku kobiet... Szczegółowo opisuje historię ruchów domagających się kobiecego równouprawnienia prof. Kazimierz Ślęczka, autor książki *Feminizm*, który sam o sobie mówi, że jest feministą.

Polulać w nocy

Kiedy w latach 60. XX w. pojawił się w USA współczesny feminizm, tamtejsze koguty nie zamierzały traktować go poważnie. Podobnie postępowały koguty w XIX w. wobec sufrażystek czy emancypantek. Nie inaczej zachowywały się we wcześniejszych wiekach wobec prób wskazywania przez niektóre kury, że „odwieczny porządek” nie do końca jest sprawiedliwy. Jednak mimo ośmieszania, wyciągania skrajnych, rzeczywiście godnych tylko

wysmiania elementów, bagatelizowania istoty sprawy, ruch nie umarł. Szybko dotarł do Europy.

Dziś stosunek do równouprawnienia kobiet jest na Zachodzie jak najbardziej poważny. Co więcej, dostrzeganie kwestii praw kobiet stało się już nawet elementem poprawności politycznej. Żaden zachodni polityk, choćby najbardziej konserwatywny i dogmatycznie religijny, nie odważy się tych praw publicznie negować. Najwyżej inaczej rozłoży akcenty i będzie apelował o umiar i dostrzeżenie, że Pan Bóg tak to ułożył, że pewne rzeczy mogą zrobić tylko kobiety: – Bo przecież mężczyzna dziecka nie urodzi. – Ale przewinając, wstać w nocy, polulać, kaszkę ugotować przecież może. Korona męskości z głowy mu nie spadnie – odetną się feministki. I dodadzą, że zwłaszcza gdy kobieta już wróciła do zawodowej pracy, zwykłym męskim egoizmem jest przewrócenie się na drugi bok i czekanie, aż do dziecka wstanie żona, bo to przecież jej obowiązek.

Ogórkowa na czas

W polskim parlamencie można sobie jeszcze z praw kobiet robić śmichy-chichy i zaśmuchać na brawa, choć już rzadziej niż jeszcze kilkanaście lat temu. Ponadto wchodząc do Unii Europejskiej, zostaliśmy zmuszeni dostosować prawo w dziedzinie wyrównywania szans obu płci do zachodnich standardów.

Warto pamiętać jednak, że już konstytucja z 1952 r. gwarantowała kobietom i mężczyznom w Polsce równe prawa we wszystkich dziedzinach życia, dając kobietom m.in. takie samo prawo do pracy i do takiego samego wynagrodzenia, co mężczyźni. Pomimo że minęło od tamtego czasu ponad pół wieku, rzeczywistość wciąż jednak wyraźnie odbiega od formalnych zapisów. Równouprawnienie wciąż jest traktowane w naszym kraju głównie jako równość podstawowych praw obywatelskich zapisanych w aktach prawnych i jednocześnie łaskawe przyzwoleństwo przez mężczyzn na dwuetatowość kobiet. Czyli niech sobie głosują, pracują, robią kariery, działają tu czy tam, ale ogórkowa musi być na czas.

Współczesna feminizująca Polka może się też często spotkać z męską opinią, że nie wiadomo, o co jeszcze jej z tym równouprawnieniem chodzi. Niech się cieszy, że nie mieszka tam, gdzie bycie kobietą oznacza naprawdę bycie człowiekiem drugiej kate-

gorii. W polskiej sytuacji robienie awantury o jakiś „szklany sufit”, o niższe średnio o 25 proc. płace na identycznych stanowiskach, o brak rzeczywistego podziału domowych obowiązków to pretensje kogoś, komu w głowie się poprzewracało od nadmiaru wolności.

Poza tym przecież nie wszystkim paniom obecna sytuacja przeszkadza. Są takie, które siedzą w domu, wychowują dzieci, gotują obiady i są szczęśliwe, że mąż się im po kuchni nie płacze. Co więcej, są też takie, które oprócz tego, że są jednoosobowym kombajnem domowym, pracują zawodowo. Padają więc na twarz, ale uważają, że wszystko jest w porządku. Do tego stopnia w porządku, że zgodzą się z opinią, że jak mąż ma niewyprasowane lub poplamione spodnie, to jest to ich wina, a nie męża niechluj.

Liczyć na koguty?

Prof. Henryk Domański, znakomity skądinąd socjolog, autor wydanej w 1992 r. pracy *Zadowolony niewolnik. Studium o nierównościach społecznych między mężczyznami a kobietami w Polsce*, napisał: „Uniwersalny charakter nierówności płci jest częścią naturalnego porządku. Są one ogniwem struktury społecznej i nie powinno się ich zmieniać na siłę, ponieważ próby radykalnej interwencji w logikę struktury społecznej od zewnątrz mogą mieć destrukcyjne skutki, które trudno przewidzieć”.

Ten fragment jest cytowany w wielu feministycznych pracach. Czy należy rozumieć go tak, że trzeba spokojnie czekać, aż szklany sufit z czasem sam zniknie, a płace w cudowny sposób same się kiedyś wyrównają? Poza tym, co to jest ten naturalny porządek rzeczy? Jeszcze na przełomie XIX i XX w. nienaturalna była kobieta studiująca lub wykładająca na uniwersytecie, kobieta głosująca lub kandydująca w wyborach, mająca konto w banku, decydująca o swoim macierzyństwie itp. Dziś to w naszej części świata standard.

W kontekście tego, że zdaniem wielu nierówność płci jest częścią naturalnego porządku, warto może spytać, co by było, gdyby kobiety, owi „zadowoleni niewolnicy”, tak jak przez wieki, siedziały cicho i czekały, aż „logika struktury społecznej” sama się zmieni. A więc gdyby nie domagały się dostępu do nauki, prawa do decydowania o posiadaniu (bądź nie) dzieci, praw wyborczych, finansowej samodzielności, równości w pracy i w domu. Czy koguty same

ProLibi

w końcu zauważyłyby, że kurze należą się podobne jak im prawa albo nawet takie same? Może i zauważyłyby, tylko kiedy? A może nigdy by nie zauważyły, bo ktoś z własnej woli rezygnuje z przywilejów? Zwłaszcza z przywileju władzy.

Posag na kochankę

Pamięć historyczna bywa krótka... Może więc warto przypomnieć parę „oczywistych oczywistości”. Choćby takich, że jeszcze stosunkowo niedawno, bo w XVIII i XIX w. kobiety nie miały żadnych praw, a wyłącznie obowiązki wobec męża. W przysiędze małżeńskiej musiały przyrzekać posłuszeństwo, co oznaczało, że mąż miał pełnię władzy w domu (co nie znaczy, że musiał z niej w pełnym zakresie korzystać na co dzień, ale mógł). Mógł np. zmusić żonę do seksu w ramach małżeńskiego obowiązku (dziś nazywa się to małżeńskim gwałtem) czy do urodzenia kolejnego dziecka i oddania go na wychowanie, gdyby uznał, że żona nie wywiązuje się z roli matki. W razie rozpadu związku oczywiste też było, że kobieta nie ma do dzieci żadnych praw.

Nie lepiej było w kwestiach finansowych. O tym też przypominają dziś feministki. Kobiety nie miały żadnego majątku. Nawet ten, który wносиły w posagu, należał wyłącznie do męża. Mógł wydać go na kochankę lub prostytutkę. Żona nie miała prawa wtrącać się do spraw finansowych. Jak coś zarobiła, to i tak należało to do męża. Zapisy przedmałżeńskie dotyczące tego, co dziś nazwalibyśmy swego rodzaju rozdzielną majątkową (chroniącą posag) należały do rzadkości i zdarzały się niemal wyłącznie w wysokich sferach.

Pewnie by tak zostało, bo jakoś nie było słyhać, żeby koguty chciały z własnej inicjatywy wprowadzać zmiany zmierzające do równouprawnienia w finansowej lub rodzinnej sferze.

Zaczął się jednak bunt kur, także w Polsce. „Artykuły panieńskie na Sejm Walny 1637” to pierwszy znany manifest kobiecy w naszym kraju. Kobiety domagały się w nim ograniczenia władzy ojców oraz opiekunów prawnych, ograniczenia zbyt szerokiej władzy męża oraz prawa do kształcenia i możliwości brania udziału w życiu politycznym. Nie wspomina się o tym w podręcznikach historii, bo ona jest historią „męską”.

Nasilenie działań, które dziś nazywamy feministycznymi, w wielu krajach Europy, ale też na

Nowym Kontynencie, nastąpiło w wieku XIX, a zwłaszcza w jego drugiej połowie. Na przykład w Anglii w połowie XIX wieku zaczęły działać sufrażystki. Walczyły nie tylko o prawa wyborcze dla kobiet, ale i o prawa majątkowe zamężnych kobiet. To dzięki sufrażystkom w 1870 roku weszła w życie ustawa, która przekazywała żonom prawo do ich własnych zarobków oraz do posiadania własnego konta bankowego. W innych krajach kobiety z biegiem lat również takie prawa dostały. Musiały je sobie jednak też same, nie bacząc na ironiczne męskie komentarze, wywalczyć.

Wróceniem z fusów jest próba dania wiarygodnej odpowiedzi na pytanie, czy i kiedy mężczyźni, nienaciskani przez sufrażystki, feministki i wszelkiej innej maści kobiece ruchy, sami zrezygnowaliby z tak wygodnego dla nich tradycyjnego układu.

Parasolkami w okiennice

I kolejna „oczywista oczywistość”: prawa wyborcze dla kobiet. Warto sobie uświadomić, jak niedawno kobiety je uzyskały. Wcześniej głosować mogli tylko mężczyźni. W myśl zasady: sfera publiczna dla kogutów, sfera prywatna dla kur.

W kontekście praw wyborczych Polska jest chwalona jako kraj, który dał je kobietom znacznie wcześniej niż wiele innych europejskich państw. To przecież Polki, dekretem Naczelnika Państwa, otrzymały te prawa już w 1918 r.

Piłsudski był tak hojny i postępowy? Skądże. Po prostu miał za żonę Aleksandrę Szczerbińską, zagorzałą feministkę. Suszyła głowę mężowi, on jednak szczególnie chętny do ustępstw w kwestii praw wyborczych nie był. Oła, widząc że sama nic nie wskóra, wezwwała na pomoc sufrażystki. Przyszły pod willę Piłsudskiego i stukając parasolkami w okiennice, domagały się wysłuchania. Piłsudski przetrzymał delegację pań kilka godzin na mrozie. W końcu, wzięty w dwa ognie (tam rozjuszone, przemarznęte sufrażystki, tu coraz bardziej wściekła własna żona) obiecał, że prawa wyborcze będą przysługiwać w Polsce bez względu na płeć. Początkowo miały być dane tylko mężczyznom. Pewnie musiał się potem tłumaczyć męskim politykom. Zarówno socjalistycznym, którzy swoim działaczkom kazali podpisywać uchwały, że w imię spraw wagi państwowej zrezygnują z niewczesnego żądania praw dla siebie, jak i prawicowcom, którzy twierdzili, że rozprawianie

o prawach kobiet to rzecz nienarodowa, bo kobiety powinny stać na straży świętych instynktów. Macierzyńskiego zwłaszcza. Podkreślali, że „Emanypacja to większa klęska dla narodu aniżeli rozbiór Polski”.

W 1918 r. prawa wyborcze dostały też Niemki i Austriaczki. Amerykanki dwa lata później. Brytyjki i Irlandki w 1928 r., Turczynki w 1930 r., Francuzki w 1944 r., Włoszki w 1946 r. A np. Szwajcarki dopiero w 1971 r., z wyjątkiem jednego kantonu, gdzie mogły pójść po raz pierwszy do urn dopiero w... 1991 r. Portugalki zagłosowały pierwszy raz w 1974 r., mieszkanki Kuwejt w 2005 r. W Libanie do urn mogą iść tylko panie odpowiednio wykształcone. W przypadku mężczyzn wykształcenia nikt nie sprawdza, bo są mądrzy z natury. W Arabii Saudyjskiej kobiety w ogóle nie mogą głosować. Auta zresztą też im prowadzić nie wolno, ale to tak na marginesie.

Postudiujesz, jak zacerujesz

Spójrzmy na kolejną „oczywistą oczywistość”, czyli prawo do nauki, także na uczelniach wyższych.

Całe wieki nie widziano potrzeby kształcenia dziewczynek. A jeśli już, to uważano, że powinny nabywać głównie te umiejętności, jakie będą im potrzebne do przyszłego spełniania tradycyjnych ról. Jan Jakub Rousseau w *Emilu*, czyli *traktacie o wychowaniu* zalecał kobietom tylko taką edukację, która pozwalałaby im być posłusznymi żonami. Długą tradycję miały też osobne szkoły dla dziewcząt i chłopców. Nie chodziło tylko o to, żeby poprzez koedukację nie stwarzać „grzesznych pokus”, ale też o to, że według ówczesnie dominujących poglądów inny powinien być program nauczania dla chłopców, inny dla dziewcząt. Przekonywano też, że zbyt długa i dogłębna nauka może być dla dziewcząt niekorzystna. Jeszcze w 1873 r. profesor Harvardu, niejaki Edward Clarke w książce *Sex in Education* twierdził, że edukacja kobiet odbywająca się w okresie wzrostu i rozwoju zdolności prokreacyjnych organizmu może temu rozwojowi zaszkodzić. Jego praca miała wiele wydań. Cytowana była też w Polsce przez przeciwników porządnej edukacji dziewcząt. Pięknie współgrała z wcześniejszymi poglądami Bronisława Trentowskiego, filozofa i pedagoga, zawartymi w dziele *Chowanna* z 1842 r., gdzie radził on bardzo wąski zakres wiedzy i wykształcenia dla dziewcząt

(szkoła elementarna), uważając, że głębsza nauka i oświata nie są dla cór Ewy: „lepszą im igła i wrzeciono”. Zauważał (nie bez podstaw przecież), że uczoney żony lękają się mężczyźni „równie jak niebezpiecznej cholery.”

O ile jednak w XIX w. było już oczywiste, że nie tylko chłopcy powinni chodzić do szkół, to bramy wyższych uczelni były dla kobiet wciąż zamknięte. Zaczęło się to zmieniać bardzo powoli, dopiero pod koniec XIX w. Pierwsze studentki pojawiły się wprawdzie w Oberlin College w Stanach Zjednoczonych już w 1837 r., ale przyjęto je na dość oryginalnych zasadach. Dziewczęta musiały się zobowiązać, że będą pracować, cerować, sprzątać i podawać do stołu studiującym mężczyznom. W zamian za to mogły uczestniczyć w niektórych zajęciach. Nie wolno im było jednak studiować łaciny, greki i matematyki. Nie mogły też zabierać głosu w dyskusjach ani odczytywać napisanych przez siebie prac.

Pierwszy collage dla kobiet utworzono w 1869 r. w Cambridge. Powoli i z wielkimi oporami na kobiety zaczęły się też wtedy otwierać uniwersytety w zachodniej Europie.

Nie, bo to kobieta

Na ziemiach polskich w tamtych latach kobieta nie miała szans dostać się na uniwersytet. To dlatego Maria Skłodowska w 1891 r. wyjechała na studia do Paryża. W zachodnich europejskich krajach, na skutek coraz większych nacisków kobiecych organizacji domagających się równouprawnienia także w tej dziedzinie, uczelnie „poddawały się” nieco wcześniej niż polskie.

Pięć pierwszych młodych Polek rozpoczęło studia na Uniwersytecie Jagiellońskim dopiero w 1894 r. po uzyskaniu indywidualnych zgód Senatu. Stało się to po 530 latach od powstania tej uczelni. Dziwne to jednak było studiowanie, skoro kobiety nie miały prawa zdawania egzaminów i uzyskania dyplomu. Uniwersytet Warszawski „złamał się” niewiele wcześniej niż Jagielloński.

Kolejnym progiem do przekroczenia było zostanie przez kobietę wykładowcą na uczelni. Męskie akademickie lobby było temu bardzo długo zdecydowanie przeciwnie. Kiedy Maria Skłodowska, po studiach na paryskiej Sorbonie, przyjechała do Krakowa z dyplomem i własnymi naukowymi pomysłami, odmówiono jej zatrudnienia na UJ, argu-

mentując, że przecież jest kobietą. Rozpłakała się z wściekłości i bezsilności, wróciła do Francji. Z czasem wykladała na Sorbonie, gdzie była też pierwszą kobietą, która objęła katedrę.

Na początku XX wieku, po wielkich naciskach, Polkom, które wracały do ojczyzny z doktoratami zagranicznych wyższych uczelni i uznanym naukowym dorobkiem, proponowano w najlepszym razie stanowisko tzw. demonstratorki, czyli młodszej asystentki. Kiedy wywalczyły w końcu pozwolenie na bycie asystentkami, to przynajmniej nie dano im uprawnień urzędników państwowych, choć asystenci – mężczyźni je mieli. Habilitowanie się kobiety było marzeniem świętej głowy, bo Senat UJ w uchwałach wyraźnie się temu sprzeciwiał. I znów nieważny był naukowy dorobek, lecz to, że jego autor nosił spódnicę.

Dziś nazwalibyśmy to wszystko dyskryminacją ze względu na płeć albo po prostu seksizmem. I znów trzeba spytać, czy gdyby nie uparta wieloletnia walka wysmiewanych ówczesnych feministek, domagających się równego traktowania, uniwersytety otworzyłyby się dla kobiet? Może i tak, ale kiedy? Dopiero jak „logika struktury społecznej” dałaby przyzwolenie?

Nie chciała na to czekać przed wiekami Nawojka, uchodząca za pierwszą polską studentkę. Ta córka rektora gnieźnieńskiej szkoły parafialnej w 1414 r. w męskim przebraniu rozpoczęła studia na Akademii Krakowskiej. Kiedy przygotowywała się już do złożenia końcowych egzaminów bakalarskich, została zdemaskowana przez syna wójta z Gniezna, rozpoczynającego w tym czasie naukę w Akademii. Surowej kary (mówiono nawet o stosie) uniknęła dzięki znakomitemu świadectwom nauki i moralności wystawionym przez profesorów, mężczyzn zresztą. Zaraz potem schroniła się w zakonie.

A tak na marginesie... Na prywatny amerykański uniwersytet Princeton, założony w 1746 r. pierwsza kobieta została przyjęta w... 1969 r.

Papież i feministka

Na osobny artykuł zasługuje to, jak na stosunek do równouprawnienia kobiet wpływały (i wpływają) poszczególne religie. W Polsce – oczywiście katolicyzm.

Na przestrzeni wieków wielu chrześcijańskim mędrcom i świętym przytrafiały się poglądy kurio-

zalne z dzisiejszego punktu widzenia i skrajnie dyskryminacyjne. Wzięte zresztą głównie ze starożytnej greckiej filozofii i prawa rzymskiego, a tylko po części z Pisma Świętego. To św. Tomasz z Akwinu miał twierdzić, że „Wartość kobiety polega na jej zdolnościach rozrodczych i możliwości wykorzystania do prac domowych”, a św. Augustyn, że „To naturalny porządek rzeczy, że kobieta ma służyć mężczyźnie”.

Dziś czasy się zmieniły, ale duch tego typu poglądów wciąż tłucze się po zakamarkach społecznej świadomości. Podtrzymywany jest przy życiu przez licznych polskich kościelnych hierarchów, dla których kobieta to przede wszystkim matka Polka. Wprawdzie może próbować odnosić sukcesy w różnych dziedzinach życia, ale jej najważniejszym powołaniem i tak jest macierzyństwo.

Jan Paweł II, wielki orędownik kultu Matki Boskiej, też tak to widział. Wystarczy przeczytać jego List Apostolski z okazji Roku Maryjnego *Mulieris dignitatem* o godności i powołaniu kobiety.

W tym kontekście aż nie wypada przypominać, że inny papież, Paweł VI, osobiście odznaczył czołową amerykańską feministkę Betty Friedan medalem papieskim za to, co zrobiła „dla kobiet, czyli dla ludzkości”.

Tymczasem w Polsce, jeszcze 10 lat temu, katolicka posłanka AWS Ewa Sikorska-Trela podczas sejmowej debaty nad projektem ustawy o równym statusie kobiet i mężczyzn mówiła, że „Bóg stworzył mężczyznę i kobietę i dał im odmienne role w życiu. Nie należy zmieniać tych ról i poprawiać Stwórcy w jego zamysłach”.

Pytania pracodawcy

Równouprawnienie kur i kogutów w polskim kurniku na pewno sprawą zamkniętą nie jest. Opinii, że w Polsce większość kobiet nie czuje się dyskryminowana mogą przeczy choćby badania przeprowadzone przez agencję ARC Rynek i Opinia w ramach programu „Kobiety 2000”. Aż 69 proc. respondentek stwierdziło w nich, że kobiety są w Polsce dyskryminowane. Tylko 17,3 proc. odpowiedziało, że nie są.

– A niby w czym jeszcze przejawia się ta dyskryminacja? – pytają koguty, prezentując z wyrzutem swój oskubany przez feministki z wielu piór ogon, grzebień bez dawnego wigoru i pianie już nie takie jak kiedyś.

Generalnie w tym, że pomimo tylu zmian kulturowych i obyczajowych, polska kobieta wciąż jest uznawana głównie za podmiot rodzinny, a mężczyzna – podmiot pracujący. Tak to widzą nie tylko mężczyźni politycy, ale i pracodawcy.

Ciągłe aktualna jest wypowiedź amerykańskiej feministki Glorii Steinem (cytuje ją w książce *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym* Agnieszka Graff).

W latach 70. XX w. mówiła ona tak: „Jeśli nie masz męża i pytasz o pracę, odmówię ci z obawy, że możesz wyjść za mąż. Jeśli jesteś mężatką i pytasz o pracę, odmówię ci, bo wkrótce zaczniesz rodzić dzieci. Jeśli już je masz i szukasz pracy, odmówię ci, bo dzieci na pewno będą chorować, a wtedy ty będziesz musiała zostać z nimi w domu. A jeśli wyjaśnisz im ostatnią opcję, czyli że jesteś radykalną lesbijką, odmówię ci z obawy, że natychmiast rzucisz się na wszystkie kobiety w biurze”.

Czyż w Polsce nie jest ciągle tak, że pracodawcy nie interesuje, czy szukający pracy mężczyzna ma dzieci, a w przypadku szukającej pracy kobiety – i owszem? Trudno się zresztą dziwić pracodawcy. Wciąż przecież za oczywiste uznaje się, że jak dziecko zachoruje, to powinna z nim siedzieć w domu matka. Czy naprawdę zawsze musi to być ona, a nie on? Skazuje to przecież od razu kobietę na gorsze postrzeganie jako pracownika. Niestety, nawet jeśli przepisy na to pozwalają, niewielu ojców decyduje się zostać w domu, choćby tylko na czas choroby dziecka. Bo po prostu, mimo tych wszystkich oficjalnych słów o randze domowej sfery, sfera życia prywatnego wciąż jest znacznie mniej poważana i atrakcyjna niż sfera życia publicznego. Gdyby było inaczej, koguty by się do niej pchały, a nie podkreślały, że nie chcą zabierać kurze tradycyjnego miejsca.

Liczby z domowego zacisza

To, że kobieta jest traktowana jako podmiot rodzinny, pozwala też na to, że za normalne uważane jest, że w sfeminizowanych zawodach zarobki są niższe, a w tych wykonywanych przez obie płcie mniej więcej po równo, pensje na takich samych stanowiskach wciąż w wielu przedsiębiorstwach zależą od płci pracownika. Potwierdzają to statystyki. Tymczasem przecież postulat równej płacy za równą pracę, jest uznawany za jedno z głównych zagadnień polityki antydyskryminacyjnej Unii Europejskiej. Podobnie jak zachowanie równowagi obu płci choćby w instytucjach politycznych.

I tak dalej, i tak dalej...

Całowanie pań po rękach, przepuszczanie ich w drzwiach i dawanie kwiatka na Dzień Kobiet czy walentynki nie zmienia też tego, że tzw. domowe zacisze to jeden z najsilniejszych bastionów braku równouprawnienia. Według sondażu CBOS-u z grudnia 2006 r. „Kobiety i mężczyźni o podziale obowiązków domowych”, wciąż aż 75 proc. kur przygotowuje posiłki (a tylko 7 proc. kogutów), 65 proc. zmywa garny (8 proc.), 61 proc. sprząta (6 proc.), 84 proc. robi pranie (4 proc.), 84 procent prasuje (5 proc.). W pozostałych przypadkach kura i kogut konkretnymi obowiązkami dzielą się po partnersku.

Tymczasem dopóki nie będzie sprawiedliwszego podziału obowiązków domowych i rodzinnych, dopóty nie będzie istotnego postępu w równouprawnieniu kobiet na rynku pracy. Ale też w działalności politycznej i społecznej, bo na nią trzeba mieć po prostu siły i czas. Sama ochota nie wystarczy.

Jak będzie wyglądał świat w kurniku za 50-100 lat? Trzeba mieć nadzieję, że coraz bardziej rozpychające się kury całkiem kogutów nie zadziobią, bo wizja *Seksmisji* aż tak pociągająca nie jest. Także dla kur.

Geniusz, macho, efeb, androgyne... Metamorfozy męskości we współczesnej polskiej ikonosferze

Geniusz, macho, efeb, androgyne – to tylko niektóre typy funkcjonujących obecnie wzorców męskości, konkurujących ze sobą w kulturze „wysokiej” i „popularnej” – na wystawach i w kinie, w internecie i na ulicy. W ikonosferze współczesności i w refleksji socjologiczno-estetycznej tradycyjne wzorce podlegają intensywniej niż kiedykolwiek dotąd dynamicznej transformacji.

Nie tylko w rozprawach z zakresu historii sztuki, lecz także w ramach przewidzianych dla szerokiej publiczności wystaw dekonstruuje się choćby XIX-wieczny artystyczny mit geniusza. W kulturze wizualnej i refleksji nad nią odzwierciedlają się i inne przemiany historycznie utrwalonego obrazu męskości. Należą one, także w Polsce, do zjawisk wnikliwie analizowanych w ramach badań feministycznych, uprawianych *nota bene* nie tylko przez kobiety. Dotyczący ich dyskurs przybrał już w krytyce artystycznej i nauce o sztuce bardzo zniuansowaną formę, stąd zasługuje na wnikliwszą uwagę.¹

¹ Artykuł powstał jako rezultat komparatystycznych badań, przeprowadzonych w ramach stypendium Fundacji ADAMAS na Rzecz Interkulturalnych Studiów na Przykładzie Grecko-Niemieckim i Polsko-Niemieckim. W pierwszej, obszerniejszej wersji, opublikowanej w języku niemieckim zawiera obszerne odwołania bibliograficzne. Por. Lidia Głuchowska: *Bild und Gegenbild. Die Männlichkeit nach 1989 in Polen im Spiegel der hohen und populären Kultur*, [w:] *Postsozialistische Männlichkeiten in einer globalisierten Welt*, red. S. Scholz, W. Willms, Berlin 2008, s. 163–192. W niniejszym tekście część literatury cytowana jest w wykazie źródeł ilustracji.

Genius, Macho, Ephebus, Androgyne... Metamorphosen der Männlichkeit in der polnischen Ikonosphäre der Gegenwart

Genius, Macho, Ephebus, Androgyne sind nur einige Typen der gegenwärtigen Männlichkeit, die in der hohen wie in der populären Kultur miteinander konkurrieren – in Ausstellungen ebenso wie im Kino, im Internet wie auch auf der Straße. In der Ikonosphäre der Gegenwart und in der soziologisch-ästhetischen Reflexion unterliegen die traditionellen Geschlechtermuster intensiver als je zuvor einem dynamischen Wandel. Beispielsweise, nicht nur kunstwissenschaftliche Studien, sondern auch große Ausstellungen für eine breite Öffentlichkeit wie die Berliner Schau „Der Kult des Künstlers” (2008/2009) dekonstruieren zur Zeit den aus dem 19. Jahrhundert stammenden künstlerischen Geniemythos. Auch weitere Transformationen historisch gefestigter Vorstellungen von Männlichkeit zeigen sich in der visuellen Kultur und gehören ebenfalls in Polen zu den Schwerpunkten der neueren so genannten Genderforschung, die allerdings nicht nur von weiblichen, sondern auch von männlichen Wissenschaftlern betrieben wird. Da dieser Diskurs in der polnischen Kunstkritik und –wissenschaft inzwischen eine sehr elaborierte und nuancierte Form angenommen hat, verdient er eine nähere Betrachtung.¹

¹ Die für diesen Beitrag nötige komparatistische Forschung erfolgte im Rahmen eines Stipendiums der ADAMAS-Stiftung Götz Hübner für interkulturelle Studien am griechisch-deutschen und polnisch-deutschen Beispiel. In einer ersten, umfangreicheren Fassung davon in

Rzeczywistość polską po przełomie politycznym 1989 Agnieszka Graff określiła mianem „Świata po *Seksmisji*”, odwołując się do popularnego filmu Juliusza Machulskiego (1983). Wykreowana w nim wizja osadzonej w przyszłości rzeczywistości *au rebours* na prawach *science fiction* – dyktatury kobiet bez mężczyzn to zarazem wizja i kryptokarykatura systemu komunistycznego. W finałowej scenie dwóch przebudzonych z hibernacji pięknoduchów, nalewa plemniki do probówek, tym samym ratując (męską) ludzkość.

Ten, znany chyba wszystkim Polakom, film nawiązuje do zakorzenionego w patriotycznej kulturze czasu zaborów mitu matki Polki. Wówczas to, gdy Polska nie posiadała niezależnego bytu państwowego, nie mogły wykształcić się wyraziste wzory męskości. Matka Polka posyłała swych synów i męża do patriotycznych powstań, traciła ich ze względu na ich działalność konspiracyjną, a sama – pod ich nieobecność stała na straży narodowych i patriarchalnych świętości: Boga, dumy i ojczyzny.

W erze Solidarności i antykomunistycznego podziemia, zwłaszcza pomiędzy 1980 i 1989 rokiem, polski etos konspiracyjny, będący swoistym przedłużeniem romantycznej tradycji niepodległościowej, odgrywał szczególną rolę. Prodemokratyczne tendencje realizowały się wówczas poprzez publikacje nielegalnej prasy podziemnej, walkę o wolność słowa i wolny przepływ informacji między Wschodem a Zachodem. Często podkreśla się, jak wielką rolę w ówczesnej akcji wydawniczej i kolportażowej odgrywały kobiety oraz że – paradoksalnie – czas po przełomie politycznym oznaczał nie tylko inkubację wolnej Polski, lecz również neopatriarchatu. Nie tylko współtwórczyni Solidarności, Anna Walentynowicz, znikła w cieniu Lecha Wałęsy. Także inne, zaangażowane w konspirację działaczki zniknęły z politycznej sceny. Po latach pozornego równouprawnienia – jak podkreśla Agnieszka Graff w swej książce *Świat bez kobiet* – rozpoczęła się jawna walka płci. W 1993 w Polsce zatwierdzono bowiem jedno z najbardziej radykalnych praw antyaborcyjnych. „Świat po *Seksmisji*” okazał się konserwatywny, gdyż rodził się pod patronatem Kościoła katolickiego, będącego w czasach PRL dla wielu jedynym niewzruszonym autorytetem moralnym. Z kolei Piotr Piotrowski w *Znaczeniach modernizmu* oraz Paweł Leszkowicz i Tomasz Kitliński w książce *Mitość i demokracja* podkreślają, iż wolność

Die Ära nach der politischen Wende wurde in Polen schon vor zehn Jahren als die „Welt nach der *Sexmission*“ apostrophiert, vernannt nach einem Film von Juliusz Machulski (*Seksmisja*, 1983), der in einer in der Zukunft verorteten Welt ohne Männer spielt, die unter der Diktatur von Frauen steht. Dieser, wohl jedem Polen bekannte, Film kann als eine Satire des kommunistischen Systems gedeutet werden. In seinem Finale treten zwei aus der Hibernation geweckte Schöngeister auf, die ihren Samen zur In-vitro-Fertilisation auf Reagenzgläser verteilen und somit die (männliche) Menschheit retten.

Der Film basiert auf dem in der polnischen Kultur des 19. Jahrhunderts gründenden patriotischen Mythos der *Mutter Polin*. Dieser entstand in der Zeit, als Polen keinen unabhängigen politischen Status besaß und sich somit keine starken Modelle von Männlichkeit ausbilden konnten. Die *Mutter Polin* schickte ihre Söhne in den Kampf, verlor sie wegen deren Konspiration, und während deren Abwesenheit bewahrte sie die nationalen und die patriarchalischen Werte: Gott, Stolz und Vaterland.

Zur Zeit des antikommunistischen Widerstands – in der Ära von Solidarności zwischen 1980 und 1989 – spielte das so genannte „konspirative Ethos“ eine besondere Rolle. Es handelt sich dabei um eine Reihe prodemokratischer Bestrebungen – wie die Herausgabe von illegalen Publikationen oder den offenen Informationsaustausch mit Westeuropa –, denen sich die offiziellen Medien verweigerten. An diesen Aktivitäten, die eine Art Verlängerung der romantischen Tradition aus der Zeit der Teilungen Polens und dessen Nicht-Existenz auf der Karte Europas waren, hatten Frauen wesentlichen Anteil. Die darauf folgende politische Wende indes war zwar die Inkubation des freien Polens, aber auch die des Patriarchats. Nicht nur die Heldin von *Solidarność*, Anna Walentynowicz, vergaß man zugunsten von Lech Wałęsa. Auch die anderen an der Konspiration beteiligten Frauen wurden aus der neuen politischen Szene ausgeblendet. Nach Jahren der scheinbaren Gleichberechtigung begann ein echter Geschlechterkampf, wie Agnieszka Graff

der deutschen Sprache sind sämtliche bibliographische Hinweise enthalten. Vgl. Lidia Gluchowska: Bild und Gegenbild. Die Männlichkeit nach 1989 in Polen im Spiegel der hohen und populären Kultur. In: Scholz, Sylka/ Weertje Willms (Hg.): Postsozialistische Männlichkeiten in einer globalisierten Welt, Berlin 2008, S. 163-192. Hier werden einige wichtige Publikationen im Abbildungsnachweis genannt.

po 1989 roku konstituowano więc w imię tradycyjnych (katolickich) wartości narodowych, a nie nowoczesnego społeczeństwa demokratycznego. Timothy Gaston Ash opisuje polską rzeczywistość około 1990 roku jako paradoksalną *abnormal normality*, w której *ecclesia militans*, triumfujący Kościół i pornografia funkcjonują w pokojowej koegzystencji.

Pomimo to konotacje wzorów męskości i kobiecości uległy w Polsce po 1989 roku istotnej redefinicji. Modele męskości są od ponad dziesięciu lat przedmiotem zainteresowania tzw. drugiej fali badań nad płcią warunkowaną kulturowo – Gender Studies. Konserwatywne i alternatywne modele męskości analizowane są jako ambiwalentne i ewoluujące zjawisko przez humanistów i socjologów. Podkreślają oni, iż otwarcie na Zachód i spóźniona, zahamowana przez komunistyczną utopię równości, emancypacja wyznaczają w tym kontekście nowe perspektywy, podobnie jak społeczne dylematy ostatnich lat, takie jak AIDS, bezrobocie, krzepnięcie „nowej” konserwatywnej cenzury i lawinowo narastająca konsumpcja. Na ten temat opublikowano dotychczas tyle opracowań, choćby autorstwa Sławomiry Walczewskiej, Kazimierzy Szczuki czy Moniki Szczepaniak, że choćby ich krótkie omówienie przekracza ramy niniejszego tekstu.

Generalizując, można stwierdzić, że konstrukcje męskości w „popularnej” i w „wysokiej” kulturze polskiej konstituują się jako wzór i antywzór – model i antymodel. Według historyka sztuki Hansa Beltinga, obraz człowieka w sztuce w każdej epoce odzwierciedla obowiązujące wyobrażenia na temat kondycji świata. Modele kobiecości i męskości jako typy i indywidualia, funkcjonujące choćby w sztuce i w podręcznikach szkolnych czy też w popularnych mediach, nie stanowią jednak jedynie odbicia społecznej rzeczywistości, lecz także antycypacje potencjalnego podziału ról w przyszłości. Wyraźnie wskazują na to ustalenia z zakresu pedagogiki społecznej i badania rynku.

W „popularnej” kulturze wizualnej, zwłaszcza w reklamie, po 1989 roku pojawia się nowy wzorzec męskości, któremu przeciwstawia się inny – także nowy, choć inaczej wystylizowany – wzorzec męskości w kulturze „wysokiej”. Pierwszy zainspirowany jest głównie zmieniającą się sytuacją rynkową, drugi dyskursem emancypacyjno-demokratycznym. Tu w centrum uwagi znajdują się wizualizacje obu tych

2001 in ihrem Buch *Świat bez kobiet* (Die Welt ohne Frauen) vermerkte. So wurde in Polen 1993 eines der restriktivsten Abtreibungsgesetze Europas verabschiedet. Die „Welt nach der *Sexmission*“ im neuen Polen ist eine Welt der Männer. Diese ist konservativ, da sie unter der Schirmherrschaft der katholischen Kirche entstanden ist. Die Freiheit erfolgte im Namen der traditionell (und katholisch) verstandenen Nation und nicht im Namen der modernen demokratischen Gesellschaft, wie Piotr Piotrowski in seinem Buch *Znaczenia modernizmu* (Die Bedeutungen des Modernismus) sowie Paweł Leszkowicz und Tomasz Kitliński in ihrer *Miłość i demokracja* (Liebe und Demokratie) vermerken. Timothy Gaston Ash beschreibt die polnische Wirklichkeit um 1990 als eine paradoxe „abnormal normality“, in der sich die triumphierende Kirche und die Pornografie voneinander abgrenzen.

Dennoch unterliegt die Codierung der Geschlechter in Polen seit der politischen Wende 1989 einem tief greifenden Wandel. Die Konfigurationen von Männlichkeit stehen hierbei seit mindestens zehn Jahren – vor allem im Rahmen der so genannten Genderforschung der zweiten Welle – im Mittelpunkt des Interesses. Die konservativen und die alternativen Modelle von Männlichkeit werden in den Geistes- und Sozialwissenschaften gleichermaßen sowohl positiv als auch negativ reflektiert und revidiert. Die Öffnung nach Westen und die verspätete, durch die kommunistische Utopie der Gleichheit gebremste Emanzipation der Frau markieren in diesem Kontext neue Perspektiven, ähnlich wie die sozialen Dilemmata der letzten Jahre, z. B. AIDS, Arbeitslosigkeit, Konstituierung einer „neuen“, konservativen Zensur sowie steigender Konsum. Zu diesem Thema gibt es inzwischen eine ganze Reihe von Publikationen, etwa von Sławomira Walczewska, Kazimiera Szczuka und Monika Szczepaniak, die im vorliegenden Rahmen nicht einmal ansatzweise besprochen werden können.

Allgemein ist festzustellen, dass die Konstruktionen von Männlichkeit in der populären und in der hohen polnischen Kultur als Bild und Gegenbild betrachtet werden können. Nach Hans Belting schließt das Menschenbild in der Kunst in sich das für die jeweilige Epoche geltende Bild von der Welt mit ein. Die Bilder von Frau und Mann als Typus und als Individuum, die in der Kunst sowie in Schulbüchern und populären Medien kursieren, stellen jedoch nicht

modeli, które z jednej strony zawierają elementy wynikające z otwartej dyskusji społeczno-politycznej, z drugiej – nierzadko poprzez skandal obyczajowy – same ją wywołują. W tym kontekście na uwagę zasługują również pochodne „klasycznego”, tradycyjnego podziału płci i niektóre aspekty tzw. metroseksualności.

Krytyczny bilans transformacji w Polsce ukazują choćby takie popularne filmy z lat 90. XX w. jak opatrzone znaczącymi tytułami: *Psy* Władysława Pasikowskiego (1992), *Młode wilki* Jarosława Żamojdy (1995) czy *Egoiści* Mariusza Trelńskiego (2000). Popularyzują one mit „silnego mężczyzny”, „samotnego wojownika” i szeryfa „dzikiego Zachodu” – młodej polskiej demokracji oraz nowego polskiego Eldorado. Obnażają też relatywizm moralny, pustkę uczuciową i konsumpcjonizm, tak wśród byłych funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa, jak i młodych yuppies. W odniesieniu do kultury codziennej i sztuki popularnej istotne są jednak nie tylko analizy współczesnego filmu, lecz również reklam, podręczników szkolnych oraz choćby „ukryte komunikaty” w postawie nauczycieli.

Ogólny wniosek z ich analizy mógłby brzmieć: nie tylko kultura popularna i media, lecz również edukacja szkolna upowszechnia konserwatywne wzorce męskości i kobiecości, bazujące na kon-



1. Jerzy Bereś, *Przepowiednia. Spełnia się* (*Die Prophezeiung. Es geht in Erfüllung*), 1989, [w:] (Aus.) P. Piotrowski, *Znaczenia modernizmu. W stronę historii sztuki polskiej po 1945 roku* (*Die Bedeutungen des Modernismus. Der polnischen Kunstgeschichte nach 1945 entgegen*), Poznań 1999, s. 201.

nur eine Widerspiegelung der sozialen Wirklichkeit dar, sondern auch Antizipationen der potentiellen zukünftigen Rollenverteilung, worauf u. a. Analysen aus dem Bereich der Sozialpädagogik und Arbeitsmarktforschung deutlich hinweisen.

In der populären Kultur zeigt sich in Werbung und politischen Parolen ein neues Bild von Männlichkeit, dem das Männlichkeitskonstrukt der hohen Kunst als ebenfalls neues, wenn auch anders „gestyltes“ und vorwiegend andere Gesellschaftsgruppen betreffendes, Gegenbild gegenüber steht. Im Mittelpunkt stehen hier also Visualisierungen von Männlichkeitskonzepten, die einerseits die Elemente öffentlicher, sozial-politischer Diskussionen beinhalten, andererseits diese – nicht selten durch einen Skandal – hervorrufen. In diesem Kontext werden auch die Erweiterungen der „klassischen“, traditionellen Geschlechtermodelle und die Aspekte der Metrosexualität erwähnt.

Die kritische Bilanz der Transformation in Polen ist u. a. aus solch populären Spielfilmen der 1990er Jahre abzulesen, die sprechende Titel tragen wie *Psy* (*Die Hunde*, von Władysław Pasikowski, 1992), *Młode wilki* (*Die Jungen Wölfe*, von Jarosław Żamojda, 1995) und *Egoiści* (*Die Egoisten*, von Mariusz Trelński, 2000). Darin wird der Mythos vom „starken Mann“, dem „einsamen Kämpfer“ und dem „Sheriff des Wilden Westens“ der jungen polnischen Demokratie und des neuen polnischen Eldorado aufgebaut. Die moralische Relativität, die emotionale Leere und der Konsumdrang herrschen hier sowohl unter den ehemaligen Funktionären der Geheimpolizei als auch unter den modernen Yuppies. In Bezug auf den Alltag und die populäre Kultur sind nicht nur die Analysen des gegenwärtigen Films, sondern auch die der Werbung, der Schulbücher sowie der „versteckten Mitteilungen“ im Verhalten von Lehrern als besonders inspirierend einzuschätzen.

Die allgemeine Schlussfolgerung bis hierher lautet: Nicht nur die populäre Kultur und die Medien, sondern auch die Schulbildung verbreiten konservative, auf Konsum und asymmetrische Verteilung der Rechte orientierte Geschlechtermuster. Diese entsprechen zum Teil nicht der sozialen Realität nach der Transformation und den Vorgaben der Europäischen Kommission bezüglich der Gleichberechtigung der Frau und nicht-heterosexueller Orientierungen. Am häufigsten werden hier die Männer als aktive „Schöpfer“ der Kultur und Wirtschaft und Frauen als

sumpcjonizmie i asymetrycznym podziale ról społecznych oraz praw. Częściowo nie odpowiadają one ani społecznej rzeczywistości po transformacji, ani wytycznym Unii Europejskiej w zakresie równouprawnienia kobiet i orientacji nie-heteroseksualnych. Mężczyźni prezentowani są tu najczęściej jako aktywni „twórcy” kultury i gospodarki, a kobiety jako „konsumentki”, nawet jeśli to właśnie one łatwiej adaptują się w warunkach nowego turbokapitalizmu.

Konserwatywny, promujący sukces, konkurencję i konsumpcjonizm model męskości kreuje się w licznych kolorowych czasopismach powstających lawinowo po 1989 roku, najpierw w tych tzw. kobiecych, później także w tych adresowanych do tzw. płci brzydkiej. Są to zwykle importy z Zachodu, uzupełniające stopniowo stereotypowy model męskości jedynie o komponent „męskie ciało jako towar”, o czym świadczą mogą przykładowo okładki i zawartość pisma „Men’s Health”. Patriarchalne wzory zachowań społecznych umacniają się poprzez tradycyjnie męskie strategie współzawodnictwa i werbalne techniki „autopromocji” wśród nowych macho „Trzeciej” i „Czwartej Rzeczypospolitej” i w męskich magazynach.

Znacznie bardziej wieloaspektowo fenomen męskości analizowany jest w tzw. sztuce wysokiej. Jeśli za symboliczną w odniesieniu do ery socjalizmu uznać pracę Magdaleny Abakanowicz *Masa* (1985-1987), przedstawiającą anonimową, zunifmizowaną, pozbawioną twarzy i osobowości grupę postaci, to polityczny przełom akcentują przede wszystkim dwa dzieła. Jest to, po pierwsze, performance Jerzego Beresia *Przepowiednia...* (1989), w którym nagie ciało staje się medium wyrazu artystycznego. W zunifmizowanym świecie socjalizmu nagość nacechowana erotyką, zwłaszcza nagość męska, jako signum indywidualizmu stanowiło absolutne tabu. Można je było obnażać jedynie w wąskich ramach „kultury niszowej”. Gdy w kwietniu 1989 roku podpisano postanowienia „Okrągłego Stołu”, poprzedzające powołanie nowej „demokratycznej Rzeczypospolitej”, Bereś namalował na swym nagim ciele narodową flagę i inskrypcję *Przepowiednia. Spełnia się* (por. il. 1). Jego nagość jest tu asekualna i sytuuje się poza sferą wyidealizowanych konotacji męskiego aktu heroicznego. Jako przeciwieństwo socrealistycznych półnagich herosów z fasady Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie (1953) Bereś aktualizuje jedną z „wielkich narodowych narracji”, a mianowicie

die „Konsumentinnen” dargestellt, auch wenn sich nicht selten gerade die Frauen besser an die neuen Herausforderungen des jungen „Turbokapitalismus” adaptieren.

Das konservative, erfolgs-, wettbewerbs- und konsumorientierte Bild der Männlichkeit wird unter anderem in den nach der politischen Wende um 1989 zahlreich entstandenen Frauenzeitschriften und in den letzten Jahren auch in deren an das „hässliche Geschlecht” adressierten Pendants kreiert. Diese entstehen zumeist als Importe aus dem Westen und erweitern allmählich das stereotype Modell der Männlichkeit lediglich um die Komponente „männliche Körper als Ware”, wofür beispielhaft die Titelblätter und der Inhalt der Zeitschrift *Men’s Health* stehen können. Die patriarchalischen Muster der Gesellschaft werden durch die traditionellen männlichen Konkurrenzstrategien und das steigende Selbstlob der Machos der Dritten und Vierten Polnischen Republik auch in der Politik und in den Männermagazinen gefestigt.

Bedeutend vielfältiger wird das Phänomen der Männlichkeit in der hohen Kunst analysiert. Wenn für die Ära des Sozialismus das Werk *Masa* (Die Masse, 1985-1987) von Magdalena Abakanowicz stehen kann, welches eine anonyme, uniformierte, gesichtslose und ihrer Identität beraubte Menschenansammlung darstellt, so markieren die politische Wende vor allem zwei Werke. Zum einen handelt es sich um eine Performance von Jerzy Bereś, *Przepowiednia, spełnia się* (Die Prophezeiung. Die geht in Erfüllung 1989), in der sein nackter Körper als Medium künstlerischen Ausdrucks fungiert. In der sozialistischen Ära war der nackte und sexualisierte Körper als Zeichen des Individualismus in der uniformierten offiziellen Kultur tabuisiert. Er konnte nur in dem engen, kontrollierten Rahmen der alternativen „Nischen-Kunst”, wie z. B. den Performances von Bereś, existieren. Im April 1989, nach dem Unterzeichnen der Vereinbarung des so genannten „Runden Tisches”, die die Konstituierung einer neuen „demokratischen Republik” antizipierte, bemalte Bereś seinen nackten Körper mit den polnischen Nationalfarben und der Parole: „Die Prophezeiung...” (vgl. Bild 1). Seine Nacktheit ist asexuell und steht außerhalb der Sphäre idealistischer Konnotationen des männlichen Aktes. Als Gegenstück zum realsozialistischen halbnackten Heros am *Palais der Kultur und Wissenschaft* in Warschau (1953) aktual-



2. a/b. Zofia Kulik, *Archiwum Gestów (Archiv der Gesten)*, 1987–1991, [w:] (Aus:) I. Kowalczyk, *Niebezpieczne związki sztuki z ciałem (Die gefährlichen Beziehungen der Kunst zum Leib)*, Poznań 2002, s. 22.

mit romantycznego artysty-proroka, który kształtował kulturę patriotyczną od czasu rozbiorów. Takie patetyczne manifestacje tracą z czasem swój *status quo*.

Innym dziełem symbolicznie podsumowującym czas przełomu jest video czynnego w Ameryce polskiego twórcy, Krzysztofa Wodiczki – *Leninplatz-Projektion* w Berlinie (1990). To niepokojący symbol nowego systemu wartości. W dziele tym, podczas prezentacji slajdów na jednym z budynków Placu Lenina pojawia się obraz turysty z Europy Wschodniej z wypełnionym po brzegi koszem na zakupy. To oznaka „granic wolności”, ewokacja raju konsumpcji, który w bloku wschodnim kojarzony był z Zachodem, a więc i z wolnością, a na Wschodzie, jako że tam nie istniał w tym wymiarze, nie mógł podlegać krytyce.

Kondycję sztuk pięknych po transformacji Anda Rottenberg określiła w swej książce *Sztuka w Polsce 1945–2005* jako „postindustrialnego smutku”, sygnalizując tym samym zanik klarownych etycznych

isierte er eine der „großen nationalen Narrationen“, nämlich den romantischen Mythos des Künstler-Propheten, der seit der Teilungen Polens die nationale Kultur im 19. Jahrhundert prägte. Solch pathetische Manifestationen verloren mit der Zeit ihren *status quo*.

Zum anderen bringt die Videopräsentation *Leninplatz-Projektion* in Berlin (1990) des in Amerika tätigen polnischen Künstlers Krzysztof Wodiczko ein beunruhigendes Symbol des neuen Wertesystems zum Ausdruck. Während einer Diaprojektion wird auf die Gebäude des Leninplatzes das Bild eines osteuropäischen Touristen mit einem überfüllten Rollwagen vorgeführt. Dieses fungiert als Sinnbild der „Endlichkeit der Freiheit“. Es handelt sich um das Paradies des Konsums, welches ja im Ostblock mit dem Westen und somit mit der Freiheit assoziiert wurde und, da es im Ostblock nicht existierte, auch nie zuvor der Kritik unterlegen hatte. Soviel zu den Symbolen der Männlichkeit zur Zeit der Wende.

i estetycznych zasad oraz nadziei na postęp społeczno-politycznych reform. Liczni przedstawiciele interdyscyplinarnych badań z zakresu *gender* (płciowości warunkowanej kulturowo) oraz artyści młodszej generacji, częściowo zainspirowani ich teoriami próbują w swych dziełach problematyzować transformację podziału ról społecznych – i to zarówno retrospektywnie w doniesieniu do całego wieku XX, jak i do ery postsocjalistycznej. To głównie oni wyrażają się na temat alternatywnych modeli męskości. Szczególnie radykalne pytanie o konflikty między obiema płciami i o społeczną pozycję mężczyzny, jego nowe role i ambicje stawiają twórcy tzw. polskiej sztuki krytycznej lat 90. (2002). Mianem tym m.in. Izabela Kowalczyk określa sztukę zaangażowaną w procesy społeczno-polityczne, tworzoną głównie przez artystki młodszego pokolenia. W centrum ich uwagi znajduje się fizjologiczny obraz ciała jako symbol społecznej opresji i ludzkiej śmiertelności. W ramach tej formacji powstają przede wszystkim dzieła zainspirowane przez feministyczną i homoseksualną teorię i praktykę społeczną. Inaczej niż w Europie Zachodniej i Ameryce, gdzie z końcem lat 60. XX w. nastąpiła rewolucja społeczna i seksualna, w ówczesnej Polsce tego typu zaangażowana, figuratywna sztuka nie miała racji bytu i nośności ideowej. Alternatywni twórcy zwracali się wówczas raczej ku abstrakcji, gdyż wszelki zaangażowany wyraz kojarzono ze znienawidzoną oficjalną sztuką socrealistyczną i dyktaturą. Z tego względu emancypacyjno-demokratyczny protest mógł znaleźć w Polsce swój wyraz w sztuce dopiero 20-30 lat później, stając się wyrazem modyfikacji podziału ról społecznych w nowej rzeczywistości politycznej. Sztukę zaangażowaną, o której tu mowa, badacze tacy jak Izabela Kowalczyk oraz Paweł Leszkowicz i Tomasz Kitliński określają mianem „nowej sztuki w nowym państwie” bądź „kobiecej rewolty”, choć tworzona jest również przez artystów-mężczyzn. Warto przyjrzeć się jej w kontekście kształtowania wzorców i antywzorców męskości.

Męczyzna a władza

„Nikt nie rodzi się jako kobieta”. To stwierdzenie Simone de Beauvoir analizuje się często w odniesieniu do polskiej sztuki współczesnej także w związku z opresyjnymi, konotowanymi kulturowo i politycznie

Die bildende Kunst der Transformation wird mit einer „postindustriellen Traurigkeit“ gleichgesetzt, wie Anda Rottenberg in ihrem Buch *Sztuka w Polsce 1945-2005* (Kunst in Polen 1945-2005) apostrophiert. Dieser Begriff steht für den Verlust von klaren ethischen und ästhetischen Vorsätzen sowie für den Verlust des Glaubens an eine weitere positive sozialpolitische Entwicklung. Zahlreiche Vertreter der interdisziplinären Genderforschung und einige Künstler der jüngeren Generation, die sich teilweise von den Theorien Letzterer inspirieren lassen, versuchen, die postsozialistischen Geschlechterverhältnisse sowohl retrospektiv in Bezug auf das gesamte 20. Jahrhundert als auch bezogen auf die Transformationsprozesse zu thematisieren. Hier kommen auch alternative Modelle von Männlichkeit zum Ausdruck. Besonders radikal wird die Frage nach den geschlechtlichen Konflikten sowie nach der sozialen Positionierung von Männern und ihren neuen Rollen und Ansprüchen in der so genannten „polnischen kritischen Kunst“ der 1990er Jahre aufgeworfen. So wird zumeist die sozialpolitisch engagierte Kunst bezeichnet, die von der jungen Künstlerinnengeneration geschaffen wird und die sich des physiologischen Bildes des Körpers als Symbol der sozialen Oppression und der menschlichen Sterblichkeit bedient. Zu diesen Werken zählen vor allem diejenigen, die sowohl durch die feministische als auch durch die homosexuelle Theorie und Praxis inspiriert werden. Anders als in Westeuropa und in Amerika, wo Ende der 1960er Jahre eine sexuelle und sozialpolitische Revolte stattfand, hatte im sozialistischen Polen diese Art engagierter, figürlicher, darstellender Kunst kein Existenzrecht. Man wendete sich stattdessen der Abstraktion zu, weil jeglicher ideologischer Ausdruck mit der Diktatur und der verhassten offiziellen, propagandistischen realsozialistischen Kunst assoziiert wurde. So konnten solche auf sozialpolitischen Protest ausgerichtete Erscheinungen in der Kunst erst zwanzig bis dreißig Jahre später als im Westen auf die modifizierte Geschlechterordnung in der neuen Realität antworten. Sie werden von Forschern wie Izabela Kowalczyk oder Paweł Leszkowicz als „neue Kunst im neuen Staat“ oder als „Frauenrevolte“ bezeichnet, obwohl man sie auch im Werk männlicher Künstler antrifft. Es scheint der Mühe wert zu sein, dieses genauer in Hinblick auf das Kreieren von Mustern und Gegenmustern der Männlichkeit zu betrachten.



3. Dorota Nieznańska, *Bez tytułu (Ohne Titel)*, 1999, [w:] (Aus:) A. Rottenberg, *Sztuka w Polsce 1945–2005 (Kunst in Polen 1945 bis 2005)*, Warszawa. 2005, s. 228.

konstrukcjami męskości. Takie działania i strategie społeczno-kulturalnej interakcji obnażają „niebezpieczne związki sztuki z ciałem”, by przywołać tytuł książki Izabeli Kowalczyk nawiązujący do powieści Markiza de Sade. Demaskacja ta dokonuje się poprzez przeniesienie w nowy, nietypowy kontekst określonych gestów, póz, sformułowań i reguł etykiety. Dekontekstualizacja ta wywołuje efekt obcości,

Der Mann und die Macht

„Niemand wird als Frau geboren”. Diese Feststellung von Simone de Beauvoir wird in der polnischen gegenwärtigen Kunst auch in Bezug auf oppressive, kulturell und politisch bedingte Konstruktionen von Männlichkeit analysiert. Solche Verfahren und Strategien der interaktiven sozial-künstlerischen Koexistenz entblößen die „gefährlichen Beziehungen der Kunst und des Leibes”, um den Titel des Buches von Izabela Kowalczyk zu nennen, die an diesen von wie bei Marquise de Sade anknüpft. Dies geschieht, indem bestimmte Verhaltensmuster, Gesten, Posen und verbale Zeichen des traditionellen maskulinen Codes in neue Kontexte gesetzt werden. Häufig erzeugt dies einen Aufmerksamkeit erregenden Verfremdungseffekt, wie z. B. in den Werken *Archiwum gestów* von Zofia Kulik (Archiv der Geste, 1987-1991; vgl. Bild 2a und 2b), *Krzeseł 2* (Der Stuhl 2, 2000) von Katarzyna Kozyra und *Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego* (Die Repräsentationskompanie der Polnischen Armee, 2000) von Artur Żmijewski, in dem wirklich oder metaphorisch uniformierte und nackte Körper zusammengestellt sind.

Nackt ist der Mann wehrlos: „Wir, die Schwachen, Männer, stellen unseren rosa Po zur Schau und verwenden ihn als unseren Stempel. Damit bezeugen wir unsere Weichheit und Schwäche. Unsere Hinterbacken und unsere schwingenden Schwänzchen sind Botschafter unserer Zartheit”, kommentiert der Künstler Artur Żmijewski in einem Interview mit Izabela Kowalczyk. Die Pose des Redners, der Anzug oder die Uniform erscheinen dadurch als eine Art konventionelle Rüstung, welche die Sphären des offiziellen und des privaten Männerbildes voneinander trennt. Interessanterweise dokumentierte die polnische Kunst Offenbarungen solcher Art in Bezug auf die angeblich sozial gleichgesetzte Frau bereits von zehn bis zwanzig Jahren, so z. B. in der *Auto-identyfikacja* (Selbstidentifikation, 1980) von Ewa Partum, wo auf einem mitten auf der Straße aufgenommenen Foto einer uniformierten Polizistin eine nackte Frau in Pumps gegenübergestellt wird. Die Gewalt, die besonders in den totalitären Institutionen – wie etwa Armee, Schule oder Krankenhaus – auf die Privatsphäre ausgeübt wird, erscheint somit als offensichtlich. Doch auch die Natur privater heterosexueller Beziehungen wird in der Kunst der kritischen Analyse unterzogen. So entblößt z. B. Do-

choćby w takich pracach jak *Archiwum gestów* Zofii Kulik (1987–1991, por. il. 2a i 2b), *Krzeseł 2* (2000) Katarzyny Kozyry czy *Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego* (2000) Artura Żmijewskiego, w których zestawia się schematycznie upozowane umundurowane i nagie ciała.

Nagi człowiek jest bezbronny. Jak komentuje to sam artysta, Artur Żmijewski w wywiadzie z Izabelą Kowalczyk, mężczyźni też są słabi: „(...) My słabi eksponujemy swoje różowe pupy i (...) zaświadczały nimi o własnej miękkości, o własnej słabości. Nasze pośladki i nasze majtające się fiutki, są ambasadorami naszej delikatności”. Artyści wskazują więc na to, iż poza mówcy, mężczyźni w garniturze bądź w mundurze oddziałuje często jak konwencjonalna zbroja, oddzielająca sferę prywatną od intymnej. Interesujące jest to, iż to samo w odniesieniu do pozornie równouprawnionych społecznie kobiet udokumentowała w sztuce polskiej już przed 10. czy 20. laty choćby Ewy Partum w pracy *Autoidentyfikacja* (1980), w której na zdjęciu sceny ulicznej naprzeciw siebie pokazane zostały: kierująca ruchem policjantka w mundurze i naga kobieta w szpilkach. Przemoc, którą instytucje totalitarne bądź działające na zasadzie surowego rygoru i hierarchii, takie jak armia, szkoła czy szpital – wywierają na sferę prywatną jednostki, ukazana tu zostaje jako oczywistość. Ponadto krytycznej analizie poddana zostaje także natura prywatnych związków heteroseksualnych. Ich charakter demaskuje choćby Dorota Nieznalska w swej pracy *Bez tytułu* (1999), ukazując problem rodzinnej, nierzadko psychicznej przemocy mężczyzny nad partnerką, która w omawianym dziele utożsamiona i traktowana jest jak przystojny pies (por. il. 3).

„Tresowani chłopcy”

Metafora tresury w sztuce lat 90. nie odnosi się jednak jedynie do związków heteroseksualnych i konwencjonalnego wychowywania kobiety do podrzędnej roli w społeczeństwie. Inne dzieła sztuki ukazują jeszcze dwie odmienne społeczne tendencje. Po pierwsze, chodzi tu o inicjację chłopca, przysposobienie go do roli mężczyzny, które zdaniem Elisabeth Badinter dokonuje się na zasadzie trojkiego zaprzeczenia: musi on dowieść, że nie jest dzieckiem, kobietą ani homoseksualistą. Druga tendencja dotyczy mechanizmów wspierających wspomniany pro-

rota Nieznalska w ichm Werk *Bez tytułu* (Ohne Titel, 1999) die familiäre, nicht selten auch psychische Gewalt des Mannes über seine Partnerin, die hier, wie auch in vielen anderen Werken, als Hündin bezeichnet und behandelt wird (vgl. Bild 3).

„Die dressierten Jungs”

Dass sich die Visualisierung der Metapher der Dressur nicht nur auf heterosexuelle Verhältnisse oder die konventionelle Erziehung der Frau in Richtung einer untergeordneten Rolle in der Gesellschaft bezieht, illustrieren weitere Beispiele aus der Kunst. Darin werden zweierlei Tendenzen veranschaulicht. Zum einen geht es um die Initiation des Jungen zum Mann, welche nach Elisabeth Badinter durch eine dreifache Verneinung zustande kommt: Er müsse beweisen, dass er kein Kind, keine Frau und nicht schwul sei. Zum zweiten geht es um die Mechanismen der Durchführung diesbezüglicher Beweise, die durch den Kommerz geförderte und medial vermittelte Bilder des „Supermanns“ und „Supermachos“ aufrechterhalten. Besonders ausdruckskräftig erscheinen in diesem Kontext zwei Werke von Zbigniew Libera: *Body Master. Zestaw zabawowy dla dzieci do lat 9* (Body Master. Spielzeug für Kinder bis zum 9. Lebensjahr, 1994) und *Universal Penis Expander* (1995). Beide verweisen sowohl auf den Kult des irrealen Körperbildes, als auch auf die Manipulationen durch Werbeparolen, die diesen Kult steigern und die Verwirklichung der Träume vom neugestylten „Ich-Bild“ vortäuschen. Dass dieser mit Leiden in den Fitnessstudios verbundene Kult jedoch die Hoffnung auf erotische Potenz erfüllen kann und als ein Traum von Erlösung fungiert, zeigt wiederum das Werk von Dorota Nieznalska – *Pasja* (Die Passion, 2003; vgl. Bild 4)

Ein Film aus dem Fitnessstudio wird hier durch ein Foto vom gekreuzigten Penis ergänzt. Es ist ein Bild von männlichem Masochismus, das am Wege zur „perfekten Form“ steht. Doch nicht von allen wurde es so wie von der Künstlerin selbst gedeutet. Infolge dessen wurde sie von der rechtsradikalen, katholischen Partei „Polnische Familienliga“, deren Vertreter nur einen Teil der Installation, nämlich das Foto, aus dem Fernseher kannten, physisch angegriffen und vor Gericht gestellt. Sie wurde zu sechs Monaten „Freiheitseinschränkung“ verurteilt, musste einen



4. Dorota Nieznalska, *Pasja* (*Die Passion*), 2003, źródło: (Aus:) www.obieg.pl/artmix/img/150204.

ces inicjacyjny – dostarczanie swoistych dowodów męskości poprzez identyfikację z upowszechnianymi choćby w reklamie i filmie obrazami „supermana” i „supermacho”. Szczególnie wyrazistych przykładów krytyki tych zjawisk dostarczają prace Zbigniewa Libery: *Body Master. Zestaw zabawowy dla dzieci do lat 9* (1994) i *Universal Penis Expander* (1995). Obie obnażają z jednej strony kult nierealnego ideału męskiej ciała, z drugiej manipulację medialne, które potęgują ów kult i złudne marzenia o możliwości kreacji nowego ja, wystylizowanego zgodnie z wymogami mody i rynku. To, iż ów kult związany z cierpieniami w studiach fitness, by jednak spełnić marzenia o erotycznej potencji, działa jak wiara w zbawienie, ukazuje z kolei kontrowersyjna i swego czasu szeroko komentowana w mediach praca Doroty Nieznalskiej – *Pasja* (2003; por. il. 4). Film zrealizowany w studio fitness uzupełnia tu zdjęcie ukrzyżowanego penisu. Choć w założeniu jest to symbol męskiego masochizmu, torującego drogę do „perfekcyjnej formy”, nie wszyscy tak odczytali intencję artystki. Z inicjatywy przedstawicieli Ligi

Strafdienst für eine katholische Wohltätigkeitsorganisation leisten und durfte das Land nicht verlassen. Man warf ihr die Verletzung religiöser Gefühle vor. Dieser Präzedenzfall zeigt einerseits besonders anschaulich, wie hoch der Preis der Freiheit des künstlerischen Ausdrucks in einem freien demokratischen Land sein kann, und andererseits, dass von einer Autonomie der Kunst und deren *licentia poetica* unter diesen Umständen nicht gesprochen werden kann.

Feindbilder der Männergesellschaft

Die durch den Fall *Die Passion* von Dorota Nieznalska eröffnete Betrachtungsperspektive beleuchtet einen dritten Bereich, der in der neuen polnischen kritischen Kunst der ersten zwei Jahrzehnte nach der Wende untersucht wird, nämlich das Problem der Feindbilder der patriarchalischen Männergesellschaft. Was hier im Mittelpunkt der künstlerischen Analyse steht, sind also die Randlagen des offiziellen, heroischen Männerbildes – „die Anderen”: Fremde, Arbeitslose, Obdachlose, Behinderte, Schwule und selbstverständlich Frauen, all das also, was Julia Kristeva als *abject* bezeichnet, was die Abscheu erweckt. Zum Teil entsprechen „die anderen” auch dem, was in der neuen polnischen Wirklichkeit nach 1989 als nicht vermarktungsfähig erscheint, weil es dem herrschenden Schönheits- und Fitness-Terror nicht entspricht.

Die Lage des Obdachlosen symbolisiert Krzysztof Wodiczko in seinem noch Ende der 1980er Jahre entstandenen Werk *Pojazd dla bezdomnych* (*Der Wagen der Obdachlosen*, 1988-1989). Das Werk ist eine Installation, die eine mobile Bleibe darstellt, eine Art Schneckenmuschel, die auf das Dilemma des Emigranten, des Arbeits- und des Obdachlosen hinweist. Das Problem des Argwohns gegenüber Fremden wird in einer anderen Installation Wodiczkos, *Laska tułacza* (*Die Vagabondenkrücke*), angesprochen. Durch einen Lautsprecher lässt der Künstler einen Afroamerikaner das Dilemma seiner erschwerten Assimilation im beinahe mononationalen und monokonfessionellen Polen äußern. Da zum offiziellen Paradigma nur der weiße heterosexuelle Mann der Mittelschicht gehört, passen die beiden hier von Wodiczko vorgestellten Fälle aus dem Randlagenbereich der Gesellschaft nicht in das allgemein geltende, herkömmliche Bild. Ähnlich verhält es

Polskich Rodzin postawiona została więc przed sądem i skazana na sześć miesięcy ograniczenia wolności pod zarzutem sprofanowania wartości chrześcijańskich. Karą była działalność dobroczynna na rzecz organizacji katolickich oraz zakaz opuszczania kraju. Ten precedens wskazuje z jednej strony szczególnie wyraźnie, jak wysoka może być cena za wolność artystycznego wyrazu w państwie demokratycznym, z drugiej strony ujawnia fakt, iż nie ma w nim mowy o autonomii sztuki i *licentia poetica*.

Wrogowie patriarchatu

Przypadek *Pasji* Doroty Nieznalskiej otwiera nową perspektywę interpretacyjną, a jednocześnie odsłania trzeci obszar zainteresowań nowej polskiej sztuki krytycznej pierwszych dwóch dekad po przełomie politycznym, a mianowicie kwestię tzw. wrogów patriarchatu. Ich zainteresowania twórcze często przyciągają marginalia oficjalnego, heroicznego obrazu męskości, takie jak: „inni” – obcy, bezrobotni, kalecy, homoseksualiści i oczywiście kobiety, a więc wszyscy ci, których Julia Kristeva określa mianem *abject*, czyli tym, co wzbudza wstręt. „Inność” jest także piętnem tych, którzy w nowej polskiej rzeczywistości po 1989 roku nie zdołali sprostać aktualnym wymogom terroru rynku, piękna i zdrowia czy tzw. wyścigu szczurów.

Sytuację bezdomnego symbolizuje powstała jeszcze w końcu lat 70. praca Krzysztofa Wodiczki *Pojazd dla bezdomnych* (1988–1989) – instalacja ilustrująca rodzaj mobilu porównywalnego do ślimaczej muszli czy żółwiej skorupy znamionującej nomadyczny żywot. Problem niechęci wobec obcych ukazuje natomiast Wodiczko w instalacji pt. *Laska tułacza*. Przez mikrofon przemawia tu Afroamerykanin, opowiadając o dylematach swej trudnej asymilacji w Polsce – kraju niemal jednonarodowym i jednowyznaniowym. Ponieważ oficjalny paradygmat męskości konstituuje jedynie biały heteroseksualny mężczyzna klasy średniej, nie pasuje do niego żaden z dwóch analizowanych przez Wodiczkę w tych dziełach męskich typów. Ten sam problem dotyczy również ludzi kalekich, ukazanych w instalacji video i na fotografiach autorstwa Artura Żmijewskiego *Oko za oko* (1998), akcentujących kwestię ich symbiotycznej egzystencji ze zdrowymi. Ich wymowa jest pozytywna, gdyż nie zawsze można jednoznacznie stwierdzić, kto komu służy tu wsparciem. Na inny aspekt omawianego tu zjawiska, a więc



5. Alicja Żebrowska, *Onone (Świat po świecie)* (Er-Sie. Die Welt nach der Welt), 1995, źródło: (Aus:) www.culture.pl/pl/culture/artykuly/fo_kulik.

sich mit den Behinderten aus den Videoinstallationen und auf den Fotos von Artur Żmijewski's *Oko za oko* (Auge um Auge, 1998), die die Bilder symbiotischer, komplementärer Koexistenz kranker und gesunder Menschen in den Mittelpunkt der Aufmerksamkeit rücken. Deren Aussage ist positiv, denn nicht immer lässt sich feststellen, wer für wen die Stütze bildet. Auf die Verletzlichkeit und den sensuellen, also vergänglichen Status des männlichen Körpers und die Alterungsprozesse verweist wiederum Paweł Althamer in seinem *Autoportret* (Selbstporträt, 1993). Diese Figur aus Pappmaché und Sägespänen, die mit einem Begriff von Joanna Sosnowska „Postkunst des Postkünstlers” bildet, verbleibt in einem Zustand des Zerfalls. Auch die Zurschaustellung des opulenten oder alten Körpers im Video von Katarzyna Kozyras *Łaźnia męska* (Das Männerbad, 1999), das im folgenden Kapitel genauer besprochen wird, trägt zur Konstituierung eines alternativen humanistischen Paradigmas der Männlichkeit bei, welches dem Schönheitsterror entgegengesetzt werden könnte.

Postgender: Außerhalb der binären Geschlechterkodierung

Der Film *Das Männerbad* wurde mit der versteckten Kamera von der wie ein Mann verkleideten



6. Monika Ziełńska, *Androgyne Gyneandros*, 1996, źródło: (Aus:) http://www.culture.pl/pl/culture/artykuly/os_zielinska_Monika.

przemijalność ludzkiego (męskiego) ciała wskazuje z kolei Paweł Althamer w swym *Autoportrecie* (1993), figurze wykonanej z masy papierowej i trocin, określonej przez Joannę Sosnowską mianem „post-sztuki post-artysty”, pozostającym w stanie permanentnego rozpadu. Także wystawienie na pokaz starczego i otyłego ciała w *Łażni męskiej* Katarzyny Kozyry (1999) wnosi nowe komponenty do procesu konstytucji humanitarnego paradygmatu męskości, przeciwstawianego terrorowi młodości i piękna.

Postgender

Film *Łażnia męska* zrealizowała przy użyciu ukrytej kamery Katarzyna Kozyra, stosując swoiste

Künstlerin Katarzyna Kozyra aufgenommen, welche eine Penis-Prothese trug, die „Eintrittskarte zum Männertempel“. Dieser Film, der mit dem Grand Prix auf der Biennale in Venedig 1999 ausgezeichnet wurde, eröffnet eine weitere Perspektive: Er visualisiert das Problem der Transsexualität, das im Spiegel der gegenwärtigen Kunst besonders aufmerksam analysiert wird. Es ist das Phänomen des so genannten Postgenders, das u.a. von Agata Jakubowska in ihrem Buch *Na marginesach lustra* (Auf den Randlagen des Spiegels) genauer betrachtet wird. Das gemischte Geschlecht, männlich und weiblich, wird in solchen Werken wie *Onone. Świat po świecie* (Er-Sie. Die Welt nach der Welt, 1995) von Alicja Żebrowska (vgl. Bild 5) oder *Androgyne Gyneandros* (1996) von Monika Ziełńska (vgl. Bild 6) visualisiert.

Im zuerst genannten Werk imitiert das Bild eines künstlich charakterisierten Hermaphroditen die Posen der klassischen Kunst. Das doppelte Geschlecht steht für den Mythos der körperlich-geistigen Integrität, der doppelten Sexualität. Im zweiten Werk wird in einem System vieler Spiegel ein Wesen konstruiert, das, je nach Betrachtungswinkel, in unterschiedlichem Grade zugleich weiblich und männlich ist. Dies wiederum widerspricht der phalozentrischen Konzeption der binären Geschlechterordnung und knüpft an die Debatte über die weiblich-männlichen Komponenten in der Psyche jedes Menschen an. Gerade die Präsenz fremder Elemente im Wesen eines Mannes soll von seiner Attraktivität für das andere Geschlecht und von seiner Adaptationsfähigkeit innerhalb der neuen Marktsituation zeugen.

Ein weiterer Aspekt des faszinierend ambivalenten Postgenders kommt in dem Werk von Barbara Konopkas *Iluminacje. On-line. Człowiek binarny*. (Illuminationen. On-line. Der binäre Mensch, 1998-1999; vgl. Bild 7) zum Ausdruck. Die Künstlerin bezieht sich darin auf die virtuelle Wirklichkeit und die daraus stammende Figur eines Cyborgs. Diese soll ein geschlechtlich neutrales und wechselbares Wesen darstellen, das der anonymen Natur der Kontakte im Netz entspricht. Dass es sich hier, ähnlich wie im Falle der anderen Postgender-Konstrukte, um eine Utopie außerhalb der traditionellen Geschlechterhierarchie handelt, ist durch spezielle Forschungen über die virtuelle Persönlichkeit längst bestätigt.

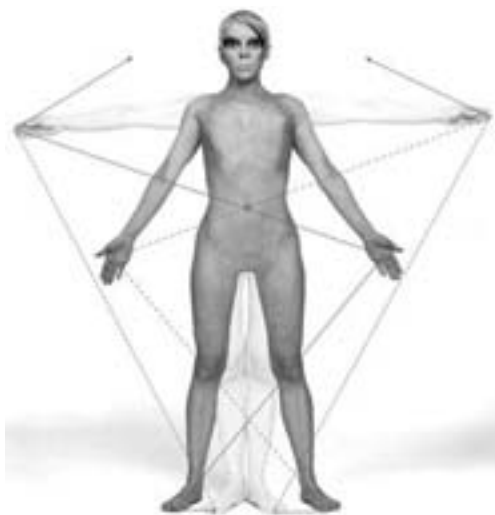
przebranie, a raczej charakteryzację. Proteza penisa stała się dla niej biletem wstępu do „męskiego templum”. Ten wyróżniony grand prix na Biennale w Wenecji w roku 1999 film, otwiera kolejną perspektywę w omawianym kontekście. Podjęty tu m.in. problem transseksualności, analizowany jest w zwierciadle sztuki współczesnej szczególnie wnikliwie. Badacze problemu, zwłaszcza Agata Jakubowska w swej książce *Na marginesach lustra*, określają go wręcz specyficznym terminem – *post-gender*. Tę dwoistą płęć – męską i kobiecą zarazem – ukazują choćby takie dzieła jak *Onone/ Świat po świecie* (1995) Alicji Żebrowskiej (por. il. 5) czy *Androgyne Gyneandros* (1996) Moniki Zielińskiej (por. il. 6).

W pierwszej ze wspomnianych prac hemafrodytyczna postać ukazana jest w pozie rodem ze sztuki klasycznej. Dwoista płęć to jakby realizacja mitu cielesno-duchowej integracji i doskonałości z tekstów Platona. W drugiej z prac, w złożonym systemie luster konstruowane jest odbicie istoty, która – zależnie od kąta widzenia, jest w różnym stopniu jednocześnie kobietą i mężczyzną. To z kolei przeciwstawia się fallocentrycznej koncepcji binarnego porządku płci i nawiązuje do debaty o męsko-żeńskich komponentach psychiki każdego człowieka. Właśnie obecność elementów płciowo obcych w osobowości mężczyzny świadczyć ma nie tylko o jego atrakcyjności, lecz również o umiejętności adaptacji do nowej sytuacji na rynku pracy.

Kolejny aspekt fascynującej problematyki *post-gender* wyraża praca Barbary Konopki *Iluminacje*. *On-line. Człowiek binarny*. (1998–1999; por. il. 7) Artystka odnosi się w niej do wirtualnej rzeczywistości i wyabstrahowanej z niej figury cyborga. Ma ona wizualizować idee neutralnej i niedookreślonej pod względem płci istoty, której charakter odpowiada anonimowej naturze kontaktów w internecie. To, iż podobnie jak w przypadku innych konstrukcji z obszaru *postgender*, jest to jedynie utopia spoza tradycyjnej hierarchii płci, dawno już potwierdziły specjalistyczne badania na temat wirtualnej osobowości internautów.

Tabu homoerotyki

Jako kolejna utopia jawi się w realiach nowego państwa polskiego idea równouprawnienia związków innych niż heteroseksualne, co podkreślają



7. Barbara Konopka, *Iluminacje*. *On-line. Człowiek binarny* (*Illuminationen. On-Line. Der binare Mensch*), 1998–1999, źródło: (Aus:) www.cfront.org/.../np03-barbara-binaryman.jpg.

Homoerotik enttabuisiert?

Eine weitere Utopie scheint im neuen polnischen Staat die Gleichberechtigung der nicht-heterosexuellen Beziehungen zu betreffen. In ihrem bereits genannten Buch betonen Paweł Leszkowicz und Tomasz Kitliński, dass an dieser Tatsache auch die Empfehlungen der Europäischen Kommission nicht viel verändern, weil die konservativen Geschlechtermodelle durch die katholische Kirche und die offizielle polnische Politik der Jahre 2005–2007 gefestigt und popularisiert werden. Nicht selten wird in diesem Kontext davon gesprochen, dass ein großer Teil der polnischen Gesellschaft von Sexophobie und Homophobie geprägt sei, welche die traditionelle Misogynie begleiten. Seitens der Betroffenen erklingen Stimmen, dass Polen von einem kommunistischen in ein fundamentalistisches Regime, eine „Heteromatrix“, umgewandelt worden sei. Auch in diesem Kontext fungiert die visuelle Kunst in ihrer Offenheit als Avantgarde. In Werken wie der Videoinstallation *L'amour Passion* (2000) von Izabella Gustowska, welche aus einem System mechanischer Muscheln mit darin eingebauten Bildschirmen besteht, oder den *Fotografie na prześcieradłach* (Fotografien auf Bettlaken, 2000/2004) von Katarzyna Korzeniecka (*Rachel und Sylwia*,

NIEDOWIARSTWO



ZWEIFELSUCHT

8. Tomasz Kozak, *Autoportret jako Tomasz Didymos* (Selbstporträt als ungläubiger Thomas Didymos), 2003, [w:] (Aus:) Paweł Leszkowicz, Tomasz Kitliński, *Miłość i demokracja. Rozważania o kwestii homoseksualnej w Polsce* (Liebe und Demokratie. Überlegungen zur Frage der Homosexualität in Polen). Kraków 2005.

w swych publikacjach Paweł Leszkowicz i Tomasz Kitliński. W kwestii tej niewiele zmieniają zalecenia Unii Europejskiej, gdyż wyłączość tradycyjnych modeli płciowości umacniali długo zarówno konserwatywni politycy, jak i Kościół katolicki. Nierzadko w tym kontekście mówi się wręcz o seksofobii, homofobii i mizoginii części polskiego społeczeństwa. Ze strony poszkodowanych docierają głosy, iż Polska z reżimu komunistycznego przerodziła się w fundamentalistyczny, przez wspomnianych autorów określany mianem „Heteromatrix”. Także w tym kontekście otwartość artystów z formacji „polskiej sztuki krytycznej” uchodzi za awangardę. Takie prace jak instalacja video Izabelli Gustowskiej *L'amour Passion*

Krzysztof und Suppie, Leon und Suppie, Dominique und Piotr), ist eine Affirmation pluralistischer Liebesformen, also auch der Homoerotik und des Bisexualismus, vorzufinden. Diese nämlich stellen Personen unterschiedlichen Geschlechts dar, die sich in verschiedenen erotischen – homo-, hetero- und bisexuellen – Verhältnissen befinden. Der männliche Stolz auf den eigenen Körper, männliche homoerotische Verführungsstrategien und Konkurrenzspiele werden wiederum in dem bereits erwähnten *Łaźnia męska* (Männerbad) vielfältig illustriert. Dieselben Dinge werden auch im kontroversen Kontext des männlich konnotierten Militarismus vor dem Hintergrund der Beteiligung der polnischen Armee am Irakkrieg von Tomasz Kozak in seinem *Autoportret jako Tomasz Didymos* (Selbstporträt als ungläubiger Thomas [Didymos], 2003; vgl. Bild 8) thematisiert.

In diesem Werk – ähnlich wie in der Schwulenpornografie – wird die Homosexualisierung des männlichen Militarismus visualisiert und mit dem patriotischen Mythos von Polen – „Christus der Nationen” zusammengestellt. Die radikale Aussage erscheint hier jedoch durch die komikartige Stilistik und den intelligenten Humor abgeschwächt. Parallel dazu entstehen Werke, in denen der traditionell heroische männliche Akt sexualisiert wird, was auch in den Interpretationen von Kenneth Clark, Lynda Nead, John Berger und, in Deutschland, von Margarete Walters Erwähnung findet. Unter dem Einfluss des weiblich und männlich homosexuellen erotischen Blicks werden die konventionellen Codes der bildenden Kunst in Frage gestellt und erweitert. Der Macho verliert das Urheberrecht über die Macht des Sehens, also über die Macht des versachlichen Blicks (Bator 1997, 132-133). Dieser Prozess kann an Beispielen wie *Ogród* (Der Garten, 1996-2004) von Zofia Kulik oder einigen Fotoarbeiten ohne Titel von Katarzyna Kozyra (1996) beobachtet werden. Kozyra bedient sich einer sakralen Symbolik und spielt zugleich an die Fotokonvention der *Gays-Proud* an, indem sie einen nackten jungen Mann in einer provokanten Pose darstellt und ihm einen Nymbus oder Strahlenkranz um den Kopf windet. Die spezifische Schwulenästhetik ist wiederum in den naturalistischen Plastiken von Krzysztof Malec, *Cisza* (Die Stille, 1992) und *Akt męski* (Der männliche Akt, 1994), sowie im *Autoportret* (Selbstporträt, 1993) von Andrzej Karaś zu beobachten. Deren Kulisse und Kontext bilden im gesamten Raum verstreute

(2000), stworzonej z systemu mechanicznych muszli z wbudowanymi w nie monitorami czy też fotografie pt. *Przecieradła* (2000/2004) Katarzyny Korzenieckiej – *Rachel i Sylwia, Krzysztof i Suppie, Leon i Suppie, Dominique i Piotr* uznać można za afirmację pluralistycznych form miłości, a więc także homoerotyki i biseksualizmu. Ukazują one bowiem osoby różnej płci, w różnych – homo-, hetero- i biseksualnych konstelacjach.

Męska duma z własnego ciała i męskie – homoerotyczne strategie uwodzenia oraz „konkursy piękności” ukazane zostały natomiast we wzmiarkowanej już *Łaźni męskiej*. Tej samej problematyce poświęcona została praca Tomasza Kozaka *Autoportret jako Tomasz Didymos* (2003; por. il. 8), przy czym uwaga artysty kieruje się tu w szczególności na kontrowersyjną kwestię udziału polskich żołnierzy w wojnie w Iraku. W pracy tej – podobnie jak w pornografii homoseksualnej – kwestia „homoseksualizacji męskiego militarizmu” skonfrontowana zostaje z patriotycznym mitem „Polski-Christusa narodów”. Jego radykalną wymowę osłabia jednak komiksowa stylistyka i inteligentny humor autora. W tym samym czasie powstają prace, w których tradycyjny heroiczny akt męski poddany zostaje seksualizacji, a zatem wzbogacony o aspekt erotyczny, które to zjawisko wzmiarkują w odniesieniu do przykładów ze sztuki zachodniej także znani badacze – Kenneth Clark, Lynda Nead, John Berger, a w Niemczech Margarete Walters. Pod wpływem męskiego i żeńskiego homoseksualnego spojrzenia konwencjonalne kody sztuk plastycznych ulegają rewizji, zakwestionowaniu bądź wręcz redefinicji. Macho traci wyłączność na prawo do reifikującego spojrzenia, pozbawiającego modela podmiotowości. Proces ten ilustrują choćby takie dzieła jak *Ogród* (1996–2004) Zofii Kulik oraz fotografie bez tytułu Katarzyny Kozyry (1996). Kozyra posługuje się w nich sakralną symboliką, a zarazem nawiązuje do konwencji fotograficznej rodem z *gays-proud*, ukazując nagiego mężczyznę w prowokacyjnej pozie i z nimbem wokół głowy. Specyficzna estetyka homoseksualna przejawia się również w naturalistycznych rzeźbach Krzysztofa Malca *Cisza* (1992), *Akt męski* (1994) i w *Autoportrecie* Andrzeja Karasia (1993). W pierwszym przypadku w tle prac pojawia się rozmywające kształt przedmiotów pierze, podobne do śniegu, w drugim kwiaty i wycinki z gazet.



9. Oskar Dawicki, *Znikający artysta* (*Der ausgeblendete Künstler*), 2005, za: (Aus:) A. Markowska, *Znikająca figura* (*Veschwindende Figur*), [w:] (In:) *Sztuka dzisiaj*, red. M. Poprzęcka, Warszawa 2002, s. 391.

Daunen oder Collagen aus Blumen und Zeitungsausschnitten

So viel zur Kunst. Die soziale Realität sowie die Bild- und Textkommunikate aus den Medien, die am ehesten der Wunschebene der Politik entsprechen, sind bei weitem nicht so tolerant. Sowohl die Ausstellung *Ja i AIDS* (Ich und AIDS, 1995), die Plakate mit homosexuellen Paaren von Karolina Bregula, welche im Rahmen der Toleranz-Kampagne *Niech nas zobaczą* (Sollen sie uns doch sehen, 2003) entstanden, als auch die Wahlplakate der Grünenpartei mit dem Motiv *Make love not war* (2004), auf dem ebenfalls ein homosexuelles Paar abgebildet ist, wurden vehement boykottiert

Als ein ähnliches, doch erotisch viel mutigeres Motiv auf dem Umschlag der Jugendzeitschrift *Machina* erschien, erwies sich das dagegen als eine äußerst effektive Vermarktungsstrategie, wie Paweł Leszkowicz und Tomasz Kitliński betonten.

Tyle o sztuce. Rzeczywistość społeczna oraz komunikaty tworzone za pomocą słowa i obrazu, a upowszechniane w mediach, a zatem na poziomie najbliższym jest życzeniowym koncepcjom konserwatywnej polityki, nadal dalekie są od tolerancji. Zarówno wystawa *Ja i AIDS* (1995), banery ukazujące homoseksualne pary autorstwa Karoliny Breguły, powstałe w ramach kampanii tolerancji *Niech nas zobaczq* (2003), jak i plakaty wyborcze partii zielonych z motywem *Make love not war* (2004) były nawet w większych miastach Polski gwałtownie bojkotowane.

Podobny, lecz znacznie odważniejszy motyw obrazowy pojawił się na okładce młodzieżowego czasopisma „Machina”, co jednak w tym wypadku okazało się skuteczną strategią reklamową. Jak podkreślają Paweł Leszkowicz i Tomasz Kitliński, homoerotyka w służbie reklamy jest więc pewna i dozwolona, lecz homoerotyka jako część normalności i codzienności – niedopuszczalna.

Znikający artysta

„Nie ma ludzi bez płci, nawet w sferze wyobrażeń. Myśląc ‘artysta’, wywołujemy ze zbiorowej wyobraźni natchnionego mężczyznę z pędzlem lub piórem. Na hasło ‘naukowiec’ wyobrażamy sobie roztargnionego faceta w białym kitlu. Podobnie jest z ‘politykiem’. Trzask-prask i jak pajacyk z pudełka wyskakuje nam z głowy pan w garniturze, pełen godności ‘mąż stanu’, który z innymi mężami stanu prowadzi ‘męskie rozmowy’”, pisze znana specjalistka z zakresu Gender-Studies, Agnieszka Graff.

Jej stwierdzenie zachowuje swoją nośność, choć komercjalizacja rynku sztuki i rzeczywistości społecznej prowadzi stopniowo do inflacji tradycyjnych mitów męskości i konserwatywnego podziału na niższą kobieco-zmysłowo-prywatną i wyższą męsko-duchowo-oficjalną sferę rzeczywistości, będącą tematem publikacji m.in. Griseldy Pollock. Artysta jako „Chrystus narodów”, którego wcieleniem chciał być jeszcze Jerzy Bereś w swym wzmiankowanym na początku performance z czasów przełomu politycznego, traci swe prawo bytu. Miniona dekada w polskiej historii sztuki, ze względu na szczególną aktywność artystek i sięg wymowy ich kontrowersyjnych dzieł, uchodzi za „kobiecą rewoltę”. Niektórzy zakładają wręcz, iż odpowiadający tradycyjnym wyobrażeniom artysta-geniusz, opuszcza już

Homoerotik im Dienste des Kommerzes ist also erlaubt – Homoerotik als ein Bestandteil der Normalität dagegen unzulässig.

Der ausgeblendete Künstler

„Es gibt keine Menschen ohne Geschlecht, selbst in der Sphäre der Vorstellungen. Wenn man denkt ‚Künstler‘, ruft man aus dem kollektiven Gedächtnis einen beseelten Mann mit Pinsel und Palette hervor. Nach dem Stichwort ‚Wissenschaftler‘ stellen wir uns einen zerstreuten Kerl im weißen Kittel vor. Ähnlich ist es mit dem ‚Politiker‘. Wenn man mit dem Finger schnippt, springt uns aus einer Schachtel ein Hampelmann entgegen, ein Herr im Anzug, ein ehrenvoller ‚Staatsmann‘, der zusammen mit anderen Staatsmännern ernsthafte ‚Männergespräche‘ führt“, schreibt die bekannte Genderforscherin Agnieszka Graff in ihrem Buch *Świat bez kobiet (Welt ohne Frauen)*.

Diese Feststellung gilt immer noch, obwohl die Kommerzialisierung des Kunstmarktes und der sozialen Wirklichkeit allmählich zur Inflation traditioneller Werte und Mythen der Männlichkeit sowie der konservativen Trennung in eine niedrigere weiblich-privat-sensuelle und höhere männlich-öffentlich-geistige Sphäre beitragen. Dies wird u.a. in Publikationen von Griselda Pollock untersucht. Der männliche Künstler als Prophet und „Christus der Nationen“, den noch Jerzy Bereś in seiner am Anfang dieses Beitrags erwähnten Performance aus der Zeit der Wende inkorporierte, scheint jedoch endgültig sein Existenzrecht verloren zu haben. Das vergangene Jahrzehnt gilt in der polnischen Kunst als die Zeit der „Frauenrevolte“, was sich durch die häufige Präsenz weiblicher Künstlerinnen und die Aussagekraft ihrer kontroversen Werke erklären lässt. Es wird sogar vermutet, dass der männliche Künstler die Szene verlasse. Er äußert sich lieber in episodischen Kunstaktionen als in Artefakten.

Forscher/innen und Künstler/innen stellen fest: Die männliche Identität in der androzentrischen Kultur ist eine feste Maske und ein Gefängnis. Männlichkeit wird stets mit einer rigorosen sozialen Norm konfrontiert, die durch Bildung und Berufsleben vermittelt wird. Im post-totalitären Polen ist diese Norm nicht durch die Kategorien Erfolg und Dominanz gekennzeichnet. Die sozialen Bedingungen lassen den Traum von Dominanz uner-

scenę. Chętniej niż w artefaktach i pomnikowych dziełach wyrażając się w epizodycznych artystycznych działaniach.

Badacze i artyści stwierdzają, że męska tożsamość w androcentrycznej kulturze to maska i więzienie. Męskość konfrontowana jest nieustannie z rygorystyczną społeczną normą, którą wpaja się w szkole i w życiu zawodowym. W posttotalitarnej Polsce normy tej nie określają jednak sukces i dominacja. Społeczne oczekiwania nie prowadzą bowiem do spełnienia marzeń o dominacji, lecz stają się źródłem erotycznej, ekonomicznej i politycznej frustracji. Świadczyć o tym mogą choćby takie dekonstruktywistyczne dzieła jak performance *Autoportret jako businessman* Pawła Althamera (2002) w berlińskim Sony Center, w którym symboliczne zrzucenie garnituru staje się oznaką utraty tożsamości, a także „anty-rzeźba” i „anty-autoportret” – *Znikający artysta* (2004; por. il. 9) czy wyobrażające pleśń obrazy Oskara Dawickiego na wystawie *Dziesięciolecie pracy twórczej* w krakowskim Bunkrze Sztuki w roku 2004. Artyści tworzą hipotetyczne konstrukty i stawiają diagnozy. Kto jednak naprawdę wypełni pustkę po męskim proroku i supermanie?

füllt und produzieren ein Gefühl sexuellen, wirtschaftlichen und politischen Frustes. Dafür stehen solch dekonstruktivistische Werke wie die Performance *Autoportret jako businessman* (Selbstporträt als Businessman, 2002) von Paweł Althamer im Berliner *Sony Center*, in der eine symbolische Entkleidung den Verlust von Identität markiert, sowie Oskar Dawickis *Znikający artysta* (Der ausgeblendete Künstler, 2004; vgl. Bild 9) oder auch „verschimmelte” (d. h. Schimmel nachahmende) Leinwände desselben Künstlers aus seiner Ausstellung im Krakauer *Bunker der Kunst* im Jahre 2004. Künstler kreieren hypothetische Konstrukte und stellen Diagnosen auf. Womit wird jedoch wirklich die Leere nach dem männlichen Propheten und nach dem *Superman* gefüllt?

Übersetzung vom Autor



Pytania...

Długo rozmawiałam z Katrin Lechler, młodą niemiecką dziennikarką, która napisała artykuły podejmujące kontrowersyjny temat aborcji dokonywanych przez Polki w Niemczech. Kilka wersji tekstu wydrukowała niemiecka prasa z przygranicznego regionu, gdzie zjawisko występuje w na tyle dużym nasileniu, że zaczęto o tym dyskutować. Ale Katrin postanowiła drążyć temat, wróciła do Polski z radiowym mikrofonem i pytała: dlaczego mieszkanki katolickiego kraju, w którym aborcja jest nielegalna w tak wielkiej liczbie przekraczają granicę, by pozbyć się niechcianej ciąży; dlaczego Polacy tłumnie odwiedzający kościoły w tak niewielkim stopniu przejmują się nauczaniem w zakresie etyki życia seksualnego; dlaczego obywatele otwarcie łamią prawo, a gazety i internet roją się od ofert popełnienia przestępstwa; dlaczego organa ścigania nie reagują; dlaczego rządzący nie potrafią się przyznać, że ustawa nie przyniosła pozytywnych efektów; i dlaczego wszyscy udają, że problemu nie ma.

Wyznawcy teorii spiskowych zadają w Polsce pytanie, kto stał za aferą paliwową, alkoholową, FOZZ, czekam na dociekliwych, którzy zadadzą pytanie, kto stoi za zakazem usuwania ciąży, kto na tym zarobił ogromne pieniądze? Wystarczy otworzyć każdą lokalną gazetę, by znaleźć ogłoszenie typu: *Ginekolog* i numer telefonu komórkowego (tylko ginekolog działający poza prawem nie jest zainteresowany podawaniem swojego nazwiska w mediach, telefon komórkowy można nabyć anonimowo), do

owej ginekologii dodawane są czasem dodatkowe zachęty: *wszystko, pełen zakres, tanio, bezboleśnie*. Częste są ogłoszenia o treści: *Przywracanie miesiączki*, to bardziej ostrożni zamieszczają takie ogłoszenia, zawsze można przecież powiedzieć, że przywracanie to regulacja wzmiankowanych miesiączek, a nie usuwanie ciąży. Numer telefonu bez podawania godzin dyżuru i adresu niesie informację o braku oficjalności w relacjach klient – oferent (specjalnie nie użyłam sformułowania: pacjent – lekarz). Obok są ogłoszenia zamieszczane przez osoby często bez szczątkowej choćby wiedzy medycznej czy uprawnień: *AAA Farmakologicznie* – co oznacza sprzedaż leków wywołujących poronienie. Tradycyjny sposób dokonywania aborcji w znieczuleniu całkowitym lub miejscowym odbywa się w gabinetach lekarskich. Są lekarze, którzy podejmują się tego typu zabiegów, ale tylko w wypadku kobiet, które są ich wieloletnimi pacjentkami i mogą mieć do nich zaufanie. Wśród tej grupy lekarzy są i tacy, którzy kierują się tylko zyskiem (lekarze proponują kobietom aborcję farmakologiczną i pobierają za nią opłatę, po czym okazuje się, że leki nie zadziałały i trzeba, za dodatkową opłatą, przeprowadzić zabieg) są i tacy, którzy usiłują odwieść kobiety od decyzji o aborcji. Większość jednak tego typu zabiegów odbywa się za pośrednictwem ogłoszeń prasowych i kobiety zainteresowane są przewożone do gabinetów przez pośrednika i z zachowaniem przynajmniej szczątkowej konspiracji. Ceny zabiegu są mocno zróżnicowane. Ilość

ogłoszeń świadczy jednak, że interes się opłaca, czyli jest zainteresowanie i zysk znacząco przewyższa koszty. Ogłoszenie: *Farmakologicznie...* – informuje o możliwości zakupu leków lub leku wywołującego poronienie. Osoby niezainteresowane problemem mogą sądzić, że chodzi tu o nielegalną na polskich rynku francuską tabletkę poronną RU-486, którą w internecie można bez problemu nabyć za 300-400 zł. Kupowanie takiej pigułki wiąże się z ryzykiem, że będzie to podróbka, dlatego obrót tą tabletką odbywa się za pośrednictwem gabinetów lekarskich lub zaufanych koleżanek przywożących leki z zagranicy. Większość farmakologicznego usuwania ciąży odbywa się z wykorzystaniem leków sporo tańszych, dostępnych legalnie, często bez recepty i jest to wydatek rzędu kilkudziesięciu złotych, jeśli kobieta nie korzysta z pośredników i samodzielnie wybierze się do apteki. Najczęściej stosuje się jednocześnie dwa środki chemiczne Mifepriston (RU 486, Mifegyn, Mifeprex), a po nim pobudzający skurcze macicy Misoprostol (Cytotec, Arthrotec, Oxaprost, Cyprostol, Mibetec albo Misotrol). Zazwyczaj kobiety krwawią przez około dwa tygodnie, niewielki ich procent trafi do szpitala na zabieg łyżeczkowania, żeby zapobiec dalszemu krwawieniu, no i trzeba zaprzestać życia seksualnego. Zdarzają się krwawienia o nasileniu zagrażającym życiu i wtedy na jaw wychodzi, co i dlaczego kobieta zażyła. Z Mifepristonu można zrezygnować i zastosować jedynie Mizoprostol, ale wtedy skuteczność zabiegu spada z 98% do 80-90%. W Polsce aborcja farmakologiczna to Cytotec (dostępny na receptę lek na wrzody żołądka) i Arthrotec (podaje się w przypadku reumatycznego bólu stawów i zawiera on także silny środek przeciwbólowy Diklofenak), na który recepta nie jest wymagana tak restrykcyjnie. Oba leki można zapisać lekarz rodzinny, lekarz pogotowia, gastrolog, ortopeda. Arthrotec kosztuje od 30 do 50 zł i kobiety z siłą przekonywania i przeglądające przez pięć minut internetowe strony poświęcone aborcji mogą to zrobić za mniejszą kwotę niż kupienie pigułek antykoncepcyjnych. Arthrotec w 2007 roku (dane także z internetu) sprzedano w polskich aptekach niemal 300 000 opakowań; nikt nie wie, ile ze wskazań ortopedycznych. Część kobiet woli zakupić te leki przez internet lub u gazetowego pośrednika, płacąc od 150 do 400 zł. Kilka lat temu kobiety korzystały z tzw. chemii onkologicznej, ale koszty wykupu recepty były wysokie, poza tym łatwiej udać ból

stawów i wrzody żołądka niż nowotwór. Wycofanie tych leków z listy dostępnych lub nakazanie większej kontroli w aptekach nie przyniesie efektu; rynek nie znosi próżni, granice są otwarte, handel internetowy kwitnie, paczek już nikt nie kontroluje na poczcie, a leków mających toksyczny wpływ na ciążę jest mnóstwo.

Usuwanie ciąży w Polsce to żyła złota, wyjątkowo dochodowy nieopodatkowany interes. Od kilku lat z owego boomu korzystają także nasi sąsiedzi bliżsi i dalsi, bo kobiety wyjeżdżają do klinik w Niemczech, Austrii, Czechach, Holandii i za wschodnią granicę, kierując się ceną i bezpieczeństwem zabiegu. Wiemy, że aborcji w Niemczech – według ostrożnych szacunków – dokonuje ponad 1000 Polek rocznie, ale oficjalnych danych nie ma, w końcu to tajemnica handlowa. Kliniki niemieckie, austriackie czy holenderskie reklamują się w internecie, mają polskojęzyczne strony, zapewniają polskojęzyczne infolinie i opiekuna-tłumacza. Cena? Od 250 do 500 euro, porównywalna, a nawet niższa niż w Polsce; wiadomo – konkurencja. Aborcji za wschodnią i południową granicą można dokonać za 300 zł, studentki dostają zniżki. Z perspektywy wielu kobiet nie warto stosować skutecznej antykoncepcji, przecież aborcja wychodzi taniej. Polki odkryły także Wielką Brytanię – wystarczyło legalnie, krótko popracować, a to w ciągu ostatnich lat nie było takie trudne, by aborcję można było zrobić za darmo, w ramach ubezpieczenia. Brytyjska prasa oburzała się na żerowanie przez imigrantki na angielskiej służbie zdrowia, bo Polki były najczęściej korzystającą z zabiegów grupą narodowościową na Wyspach po Brytyjkach. Aborcję za granicą wybierają kobiety, którym zależy na rzetelnej opiece medycznej w czasie i po zabiegu, a jednocześnie na pełnej dyskrecji, anonimowości i komforcie legalności zabiegu. Żeby zebrać powyższe informacje wystarczy spędzić 5 minut przed komputerem, korzystając z polskojęzycznej wyszukiwarki. Jeszcze mniej czasu zajmie znalezienie około trzydziestu adresów klinik oferujących Polkom legalny zabieg.

Powstaje pytanie, dlaczego organy ścigania nie zajmują się ogłoszeniami czy aptekami. Ze względu na niewspółmierność kosztów dochodzenia czy śledztwa wobec wysokości kary, jaką delikwentowi można wymierzyć. Kto i w jaki sposób zatrudni biegłego, który sprawdzi, czy dziewczyna w aptecę proszącą o Arthrotec nie ma choroby stawów, prze-

cież może mieć babcię, którą z dużym prawdopodobieństwem bolą nogi. Jaka odpowiedzialność grozi aptekarzowi za sprzedanie leku bez recepty, by postawić na czatach policjanta. Ile grozi oszustowi oferującemu w internecie lek kilka razy drożej niż w aptece, przecież spekulantów nikt nie ściga? Postawienie zarzutu o narażenie zdrowia i życia wymaga skargi osoby pokrzywdzonej i tylko w takich wypadkach tego typu przestępstwa są ścigane. Kobieta zgłasza się na policję, kiedy ma powikłania po tradycyjnej lub farmakologicznej aborcji (zdarzają się zgony) i chce ścigania sprawcy, a jednocześnie nie czuje się skrupowana, że dokonała aborcji i nie boi się społecznego naznaczenia i odrzucenia. Rzadziej zdarzają się osoby odczuwające wyrzuty sumienia i chcące je zniwelować poprzez obarczenie odpowiedzialnością za nią wykonującego zabieg. To są jednak szalenie rzadkie przypadki, kobiety ukrywają skrętnie zabieg nawet przed najbliższymi, pamiętamy przypadek kobiety ukrywającej wcześniejszą aborcję przed mężem, nawet za cenę komplikacji okołoporodowych dla niej i dziecka w związku z konfliktem serologicznym. Kobiety chcące usunąć ciążę są w stanie zrobić wiele, by osiągnąć cel; kilka lat temu Stowarzyszenie, w którym pracuję, prowadziło stronę internetową z poradami ginekologicznymi i położniczymi, zrezygnowałyśmy, bo panie udzielające odpowiedzi nie były psychicznie w stanie zachować spokoju, gdy musiały odpowiadać kobietom, które nałykały się leków zabronionych w ciąży, szczepiących się przeciwko grypie czy różyczce i pytających, gdzie teraz mogą zrobić badania potwierdzające uszkodzenie płodu, by ciążę usunąć bezpłatnie i legalnie. Otrzymywałyśmy kilkanaście pytań tygodniowo, w tym kilka tematycznie związanych właśnie z aborcją. Tłumaczyłyśmy, że tego typu uszkodzenia są szalenie trudne do wykrycia metodą badania ultrasonograficznego, a kiedy już będą, to na zabieg będzie za późno; nie powstrzymywało to jednak kobiet przed tego typu zachowaniami, i pytania przychodziły nadal. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że wieloletnie zabiegi Kościoła katolickiego i organizacji pro-life nie przyniosły skutku wychowawczego. W polskim internecie wywołań dla aborcji jest ponad dziesięciokrotnie więcej niż dla naturalnych metod antykoncepcji. Kobiety chcące usunąć ciążę nie wizualizują sobie płodu, myślą i mówią o usunięciu ciąży i pozbyciu się kłopotu. Globalizacja i nieograniczony obieg

informacji sprawia, że kobiety nie boją się ani komplikacji, ani bezpłodności. Dojrzałe kobiety zdają sobie sprawę, że około jedna trzecia ciąż ulega samoistnemu poronieniu i katolickie pochówki poronionych płodów to ciągle ewenement. Nietrudno się zatem samousprawiedliwić.

Bez wątplenia część decyzji o aborcji podejmowana jest pochopnie i ciążę mogłyby zakończyć się urodzeniem dziecka, gdyby kobiety podzieliły się swoim strachem i niepewnością z kimś zaufanym, porozmawiały i spokojnie podjęły decyzję. Katrin Lechler mówiła mi o niemieckiej psycholog, która z radością opowiadała, jak to kilka Polek udało jej się odwieść od decyzji o aborcji. W Niemczech aborcja jest legalna, jeśli kobieta przed nią porozmawia z psychologiem lub doradcą z organizacji pozarządowej, z którym zweryfikuje swój osąd sytuacji i decyzję o zabiegu, potem musi kilkadziesiąt godzin odczekać i podjąć decyzję raz jeszcze. Dane szacunkowe sprzed kilku lat informowały, że z usunięcia ciąży rezygnowało do 30% kobiet. W Polsce kobiety kontaktują się tylko z tymi, którzy na aborcji zarabiają i nie są zainteresowani rozmową tylko zarobkiem. Kobiety nie informują nikogo, żeby nie narazić się na ujawnienie informacji o ciąży i zabiegu, co w efekcie przyniosłoby ostracyzm społeczny podszyty hipokryzją. Historia czternastolatki, której tożsamość bezkarnie ujawniono w publicznym szpitalu, a sąd odseparował ją od matki, by dziewczyna nie mogła usunąć ciąży będącej efektem czynu zabronionego (przypadek legalnej aborcji), skutecznie odstraszyła wszystkie wahające się kobiety przed ewentualnym szukaniem rady, pomocy i wsparcia. Państwo i społeczeństwo straciło możliwość wkroczenia pomiędzy ciążarną a czarny rynek z własnej winy. Histeria i hipokryzja, poprawianie samopoczucia poprzez naznaczenie złej kobiety doprowadziło nas do tego, że nawet zalegalizowanie aborcji w Polsce pod warunkiem skorzystania z procedury porady psychologicznej nie zachęci kobiet do szukania alternatywnego wyjścia i nie spowoduje w przewidywalnej przyszłości wyprowadzenia aborcji z przestępczego, nielegalnego podziemia i ograniczenia zabiegów. A to zaciąży na naszych, polskich sumieniach kolejnymi tysiącami dzieci, które mogłyby żyć, gdybyśmy myśleli o skutkach naszych działań, zanim je podejmiemy. Pozostaje pytanie, ile w Polsce odbyło się nielegalnych aborcji? Szacunki są różne, zakłada się, że przy określonej dostępności do antykoncepcji

w danej populacji kobiet określony ich procent zachodzi w ciążę, jeśli te wskaźniki porówna się z ilością urodzin dzieci to mamy szacunkowe dane liczby zabiegów w danym kraju. Demografowie podają dla Polski liczbę od 80 000 do 200 000 tysięcy rocznie. Katrin Lechler nie mogła zrozumieć, dlaczego w Polsce wszyscy udają, że mamy co roku 200 abor-

cji, a rządzący i posłowie nie przyznają się, że stworzyli martwe prawo. Kiedy pojawiają się pomysły całkowitego zakazu aborcji dla dziewczynek, ofiar gwałtów, płodów obarczonych nieodwracalnymi uszkodzeniami, pojawia się także kolejne pytanie: jak można się troszczyć o 200 żyć, a lekceważyć co najmniej kilkaset tysięcy, które można było ocalić?



Fahrtziel Hoffnung

Abtreiben in Deutschland, Kinder zeugen in Polen: an der Oder boomt ein neuer Medizintourismus. Immer mehr Polinnen fahren zum Schwangerschaftsabbruch nach Brandenburg, um das restriktive Abtreibungsgesetz in ihrem Land zu umgehen. Deutsche Paare dagegen lockt die Möglichkeit der künstlichen Befruchtung ins Nachbarland. In Polen sind Methoden erlaubt, die das deutsche Embryonenschutzgesetz verbietet.

Prenzlau/Stettin. Früher sind die beiden nur zum Einkaufen nach Polen gefahren. Jetzt haben Mandy (30) und Matthias (33)* aus Prenzlau ihre ganze Hoffnung in die Hände von Rafal Kurzawa gelegt. Der polnische Gynäkologe ist für hohe Erfolgsraten in seiner Befruchtungsklinik VitroLife in Stettin bekannt. Dabei kommt ihm zugute, dass in Polen Methoden zugelassen sind, die in Deutschland durch das Embryonenschutzgesetz von 1991 eingeschränkt oder verboten sind.

Für Mandy und Matthias ist es schon der vierte Versuch, durch künstliche Befruchtung ein Kind zu bekommen. Der Ablauf der Prozedur ist ihnen bestens bekannt: Unter Narkose werden Mandy reife Eizellen entnommen. Dann muss alles blitzschnell gehen: Eine Biologin füllt die rötliche Flüssigkeit in eine Petrischale. Mit dem Mikroskop sucht sie nach brauchbaren Eizellen. Es ist ganz still bis auf den piependen Pulsmesser aus dem Operationssaal. „Ich habe vier Eizellen“, ruft sie dem wartenden Arzt zu.

Cel podróży – nadzieja

Aborcja w Niemczech, płodzenie dzieci w Polsce – boom nowej turystyki medycznej nad Odrą. Coraz więcej Polek wyjeżdża do Brandenburgii na zabieg przerwania ciąży, żeby ominąć restrykcyjne polskie prawo. A niemieckie pary wabi możliwość sztucznego zapłodnienia u sąsiada. W Polsce dozwolone są metody, których prawo niemieckie zabrania.

Prenzlau/Szczecin. Kiedyś jeździli do Polski tylko na zakupy. Teraz Mandy (30 lat) i Matthias (33)* z Prenzlau całą nadzieję pokładają w Rafale Kurzawie. Ten polski ginekolog znany jest z wysokiej skuteczności w swej pracy w klinice płodności VitroLife w Szczecinie. Korzysta przy tym z okoliczności, że w Polsce dozwolone są metody, które w Niemczech zostały ograniczone lub wręcz zakazane przepisami ustawy o ochronie embrionów z 1991 r.

Dla Mandy i Matthiasa to już czwarta próba sztucznego zapłodnienia. Procedurę znają na pamięć. Uśpionej Mandy zostają pobrane dojrzałe komórki jajowe. Potem wszystko musi odbyć się błyskawicznie. Pani biolog umieszcza czerwonawą ciecz na płytce Petriego. Pod mikroskopem szuka odpowiednich komórek jajowych. Jest zupełnie cicho, słychać tylko kwilenie sfigmometru z sąsiedniej sali operacyjnej. Mam cztery komórki – woła do czekającego lekarza.

W godzinę później pani biolog przebija igłą błonę komórkową wybranych komórek i wprowadza do nich nasienie Matthiasa. Ginekolog Rafał Kurzawa

Eine Stunde später durchsticht die Biologin mit einer Nadel die Zellhaut der ausgewählten Eizellen und injiziert die Samen von Matthias. Bis zu fünf Tage wartet der Gynäkologe Rafal Kurzawa, bis er entscheidet, welche Embryonen er in die Gebärmutter einsetzt. Sein deutscher Kollege darf maximal drei Embryonen in der Nährlösung, der so genannten Kultur belassen. Außerdem darf er die Embryos nicht auf bestimmte Erbkrankheiten hin untersuchen - die Präimplantationsdiagnostik ist in Deutschland verboten. An der deutsch-polnischen Grenze hat das Gesetz zum Medizintourismus geführt.

„Etwa dreiðig Prozent unserer Patienten sind Deutsche“ erzählt Rafal Kurzawa. Sie zahlen 3000 Zloty, umgerechnet rund 700 Euro für einen Versuch, das sind etwa 1000 Euro weniger als in einer deutschen Klinik. Für Mandy und Matthias zählt vor allem, dass Kurzawa eine höhere Schwangerschaftsrate hat. Bis zu 35 Prozent der Paare sind in Stettin schwanger geworden.

Bereits zwei Stunden nach dem Eingriff ruhen die befruchteten Eizellen in einem dunklen Stahlschrank bei einer Temperatur von 37 Grad. Nach drei Tagen sind einige zu mehrzelligen Embryonen herangewachsen. Eines wird in Mandys Gebärmutter eingesetzt. „Ich denke nicht darüber nach, ob es klappt“, sagt Mandy ausweichend. „Einfach abwarten und Tee trinken“. Während der gesamten Behandlung hat sie die Hand ihres Mannes nicht losgelassen. Am Abend ist das Paar wieder im 60 Kilometer entfernten Prenzlau.

Agnieszka Szymanowska* und ihr Mann kommen an diesem Abend zum ersten Mal nach Prenzlau – „und hoffentlich nie wieder“, sagt Agnieszka. Sie hat sich für einen Schwangerschaftsabbruch im Kreiskrankenhaus entschieden. „Ein viertes Kind wäre mir zuviel“, sagt die dunkelhaarige Frau um die 40 aus einem Dorf bei Breslau. „Ich würde es als Belastung empfinden und das will ich ihm nicht zumuten“, sagt sie. Das Kind zur Adoption freizugeben – das hätte sie schlimmer gefunden.

In Polen hat Agnieszka keinen Arzt für diesen Eingriff gefunden. Abtreibung ist laut polnischem Gesetz nur dann erlaubt, wenn die Schwangerschaft auf Vergewaltigung zurückgeht, das Leben und die Gesundheit der Schwangeren bedroht sind oder der Embryo voraussichtlich schwer behindert oder krank ist. Eine schwierige Lebenslage der schwangeren Frau oder die finanzielle Lage reichen als Gründe nicht aus.

czeka niekiedy nawet do pięciu dni, zanim zdecyduje, które embryony umieści w macicy. Jego niemiecki kolega może pozostawić w roztworze odżywczym, tak zwanej kulturze, nie więcej niż trzy embryony. Poza tym nie wolno mu zbadać, czy nie są genetycznie obciążone – diagnostyka preimplantacyjna jest w Niemczech zakazana. Ustawodawstwo przyczyniło się do powstania turystyki medycznej na polsko-niemieckim pograniczu.

Niemcy stanowią około trzydziestu procent naszych pacjentów – opowiada Rafał Kurzawa. Płacą po 3.000 złotych, w przeliczeniu około 700 euro za każdą próbę; to jakieś 1000 euro mniej niż w Niemczech. Dla Mandy i Matthiasa najważniejsze jest to, że Kurzawa ma lepsze wyniki. Prawie 35% par wyjeżdża ze Szczecina uszczęśliwionych.

Już w dwie godziny po zabiegu zapłodnione komórki czekają w ciemnej, stalowej szafie w temperaturze 37 stopni. Po trzech dniach kilka z nich zamieni się w wielokomórkowe embryony. Jeden zostanie umieszczony w macicy Mandy. Nie zastanawiam się, czy się uda – mówi Mandy wymijająco. – Po prostu piję herbatę i czekam. Podczas całego zabiegu ani na chwilę nie wypuściła ręki Matthiasa ze swojej. Wieczorem oboje są już w oddalonym o 60 km Prenzlau.

Agnieszka Szymanowska* i jej mąż tego samego wieczoru pierwszy raz pojawiają się w Prenzlau. I mam nadzieję, ostatni – mówi Agnieszka. Zdecydowała się na przerwanie ciąży w szpitalu. Czwarte dziecko – to byłoby już za dużo – mówi ta około czterdziestoletnia brunetka ze wsi pod Wrocławiem: Byłoby to dla mnie zbyt duże obciążenie, nie chcę mu tego robić. Oddać dziecko do adopcji – to byłoby dla niej jeszcze gorsze.

W Polsce Agnieszce nie udało się znaleźć lekarza, który przeprowadziłby zabieg. Zgodnie z polskim prawem aborcja dozwolona jest tylko wówczas, gdy ciąża pochodzi z przestępstwa, zagrożone jest życie lub zdrowie matki albo embryon jest prawdopodobnie ciężko upośledzony lub chory. Trudna sytuacja życiowa ciężarnej albo kłopoty finansowe nie stanowią wystarczającego uzasadnienia.

Agnieszka jest dobrze wykształcona, dobrze sytuowana i wierząca – tak jak wiele innych pacjentek, które przyjeżdżają do klinik aborcyjnych do Prenzlau czy Schwedt. Pojawiają się tu profesorki, urzędniczki i studentki z Warszawy i Krakowa, ale także ze wschodniej Polski – mówi Janusz Rudziński,

Agnieszka ist gut ausgebildet, gut situiert und katholisch – so wie viele Patientinnen, die zur Abtreibung nach Prenzlau oder auch ins Klinikum von Schwedt kommen. „Ich habe hier Professorinnen, Beamtinnen und Studentinnen aus Warschau und Krakau, aber auch aus Ostpolen“, sagt Janusz Rudzinski, polnischstämmiger Gynäkologe am Prenzlauer Krankenhaus. Mittellose oder Geringqualifizierte melden sich kaum bei ihm: Ohne Internet und Auto ist es schwierig, eines der beiden Krankenhäuser anzusteuern – und das gleich zweimal. Denn zwischen der gesetzlich vorgeschriebenen Schwangerschaftsberatung und dem Eingriff müssen mindestens drei Tage vergehen.

Fast jeden Tag steht ein Schwangerschaftsabbruch in Rudzinskis Terminkalender. Während 2007 noch 83 Frauen ohne Wohnsitz in Deutschland eine Abtreibung in Brandenburg vornehmen ließen, waren es laut Statistischem Bundesamt in den ersten drei Quartalen des vergangenen Jahres schon 218. Aber auch die Adressen der Krankenhäuser von Schwedt und Eisenhüttenstadt sind offensichtlich vielen Betroffenen bekannt: Sie erscheinen auf den polnischsprachigen Seiten zum Thema Abtreibung. Die Krankenhäuser werden zudem offiziell von der niederländischen Nichtregierungsorganisation „Women on Waves“ empfohlen, die Schwangerschaftsabbrüche auf offener See durchführt.

Der Eingriff dauert nur wenige Minuten: Der Eingang zur Gebärmutter, der Gebärmutterhals, wird mit Stiften leicht gedehnt. Dann wird mit einem Röhrchen der Embryo im so genannten Fruchtsack herausgesaugt. „Die Frauen sind so dankbar, als hätte ich ihnen ein neues Leben geschenkt“, erzählt Rudzinski mit Verwunderung in der Stimme. „Sie wollen sich eigentlich nicht verstecken und wenn sie hören, dass es in Deutschland legal möglich ist, fällt ihnen die Entscheidung leichter.“ Bis zur zwölften Schwangerschaftswoche ist die Abtreibung in Deutschland legal. Das sagt Rudzinski als erstes, wenn ihn eine Betroffene auf der polnischsprachigen Hotline anruft. „Die Frauen haben große Angst, sie fürchten sogar, dass das Telefon abgehört wird“, so der 66-jährige Arzt.

„Es ist erstaunlich, wie ängstlich diese Nation ist“, sagt Bożena Chołuj, Genderexpertin und Professorin in Warschau und Frankfurt (Oder). Sie stellt einen wachsenden Einfluss der Kirche auf die Geschlechterpolitik des polnischen Staates fest. „Die Kirche ist

pochodzący z Polski ginekolog ze szpitala w Prenzlau. Kobiety ubogie lub słabiej wykształcone pojawiają się rzadko: bez internetu i samochodu trudno trafić do jednego lub drugiego szpitala – a trzeba to zrobić dwa razy. Bo między wymaganą przepisami konsultacją a zabiegiem muszą minąć co najmniej trzy dni.

W terminarzu Rudzińskiego niemal codziennie jest aborcja. O ile w roku 2007 w Brandenburgii aborcji dokonały 83 kobiety bez stałego zameldowania w Niemczech, o tyle zgodnie z danymi Federalnego Urzędu Statystycznego w pierwszych trzech kwartałach minionego roku było ich już 218. Zainteresowane znają jednak także adresy klinik w Schwedt i w Eisenhüttenstadt – można je znaleźć na polskojęzycznych stronach internetowych dotyczących aborcji. Ponadto są one oficjalnie polecane przez holenderską organizację pozarządową „Women on Waves“, która przeprowadza aborcje na otwartym morzu.

Sam zabieg trwa tylko kilka minut: wejście do macicy, czyli jej szyjkę poszerza się lekko odpowiednimi kołeczkami. Potem embriion jest zasasyany specjalną rurką do tak zwanego worka płodowego. Kobiety są mi tak wdzięczne, jakbym ofiarował im nowe życie – opowiada Rudziński ze zdziwieniem w głosie. – Właściwie nie chcą się ukrywać, i kiedy słyszą, że w Niemczech aborcja jest legalna, znacznie łatwiej jest im się zdecydować. Przerwanie ciąży jest w Niemczech dozwolone do 12 tygodnia. To jest pierwsza rzecz, którą mówi Rudziński polskim rozmówcom podczas dyżuru telefonicznego. Bardzo się boją, obawiają się nawet, że telefon może być na podsłuchu – opowiada sześćdziesięciosześcioletni lekarz.

To zadziwiające, jaki to zastraszony naród – mówi Bożena Chołuj, specjalistka ds. gender i profesor na uczelniach w Warszawie i Frankfurt nad Odrą. Stwierdza, że wpływ Kościoła na polską politykę jest coraz większy. – Kościół, karzący i napominający, jest coraz bardziej widoczny. – W czasach komunizmu był po prostu strefą alternatywnej wolności i częściej mówił o miłości i przebaczeniu. Nieważne, w mieście czy na wsi, kobiety i ginekologowie są wprost pytani w czasie spowiedzi, czy zabili życie poczęte – twierdzi Chołuj. I dodaje, że już antykoncepcja jest w oczach Kościoła taką zbrodnią.

Agnieszka drze sobie włosy z głowy, gdy myśli o konfesjonale. W małej miejscowości jak ta, z której

öffentlicher geworden mit ihrer strafenden und mahnenden Stimme". Im Kommunismus sei sie ganz einfach ein Bereich der alternativen Freiheit gewesen und habe häufiger über Liebe und Vergebung gesprochen. „Ganz gleich, ob auf dem Land oder in der Großstadt – Frauen und Gynäkologen werden in der Beichte gezielt danach gefragt, ob sie Leben getötet haben“, so Choluj. Und dazu zähle in den Augen der Kirche schon die Verhütung.

Agnieszka rauft sich die Haare, wenn sie an den Beichtstuhl denkt. In einem kleinen Ort fällt es schnell auf, wenn sich ein Bewohner dort nicht mehr zeigt. Aber sie sagt auch entschieden: „Über meine Entscheidung soll Gott richten, nicht die Menschen.“ Nur wenige Freunde wissen von der Fahrt nach Deutschland. 400 Euro haben Agnieszka und ihr Mann für den Eingriff bezahlt. Der Dolmetscher muss extra honoriert werden.

„Die meisten Patientinnen wären auch bereit, mehr zu zahlen“, glaubt Janusz Rudzinski, klein, die steingrauen Haare glatt über den Hinterkopf gezogen. Ein Mann habe ihm am Telefon 15.000 Euro angeboten, 1000 für jede Woche, die die betroffene Frau über dem gesetzlichen Termin von zwölf Wochen lag. „Aber vielleicht war das nur eine Provokation“, überlegt der Mediziner, der von einem polnischen Lokalpolitiker mit dem SS-Arzt Josef Mengele verglichen wurde.

So restriktiv das Abtreibungsgesetz ist, so scheinbar liberal ist der polnische Gesetzgeber bei der künstlichen Befruchtung: Sie ist gesetzlich gar nicht geregelt. Allerdings hat Gesundheitsminister bereits einen Entwurf vorgestellt, um die künstliche Befruchtung einzuschränken. Bis dahin werden es Mandy und Matthias weiterversuchen. „Unser Ergebnis ist wieder negativ“, schreiben sie in einer Handy-Nachricht. „Wir können darüber nicht reden, weil es richtig schmerzt. Unser Traum ist wieder nicht in Erfüllung gegangen. Aber wir sparen jetzt wieder und nehmen erneut Anlauf.“

* Namen von der Redaktion geändert

pochodzi, ludzie szybko orientują się, że ktoś przestał się tam pokazywać. Ale mówi z pewnością w głosie: – Moją decyzję osądzi Bóg, nie ludzie. O podróży do Niemiec wie tylko krąg najbliższych przyjaciół. Agnieszka i jej mąż zapłacili za zabieg 400 euro. Dodatkowo trzeba zapłacić za usługi tłumacza.

Większość pacjentek byłaby gotowa zapłacić nawet więcej – sądzi Janusz Rudziński, niewysoki mężczyzna o siwych, gładko zaczesanych włosach. Jakiś mężczyzna oferował mu przez telefon 15.000 euro, 1000 za każdy tydzień, o który minął już ustawowy trzymiesięczny termin. Ale może to była tylko prowokacja – zastanawia się lekarz, który przez jednego z polskich lokalnych polityków został porównany do lekarza SS, Josefa Mengele.

O ile w kwestii aborcji polski ustawodawca jest restrykcyjny, o tyle w kwestii sztucznego zapłodnienia pozostaje liberalny: sprawa ta w ogóle nie jest uregulowana ustawowo. Tym niemniej minister zdrowia przedłożył już projekt ustawy ograniczającej te praktyki. Nim jednak zostanie uchwalona, Mandy i Matthias będą dalej próbować. Nasz wynik jest znów negatywny – piszą w SMS. – Trudno nam o tym mówić, to naprawdę boli. Znów nie udało nam się spełnić marzenia. No cóż, znowu zaczynamy oszczędzać, spróbujemy jeszcze raz.

* Imiona i nazwiska zmienione

Tłumaczenie Grzegorz Załoga

Widzialne wśród niewidzialnych

O sztuce K O B I E T

Ich niezaprzeczalną domeną jest sztuka. Ich atrybutami stały się celność tworzonych refleksji i sposób oglądania świata. Przymioty człowiecze: odwaga, konsekwencja, talent są udziałem każdej z nich. Indywidualistki. Artystki. K O B I E T Y. Każda z nich odszukała, wypracowała i zajęła określone miejsce we współczesnej polskiej sztuce. Każdej z nich udało się też zawłaszczyć miejsca poza granicami własnego kraju.

Sztuki wizualne konstituują twórczość uchwyconą w procesie, a także twórczość jako rzecz ukończoną. Będziemy więc poruszać się w obszarze faktów i artefaktów. Są one dowodami takiej, nie innej o b e c n o ś c i. C o j e s t – j e s t. To, co okazało się widzialnym, zwykle pozostaje aktywnym na długo. Jak długo? Gdy czas pokazu, wystawy dobiega końca aktywność pracy/dzieła przenosi ją/je w sferę MENTALNEJ WIDZIALNOŚCI. Nie musimy oglądać już dzieła, by go nie tracić (z oczu). W ten sposób ono staje się/powstaje raz jeszcze poprzez nas. Gotowość do odbioru tego, co zwie się sztuką, utrwała nas w ciągłym patrzeniu i nieustającym widzeniu. Ta MENTALNA WIDOCZNOŚĆ udrażnia nas na dalsze procesy. W ten oto sposób docieramy do kolejnych lub zupełnie nowych poziomów interpretacji zapamiętanego/ wskazanego dzieła.

Co wiem, gdy patrzę? Co widzę, gdy wiem, na co patrzę? Nasz osobisty/osobliwy zbiór doświadczeń usamodzielnia nas od twórcy/autora/autorki. Naszą wolnością wyborów kierujemy sami. To właśnie

poziom naszej chłonności oraz elastyczność w relacji ze sztuką – dziełem – autorem decydują o sile obecności; po obu stronach. Sens istnienia widza/odbiorcy jest tak samo ważki, jak ewentualne pytanie o sens istnienia sztuki. Więc mówmy o relacji, która nie jest możliwa bez autonomicznego/jednostkowego istnienia, a co za tym idzie – świadomej OBECNOŚCI. Interesuje mnie aktywność komunikatu, który nadaje artysta/artystka. Jednak jeszcze bardziej ciekawi mnie wynik owej emisji idei i postfakty. Chcę myśleć, że to co i jak oglądam/oglądamy tworzy jasny, wyrazisty komunikat właśnie o nas samych. Postawa kreatywna dostępna jest zarówno twórcom, jak i odbiorcom. Idea wymiany potencjałów jawi się jako jedna z istotnych ról sztuki. Choć przyznam, iż zdecydowanie wolę traktować zjawiska artystyczne zwyczajnie, jako jeden ze składników powietrza, którym oddychamy. Według mnie sztuka nie potrzebuje argumentów, by istnieć; raczej wymaga wyjaśnień nieudany „obraz” bezmyślnie upubliczniony albo dobry „obraz” źle wyeksponowany. Jednak nic w tej kwestii nie da się ustalić bez czynnego udziału w ofercie, jaką obficie niosą sztuki piękne.

Indywidualistki, artystki, kobiety... Każda z tych, o których opowiem, gościła przynajmniej raz w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych pomiędzy 2007 a obecnie trwającym 2009 rokiem. Przyjęłam określone ramy czasu. W tym okresie obojętnie zetknęłam się z artystkami – prowadząc rozmowy. Wszystkie zostały utrwalone jako dokument

foniczny. Pamięć pozwala utrzymywać zdarzenia, a te wydają się jeszcze wystarczająco bliskie, by je podjąć i ogarnąć. To dobry powód, aby uważniej przyrzeć się artystkom. Niewątpliwie niektóre z nich będą jeszcze wracać do Zielonej Góry. Nic jednak nie jest tak pewne, jak obecność, która już się dokonała. Dodam jeszcze, że nie są to oczywiście wszystkie osoby z długiej listy upublicznień zorganizowanych w tym właśnie czasie w rzeczonym BWA. Wskazuję na K O B I E T Y. Ich artystyczną obecność pojmuję jasno i wyrażam. Nie tylko pamiętam, co dotychczas zrobiły w rejonach sztuki, ale czekam, co dalej objawią. One własną kreatywnością napierają na rzeczywistość, wskazują na jej obszary śmiałości, profesjonalnie, prowokują do myślenia. Pora je ujawnić, bez nich nie byłoby tej opowieści. Oto one: Katarzyna Kozyra (KK), ur. 1963; Natalia Lach-Lachowicz (Natalia LL), ur. 1937; Apolonia Dwurnik (Pola), ur. 1979; Elżbieta Jabłońska, ur. 1970; Bogna Burska, ur. 1974; GRUPA SĘDZIA GŁÓWNY (Aleksandra Kubiak, ur. 1978; Karolina Wiktor, ur. 1979 / (Olka & Karol); Anna Okrasko, ur. 1981; Anna Baumgart, ur. 1966; Basia Bańda (BB), ur. 1980. To dziesięć kobiet. Wielokrotnie były wtłaczane w nurt feministyczny. Intencyjne/życzeniowe upolitycznianie sztuki niesie niebezpieczeństwo rozminięcia z intencjami samych już autorek. Ignorowanie wielowarstwowej propozycji twórczej prowadzi do zwyrodnienia w kośćcu sztuk. Potrzebna jest kreatywna elastyczność.

Ciągle jeszcze pamiętam czasy ostrych podziałów na sztukę lepszą – męską i kobietą – tę gorszą. Na szczęście potrzeby tego typu klasyfikacji są już w zaniku. Płeć to marny wyznacznik jakości. Ale gdyby tak teraz/współcześnie pokusić się o wykazanie niewieścich/kobiecych postaw w sztukach pięknych, poczynawszy od stylistyki po tzw. sukces artystyczny, powstałby koedukacyjny spis osób/artystów/artystek. Niech ta dygresja wystarczy, jako wykładnia moich poglądów na problem płci w sztuce. Jakkolwiek dylemat ów trafił wreszcie do lamusa, to jednak nie wyzwoliło to w pełni samych kobiet od potrzeby/konieczności analizowania własnej roli w świecie. Jednak mnogość ról i idąca za nią aktywność zrównują kobiety w szeregu dawców/dawczyń. Zauważmy, że żadna z wybranych artystek nie próbuje zaprzeczać własnej tożsamości. Przeciwnie, każda z nich wydaje się czerpać z tego

naturalnego faktu siłę. A to już czysta intensyfikacja mocy i prawdy artystycznego przesłania. Zajmowanie się sztuką, odpowiedzialność za popełnione realizacje, jawność oraz celowa popularyzacja własnych poglądów same w sobie są jawnym odejściem od schematów. Ukorzenione w nas poglądy i opinie poszukują rygoru i potwierdzenia albo dają podwalinę dla kontestacji zastanych norm. Więc coś się dziwić, iż K O B I E T A – ARTYSTKA to od razu/nie od razu f e m i n i s t k a. Warto wziąć pod uwagę, że istnieją różne poziomy wyzwolenia (się). A co z kreowaniem wolności? Twórczość uwielbia także autoironię, dygresję, abstrakcyjne myślenie, konceptualne wizje itd. Stwarza wygodne warunki, by doświadczenia negatywne, traumatyczne przełożyć na afirmację, na pozytywną energię. Daje możliwości na zabiegi ze skalą/wielkością, również ze skalą własnych emocji i uczuć. I choć pominięcie siebie w procesie kreacji byłoby trudne, to jednak możliwe jest tworzenie pożądanego/planowanego dystansu/auto-dystansu. Nie szukajmy w sztuce unifikacji, tropmy raczej szansę na pomyślny, dwubiegunowy komunikat (przyp. relacja dawca-biorca). Szukajmy i odnajdujmy inspirację.

Skoro o inspiracjach mowa – to wracam do K O B I E T – artystek. Dla porządku faktów użyję chronologii pokazów w zielonogórskim BWA; poczynawszy od 2007 roku. W lutym pojawiła się osobiście osobiłwa artystka Katarzyna Kozyra z kontynuacją cyklu *W sztuce marzenia stają się rzeczywistością*; miał on zielonogórski początek jeszcze w październiku 2006 roku (film *Opowieść zimowa*). KK zaprezentowała wybór filmów i dokumentację. Kozyra w latach 90. XX w. stała się specyficznym wzorcem, niekoniecznie pozytywnej w wydźwięku, artystycznej popularności (*Piramida zwierząt*). Osadzona w tzw. sztuce krytycznej ściągała publicznie skórę (film *Olimpia*, 11'00"; 1996) – nadała innego smaku twórczości, dając asumpt do stworzenia nowego menu. Dla wielu skończyło się to niestrawnościami. Kozyra, niegdyś jawna bulimiczka, dzisiaj poszukuje w rejonach narracji baśniowej, popularyzuje swój nowy image – operowa diva. Według mnie nadal jednak dotyczy „podskórka”.

W marcu 2007 r. przyjechała z prezentacją dokumentów performansów akcji GRUPA SĘDZIA GŁÓWNY. Młode kobiety – artystki (przyp. Kubiak, Wiktor), jak zwykle kreatywnie zdesperowane, twórczo pobudzały zielonogórską publiczność. Warto

podkreślić, iż ich tandem artystyczny, jako konkretne zjawisko wspólnoty działań, nadaje wymiar prawdy idei porozumienia doskonałego. W dalszej części tekstu wrócę jeszcze do nich; omówię kolejne ich pokazy w BWA.

30 marca 2007 r. miał miejsce wernisaż wystawy Poli Dwurnik *Miałam chłopaka z Zielonej*. Pola to córka popularnego, uznanego artysty Edwarda Dwurnika. Odniosłam wrażenie, że silnie poszukuje ona własnego, autonomicznego spełnienia. Nadal naturalnie natchniona wspomnieniami z dzieciństwa. Wiecznie podekscytowana dopełnia klasycznej wizji malarstwa, zwłaszcza portretowego. Zafascynowała mnie dojrzałością, wbrew propagowanemu wizerunkowi „nastolatki z burzą hormonalną”. Nie myliłabym świadomej naiwności malarskiej oraz celowo stosowanego własnego wizerunku/autoportretu z odległym od spełnienia poszukiwaniem drogi artystycznej. Apolonia prowadzi wyrafinowaną grę z widzem na kilku poziomach: ikonicznym (*Siedem grzechów głównych*), kulturowym (*Poślubiona Malarstwu*), a nawet wciąga go w rejony prywatności (*Miałam chłopaka z Zielonej*).

We wrześniu 2007 r. w Małej Sali BWA dane nam było oglądać *Miękkość dotyku* autorstwa Natalii Lach-Lachowicz. Natalia LL od lat tworzy autorski autoportret, intelektualny, emocjonalny. Jej realizacje nacechowane zostały medium fotograficznym, jego dosłownością i skrupulatnością wobec istniejącej rzeczywistości. Zdecydowanie często sięga po przedmioty, nadając im rangę atrybutów. Tym razem zderzyła dosłowność futer z ich utrwalonym wizerunkiem, odebrała nam jednak dotyk – prowokując zmysł wzroku. Tym sposobem kolejny raz urzeczywistnia zaplanowaną dla siebie rolę. W latach 70. stanowiła głos w temacie: k o b i e t a w y z w o l o n a. Jej młodość to niekończący się zbiór intelektualnych manifestów i manifestacji na rzecz sztuki (*Sztuka konsumpcyjna* 1972; kolekcja Zachęty Lubuskiej). Dziś naucza innych (prof. ASP- Wrocław).

Grudzień 2007 r. przyniósł upublicznienie PUT ME DOWN Basi Bańdy – zielonogórzanki. Mała Sala pomyślana została, jako fragment prywatnej przestrzeni tej młodej artystki. Charakterystyczne dla niej odcienie różu oraz nasyczone magentowe bibeloty udomowiły owe kilkanaście metrów kwadratowych. Gdy niegdyś, w końcu 2006 r., BB opanowała Dużą Salę BWA – spośród wielu odmiennych formalnie propozycji – oprócz aury różowawej, prowokującej

naiwnością erotyki zapamiętałam ulotną, dynamiczną, świetną warsztatowo akwarelową serię. Odnalazła ona dobre dla siebie miejsce w publikacji albumowej *Lekcja angielskiego* (ZDERZAK, Kraków). Do Bańdy jeszcze wrócę.

Przyszła pora na rok 2008, kiedy to w lutym nastąpiła odsłona wielkoformatowej realizacji, usytuowanej na frontonie zielonogórskiego BWA – NIE LICZ NA NIC. Stała się ona swoistym opakowaniem dla gmachu biura, by wprowadzić widza do wnętrza Małej Sali i w małych skalą formach pudełek pokazać nam NIC. To więcej niż nic będące niczym, czyli to nie był brak. Przypomnę, że dużo wcześniej, bo w 2001 r., w grudniu, w naszym BWA odbyła się piąta edycja jej autorskiego projektu PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA. Natomiast w maju 2008 r. nastąpiła reprezentacja jej pracy/neonu *Czy twój umysł jest dobry i czysty?* Co istotne, należy ona do zbiorów Zachęty Lubuskiej. Postawa artystyczna Jabłońskiej często każe jej odpierać zarzuty o podporządkowanie feministycznej wizji. Dla mnie jest ona może nieplanowym, aczkolwiek dyplomatycznym wtrąceniem się w tę chwiejną u podstaw dyskusję panelową. To, co mnie ujmuję, pozytywnie buduje, to swoisty minimalizm dobieranych środków formalnych. Wygląda na to, że Elżbieta J. potrafi logicznie i twórczo łączyć role przewidziane dla współczesnej kobiety.

O jaką próżność chodzić mogło Bognie Burskiej? Jej majowa prezentacja w BWA GOD IS VAIN wyzwołała mnie od kluczenia po twórczości tej artystki. Burska współpracuje przy tego typu parafilmowych realizacjach z Michałem Januszańcem. Jednak zastosowany system ruchomego kolażu obrazów/kadrów filmowych każe pytać o kolejnych/o wielu autorów, z Q. Tarantino na czele. Cytaty, cytaty cytatów. Odbijające się w taflach luster znajome prawdy mogą usypiać twórczą czujność.

Początek czerwca zaskoczył realizacją Anny Okrasko zatytułowaną *Te prace nigdy nie będą miały tytułu*. Była ona rodzajem wieloelementowego obiektu, wprawianego w ruch za przyczyną instalacji elektrycznej. To, co niezmiernie istotne, to fakt artystycznego/ludzkiego zabiegu metodycznej likwidacji własnych prac. Taka akceptacja błędu czy własnej frustracji. Oto Okrasko wytypowała płótna z nieznanymi realizacjami akrylowymi i uczyniła z nich szczyty/mopy. W ten sposób z przedmiotu ważkiego, za jaki można uznać każdy obraz/potencjalne dzieło, zrobiła przedmiot prozaiczny/pospolicie w funkcji.

Z początkiem lipca 2008 r. miała miejsce kolejna akcja Grupy SĘDZIA GŁÓWNY. Pamięć o LXIV Rozdziale (45'00") trwa nadal, pomimo ulotnej w czasie formuły zdarzenia/ performance. Wówczas to pomiędzy dwoma ciałami dwóch kobiet/artystek rozegrała się gra/potyczka na uczucia, budząca niemy sprzeciw publiczności oddzielonej od nich dostojną, fizyczną ścianą. Kontrowersyjne, w moim odczuciu, zaprogramowane razy/ciosy, naznaczające w czasie oba nagie ciała, nie wzbudziły oczekiwanej reakcji. Nie było dynamicznej interwencji widzów owego zajścia. Chyba tak musiało się zdarzyć, bo zostaliśmy wystawieni na tę próbę „pro homini” nauczeni już pewnej systematyki charakteryzującej twórczość Karoliny i Oli. Oglądaliśmy już ich cierpiące, piękne, obce, rodzące, ubrane, rozedrgane na cząstki i zwarte, niczym wojenne zbroje, C I A Ł A. Omawiana akcja/rozdział ujawniła ich/kobiet idealną kruchość. Pełna wstrzemięźliwość i realny ból w miejscach okaleczeń to dla mnie uroda człowieczej samotności. Role/wyznania, po które sięgają Karolina i Ola dają nadzieję na silną, spełniającą się afirmacją. Bardzo inspirująco działa budowanie całości z elementów (Rozdziały w czasie i w przestrzeni przez „grupę krwi” [AGC].

Jesienna (wrześniowa) seria *Odczarowanie* sprowadziła do Zielonej Góry m.in. Annę Baumgart. Niestety, nieobecna, nie miałam szansy na tę konfrontację. Poznałam Annę przed laty w Sopocie. Rozmawialiśmy – my – matki, kobiety, artystki. Jej bezpośrednia wizja kobiety (obiekty, rzeźby: *Dosta-*

łam od matki, Bombowniczka, The Berlin Wall) wręcz zmusza do dodatkowej wiwisekcji kobiety, jej natury i jej roli. Często i trafnie osądza, igra z pojęciową tandetą (*Sztuka pięknych artystek*; współpr. A. Bogacka).

Początek 2009 r. zainicjowała Bogna Burska. Jej pokaz *Gra z przemieszczającymi się zwierciadłami* odbywał się w kinie Newa; reszta projekcji trafiła do BWA. Nie obejrzałam tym razem jej propozycji, bo nie chciałam.

23 lutego br. w BWA miała miejsce promocja książki *GRUPA SĘDZIA GŁÓWNY | CHIEF JUDGE GROUP*. Moderatorem spotkania, rozmówcą z artystkami (Kubiak, Wiktor) oraz Wojtkiem Kozłowskim był Karol Sienkiewicz, redaktor książki. Książka została wydana dzięki pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Miasta Zielonej Góry. Sędziny przywiozły dotąd nigdy niepokazywane dokumentacje ze swych ostatnich działań. Zaprezentowały Rozdział LXVI Furie. Wygląda na to, że otworzyły inny etap: „Beznadziejniki” (Beznadziejnik. rozdział 1. Foczek sztuki.; roz. 2. Artystka na głowie.).

W marcu 2009 roku...

Czuję się osobiście zbudowana postawami tych KOBIET.

Przyznaję się, że niekiedy tracę pewność, czy będąc kobietą mogę jeszcze swobodnie wychodzić z domu bez precyzyjnego makijażu. Więc z wyboru nie wychodzę, nie maluję(się). Piszę.

Oswajam „b e z s e n n o ś ć” [AGC].



Seksistowskie cechy języka w badaniach z zakresu lingwistyki feministycznej

Jednym z bardziej interesujących zjawisk, zachodzących w społeczeństwach europejskich, szczególnie w Niemczech, a od pewnego czasu także w Polsce, jest zjawisko językowej emancypacji kobiet. Może ono być rozpatrywane na płaszczyźnie czysto socjologicznej lub też socjolingwistycznej z akcentem na językowe ujęcie problemu. Zostało ono zapoczątkowane w latach 70. dwudziestego wieku w USA przez Mary Ritchie Key i Robin Lakoff. Obie językoznawczynie zajęły się patriarchalnymi, w ich ocenie, strukturami języka angielskiego, przez które dochodzi do dyskryminacji kobiet przez sam system języka, a także przez użycie tego języka w konkretnych sytuacjach. Key poświęciła swoje badania przede wszystkim komunikacyjnej funkcji języka, dochodząc do wniosku, że istnieje tzw. język kobiet oraz język mężczyzn (*Male and Female Language* to także tytuł jej pierwszej pracy na ten temat). Przemyślenia te zostały przejęte w Niemczech przez krąg badaczy języka skupionych wokół Senty Trömel-Plötz i Luise F. Pusch. Pierwsze konferencje i seminaria poświęcone problematyce języka kobiet miały miejsce pod koniec lat 70. na niemieckich uniwersytetach w Berlinie, Konstancji i Osnabrück.

Jeśli zastanowimy się nad powodem podjęcia kwestii emancypacji kobiet w języku i przeniesienie jej na poziom badań czysto lingwistycznych, to zauważymy, że ruch feministyczny, który był i jest w Niemczech bardzo silny, zaczął wyszukiwać i krytykować nierówności międzypłciowe, a więc

upośledzenie kobiet w stosunku i przez mężczyzn, czy inaczej mówiąc struktury patriarchalne, we wszystkich dziedzinach życia, a więc także w języku, który jest ważnym, jeżeli nie kluczowym czynnikiem życia społecznego. Kobiety szukają swojej tożsamości i chcą być „widoczne” również w języku, którym na co dzień się porozumiewają. Tym samym nie mogą pogodzić się z faktem, że są w nim pomijane lub ukrywane pod jednym określeniem wraz z mężczyznami i to określeniem formalnie męskim.

Powyższy problem odnosi się przede wszystkim do określeń męskoosobowych, mających funkcję generalizującą i używanych w związku z tym także w odniesieniu do kobiet. Ma to miejsce np. w liczbie mnogiej, gdzie forma „lekarze” może odnosić się do grupy czysto męskiej oraz do grupy składającej się np. z 99 lekarek i 1 lekarza. Jest to zdaniem feministycznych lingwistek niesprawiedliwe i godzi w tożsamość kobiet. Sam fakt, że formy żeńskie są ze względów słowotwórczych wtórne w stosunku do męskich, również stał się przedmiotem krytyki feministek (np. kasjer – kasjerka). Ponieważ cechy desygnatów przenoszą się siłą rzeczy na przedmiot lub osobę, którą oznaczają, to kobiety mają prawo czuć się wtórne, drugoplanowe, podrzędne czy wręcz pochodne i zależne od mężczyzn, twierdzą zwolenniczki feminizmu językowego. Gdy dodamy do tego jeszcze czasami występującą różnicą znaczeniową w statusie form męskich i żeńskich na niekorzyść tych ostatnich, dyskryminacja kobiet przez system

językowy wydaje się już sprawą oczywistą, (np. sekretarz [sekretarz stanu w ministerstwie, sekretarz generalny organizacji, sekretarz partii] – sekretarka [pomoc biurowa, asystentka swojego przełożonego, w domyśle mężczyzny]).

Osobną grupę stanowią stałe zwroty frazeologiczne, jak przysłowia czy powiedzenia. Badania dowodzą, że formy męskie przedstawiają się w nich częściej w korzystnym świetle niż analogiczne formy żeńskie (np. być panem [nie panią] sytuacji, język ojczysty, mąż stanu, równy chłop, pomoc braterska, przeciwstawione takim formom i wyrażeniom jak: nie bądź baba, zniewieściały [od niewiasta], kobiecie ploteczki). Nawet ukryte cechy męskie w neutralnych pod względem rodzaju gramatycznego czasownikach (np. „panować nad sytuacją”) zostały skrytykowane przez najbardziej drobiazgowe przedstawicielki feminizmu językowego. niesprawiedliwa jest, ich zdaniem, także ugruntowana historycznie kolejność wymieniania określeń mężczyzn na pierwszym miejscu, przed kobietami (np. w baśniach i bajkach: *Jaś i Małgosia*, *Jacek i Agatka*, w literaturze: *Romeo i Julia*, *Tristan i Izolda*, czy w paradygmacie koniugacyjnym: on, ona, ono).

W bardziej szczegółowych badaniach lingwistki zajęły się kolejnymi obszarami systemu, a przede wszystkim użycia języka. Pod lupę wzięto na przykład akty prawne, język mediów, słownictwo w podręcznikach szkolnych, gwary i dialekty. We wszystkich tych obszarach zdemaskowano utrwalone formy patriarchalne, powodujące wykluczenie, wymazanie czy ukrycie kobiet w języku i przedstawianie ich w sytuacjach podrzędnych i służalczych wobec mężczyzn (przykład z elementarza: „Tata czyta gazetę, a mama robi pranie”).

Wszystkie te cechy systemu języka niemieckiego (a także polskiego, angielskiego i innych języków europejskich oraz pozaeuropejskich) skłoniły feministki do określenia ich mianem seksistowskiego (seksistycznego). Seksizm, czyli dominacja jednej płci nad drugą, był do tej pory zjawiskiem wprawdzie dobrze znanym, lecz zarezerwowanym dla innych obszarów życia społecznego. Po odkryciu go także w języku ruszyła lawina opisywania jego cech seksistowskich, zarówno w samej strukturze języka, jak i w jego użyciu przez kobiety i mężczyzn.

Czołowa językoznawczyni, zajmująca się kwestiami feministycznymi w lingwistyce, Luise F. Pusch, zaczęła używać bardziej nobilitującego określenia dla

tego trendu, mianowicie „lingwistyka feministyczna”, a od 1990 r. pisała tę nazwę wielkimi literami, co w języku niemieckim oznacza, że uważa ją za samodzielną dyscyplinę naukową. Pusch, zajmująca się przede wszystkim stroną systemową języka, oraz Trömel-Plötz, badająca język w komunikacji międzyludzkiej (międzypłciowej), a także skupione wokół nich badaczki, sprecyzowały cele i zadania tej nowej gałęzi językoznawstwa.

Najważniejszym kierunkiem działania lingwistyki feministycznej jest dalsze uświadamianie kobietom i mężczyznom, że w języku tkwi bardzo wiele, szkodliwych dla postrzegania kobiet w społeczeństwie patriarchalizmów, które da się wprawdzie historycznie wyjaśnić, ale nie, z dzisiejszego punktu widzenia, usprawiedliwić. Ponieważ język ulega stałym zmianom, tak samo jak ludzie, którzy go stworzyli, oznacza to, że jest on reformowalny, także pod kątem równouprawnienia językowego. W odniesieniu do języka niemieckiego zaproponowany został szereg zmian, od czysto kosmetycznych do zupełnie radykalnych. Do tych pierwszych można zaliczyć tzw. *splitting*, czyli wymienianie z osobna zarówno męskich jak i żeńskich uczestników opisywanego zdarzenia (np. „Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy!”, „Moje Miłe Panie, Moi Mili Panowie!”). Bardziej radykalnie wygląda natomiast propozycja neutralizacji rodzaju gramatycznego przez całkowite usunięcie żeńskich końcówek i różnicowanie tylko za pomocą rodzajnika. Oznaczałoby to powstanie takich form jak: „ten nauczyciel” i „ta nauczyciel” (na wzór „ten pan prezydent” i „ta pani prezydent”). Propozycja ta została przez przeciwników lingwistyki feministycznej zakwalifikowana do kategorii „zwariowane”. Najbardziej jednak radykalnym pomysłem jest tzw. *totalna feminizacja*, gdzie proponuje się wprowadzenie generalizującego rodzaju żeńskiego, czyli formy żeńskoosobowej, tzn. pod wyrazem „studentka” kryłby się zarówno student, jak i studentka.

Oczywiście lingwistki feministyczne są tego świadome, że propozycje te nie są traktowane poważnie, ale skłaniają one do myślenia nad całym problemem i tym samym cel zostaje osiągnięty.

Krytycy językoznawstwa feministycznego zarzucają mu, że propozycje, które można w ogóle brać pod uwagę, generują dużą ilość problemów związanych z gramatycznością zdań. Wymienianie w jednym tekście czy w jednej wypowiedzi stale obu grup płciowych *explicite* powoduje z jednej strony

uciążliwość i rozbudowanie, będące w sprzeczności z zasadą ekonomii językowej, a z drugiej strony gramatyczne problemy wynikające z kongruencji. Jeżeli chcielibyśmy przedstawić zdanie: „Szkolenie przeprowadzi kierownik lub jego zastępca” w wersji proponowanej przez lingwistykę feministyczną, musielibyśmy powiedzieć: „Szkolenie przeprowadzi kierownik lub kierownicza lub jego zastępca lub zastępczyni lub jej zastępca lub zastępczyni”. Zdanie takie na pewno nie zostanie zaakceptowane ani przez kobiety, ani przez mężczyzn posługujących się językiem niemieckim czy polskim.

Zwolenniczki zmian językowych opowiadają się także za tworzeniem i konsekwentnym używaniem derywatów żeńskich (w języku niemieckim najczęściej przy pomocy przyrostka „-in”, w języku polskim „-ka”). O ile w języku niemieckim wiele tak utworzonych form się przyjęło (pani kanclerz w Niemczech to „Bundeskanzlerin” [„kanclerka”]), o tyle w języku polskim brzmią one na tyle „dziwnie” („ekolożka”) lub są kojarzone z mniejszym prestiżem (kierownicza sklepu – pani kierownik urzędu), także są one odrzucane przez same użytkowniczki języka. Ponadto wiele form w języku polskim, utworzonych według tego modelu słowotwórczego, jest już „zajętych” przez inne desygnaty: („marynarka”, „szoferka”, „żołnierka”, „saperka”).

Chociaż mogłoby się wydawać, że opisywane zagadnienie jest problemem czysto akademickim, rozwiązywanym w ramach językoznawstwa, to poruszył on szerszą opinię publiczną poprzez środki masowego przekazu. Co ciekawe, przeciętnego rozmówcę, czy raczej przeciętną rozmówczynię, propozycje feministek nie zainteresowały na tyle, żeby się zgodzić na dużą reformę języka, ale skłoniły

do zastanowienia, jak mówić o sobie i innych, żeby ich nie urazić.

Zalety języka nieseksystycznego zauważyli także niemieccy politycy, którzy w swoich przemówieniach na pewno nie chcą zrazić do siebie żadnych wyborców i wyborczyń. Wydano szereg zarządzeń administracyjnych, nakazujących używania w tekstach ustaw języka odnoszącego się wyraźnie i jednoznacznie do obu płci. Wprowadzono obowiązek takiego formułowania ogłoszeń o pracę, żeby żadna z płci nie była językowo preferowana. Rewiduje się formy językowe, używane w podręcznikach szkolnych, próbując wyeliminować stereotypowe postrzeganie kobiety i dążąc do równowagi płci w cytatach szkolnych. Uzupełniono i rozszerzono listę oficjalnych nazw zawodów, znajdując określenia i dla mężczyzn (w zawodach zdominowanych do tej pory przez kobiety, np. położnictwie), i dla kobiet (w zawodach typowo męskich, np. kierowca). Wszystko to jest zasługą językowego zaangażowania feministek i świadczy o sile tego ruchu. Zmiany, które dokonały się w ostatnich 30 latach w języku niemieckim, potwierdzają wzrost znaczenia kobiet w Niemczech i są tego niezaprzeczalnym odbiciem.

Literatura (wybór):

Pusch L. F., *Das Deutsche als Männersprache*, Frankfurt/Main 1984.

Pusch L. F., *Alle Menschen werden Schwestern*, Frankfurt/Main 1990.

Samel I., *Einführung in die feministische Sprachwissenschaft*, Berlin 1995.

Trömel-Plötz S., *Frauensprache-Sprache der Veränderung*, Frankfurt/Main 1982.

**Autoportret
(ankieta personalna)**

Nazwisko
ponoć szlacheckie
jednak w Polsce
dość pospolite

Imiona
zwą mnie
jak chcą
jak pies ma
tyle imion
po prostu głupieje
dlatego regularnie staram się
odwiedzać swojego psychiatrę

Imiona rodziców
prosto z kalendarza
standardowe
z frazeologią słowiańską

Oczy
kobiety mówią
że niebieskie
jak fale naszego Bałtyku
w komercyjnych Międzyzdrojach
ja twierdzę że są
w kolorze papieru toaletowego
otrzymanego w okresie PRL
za sprzedaną makulaturę

Data urodzenia
to było tak dawno
że nie pamiętam tego dnia
ja zaś patrzę w przyszłość
więc uważam to za zestaw
przypadkowo ułożonych cyfr

Znaki szczególne
blizna na lewym policzku
którą swym
ostrym kłębem zrobił
mi pewien niebieski pies

Wyznanie
rozrywkowo-handlowe
w interesach tracę zawsze
chodzi tylko o to
aby stracić jak najmniej
i przy okazji trochę się zabawić
wszak hołduję myślom Epikura
zaś modlić się mogę
nawet pod Ścianą Płaczu
gdyż Boga staram się nosić w sercu

Płeć
wpisane że mężczyzna
lecz coś ze mnie
za facet
skoro nie wybudowałem domu
nie wspominając o synu którego
nie udało mi się spłodzić

Stan cywilny
wolny od zawsze
nie znalazła się
jeszcze taka głupia
co chciałaby by
mieć mnie dłużej
niż przez kilka godzin
i częściej niż raz
na jakiś czas

Dzieci
oficjalnie brak
nieoficjalnie
nic mi na ten temat
nie wiadomo
choć gdyby okazało się
że mam trzyletniego syna
przez pół dnia
skakałbym z radości
na jednej nodze

Wzrost
sześć stóp i cztery cale
o stopę za dużo
by podnosić z ziemi
puszki i butelki po piwie
o stopę za mało
by bez problemu
sięgać po marzenia.

Życie we fragmentach

Zimno

Zrobiło się trudne do zniesienia styczniowe zimno. Mroźne dni. Domu nie udaje mi się wystarczająco nagrzać, więc niemal zamarzają mi myśli. Książkom, meblom, ścianie też zapewne zimno. Kurczę się, chodzę skulony. Coraz bardziej nieobecny. Jak sięgam pamięcią, od lat dzieciństwa, w zimowych miesiącach było w domu zimno, więcej, mroz często nie odstępował nas na krok. Ale nie odczuwałem tego zbyt dokuczliwie. Nawet dziwiłem się rodzicom, gdy narzekali na srogość zimowej aury. A mnie było jakoś ciepło. Cóż, w żyłach płynęła gorąca krew. Pamiętam zimy w Jaromierzu. Nie tylko wielkie, obfite śniegi, zamarzającą pompę, którą ojciec musiał z samego rana rozmrażać paląc ognisko ze słomy, ale mocno i grubo mrozem, szronem zakute szyby okienne w pokojach i kuchni. Chuchałem uparcie w jedno i to samo miejsce, aż od ciepłego powietrza szyba nareszcie topniała i powoli robiło się przejrzyste, coraz większe koło. I otwierał się świat. Bardzo mnie to zajmowało. Można było przez nie zobaczyć, jak przez lunetę, co dzieje się na podwórku. Stodołę, furtkę, kogoś idącego. Mama oczywiście paliła w piecu i około południa okna czasami zupełnie odtajały. Dwa momenty wtedy były dla mnie jednak trudne. Jeden, kiedy wieczorem musiałem wskoczyć pod lodową pierzynę, ale wskakiwało się, mama przykrywała mnie dokładnie, przyklepywała ją i powoli po kilku chwilach mogłem rozkurczać całe ciało. I drugi, kiedy z tej dobrze już

nagrzanej pierzyny, z tego sielskiego dziecięcego łóżeczka, należało mi rano wyskoczyć i przez lodowaty korytarz, po zimnej posadzce, boso przebiec do kuchni, by tam w pobliżu pieca ubrać się. Tak się żyło. Z dala od dostatku i wygód.

Matka

Raczej mama. Mam w pamięci jej obraz, wszystkie obrazy jej opiekuńczej obecności w całym moim dotychczasowym życiu, aż do momentu śmierci mamy. Jej życie przebiegło według najwłaściwszych, człowieczych wartości. Bardzo skromna, a także niezwykle pokorna. Nawet w tonie głosu. Żyła w udręce codziennego ciężaru. Cicha, bez skargi. Niskiego wzrostu. Całe życie pracująca ciężko od świtu do nocy. Pewnego lata w czasie żniwnej pracy poroniła dziecko. Pamiętam jak pogotowie z Wolsztyna przyjechało na pole. I zabrali ją. Miałem wtedy chyba trzy lata. Tak myślę, że dzisiaj już mało kto potrafi znieść bez wyrzutu trudy życia jak ona potrafiła. A zarazem znieść wielkie jego niedostatki. W Kębłowie w jej domu rodzinnym żyło się bardzo biednie. Kilka osób w jednej izbie. Ojciec mamy, mój dziadek, którego nigdy nie poznałem, wyjechał do Francji do pracy w kopalni i już nie wrócił. Żyli o chlebie z wodą i cukrem, i o cienkiej zupce. Wojnę mama spędziła na robotach przymusowych w Niemczech. Urodziła tam dziecko i żeby nie iść do pracy w polu, by pozostać przy maleńkim synku, celowo wylała na siebie wrzątek. To kosztowało ją sporo cier-

pienia. Z mamą siadywałem w kościelnej ławce. Patrzyłem jak w skupieniu się modliła. Pozostała po niej książeczka do nabożeństwa, jeszcze sprzed wojny. Mama uczyła mnie pacierza. A pacierz wpajał mi nie tylko poczucie istnienia niewidzialnego świata, ale zwłaszcza czegoś co musi być codziennie spełniane, by się nie zgubić. Nazywała rośliny i rzeczy. Mówiła: *to trawa, to bez, kaczeńce, żaba, akacje, to szron na łące. Śnieg już niedługo*. Widzę mamę w polu, w skwarnej dzień, pochyloną do ziemi, wyrzucając chwasty, niosącą na plecach dla domowych zwierząt w płachcie duży pęk różnego zielska, a zwłaszcza cenną lebiódę. Jeszcze młodą, miękką. Kroiła ją na drobne kawałki i sypała w wydzielonym kącie kuchni żółciutkim kurczętom. Widzę ją zatrwożoną, kiedy milicjanci wczesnym rankiem weszli do naszego domu i robili rewizję. Widzę jej zaleknione oczy, kiedy znalazła się na sam koniec na szpitalnym łóżku. A któregoś dnia to łóżko zobaczyłem już przerażająco opustoszałe. Mało miała radości w życiu. Modlitwa i wiara w Boga była dla niej największą podporą. Z moją mamą łączy się jeden z moich największych sukcesów poetyckich. Wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów: „Mamo sprawiłem ci smutek”, napisałem sporo lat temu, kiedy jeszcze nie miałem żadnego dorobku ani doświadczenia literackiego. Byłem w pewnym sensie nikim. Wysłałem go na konkurs do Piwnicy Świdnickiej we Wrocławiu, który organizował Marek Garbala. I los chciał, zdobył ten wiersz pierwszą nagrodę. Wywołany z sali stanąłem przed publicznością i przeczytałem go. Później była uroczysta kolacja, organizator wznosił toast, przy stole siedzieli: Urszula Koziół, Jacek Łukasiewicz, Bogusław Żurkowski, Lothar Herbst, Marianna Bocian, Janusz Styczeń, oczywiście również Marek Garbala. I wszyscy inni. Zwracano się do mnie tak, jak nigdy nikt wcześniej się nie zwracał. Peszyło mnie to i nie potrafiłem z siebie wydobyć sensownego słowa. Ale zaistniałem mocnym wejściem. Przydało mi się to później, kiedy we Wrocławiu zacząłem studia polonistyczne. I starałem się brać udział w życiu literackim miasta mojej młodości.

Pisanie

Od rana obiecałem sobie, że będę dziś pisał. Jak Marcel Proust. Zdanie po zdaniu, spokojnie, długo, w poszukiwaniu straconego. Nie wychodzi. Jestem

zablokowany obserwacjami bieżącego życia w Polsce i na świecie. Dzieje się już nie tyle źle, co katastroficznie. Jeszcze to do nas w ostrej postaci nie dotarło, ale dotrze. Nago i detalicznie. Prawie wszędzie wyczytuję głosy o końcu, krawędzi, przepaści itp.: „Będzie płacz i zgrzytanie zębów”. Okazuje się, że nawet do prozaicznych zapisków potrzebne jest natchnienie, choćby mały jego przypływ. Za dużo natarcywych, rezygnacyjnych, niedających się przezwyciężyć jakkolwiek wewnętrzną motywacją i argumentacją, myśli o sensie zapisywania odruchów życia. Własnym zdaniem przyczynić się do oświelenia czyjegoś życia, do zmiany codzienności, żeby nie użyć zbyt górnolotnych określeń. To byłoby już coś. To musi być zrobione. To dodawałoby skrzydeł. A poza tym, tylu ludzi cierpi niesprawiedliwość, codziennie ze świata odchodzi, nawet w takiej Zawadzie, gdzie mieszkam, co chwilę ktoś i nic po nich nie zostaje, żaden ślad, zapis, przekaz, znikają w morzu niepamięci, mimo wieloletniego, codziennego zmagania, doznawania bólu i radości, i zgromadzenia materialnego dorobku. Wszystko zostaje stracone i zapomniane. Tylko w Bogu jeszcze jest do wyobrażenia istnienie, zupełnie inne istnienie.

Śnieg

Drobny, delikatny, niemal bezcielesny, który miękko opada, prawie wszystko jest w stanie dokonać. Jak okiem sięgnąć dokładnie całą przestrzeń zasypaną. Jak to uczynić potrafi i skąd wie, że trzeba przykryć wszystkie miejsca. I gdzie te miejsca są. Dziwny ten śnieg. O zmierzchu jego odcień niebieski.

W Wiepersdorfie

Miałem to szczęście (a jednak) przez kilka tygodni przebywać w pięknym, ustronnym i zacisznym miejscu, czyli w Wiepersdorfie, będącym niewielką wsią, sto kilometrów na południe od Berlina. Mało powiedziane. Przebywałem w pałacu o wielowiekowej tradycji. Tu, za okazałym murem, do końca ostatniej wojny mieściła się siedziba rodziny Arminów. Miejsce jest szeroko znane, ma swoją szczególną mitologię ze względu na fakt, iż ważna dla literatury niemieckiej postać – Bettina von Armin tu właśnie tworzyła i mieszkała do 1859 r. Tu przyjeżdżał Goethe i inni wielcy artyści romantycznej epoki.

Muszę przyznać, że magia tego miejsca działała na mnie. Mieszkałem tu jako polski stypendysta (zgłosił mnie Zdzisław Morawski). Było to coś nowego w moim życiu. Długo oswajałem się z każdym szczegółem. Byli artyści z Niemiec, Litwy, Estonii, Rumunii, Brazylii, Kanady, Danii. Z okna swojego pokoju widziałem wejście frontowe, schody, bramę, kościół oraz groby dawnych mieszkańców pałacu, w tym mogiła słynnej poetki, której wizerunek widniał na niemieckim banknocie. Kto jeszcze ma pięciomarkówkę może to sprawdzić. Tamtego listopadowego dnia zapaliłem świeczkę i postawiłem ją na płycie grobu Bettiny – światło od polskiego poety. Cieszyło mnie bardzo, kiedy poetka z Berlina, Lioba Happel, podczas kolacji powiedziała wszystkim, że to ja tę świeczkę postawiłem. Chciałem jakoś swoją polskość tu zaznaczyć. Zasygnalizować. W pałacu jedliśmy, wieczorami piliśmy wino. I rozmawialiśmy. Pierwszego czy drugiego dnia mojego pobytu, po kolacji, w towarzystwie licznych artystów poszliśmy do sąsiadującej oranżerii. Były rozmowy, muzyka, świetna wirtuozowska gra na gitarze, niemiecka mowa, którą mało rozumiałem, zaledwie pojedyncze słowa, ale starałem się robić dobrą minę i po prostu być, słuchać tej melodii, odczuwać nastroj, jak najczęściej patrzeć. Przez szklany dach przeświecały gwiazdy. Można też było korzystać z bogatej, i – o dziwo – ocalałej biblioteki. A wokoło piękny park. Pałac najbardziej malowniczo prezentował się od tyłu, zwłaszcza zza stawu, bo w jego wodzie odbijała się cała klasycystyczna budowla. Z tyłu wychodziło się na taras, tam niemiecki fotografik Christian Kaminski zrobił mi kilka zdjęć, z których jedno wykorzystałem na okładce tomiku *Wstęp do milczenia*. Z tyłu były ławeczki, trawniki, klomby z kwiatami oraz stojące na cokołach pomniki mitologicznych postaci. Świeciło jesienne słońce 1992 roku. A jeszcze dalej był, rósł sobie, szumiał rozległy baśniowy las. Po wojnie rezydowała tu komendantura wojsk radzieckich w Niemczech Wschodnich. W głębi lasu znajdowały się jeszcze jakieś wieżyczki, ogrodzenia, okopy i anteny. Po oddaniu pałacu na cele cywilne stworzono w nim międzynarodowe centrum stypendialnego pobytu dla poetów, pisarzy, malarzy, tłumaczy, fotografików i innych wszelkiej maści artystów. Nie sposób po latach przywołać wszystkich wspomnień z tamtego czasu. Zapamiętałem wspinały wieczór, a właściwie noc w plenerze, przy wielkim ognisku. Wiał potężny, jesienny wiatr,

tchnęło metafizyką. Inną przygodą, na którą chętnie pisałem się, zwłaszcza w czymś towarzystwie, były długie wycieczki rowerowe po okolicy. Największe wrażenie zrobiły na mnie pola, nigdy wcześniej nie widziałem tak rozległych, aż po sam horyzont ciągnących się połaci. Któregoś ranka wyszedłem na spacer, jaśniało cudowne słońce, niskie słońce kładło się na ozimie, nad którą stało także pasemko mgły. O tych polach napisałem w wierszu, także o tym jak gromadą w zimną gwiazdzistą noc idziemy do pobliskiej wioski na bilard. To byliśmy my. Poeci i malarze, słyszeliśmy głosy. Lioba, Diana, Dina, Carsten, Michael, Ruth, Stefan, Maimu, Ingrid, Thomas, Frank, Mihai, Cornelia, Teodora, Regine, Manfred, Martin, Christiane, Christian i Christel. Czy pamiętają jeszcze ten szalejący huragan i ognisko nad stawem w listopadową noc w lesie...? Każdy z innego kraju, snu i pamięci.

J. S.

Zwróciła moją uwagę niewątpliwie urokiem swojego wnętrza, co wyrażało się także w rysach jej twarzy, w uważnym patrzeniu, włosach i delikatnych tonacjach głosu. Myślę, że był w niej świat warty poznania, ale nie było mi dane zbyt blisko do niego dotrzeć. Dwa razy w jej domu piłem kawę, w ładnych porcelanowych filiżankach, także trochę wina z owoców winorośli oplatających ścianę, jadłem placek. Kilka gestów i spojrzeń, zdań niezbyt rozwlekłych. Ciągnęło ją do poezji, sztuki, spraw tajemnych i filozoficznych. Kilka zdań o baśni życia udało się J. opublikować. Aż tu któregoś dnia, nagle, tak po prostu, dowiaduję się, że J. od kilku miesięcy nie żyje. I już nic, nic więcej, ponad to zaskoczenie nie da się powiedzieć.

Elena

Chciała mieszkać w Polsce, więc zrobiła wszystko, by to osiągnąć. I swoim uporem, wigorem życia, niespożytą energią, dopięła swego. Mąż był rosyjskim wojskowym, więc wrócił tak jak i inni wrócili do swojego kraju. Elena wołała uwolnić się od niego. Została tutaj, drobna, o ładnej figurze, nieco krzykliwa, bezpretensjonalna, zaradna, pełna zaangażowania i fantastycznych pomysłów, ciągle zmieniała mieszkania, pędziła przed siebie, nie miała czasu. Z początku miała się różnych podrzędnych zajęć.

Później jej pasją stało się malarstwo, z którego próbowała żyć na przeciętnym poziomie właśnie w Zielonej Górze. Dzielnie dźwigała swój ciężar. W malowanie kwiatów wkładała swoją duszę. I nagle śmierć. Stało się serce. Koniec.

Kobieta

Mógłbym swoje życie adekwatnie, wiarygodnie, w pełni (z tą pełnią to jednak trzeba uważać) i co tam jeszcze, opisać przez pryzmat mojego myślenia i bycia z kobietą. Jest to do zrealizowania. Tu zawiera się centrum wszystkiego, wszystkich spraw. Ten drugi świat, kobieta, składa się na pełnię. Moją i nie moją już. Z punktu widzenia kobiety sprawy jawią się podobnie, choć mają inne zapewne zabarwienia i inną konkretność.

Poezja

Nie napisałem prawie żadnych wierszy o miłości, ale przykłady Petrarki, Nerudy, Eluarda, Hafiza, Pieśni nad Pieśniami działały silnie na moją wyobraźnię. Niejeden raz w głębi duszy myślałem o czymś podobnym. Napisać cykl dobrych tego typu wierszy. I już nie musiałbym niczego więcej pisać. W tej sferze liczyłoby się wspięcie na sam szczyt słowa. Gdyby to się udało. Kobieta jednak na szczęście pojawia się w wielu moich liniijkach. Przynajmniej tyle.

Kwartet

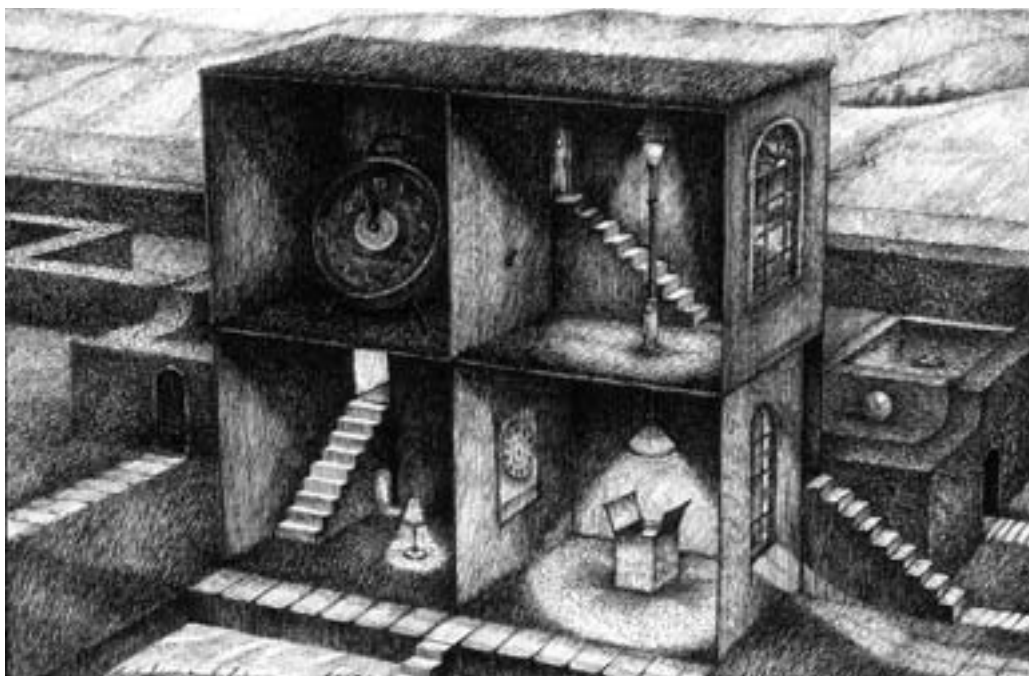
W tklwym śpiewie skrzypiec, w wyprowadzanych tonach, dokładnie wybrzmiewających, subtelnych, przeciąganych, wydłużających się w coraz cieńszą i wyższą muzykę, gdzieś daleko w przestrzeń, tę kosmiczną i człowieczą, w tym wszystkim można usłyszeć miłość. Także płacz.

Tak naprawdę

Trzeba wiedzieć, że pisanie o czymś ważnym, bardzo ważnym, w poezji niczego nie gwarantuje. Liczy się tylko nadanie słowu mocy znaczenia. Jedynie to. Takiej mocy, że wprawia czytającego w zafrapowanie. To się jednak udaje uzyskać lub nie. Na pewno rzadko się udaje. Decyduje sekret bardzo indywidualny. Sam piszący nie ma na to gotowej recepty. Dopiero akt twórczy przynosi odpowiedź. Inna rzecz, że niektórym twórcom to przychodzi łatwiej, a innym w ogóle.

Człowiek

Człowiek się zepsuł. Już go mało. Roztrwonil samego siebie. Podeptał wartości. Sprzedaje się za marne pieniądze. Zabija za pieniądze. Lub z powodu wydumanych ideologii. Wypalony od wewnątrz. Wyzbyty zasad. Nie ma respektu dla żadnej świętości. Wkroczyć tu może już tylko Bóg.



Fajny facet

Interesować się kobietami zacząłem w wieku 15–16 lat, normalnie. Kończyły się lata pięćdziesiąte. Do Polski Ludowej nawiewało zapachy z Paryża: Saint Germain, Monmartre, szansonetki, film francuski, Sartre, Camus, w księgarniach MPIK podziwiać można było akty Amadeo Modiglianiego w reprodukcjach. To wtedy mówiło się o atrakcyjnej dziewczynie: kociak. Potem było: babka. Panie, to babka? – pytał w Kabarecie Starszych Panów Wiesław Gołas w roli erotomana-krótkowidza, wskazując na obrazek w gazecie. Nie, proszę pana, to jest rudowłowiec Sołdek w porcie gdyńskim – odpowiadał Jeremi Przybora. A to babka? Też nie, to jest, proszę pana, spustowy Roman Ociepa przy Wielkim Piecu. A to, to, panie, to babka? A to tak, to babka. Ale babka, panie! No nie? – ucieszył się w końcu krótkowzroczny.

„Babka” utrzymywała się właściwie bez zmian aż do mego wyjazdu z Peerelu w 1981 roku. Na granicy na łapie ładna enerdownska celniczka zabrała mi 180 marek wschodnich, do dzisiaj nie oddała. Wkrótce potem zacząłem dostawać z kraju odpryski kwitnącej pod stanem wojennym kultury polskiej na kasetach. Najpierw usłyszałem „towa” („założymy grupę z towarami super, damy pod muzykę zrobią gimnastykę” – śpiewał Franek Kimono alias Piotr Fronczewski). A potem przyszła „laska” – funkcjonuje do dziś. Całkiem ona jeszcze niezła laska – wyraził się ktoś publicznie o pani prezydentowej Kwaśniewskiej.

Natomiast jak dalece sięgnę pamięcią, to męskim odpowiednikiem tych tu wymienionych synonimów

dziewczyny, kobiety, był stale i niezmiennie – „facet”. Fajny facet, przystojny z niego facet, Lucy ma nowego faceta, a jak tam ten twój facet, skąd ty wystraszyłaś takiego faceta, ach cóż to za okropny facet! Co prawda mi się kołacze po zwojach, że o Franku Kimono mówi się w jednej piosence „kot”, ale czy to jest tak zwany wyraz pospolity, czy też określenie incydentalne, indywidualne owej Joli, co Franka rwie w dyskotecę?

Otóż to: nie Franek rwie, lecz jest rwany – przez łaskę imieniem Jola.

I mamy oto wiek XXI, schyłek pierwszej dekady i co ja słyszę w polskiej telewizji TVN z ust pięknych i swobodnych w obejściu moderatorów programu „Miasto kobiet”? O facecie mówi się „ciastko”, „ciacho”. Patrz Zosia, co za ciacho! Schrupać to ciastko, mniem!

Ich finde, toll – mówią Niemcy. Lecz było, minęło, o mnie już „ciacho” nikt nie powie. I nie chciałbym. Chociaż, bo ja wiem?

Faciak

Doktor Faciak mówi: „Faceta” (wyraz spokrewniony z „faceją”, zob. w słowniku Brücknera), tak jak i wszystko w kulturze basenu Morza Śródziemnego, wymyślili faceci – nie babki, nie laski, nie „dziewczyny”. Te „wyzwolone” tak o sobie mówią: Słuchajcie, dziewczyny... – zwraca się pani moderatoro do „dziewczyn” w jakimkolwiek wieku w feministycznym programie TV.

Feministki by Faciaka zasztyletowały za te jego „wszystko w kulturze wymyślili faceci”. Przecież nie wszystko – myślę sobie. A Maria Skłodowska-Curie to pryszcz, a kobiety – świetne pisarki, wspaniałe artystki?

Faciak jakby czytał w moich myślach: No, oczywiście, powiada, mamy parę ważnych nazwisk rodzaju żeńskiego w nauce. Maria Skłodowska-Curie – kto jeszcze tej miary? No, w sztuce, zwłaszcza baletowej (tu Faciak uśmiechnął się pod wąsem), w literaturze, a zwłaszcza w poezji (znów się uśmiechnął), tu, owszem znajdzie się sporo ważnych dla dziejów kultury żeńskich nazwisk. Ale... Faciak wyjmuje z półki książkę, pokazuje tytuł: *100 Philosophen*. Tłumaczenie z amerykańskiego. Filozofia czyli „umiłowanie mądrości”. I masz tu stu tych mądrych: sami faceci! Stu facetów filozofujących w przeciągu prawie trzech tysięcy lat kultury europejskiej. Stu. I ani jednej kobiety. Autor książki też facet, oczywiście.

Faciak 2

Jestem w Grünewaldzie w willi u Faciaka, gdzie miesi się również jego kancelaria adwokacka. Mecenas trzyma w ręku małą książeczkę. Przeczytam ci życiowych parę rad do codziennego stosowania – mówi. Czyta:

BĄDŹ ASERTYWNY – RADY NA DOBRY POCZĄTEK
Nie daj się zmusić do robienia tego, czego nie chcesz
Używaj słów „tak” i „nie” zgodnie z tym,
co naprawdę myślisz
Wypowiadaj się jasno i zwięźle
Oceń uczucia i potrzeby drugiej osoby
Bądź uprzejmy, ale twardy
Bądź szczery
Nie urządzaj przedstawień ze swoich emocji
Bądź elastyczny, gotowy do negocjacji
Stawiaj czoło problemom
Nigdy nie bierz na siebie więcej pracy niż jesteś
w stanie wykonać
Zachowuj spokój

Faciak pokazuje okładkę książeczki. To jest praktyczny poradnik zawodowego i życiowego sukcesu dla kobiet. Autorka Judi (chyba Judy?) James. Wydał „Twój Styl”, 2003. Czytając, zmieniłem rodzaj gramatyczny z żeńskiego na męski. Co powiesz na to?

Pan Rysio

Pan Rysio wypił piwo, przegląda stare numery pisma feministek „Zadra”, co zostały po Be. Wiesza pan, te kobity tak się skarżą, rzucają się, że oni pijaki, mąż żonę bije, kurwiarze, samą ją zostawił z trójką dzieci, siedemnastkę sobie wziął, alimentów nie płaci. Film taki widziałem, owszem, bywa. Inny znowuż o Turkach tu u nas w Niemczech. U Turków inny porządek, ale to są muzulmani. Oni Koran na serio biorą, nie tak jak my Ewangelię, odklepał Polak katolik pacierze i dalej swoje. Ja tak patrzę po znajomych małżeństwach, tu w Niemczech czy w Polsce za jedno, to wszędzie, jak Boga Kocham, facet taki malutkie są. Baby rządzą, kręcą szyjami głowy. I bez różnicy, profesor czy robotnik. Mieliliśmy w zawodówce takiego starszego profesora, od behapówki, rosyjskiego też uczył. Że nie nauczył, nie o to się rozchodzi. Ostry był, że ha, jak ognia go baliśmy się. Ale równy gościu okazał się, bo po egzaminach już zaprosił całą naszą klasę do domu, jako wychowawca klasy. I co ja widzę. Żona wielka baba, czterdziesty trzeci numer buta, zabawia nas rozmową, a do niego: Adasiu (Alojzy miał na imię), przynieś dla młodzieży ciasto, wstaw wodę na herbatę. Adasiu, czemu wodę rozlałeś? A on skacze koło niej. Spotkałem go parę lat potem w Międzyzdroju, nie ten człowiek. Opalony, wesoły, do Baški zaczął się dostawiać. Ja się pytam: A żona pana profesora, też jest z panem na wczasach? Żona zmarła w zeszłym roku – on na to i oko do mnie puszcza. Ale też wkrótce umarł, długo nie nacieszył się wolnością, dowiedziałem się potem od jednego kolesia. Albo weź pan tego Mayera z mojej klatki. Ja zachodzę do niego, mówię: Klaus, pójdziesz na piwo? On nerwowo na żonę zafilował, co ona na to. A ona: Nie, nigdzie on nie pójdzie, musi mi przy sprzątaniu zaraz pomagać. Nadto picie ma verboten do niedzieli. Kara za wczorajsze. O co chodziło, nie wiem. Mayer ręce rozłożył, tyle że splunął ukradkiem na podłogę. Ale zaraz schylił się i wytarł. No, dobrze, że stara nie widziała. Ale są też takie, co w aksamitnych rękawiczkach. Niby, że on szef, on zarabia, ale baba swoje zawsze przeprowadzi, jak chce. Chłopy się poddają, z wygody chyba, z lenistwa albo inni ze słabego charakteru. Mayer mówi: A co się będę z głupią babą szarpał.

Rysio zamyślił się. Nie powiem, też nie byłem do Baški ten mocny. I może przez to, jak przyjechaliśmy

do Niemiec, poszła jak w dym za tym jakimś Lehmanem, czy jak on się nazywa. Teraz ona Lehmanowa, domek z ogródkiem mają. Cudze dzieci chowała, córkę chciała mi zabrać, ale sąd zostawił przy mnie. I co, wychowałem. Piękna panna Marcysia wyrosła, moja Rose-Marie, no nie?

No tak.

Faciak 3

Nie tak dawno temu przytapałem Faciaka z Jimem Beamem. Siadaj – mówi Faciak – kuzyn mi przywiózł z Warszawy walizkę książek. I tę butlę też. Patrz tu. Pisarka Manuela Gretkowska znów coś napisała nowego – z życia własnego i swojej rodziny. Sprawozdanie, jak kobiecą partię zakładała. Od sztuki literackiej to już dosyć odległe jest. Tytuł *Obywatelka*, wydawnictwo Świat Książki, 2008. Faciak pokazuje książkę, patrzę i podziwiam na okładce siwą piękność w dzinsach i w za dużej męskiej marynarce. Otóż, ciągnie Faciak, zacinając się trochę, powiada obywatelka Gretkowska, że „Polska jest kobietą”. Dobry na kobiety slogan, jak „Nie dla idiotów” na nie-idiotów, albo na Polaków „Polak potrafi”. Albo na Niemców „Deutschland erwache”... – było.

Ten sam nurt kulturowy – wchodzi na obroty Faciak – w którym płynie autorka wydanej przed laty powieści *My zdies' emigranty* (świetny debiut to był młodej pisarki, obiecujący), niesie młode artystki postkonceptualistki, których wystawę widziałem parę lat temu w galerii Neuer Berliner Kunstverein. (I ja tę wystawę widziałem, jedną z uczestniczek miałem później nieprzyjemność poznać bliżej przy okazji wspólnego międzynarodowego projektu: arogancka młódka, zdecydowana „na sukces” po trupach, nie lubię, że wspominam mściwie, to dlatego, żem czuły na punkcie arogancji „młodych” – wobec „starych”. Ale cóż, i chłopak też mógł być – taki.)

Faciak: W owej wystawie w NBK brała też udział m.in. Dorota Nieznalska, która wypłynęła w „obiegu artystycznym” (po niem. „Kunstbetrieb”) przez to, że dwóch orientacji bogoojczyźnianej posłów do sejmu poszło w Gdańsku na wystawę, by podać młodą artystkę do sądu za bluźnierstwo przeciw Bogu i obrazę uczuć religijnych wszystkich Polaków. Z tego miała Dorota korzyść, że zrobiła się znalska, a na tym właśnie zależy bardzo artyście. Na pieniądzech nie tyle. Natomiast skutek szumu wokół sprawy, wielu

snardzów i snardzek, jak wyraża się Witkacy w *Niemitych duszach* (proponując tym zastąpić „facetów – i facetki”!), którzy nigdy w życiu nie byli na żadnej wystawie – i nie będą – zetknęło się przez telewizję z dzisiejszą „wysoką” sztuką, z jej frapującymi okazami, tak różnymi od seryjnie malowanych pejzażyków i kwiatów w wazonie oraz od przeciętnych pomników ku czci, które możemy oglądać jak Polska długa i szeroka, jadąc mercedesami i volvo, a przy najmniej fiatem z bielskiej fabryki, co dyrekcję ma w Turynie. Faciak przerwał tok: Napijesz się ze mną? Nie, dziękuję, jestem na bocyku. Wracając do Niemiec, do Berlina – ciągnie swą nić Faciak – wystawa w NBK to był *Biały mazur* kuratorki Andy Rottenberg, byłej dyrektor warszawskiej Zachęty, wiesz, znasz sprawę z Maurizio Cattelanem, o kamień obraży potknęła się polka. Biały mazur, to że niby „panie proszą panów”, w tańcu im powiedzą, co muszą, na co kategoriyczny imperatyw mają. Owszem, bardzo dobra wystawa, „wysoka” sztuka „nowa” („nie-tradycyjna”). Ostro, agresywnie występują dziewczyny (młode kobiety) – artystki. Tylko dlaczego ta sztuka „przeciw facetom” ma być akurat? Dorota Nieznalska na przykład wystawiła maskę przeciwgazową z czarnej gumy, z gumy kondomy też są, bywa że czarne. I co, że pani prosi do mazura pana tak ubrana? Dlaczego pana, mnie się zdaje, że tę maskę to mógłby też zrobić facet i to nie przeciw snardzkom – czy snardzom jakimś, tylko po prostu – „przeciw”. Przeciw Czemuś na Be. I tymże samym „za” Czymś na De, za Czymś „dobrym”, „pozytywnym”, na Pe. Przeciw Czemuś Złemu, żeby na Dobre wyszło. Nie?

Faciak łknął whiskacza ze szklanki. *Biały mazur* – fajny tytuł dla wystawy. Białe tango. Lecz do tanga trzeba dwojga... – zanucił fałszując. No nie?

Faciak 4

Późny wieczór. Siedzimy z Faciakiem (Faciak jest dr. jur., w 1977 roku na Freie Universität Berlin promoviert, potem dłuższy czas pracował w Polsce w ambasadzie RFN; urodził się w parę miesięcy po wojnie z ojca robotnika przemysłowego, Faciaka, złowionego w Warszawie 1943 w łapanie, który miał szczęście wylądować u „dobrego bauera” w Bawarii, koło Landshut, i matki, córki owego bauera, nazwiskiem Babeck; Hitler musiał zdechnąć, by rodzice mogli się pobrać, bardzo się kochali, oboje już nie

żyją, pochowani w Berlinie na Ruhrleben; Faciak dwujęzyczny, bikulturowy, taki Polakoniemiec czy też Niemcopolak, już w czasie studiów w latach 60., w tym trzy semestry na UW, zmienił nazwisko na Kerlin, ale dla mnie on jest Faciak), więc siedzimy u mnie w kwaterze przy herbacie i szarlotce, sam upiekłem, z jabłek lubuskich poniemieckich, stara jabłko przy kościele rodzi co rok, choć próchniej. Spróchnieć nie może. Co tam w TV Polonia? – pyta Faciak. Włączam pudło, jakaś dyskusja, akurat znana feministka każe pewnym głosem. Wyłączyłem. Faciak o feministkach: Część kobiet, które się deklarują jako feministki, to są kobiety, nawet jak niektóre koronkowe majtki noszą. Mnie tam za jedno – Faciak zaśmiał się z goryczą – kobieton w jakichkolwiek majtkach czy lolitka bez majtek. Zamyślił się, uśmiechnął do jakiegoś wspomnienia. Ale to jest ekstrema, 95 procent to są normalnie kobiety, takie czy owakie. Natomiast bodajże wszystkie te walczące, to chciałyby „zrównania z mężczyznami”, ale żeby przy tym zachować tradycyjne przywileje kobiety wobec mężczyzny, to znaczy, by mężczyzna adorował, kupował kwiaty, otwierał drzwi do restauracji i tak dalej. W domu mąż ma prać, prasować i zmywać, gotować to pod kierunkiem. Czego właściwie taka żona nie odmawia mężowi, to by chodził na polowanie. Polowanie na pieniądze. Ma przynieść i jej oddać. Faciak patrzy w zadumie na obraz, wiszący mi nad głową, na którym napryskane jest białą farbą: *Geld macht frei*. Obraz z napryskiem zrobiony na starym oleodruku z Hansa Holbeina Młodsze (1470–1540), portrecisku młodego bankiera, kupca Georga Gisze, który prześwituje przez namalunek. Faciak o feminizmie: Wiesz co, w wymiarze społecznym to jest właściwie część całości, ten feminizm cały – powiada, kręcąc papierosa. Część ogólnego problemu społecznego upośledzenia słabszych przez silniejszych. Cudzoziemcy, starcy, kobiety, inwalidzi, osoby „kochające inaczej”, dzieci molestowane przez wujków, rodzice umęczeni przez dzieci i tak dalej. Kobiety ilościowo się wybijają jako mniej więcej połowa ludzkości, więc i cały szum. To jest dla mnie sztuczne. To jest przede wszystkim platforma dla ambitnych pań. Wchodzenie do kultury przez tworzenie subkultury. Te ambitne tam coś dla ogółu załatwiają, ale przede wszystkim załatwiają swoje kariery, swoje kompleksy, swoje potrzeby świecenia, rządzenia.

Aliści... – Faciak sięga po ciasto, poprawia się na poduszkach – feminizm, mój drogi, jest zjawiskiem

historiozoficznym, kolejnym ideologicznym „izmem” w historii kultury. Zwróć uwagę... Każde stulecie ma swoje „izmy”. Wiek XIX był wiekiem nacjonalizmów, wiek XX totalizmów, wiek XXI będzie wiekiem feminizmów. Feminizmów, bo on niejedno ma imię. Są różne feminizmy...

Faciak szmerze dalej, a mnie przypomniało się, co pani Lessing powiedziała o feministkach w wywiadzie dla niemieckiej TV. Żeby jej z feminizmem nie łączyć. Niezależność, swoboda obyczajowa to jeszcze nie jest feminizm. W całym tym ruchu kobiet liczy się tylko to, co się uda wywalczyć w dziedzinie prawa. Tylko to i nic więcej. Ale to nasze panie feministki dzisiejsze zdaje się mniej interesować... Tak powiedziała stara pisarka dziennikarce, na pożegnanie, przy furtce.

Faciak umilkł, zasnął w fotelu. Zmęczony. Herbaty nie dopił, skręć dymi mu między palcami. Wyjąłem, dogasiłem w popielnicy. Przyniosłem pled, przykryłem Faciaka.

Dobek

Z Dobkiem znamy się 50 lat. Razem przeszliśmy szkoły, byłem świadkiem na jego ślubie, on na moim. Dobek żali się na żonę. Dobek: Widzisz, nie idzie się dorozumieć z kobietą. Ja o całości, a ona o częściach. Ja mówię: Sylwka, coś z nami niedobrze, trzeba dbać o tę miłość. Tymczasem ja o wartościach, a ty o pieniądzach. A ona na to: Bo za dużo nas te twoje wartości kosztują. Miałeś wczoraj przyjść o trzeciej, przyszedłeś o pół do piątej. Cietrzew się spalił, zostawiony bez dozoru! Ja wyjść musiałam do fryzjera. I jeszcze co mnie dołuje u niej, że jak coś jej niewygodne, to nie ma, nie istnieje. Zaraz po weselu naszym, pamiętasz, mówi: Co, ja się całowałam za szafą z Woźniakowskim?! No chyba ci się śniło!

Dobek zadumał się na chwilę. Śniło mi się... – westchnął z goryczą. Później ten jej romans, co wiesz... Miłość ci wszystko wybaczy. Sarka się miała urodzić wtedy, po Grzesiu... Myślałem... bo ja wiem? I przez całe życie te jakieś humory, raz gorąco, raz zimno. Już prawie 40 lat. Kiedyś to się równoważyło... miłość ci wszystko wybaczy. Miłość...

Wiesz, Filip – ciągnie Dobek – ja bym tak chciał do niej móc powiedzieć: Sylwka kochana, jaki fajny facet z ciebie jest... Jak do ciebie mówię, Filip! Jak Boga kocham, Filip!

Białowice, XII 2008 – Berlin, I 2009

#25

w powietrzu unosi się zapach zemsty.
kalorie domagają się spożycia
a pies wypuszczenia na nocne powietrze.
trzech wiernych mężczyzn
patrzy jak zdradza ich z butelką wódki.
pod łóżkiem leży nieznośnie ciężki Kundera.

#21

zaparzyłam kawę
dla ciebie też
znajdzie się kawałek podłogi
gdzie możesz nie rzucać się w oczy
zwyczajnie nie przeszkadzam
w twoim umartwianiu się
nad rozlaną herbatą
wsiąkła w dywan
zostanie plama
cytryny
wypełniają atmosferę
pokoju
nie będzie

#13

leży. patrzy w jeden punkt
na ścianie. kiedyś do niej dzwoniłeś jękając się i
całując uszy drżącym głosem.
teraz przesuwam myszką po pulpicie,
szukając miejsca dla siebie.
kiedy przyjdiesz i ponownie
poczęstujesz ją papierosem –
– odmówi – nie rozmawiam
z nieznajomymi – powie.

#22

i tak zostałam
z walizką
pełną jabłkowej
herbaty
jeszcze tylko
zgaszę papierosa
na czole
naszej miłości
znów mogę się
uśmiechać

Tabloidyci

Niechętnie sięgam po uprawianie słowotwórstwa, wszak tworzenie neologizmów może być poczytane jako wyraz „łysiakowszczyzny”, swego rodzaju próby naśladowania mistrza retoryki pisanej, a wcale do tego nie zmierzam. Trudno mi jednak obojętnie przejść wobec powszechnego aktualnie zjawiska ulegania manipulacji medialnej przez ogrom obywateli, ba, wręcz dostosowywania przez nich sposobu myślenia narzucanego za pomocą socjotechniki.

Czym są tabloidy – wiemy. Kim więc są proponowani przeze mnie z nazwy tabloidyci? Otóż za tabloidytów uważam ludzi (nie zawsze mniej inteligentnych) odbierających informacje i sugestie podawane przez wszelkiego rodzaju media (prasa, radio, telewizja – perełkami w nich są sterowane panele i wywiady) jako niepodważalne fakty, prawdy historyczne oraz sposoby na życie.

Ujmując rzecz trywialnie, czyli tłumacząc „na jabłuszkach i gruszkach”, tabloidyta to osobnik, który przyjmuje i stosuje w całej rozciągłości „prawdy i prawa” przekazywane przez manipulującego socjotechnika za pomocą mediów. Tabloidyta odbiera te prawdy jak pokazany mu przykryty garnek, przy czym nawet nie próbuje przykrywkę owego garnka unieść i zajrzeć do środka. A właśnie dopiero tam mógłby zobaczyć i zrozumieć powody oraz sposoby serwowania tak skłonnych poglądów i sugestii.

Sugestie te dotyczą wszystkich dziedzin naszej egzystencji, od kulturalnej i obyczajowej aż do polityki. Co do tej ostatniej uroczymie oświadczam, że jestem osobnikiem z gruntu apolitycznym i bezpartyjnym,

wszelkie zaś moje wrażenia i odczucia w tym zakresie ewokują dopiero wówczas, kiedy zderza się to z zaszczepioną mi jeszcze w dzieciństwie logiką i zdrowym rozsądkiem.

Zacznę od sfery obyczajów, tj. otoczki dotyczącej tzw. stylu życia, poszerzonej wszakże o elementy sterowania całymi masami społeczeństwa. Nie będzie nowatorstwem stwierdzenie, że na ogół znamy już chwytły reklamowe producentów służące jednemu celowi – sprzedaży swoich towarów. Zdążyliśmy już oswoić się z nachalnym narzucaniem za pomocą fikcyjnie proponowanych cen, np: „Już od 200 zł!” (czytaj – przynajmniej 400), wypychaniem braków i przeterminowanych produktów (kto pracował w handlu wie, na czym to polega) i w większości umiemy reagować na tego typu reklamę. Świetną alegorią jest następujący przykład. Wchodzę przypadkiem do jakiegoś sklepu, a tam od razu witają mnie słowami: „W czym mogę pomóc?” Używam wypracowanej odpowiedzi: – „Jakże jestem wdzięczny. Potrzebuję pieniędzy”. Chwilowa konsternacja, lecz gdy sprzedawca konstatuje, że nie jestem tępy i nie dałem się na wstępie wmanipulować w postaci typowej ofiary, wówczas staje się oziębły. O dziwo, mimo wcześniejszej propozycji już nie chce mi w niczym pomagać, stałem się jego wrogiem, ponieważ obaliłem podstawowy chwyt socjotechniczny. Zamiast uległego klienta jawię się jako ordynus o wiele bardziej trudny do obróbki.

Zakładam, że odróżniamy i potrafimy potępić arogancję i beczelność hasła: „Kup, nie bądź idiotą!”

Producent, wprowadzie w rękawiczkach, ale otwarcie pozwala sobie na klasyfikowanie nas niczym rogaciznę według swoich kryteriów. Stado, czyli my, powinniśmy to przyjąć, dostosować się (czytaj: kupić), w przeciwnym przypadku okażemy się głupi, bez klasy, nie europejscy (sic!) i podobne tam frazesy.

A działać to ma na przykład tak... Osobiście mi znany osobnik naoglądał się mnóstwa reklam dowodzących, że przed każdym zabiegiem szpitalnym powinien zostać zaszczepiony przeciwko żółtaczkę, ponieważ kilka przypadków zakażeń na ziemskim globie już wykryto. To samo z grypą – tylko szczepionka ocali ci życie i chorobie zapobiegnie. Tenże obywatel z największym zaufaniem przesunął termin planowanej operacji i mimo narastających bólei poddał się kilkumiesięcznemu cyklowi zbawczych zastrzyków. Jakież było jego zdziwienie i frustracja, kiedy ze złotych ust mediów usłyszał kolejne objawienie, że niestety, zastrzyki już same w sobie powodują u wielu osób anoreksję lub zespół ADHD. Pierwszy objaw ADHD nasz bohater natychmiast zauważył u siebie, kiedy to z wściekłością rzucił kapciem w telewizor. W efekcie pozostał z niedokończoną serią zastrzyków, niszczącą chorobą i poczućciem „wystawienia do wiatru”. No, może nie całkiem, ponieważ w kolejnej reklamie usłyszał o następnym zbawczym środku – pigułkach. Dzisiaj posłusznie łąduje w sobie całe zestawy tabletek, walczy z bólami i biegunką oraz czeka na kolejną życiodajną receptę. Oczywiście dowie się o niej z mediów.

Kolejny obrazek telewizyjny z tabletkami w roli głównej. Mówi spikerka: „Badania wykazały, że Polacy są zestresowani” i zwracając się do specjalisty poważnego instytutu dopytuje: „Panie doktorze, co możemy zrobić, jak zaradzić tej strasznej epidemii?” Nobliwie wyglądający lekarz odpowiada: „Jedyne, co możemy uczynić dla ocalenia życia tych nieszczęśników, to zaproponować im pigułki z...” Tu padają nazwy pierwiastków: „magnezem, potasem, wapniem, solą...”, itd. „Mogą je kupić bez recepty w...” Takie niewinne obrazki wmanipulowania w sieć sprzedawców to jednak zaledwie drobiazg, dotyczą przecież tylko próby upłynnienia towaru.

Przykładem manipulacji społeczeństwem na prawdziwie wielką skalę są działania tzw. ekologów. Jako ogół nie zdajemy sobie sprawy z perfidnego stosowania marksistowskiej dyalektyki, polegającej na serwowaniu nam tylko tzw. finalnych prawd i całej rzekomo naukowej teorii postępowania w docho-

dzeniu do takich wniosków. To już nie dotyczy handdelku w marketach i reklam producenckich, tutaj usiłuje się narzucić nam swój punkt widzenia za pomocą oszustwa, zrealizować swoje cele wma- wiając nam, że sami tego chcemy. Zapomnijcie ludzie, że każdy skutek ma przyczynę. O nie, spójrzmy na te „prawdy” serwowane przez media od środka. Zupełnie naturalnym i prawidłowym celem działania prawdziwej ekologii jest dążenie do zachowania równowagi w przyrodzie i powstrzymywanie nadmiernej ingerencji człowieka w tak fantastyczne dzieło, jakim jest matka Ziemia. Wszyscy jak najbardziej popieramy tego typu działalność. Jest jednak pewne „ale”!

Znajomy zapytał kiedyś swego inteligentnego syna, kim chce być w przyszłości i w odpowiedzi usłyszał: „Chcę pracować w biznesie ekologicznym, tam się najwięcej zarabia”. Kuriozum? Skądże! Już udowadniam. Jesteśmy powszechnie zastraszeni efektem cieplarnianym, spowodowanym głównie nadmiernym wydzielaniem CO₂ w atmosferę. Według wyliczeń naukowców trzcielami są oceany i sama natura, natomiast działalność człowieka stanowi ca 5% tego haniebnego procederu. No i co? Konsorcjum ekologiczne ma gdzieś oceany (70% szkodliwości), bo i po cóż babrać się w olbrzymich kosztach ich oczyszczania. Natomiast w porozumieniu i współpracy z odpowiednimi korporacjami przemysłowymi zieloni „wycinają” inne, konkurencyjne. Na przykład polski węgiel. A przecież z prostej matematyki wynika, iż wśród tych skromnych 5% wydzielanego CO₂ spowodowanych działaniem ludzkim, taka Europa emituje raptem 15%, z czego nasz kraj z kolei ca 1%. Wyliczając te procenty procentów, stanowią one znikomą cząsteczkę. Skąd więc takie ataki na nasz przemysł węglowy? Ano cóż, dopiero pod przykrywką garnka możemy ujrzeć bulgocący wielki biznes. Przyszłe uzależnienie od obcych dostaw ropy i gazu jest na rękę ich producentom, właśnie to pozwoli im zarabiać krocie. Nie piszę tego, aby walczyć z biznesem, ja tylko odtajniam prawdziwe mechanizmy współpracy, pożałujcie Boże, ekologów z tymi korporacjami. Przytoczę następny przykład szlachetnej działalności zielonych – biopaliwa. Podobno mniej zatrują atmosferę, są lepsze, mniej szkodliwe etc. Cenzura korporacji, bo tak to działa, zataja jednak fakt, iż koszt wyprodukowania 1 litra biopaliwa jest wyższy od kosztu produkcji tradycyjnego paliwa (pal to diabli, zdrowie najważniejsze),

ale ukrywa także inny fakt – produkcja tegoż biopaliwa zatruwa atmosferę bardziej niż spalanie paliwa normalnego. To rzeczywiście jest kuriozum. Zrozumiemy to bardzo prosto, łącząc „ekologów” z finansującymi ich firmami od biopaliw, ich komponentów, kooperatorów i całej infrastruktury. Dopiero teraz widać, skąd wzięto kasę dwóch tzw. obrońców natury, wykupujących ziemię na trasie autostrady Rospudy i otaczających ją łańcuchem. Niby to młodzi ludzie, więc jeszcze się nie dorobili. Jednak nie pracują, bo siedzą i blokują. Kto w takim razie dał im fundusze na kupno takiej ziemi i w ekspresowym tempie załatwił formalności? Odpowiadam – korporacja ekologiczna z pieniędzy konkurencyjnych koncernów. Przykłady można by mnożyć: kto we Wrocławiu wpuścił motylka na teren (na razie pastwisko), gdzie ma być zbudowany stadion na Euro i ogłosił go unikalnym rezerwatem przyrody, aby potem zażądać olbrzymiego odszkodowania za ustąpienie? Właśnie w taki sposób działa złoty interes zielonych. Tylko laikowi może wydawać się, że szlachetni obrońcy przyrody biegają po lesie w zielonych fartuszkach i wytapują paskudnych brzydali wyładowujących tony toksycznych odpadów prosto na runo. Nie, oni tego nie robią, przecież to się nie opłaca. Odwrotnie, pilnują, by w sejmie nie ustanowiono, broń Boże, zbyt wysokich kar – przecież środowisko zanieczyszczają współpracujące z nimi koncerny.

Natomiast my – odbiorcy, poprzez opłacane i posłuszne media, oglądamy szlachetnych rycerzy-obrońców ziemi, zwierząt, pcheł i czego tam jeszcze, którzy okuci łańcuchami i kratami bohater-sko śpiewają pieśni o prawach motylka, glisty i jakiegoś innego gównojada, a wszystko to rzekomo w imię pokoju i ochrony matki przyrody. Co absolutnie nie przeszkadza tym hipokrytom w opluwaniu znanego patrioty za jego autentyczną miłość do zwierząt i przygarnięcie bezdomnego kota.

Dlaczego w ogóle odkrywam zawartość tego garnka? Po co ukazuję tę manipulację, przecież na zdrowy rozum zieloni sami mogliby powiedzieć, że to pieniądź decyduje o tym, co jest naturą, a co nie. Niestety, prawda musi być zakamuflowana, ludzie nie do końca są ogłupieni i sterowalni, jeszcze mają niezależne odruchy, potrzeba kolejnych zniewalających medialnych działań oraz czasu na dostosowanie stada do prowadzenia za nos. I właśnie słowo „zniewolenie” jest najważniejszym dla określenia celu reżimów korporacyjnych.

Aktualną sytuację znakomicie ilustruje obejrzany kiedyś przeze mnie występ M. Dańca. Otóż kabareciarz w którymś dowcipnym wątku poruszył temat tarczy antyrakietowej i spytał aktywną dotąd publiczność wprost: „proszę państwa, co sądzicie o tarczy?” Zapadła cisza, po długiej chwili zabrzmiał jeden głos. Jeden! W dodatku damski – gdzie te chłopcy? Nieważne, czy na tak, czy na nie. Ważne jest to, że całe tysiąc luda nie odważyło się opowiedzieć. Kabareciarz popatrzył po sali, po czym ironicznie się odezwał: „co, w telewizji jeszcze nie było?”

Otóż to. Stada jeszcze nie pouczone, w którą stronę ma zaryczeć. Tzw. poprawne hasło jeszcze nie padło. Pasterze nie wskazali owcom kierunku marszu, więc te zagubione kręcą się w kółko. I właśnie to są typowi tabloidyci, ci ludzie pozornie dorośli i z własnym zdaniem. Zaryczą tylko w stadzie, ponieważ boją się głosić własne poglądy. Posuną się w snobizmie tylko do naśladowania mody i stylu lansowanego przez oligarchów. Tacy są tabloidyci i do nich apeluję – to już najwyższy czas na naukę odróżniania prawdziwych intencji od narzucanych socjotechnicznie prawd wygodnych tylko dla manipulatorów. Ale cóż, tabloidyta wierzy w ich obiektywizm, w sondaże. A sondaż prawdę ci powie...

Falszowanie sondaży jest jednym z podstawowych zabiegów manipulatorów. Właśnie falszowanie, ponieważ nie można nazwać inaczej odpowiedniego doboru ankietowanych czy stosowania innych kruczków z ordynarnym dodawaniem głosów dla swojej racji włącznie. Wynik ma sugerować stadu opowiedzenie się za pożądaną przez sterującego opcją, baran ma pójść za większością i nie wystawiać pod pręgierz presji ankietera. Temu sondaże służą naprawdę i dlatego są bezzcelnie manipulowane.

Zajrzyjmy do kolejnego garnka. Pamiętamy, jak przed piłkarskim meczem Polska-Niemcy w którejś z polskich gazet pokazano obrazek trenera Beenhamera trzymającego w rękach zakrwawione łby piłkarza i szefa drużyny niemieckiej. Ów makabryczny wizerunek ozdobiono tytułem *Trenerze, daj nam ich głowy*. Sportowy polski światek zatrzęsł się w posadach. Natychmiast złożono przeprosiny i odznaczono od takich metod motywowania naszych sportowców. A cóż znajdujemy pod pokrywką? Właścicielem gazety jest spółka niemiecka. Zmobilizowała w ten sposób własnych niemieckich zawodników, najwyzej polecając polskim pracownikom pisma zamieszczenie takiego obrazka i treści. A ponieważ

gazeta wydawana jest u nas i w języku polskim, to nasi mieli pasztecik z rzekomą obrazą sportu i faszyzującą postawą rodaków. Ten przykład dotyczy piłki nożnej, manipulacja sięga jednak każdej dziedziny życia.

Prawdziwym hitem jest np. tytuł *Stocznie prawie uratowane*. Z treści dowiadujemy się, że oddanie naszych stoczni przez rząd to nic takiego, a w ogóle to one może kiedyś wróć, więc w sumie nic się nie stało. Nic? Wszyscy wiemy, że te stocznie zostały bezpowrotnie stracone, chociaż wystarczyło, by serwilistyczna władza powiedziała twarde „nie”. Tabloidyta czyta słowo „prawie” obleczone balastem różnych teoretycznych dywagacji i nie bardzo wierzy, że to już koniec. Nie widzi prawdy pod pokrywką, że przed wojną mieliśmy 20 km wybrzeża i 4 stocznie, a teraz 500 km oraz 4 plaże.

Teraz trochę o manipulacyjnych mediach, a ściślej o telewizji. Konkretnie zajmę się dwiema skrajnie adykalnymi stacjami – TVN-24 oraz TRWAM. Obie serwują tendencyjnie spreparowane informacje w myśl zaleceń swoich szefów – z jednej strony konsorcjum obcego, którego celem jest zrobienie z naszego kraju europejskiego pastwiska, z drugiej właściciela rodzimego, doktrynalnie skrajnego. Cóż znajdziemy w garnku? Zaobserwujemy w nich walkę o rząd dusz, walkę między kulturą tradycyjną opartą na dekalogu a antykulturą podpierającą się kartą podstawową, czyli tzw. dekalogiem nowym. W obu przypadkach nie przebiera się w środkach i w obu ideach człowiek nie ma prawa zmieniać przykazań, owszem, w antykulturze może być za takie próby karany jak przestępca tak pojedynczo, jak i w postaci całego narodu. Zapraszani do stacji goście są celowo dobierani razem z tematami, panele układane są tendencyjnie i gdyby słuchać i oglądać programy jednego nadawcy po drugim, to mielibyśmy wrażenie, iż żyjemy w dwóch zupełnie ze sobą sprzecznych światach. Tabloidyta każdej z tych stacji utopiliby drugich w łyżce wody. Czyżby więc antidotum na skrajne ideologie stanowiło odrzucenie oglądania tych stacji? Tego tabloidyta i tak nie życze, albowiem są zbyt otumanieni.

Ewenementem prawno-obyczajowym jest orzeczenie sądu w sprawie użytego epitetu „cham”. Jako że sąd jest niezależny i niezawisły od woli narodu i prawa moralnego, słowo „cham” przestało być obraźliwe, mimo iż za użycie go wcześniej sprawcy we wszystkich przypadkach byli skazywani. Nareszcie więc mamy wolność i prawo posługiwania się tym epitetem, no bo zauważą Państwo sami, że to żadna obelga, lecz określenie neutralne, żeby nie powiedzieć prawie pieszczotliwe. Zaleca się stosować je w stosunku np. do rodziców.

Jeszcze na teraz ostatni ważny przykład ciemnogrodu i ohydnej manipulacji. To portale i fora internetowe. Pojawiają się tam osobnicy zwani mendami internetowymi (powtarzam za red. Ziemkiewiczem), którzy działają w sposób zorganizowany. Ogromna część funduszy marketingowych dużych firm przeznaczana jest na ich wynagrodzenia. Mendy występujące pod setkami pseudonimów (np. misiek234) opiewają wyroby tych firm jako „prości ludzie”, tzw. vox populi. Partie polityczne używają do tego samego celu młodzieżowych bojówek, gdzie wyraźnie widać „przesłanie dnia”. Wszędzie te same mendy frazy i propagandowe tezy. Platformianie-bojówkarze działają na sztafpowe zlecenie, na określone hasło reagują zestawem określonych kontrhaseł, na określoną osobę oszczerstwami z gotowej ściągawki. Znajomy profesor wszedł kiedyś na takie forum. Wpisał swoją zdroworoządkową uwagę przeciwną lansowanej tezie. Zajrzał na forum po kilku minutach, jego wypowiedź była już daleko od ostatniej, za to otoczona czerwoną ramką. Po następnych kilku minutach została skasowana, a na forum pozostały tylko takie wypowiedzi, które były pożądane. I właśnie z tak redagowanych portali manipulanci korzystają, przedstawiając ich wyniki do sondaży jako głosy najwykleszych internautów.

Na koniec zadam pytanie tabloidyta: czy fundusze z UE są pozyskane (Unia nam daje), czy też są tak naprawdę częściowo odzyskane? Ufff... to też manipulacja.

Naprawdę warto zastanowić się, zanim uwierzymy lub bezkrytycznie przyjmijmy.

nie od razu wychodzę
a gdy przyjdę przez chwilę nasłuchuję

bo bezcenna cisza
gdy słyhać kartkę na biurku
breviarz z psalmami
powstający właśnie wiersz
trochę kawy w kubku

w takiej ciszy nawet modlitwy nie trzeba
bo ona sama jest
kiedy nie trzeba żadnych słów
gdy Jest

luty 2009

brnąć w śniegu
już nie myślę jak dawniej
gdy w kawiarni
w środku zimy
sączyłem myśli
że w górach z takim śniegiem
musi być pięknie

słyszac o Narodzeniu wyruszyłem
bo ta historia wydała mi się być inną od tych
które zwykłem dzielić między dłonie
które nie wiedzą
co talentem powierzonym
by plon stokrotny
a bogactwem
które rozdać
żeby na przestwór
gdzie tylko wąską drogą można

idę wierząc
że w drodze do Narodzonego
w końcu umrą we mnie obce bóstwa

grudzień 2005

Imieniny szefa

Przewodniczący zarządu grodzkiego partii rządzącej Stanisław Kaniuk już wczoraj wieczorem zamówił w bufecie teatralnym, gdzie najtaniej i dość smacznie podają, osiem kotletów mielonych i dwa schabowe, sześć kartoników soku pomarańczowego, cztery butelki wódki białej i butelkę czerwonego wina półslodkiego oraz półmisek kanapek. Wszystko to kazał wicedyrektorowi teatru przywieźć rano przed ósmą do swego gabinetu w biurze poselskim, część upchać w lodówce, resztę ustawić na stole. Spodziewał się wielu gości, jeszcze więc poprosił o kilka wazonów z prawdziwego kryształu, które już dawno kupiono dla laureatów festiwalu teatrzyków jednego aktora. Przygarbiony to chodził po gabinecie, to przyglądał się pustym wazonom, na moment przystanął obok biblioteczki, wziął do ręki jakąś książkę, przejrzał kilka stron, ale nie czytał, odłożywszy ją na półkę spojrzął na zegarek uczepony ściany nad drzwiami. Zaraz się zacznie, pomyślał rozpromieniony, sprawdzając, czy krawat jest lekko przekrzywiony, co oznaczało że przestrzega zasad aktualnej mody. Imieniny kosztują, ale przecież nie pieniądze są najważniejsze, liczą się prezenty, zapewnienia, obietnice, których tego dnia podwładni nie dzielą na kawałeczki. Jakby zapamiętać, co kto mówi i potem mu przypomnieć? A jeszcze lepiej zapisać albo nagrać i w razie konieczności mieć pod ręką.

Kto będzie pierwszy?... Co się zastanawiam, na pewno kanonik z proboszczami, po nich prezydent, posłowie, senatorowie i radni, no i pozostali z zarządu. A potem?... Tamci mogą nie przychodzić. Tylko czas zajmują. Ich życzenia nie mają żadnego znaczenia. A prezenty też jak dla dziecka. Niepraktyczna taniocza. Ale gdyby nie przyszli, Kaniuk wiedziałby kogo zmienić natychmiast, kto czuje się za pewnie, komu wystarczy pogrozić palcem.

Każdy miejski vip wyraźnie zaznaczył w kalendarzu dzień, kiedy przewodniczący świętuje imieniny, dlatego już wczoraj przed południem sekretarki z wszystkich banków, szkół podstawowych i gimnazjów, muzeum, biblioteki, ośrodka kultury, nawet z obu domu starców i komendy policji zamówiły kwiaty, tylko róże lub gerbery, najmniej dziesięć, najwięcej piętnaście w wiązance, do tego prezenty (akwarele i obrazy olejne miejscowych artystów, srebrne świeczniki z Chin, książki w cennej oprawie, wazony kryształowe, ewentualnie wieczne pióra z połączoną stalówką). Zaraz po zakończeniu comiesięcznego zebrania z prezesami kół Kaniuk ostrzegał, przypominał jak w zeszłym roku i dwa lata temu, gdy jeszcze nie był przewodniczącym zarządu grodzkiego partii, że żadnego upominku nie weźmie do ręki, nawet prezydenta miasta wygoni, ale czy może tak postąpić wobec przyjaciół? Ludzie przecież się starają i nie kupują tych prezentów za zaskórniaki, tylko za pieniądze firm. Wszystkim też wmawiał, że z imienin nie ma żadnego pożytku, bo zabierają czas, odrywają od nawału codziennych zadań i obowiązków, wprowadzają bałagan. (W dniach bez imienin też jest bałagan.) To i niektórzy uwierzyli grodzkiemu szefowi partii rządzącej, dlatego swoje imieniny wyprawiają wieczorem

w restauracji na Starym Rynku, skąd najbliżej do postoju taksówek. Gdyby ktokolwiek wyłamał się z obyczaju wprowadzonego jeszcze za poprzedniego systemu i zamiast imienin świętował urodziny, ludzie powiedzą, że nienormalny, nawiedzony, uzdrowiciel w pojedynkę.

Mimo że Kaniuk niecierpliwie czekał na pierwszych gości, był zadowolony, bardziej wesoły niż w inne dni, otwierał lodówkę i liczył butelki, wachał kotlety na stole, nawet sprawdził w portfelu, czy mu wystarczy pieniędzy, gdyby zabrakło wódki i musiał posłać asystentkę do marketu. Na razie wszystko gra, ocenił przygotowanie i usiadłszy za biurkiem zaczął nucić: „Chwalcie łąki umajone, góry, doliny zielone...”

– Toś prawdziwy szef najważniejszej partii w naszym grodzie! Pozwól, że *expressis verbis* złożę ci serdeczne życzenia. Czego ci życzyć, Stasiu?... Awansu na wiceministra, tak jak żeś se wymyślił, od dziedzictwa narodowego i kultury. No i żebyś w końcu porządną chatę wystawił, kupić wypasioną furę i miał na koncie co najmniej tyle, ile ja mam. Zdrowia ci nie życzę, boś zdrow jak byk mojego stryja Mikołaja.

Pierwszy był wiceprezydent Etnarcha, prosto z domu przyjechał do biura poselskiego, które było również siedzibą partii, kwiatów nie miał, wczoraj nie zdążył kupić, może i nie chciał stać w kolejce. (Zawsze po kwiaty biegła sekretarka, a kiedy miała coś pilnego do przepisania, prosiła pana Władzia, kierowcę o wiecznie zamkniętych ustach.) Wiceprezydent wyściskał solenizanta, z którym, jak często powtarzał, jedno pole, wskazane przez kierownictwo partii rządzącej, najsolidniej orze.

– A tu prezent – Etnarcha wyjął rudego kociaka z torby foliowej. – Kotka urodziła dwa. Jednego przyniosłem do ciebie... Drugiego też się komuś sprezentuje... No, jak podoba ci się prezent?

Kociak skulił się na stole i nim Kaniuk pomyślał, co odpowiedzieć na pytanie wiceprezydenta, prośbą czy wbił w kotlety.

– Głodny – stwierdził Kaniuk.

– Możesz mu dawać jeść pięć razy dziennie, zawsze będzie głodny. Taka kocia natura... Wiesz, kto jest jego ojcem? – Kaniuk rozłożył ręce, bo i skąd miał wiedzieć. – Kocur kanonika. Wszystkie kocięta na Dolinie Zielonej są po jednym ojcu.

– A to co innego – rzekł przewodniczący, zastanawiając się, co powie żona, gdy przyniesie do domu kociaka.

Potem do drzwi obciążniętych dermą delikatnie zapukał Przemysław Wierzbicki, skarbnik zarządu, prawa ręka Kaniuka, na pierwszy rzut oka chłopina raczej skromny, może nieśmiały, za to bardzo mądry i jeszcze bardziej przebiegły, o którym nikt z opozycji nie powiedział złego zdania.

W urzędzie miejskim często zastanawiano się, dlaczego po śmiertelnym wypadku Włocha (wracał z zakrapianych urodzin prezydenta) nie senator Piątek, a poseł Kaniuk został szefem zarządu grodzkiego partii. Niektórzy coś wiedzieli, lecz bali się głośno mówić, najwyżej po dobrej wódce powtarzali, i to tylko w gronie znajomych, że Piątek zadarł z kanonikiem akurat wtedy, gdy ksiądz nie ustrzelił nawet wróbla. Inni milczeli, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że w milczeniu jest zawarta najprawdziwsza odpowiedź na kłopotliwe pytania. Obie strony zaś od dawna dobrze wiedziały, kto faktycznie kieruje partią, komu się pożalić, kogo się radzić, z kim można wypić nawet butelkę wódki i zachować to w tajemnicy. Na pewno nie z Kaniukiem. Otwarcie nikt tego nie powiedział, bo i po co stawiać pomnik, który po najbliższych wyborach rozsypie się jak domek z kart.

– Pan wiceprezydent? – spytał, udając zdziwionego Wierzbicki. – Bez kolejki? – zażartował. – Wie pan, że dopóki ksiądz kanonik i proboszczowie nie złożą życzeń naszemu szefowi, nikomu nie wolno wchodzić do biura? Ha, ha, ha...

– A ty...? – Dziś Etnarcha czuł się pewnie w gabinecie Kaniuka. – Przemciu, Przemciu, gdybyś został skarbnikiem miasta w randze wiceprezydenta, czego ci nie życzę, nie miałbyś czasu nawet się wysikać. Stary, od rana do wieczora narady, konferencje, petenci, a każdy coraz bardziej zadziorny. Już nie wystarczy, że sekretarka spyta, czy jeden z drugim był umówiony z prezydentem. Jeszcze trzeba przed takim się tłumaczyć z podejrzanych decyzji. Co to się porobiło z narodem?

– Jesteśmy nowymi Europejczykami – podkreślił Kaniuk i pusty przesunął kieliszek w stronę Etnarchy.

– O, wczoraj gościłem konsula honorowego Ukrainy. Gdyby nie to, że z liceum *expressis verbis* znam trochę rosyjski, nie wiem, jak bym sobie poradził. Tłumaczka zachorowała, a mój asystent jak ta urzędnicza pierdoła,

nie sprawdził. Co miałem robić? Może szukać innej tłumaczki? Kogo znajdziesz w maju po południu? Teraz za darmo nikt nie chce pracować. Sam więc, samiuteńki jak ten palec, bez niczyjej pomocy... Com się na-gimnastykował... Koło północy konsul odjechał. Wróciłem do domu, żona przewraca się na drugi bok, nawet kolacji nie miał kto mi zrobić. Stary, jak zajmujesz odpowiedzialne stanowisko w urzędzie, czasu na nic ci nie starcza. Prywatne życie musisz zawiesić na kołku.

– Wiceprezydent nie ma czasu? – Roześmiał się Wierzbicki. – Gdyby to powiedział szef teatru czy komendant policji, można się zgodzić, ale wiceprezydent? A cóż wy, gryziopiórki magistrackie, robicie?

– To, co wy, radni, posłowie i senatorowie, członkowie zarządu grodzkiego naszej partii każecie – odparł poważnie Etnarcha. – I jak każecie – dodał głosem ścisłym, wyraźnie wkurzony na skarbnika.

– Wiceprezydent, który tłumaczy się brakiem czasu dla petentów, jest kiepskim urzędnikiem.

– Nie jestem urzędnikiem, Przemciu.

– A kim?... Kto miesiąc w miesiąc bierze wypłatę z kasy urzędu, ten jest urzędnikiem.

– Znalazłem się w urzędzie nie w własnej woli. Wczoraj partia skierowała mnie na to stanowisko, jutro może mnie wycofać, Przemciu.

– Powinna to jeszcze dziś zrobić.

– Nalej, Przemysław, sobie, przy okazji i nam! – przerwał dyskusję Kaniuk, siadając za stołem jak do konferencji. – Mówisz, że sam musiałeś się męczyć z tłumaczem. A rzecznika prasowego nie mogłeś zapędzić do roboty? On z rodziny temków, zna ukraiński prawie jak polski.

– Niezły kandydat na twojego zięcia – Etnarcha przypomniał Kaniukowi.

– Może coś z tego będzie.

– Jego ojciec jest profesorem w prywatnej szkole wyższej. Tam dopiero płacą – powiedział z zazdrością Etnarcha.

Co chwilę odzywał się telefon, na stoliku przy biurku stały cztery aparaty, każdy innego kształtu, z charakterystycznym dla swego kształtu dźwiękiem. Wierzbicki nie podnosił słuchawki, chociaż po każdym dzwonku wiceprezydent dawał mu znak oczyma.

– Przyjaciele naszego szefa dzwonią na komórkę, kolego prezydencie – wyjaśnił skarbnik, wyjmując z kieszeni nokie. – Tędy dobija się partyjne tałatajstwo...

– Co ten konsul chciał od ciebie? – zaciekał się Kaniuk.

Słuchając Etnarchy, przypatrywał się Wierzbickiemu, którego bardzo cenił, lecz nigdy nie pozwalał mu na poufałość. Przewodniczący był dużo młodszy od skarbnika, ale nigdy nie powiedział: ty, ani: Przemek, tylko: Przemysław. Skarbnik wiedział, że bez jego zgody Kaniuk nie podejmie najłatwszej decyzji, dlatego czuł się pewnie w gabinecie szefa zarządu, ale go nie lekceważył jak wiceprezydenta. Etnarchę zresztą lekceważyli wszyscy urzędnicy, nawet jego asystent i kierowca.

Kaniuk podniósł wzrok na zegar, od ośmiu minut kanonik i proboszczowie powinni stać wokół stołu i składać mu życzenia. Coś musiało ich zatrzymać, ale co o tej porze?

– Pół dnia będzie słuchawkę przy uchu i dupy nie oderwie od stołka – powiedział Etnarcha ze złością, pokazując głową na stado telefonów grających jak orkiestra dęta. – Przyjść się jednemu z drugim nie chce. Ja, Stasiek... Ja bym kazał przeczołgać każdego po placu Bohaterów, żeby wiedział z czyjej ręki zje chleb! Ja...

– Skocz na dół do portiera, Przemysław, i powiedz, aby tych z kwiatami nie legitymował. Dla ochroniarza polecenie: nie wpuszczać każdego, kto chce się pożalić, znaczy: nikogo nie wpuszczać.

– Niech się szef nie martwi. Asystentka sporządziła listę gości, ja po konsultacji z wiceprzewodniczącym zatwierdziłem ją własnoręcznym podpisem z pieczętką. Gdyby ktoś spoza naszej listy chciał przyjść z życzeniami, w co wątpię, ochroniarz da znać. Uważa szef, że obcy przyjdzie? Ludzie boją się naszej partii bardziej niż diabła święconej wody.

– Czyżbyśmy gryźli albo kopali? Byli aroganccy, nieprzyjemni? – zdziwił się Kaniuk. – Ludzie powinni łukiem omijać opozycję. Jak lewica wygra najbliższe wybory, to dopiero ludzie będą mieli powody się bać.

Doszedłszy do wniosku, że swoje zrobił i przez najbliższe tygodnie nie powinien obawiać się utraty stanowiska, Etnarcha wstał zza stołu, raz jeszcze uściśnął dłoń przewodniczącego, powtórzył życzenia, pogłaskał skulonego kotka i wyszedł. Do gabinetu wtoczyła się delegacja członków partii z koła dzielnicowego

ProLibi

na Czarkowie, przy drzwiach już czekali asystenci posłów i senatorów, za nimi warował wiceprzewodniczący koła w śródmieściu (liczył na poparcie Kaniuka podczas jesiennych wyborów), na końcu delegacja związku nauczycielek kończyła kaligrafowanie laurki.

Kaniuk znał tylko niektórych gości, mimo to dziękował wylewnie, szczyrzył zęby, odbierał kwiaty, kładł je na brzegu stołu, ścisnął dłonie. Znowu kwiaty i uścisk dłoni, podziękowanie i uśmiech, kwiaty i uścisk. Nikogo nie zaprosił do stołu, na którym stały trzy puste kieliszki, jeden półmisek kanapek i drugi kotletów przystrojonych zieloną pietruszką, ciągle czekał na kanonika z proboszczami. Bał się nie tyle pytań i uwag księży, co ich spojrzeń. A czy kanonik inaczej przyjmuje życzenia imieninowe? Przychodzą delegacje biur, fabryk, szkół nie na plebanie, a wprost z ulicy do dawnej sali katechetycznej. Ustawiają się pod ścianą, czekają, zerkają na zegarki, bo to nie tylko szkoda czasu, ale i niewygodnie stać. Gdy sala zapełni się, że palca nie można wcisnąć, wchodzi kanonik z proboszczami, dziękuje zbiorowo i po uroczystości. Trwa to najwyżej dziesięć minut.

– Przemysław, sprawdź, czy kanonik już wyjechał – powiedział Kaniuk szeptem, jakby się bał, że księża stoją za drzwiami i czekają, aż zastaną go samego. – Jeśli jeszcze nie wyjechał, podpowiedz gosposi, żeby... Tyś specjalista od marketingu, to najlepiej wiesz, co trzeba mówić.

– Ksiądz kanonik, szefie, z samego rana był umówiony z biskupem ordynariuszem.

– Co?!... Czemuś wcześniej nie powiedział? Ja cię zakatrupię, Przemysław!... Tym razem mnie zawiodłeś.

– Szefie, przecież przedwczoraj ustaliliście na radzie społecznej miasta, że dziś rano kanonik pojedzie do biskupa – przypomniał skarbnik, nie zdradzając, skąd o tym wie. – Kanonik przekaze ordynariuszowi zaproszenie na festiwal teatralny, a przy okazji poprosi o błogosławieństwo dla naszej inicjatywy w sprawie powołania akademii medycznej.

– Jezus Maria! – krzyknął Kaniuk i na tych swoich za krótkich nogach podreptał do biurka. – Telefon dzwoni od samego rana... Jakby mnie nie było, a to pewnie ksiądz kanonik z życzeniami?

– Nie, nie, szefie. Kanonik zadzwoni na komórkę. Na moją komórkę. – Skarbnik nie przyznał się, że przy pomocy wikarego ułożył dokładny plan działania. Kanonik zadzwoni do Wierzbickiego, on poda aparat przewodniczącemu po to, żeby usłyszał: poparcie księdza biskupa dla naszej inicjatywy załatwione; reszta jest formalnością; Stanisławie, rób rekrutację, szukaj profesorów, myśl o gmachu. To ma być prezent imieninowy. – Koło dziesiątej niech szef nie wychodzi z gabinetu. Wcześniej kanonik nie zadzwoni.

Ciągłe odbieranie wiązanek kwiatów, dziękowanie, ściskanie dłoni zmęczyło Kaniuka. Był przyzwyczajony do podobnych uroczystości, lecz ta już mu się znudziła. Gdyby goście przynosili antyki, laptopy, książki oprawione w skórę, co innego, a to wyłącznie róże i laurki. Zerknął na kociaka przycupniętego ze strachu za doniczką. Po co mi kotek? A może to kotka?

– Trzeba mu kupić coś do jedzenia – powiedział Wierzbicki, przypominając sobie, że sprzątaczką w internacie też karmiła kota. – Jeśli samiczka to trzeba ją zanieść do weterynarza, żeby coś jej wyciął. W przeciwnym razie będzie rodziła kocięta jak maszynka.

Kaniuk chciałby, żeby zegar ścienny miał za sobą stukanie dziesięć razy, byłoby już po wszystkim, pojechałby z Wierzbickim na ryby albo do Sławy. A tak od prawie dwóch godzin czeka w napięciu, denerwuje się, powtarza w myślach słowa podziękowania, które przed północą skonsultował z przewodniczącą rady regionalnej. Kaniuk czasem ma dość kierowania partią w mieście, chce wrócić do szkoły nie po to, żeby uczyć dzieci, ale do gabinetu wicedyrektora do spraw wychowawczych, wizytować lekcje, oceniać nauczycieli, podpisywać wnioski o nagrody i odznaczenia. Już by dawno machnął ręką na partię dziś rządzącą, a po najbliższych wyborach opozycyjną, gdyby nie przypomniał sobie, że Justyna ciągle potrzebuje jego pomocy. Dziewczyna musi skończyć studia i dostać dobrze płatną pracę w jakimś banku albo biurze tłumaczy. Gdy Justyna otrzyma dyplom magistra, on na pewno zajmie się czymś bardziej pożytecznym, zostanie jeśli nie wicekanclerzem akademii to starszym wykładowcą przedmiotów obywatelskich. Miał jedno marzenie, o którym nikomu nie powiedział (wiceprezydentowi Etnarsze napomknął, że czułby się znakomicie w gabinecie wiceministra kultury i dziedzictwa narodowego): chciałby zostać ambasadorem we Francji, w ostateczności głównym konsulem w Lille lub w Nantes, gdzie Polaków niewiele, to i roboty pewnie mniej niż w Paryżu. To nic, że nie zna francuskiego. Czy każdy dyplomata musi mówić w obcym języku? Od czego są tłumacze? A jakby Justyna wyszła za mąż we Francji? Ma się rozumieć, za rodowitego Francuza?

– Delegacja z Zatorza do pana posła – poinformowała asystentka, rozkładając ręce, co oznaczało, że nawet ona nie była w stanie zatrzymać nieprzewidzianych gości. Ochroniarz pozwolił im wejść, bo skarbnik kazał mu wpuszczać wszystkich, którzy pytają o Kaniuka.

– Proszę, proszę, drodzy państwo. Jest mi niezwykle miło, że pamiętaliście. Tak, tak, wzruszyliście mnie swoją pamięcią. Siadajcie – przewodniczący zrobił zapraszający gest ręką. – Jeszcze nigdy, wiecie państwo, a posłem jestem już drugą kadencję, przewodniczącym zarządu grodzkiego od roku z górą... jeszcze nigdy ósmego maja nie przyjmowałem takiej delegacji jak wasza. Z całego serca dziękuję za pamięć. Napijcie się czegoś, na przykład herbaty, co? – Nie czekając na potwierdzenie, zawołał do asystentki: – Podaj pięć herbat!

– Nie chcemy zabierać cennego czasu panu posłowi – odezwał się najstarszy z gości. – Jesteśmy z rady osiedla na Zatorzu.

– Wiem, znam ten uroczy zakątek naszego pięknego miasta! – powiedział uśmiechnięty Kaniuk, chociaż nigdy nie był na Zatorzu. – I do asystentki: – Nalej. Czemu kieliszki puste? Byłoby świństwem z mojej strony, gdybym was nie poczęstował. Bierzcie urlopy albo zwalnianie się z pracy, jedziecie do mnie, no i ja mam was nie poczęstować? Jak Boga kocham, sprawiliście mi największą przyjemność. Nie wiceprezydent, nie dyrektorzy, nawet nie (chciał powiedzieć, że nawet ksiądz kanonik dziś się nie liczy, ale ugryzł się w język), lecz wy, mieszkańcy odległego od centrum osiedla.

– Kiedy my...

– Wiem, rozumiem. Nie krępujcie się, bierzcie kanapki, częstujcie się, bo na pewno jesteście głodni. Pozwólcie, że raz jeszcze w imieniu... – urwał i chwycił się za głowę, lecz oni niczego nie spostrzegli, mówił więc dalej – Bardzo gorąco dziękuję za tę drobinę serdeczności, którą przywieźliście z Zatorza. Brakuje mi odpowiednich słów, aby wyrazić to jeszcze szczerzej. Powiem słowami wieszczki: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”.

– Kiedy my w innej sprawie – teraz już donośniejszym głosem odezwał się najstarszy z gości. – Jak to jest, panie pośle?

– Co, co? – Kaniuk najwyraźniej zbaraniał. Machnął ręką przed oczyma asystentki, żeby nie dolewała wódki do kieliszków. – Co takiego, szanowni państwo?

– Ano, pan wiceprezydent Etnarcha obiecywał pieniądze na remont osiedlowego domu kultury. Obiecywał też poprzedni prezydent. Ten przed nim też obiecywał. I ten przed nim obiecywał. My, panie pośle, dwadzieścia jeden lat wołamy o te pieniądze, odkąd zaczął przeciekać dach. W zeszłym roku na zebraniu przed wyborami pan Etnarcha kazał przygotować pismo z uzasadnieniem. Wieczorem tego samego dnia napisaliśmy. I nic. Żadnej odpowiedzi.

– Tak jak tu siedzimy – młody pokazał pięć palców – chcieliśmy porozmawiać z panem wiceprezydentem Etnarchą. On nie ma dla nas czasu, bo trzeba się umówić i czekać w kolejce. No to my do naczelnika wydziału kultury. Kiedyś dał pieniądze na stroje, kupił dwa akordeony, zapłacił instruktorce. Wstyd ciągnąć tylko od jednego, nie?

– Naczelnik mówi, że teraz inne czasy, on pieniędzy już nie dzieli. Od tego jest rada miejska i prezydent. Zgoda, my to rozumiemy. Tylko dlaczego pan Etnarcha robił nadzieję?

Kaniuk zachmurzył się, nie takiej delegacji oczekiwał, ale przecież nie mógł wstać, otworzyć drzwi i powiedzieć: przyjdźcie kiedy indziej, bo dziś są moje imieniny i przyjmuję wyłącznie prezenty. Był zły na asystentkę, na ochroniarza, na wszystkich w biurze partii, a najbardziej na Etnarchę. Zaraz rozlegnie się dzwonek, Wierzbicki wciśnie zielony guziczek i poda mu komórkę, przewodniczący musi wysłuchać życzeń kanonika. W zdenerwowaniu powie coś, czego nigdy by nie powiedział nawet po pijanemu, a kanonik zamiast mu gratulować, wyłączy telefon.

– Na dopiero co wymyślony festiwal teatryków jednego aktora pieniądze są, a na remont domu kultury od tylu lat nie ma ani grosza? Co nam na Zatorzu z festiwalu teatralnego? – zapytał najstarszy, na którego teraz zwróciło się pięć par oczu. – To ja, panie pośle, za darmo uczyć tańczyć, bo instruktorka wzięła pieniądze i zaraz dostała pracę w urzędzie miejskim, a nie ma na remont? W zeszłym roku przywieźli piecyk i dmuchawę, żeby salę ogrzać przed zebraniem wyborczym. Na dmuchawę miasto nie żałowało, prawda? Tak my – kolejno wskazywał palcem członków delegacji – dopóki nie padnie obietnica, że będą pieniądze na remont domu kultury, stąd nie wyjdziemy.

Rozległa się melodyjka, Wierzbicki nawet nie sprawdził, kto dzwoni, tylko nacisnął na zielony guziczek i podał komórkę przewodniczącemu.

– Stasiek? – Kaniuk poznał Etnarchę po głosie. – Odpowiedz na niedyskretne pytanie: czy mój asystent już był u ciebie z życzeniami? Bo jak nie, to wiesz sam, nie będę się patyczkował. Każę...

Kaniuk nie wiedział, co odpowiedzieć, tym bardziej że pięć par oczu było w niego wycelowanych. Język mu nagle wysechł, myśli uciekły, w końcu wykrztusił:

– Jest u mnie delegacja z osiedla Zatorze.

– U mnie byli ze dwa razy.

– Oni mówią, że obiecywałeś...

– Powiedz im, że *expressis verbis* dostaną pieniądze, niech tylko złożą pismo.

– Tak nie można.

– Naczelnik wydziału kultury da – usłyszał Kaniuk. – Dziś rano kazałem zabrać z tego, co było na książki do biblioteki i przelać na konto rady osiedla... A co ty o takich sprawach przy imieninach?... Trzeba było ich popędzić. Nie mogli przyjechać wczoraj albo jutro?

– Uważam, że...

– Jak tam kotek? – nie pozwolił mu dokończyć Etnarcha.



NA GRANICY

Jacek Wesołowski

Niemcopolak/Polakoniemiec w literaturze

(Rozwagi polsko-niemieckie V)

O historycznych początkach fenomenu Niemcopolaka (Polakoniemca), jak go przedstawia polska albo niemiecka literatura powojenna, dowiedzieć się można w *Muzeum ziemi ojczystej* (*Heimatismuseum*, 1974) Siegfrieda Lenza, „z niemieckiego punktu widzenia”, co następuje: „Stefan Prieżław był więc Mazowszaninem, jednym z obcych kolonistów,

Jacek Wesołowski

Deutschpole/Polendeutscher in der Nachkriegsliteratur

(Deutsch-polnische Abwägungen 5)

Über die historischen Anfänge des Phänomens des Deutschpolen (Polendeutschen) kann man erfahren, wie sie die polnische oder die deutsche Nachkriegsliteratur darstellt, im *Heimatismuseum* (1974) von Siegfried Lenz, und zwar „aus dem deutschen Sichtpunkt”, das Folgende: „Steffan Prieżław war also Masovier, einer der fremden Kolonisten, die der

których Zakon zachęcał do zasiedlania mazurskich pustaci i obdarzał gruntami, łakami i kawałkami lasu, nie żądając w zamian nic ponad to, by zasiedlili i zagospodarowali kraj, wolni od podatków za dziesięć pierwszych lat i z zapewnieniem, że będą mogli pozostać przy swojej religii. Sądził, że powinni być za to wdzięczny Zakonowi, on, Polak. Tymczasem jednak jego rodacy przedostali się znowu do krzyżackiego kraju, nie tyle by wymienić poglądy na uprawę roli, lecz by się przekonać, ile łupu może przetransportować pojedynczy wojownik – była to próba, przy której musieli zetrzeć się z Zakonem. To, co beznamiętni sprawozdawcy nazywali zamieszkaniami, było niewypowiedzianą wojną, podczas której również Stefan Priezlaw musiał się zdecydować, czy stoi po stronie Zakonu przeciw dawnym rodakom, czy z dawniejszymi rodakami przeciw Zakonowi, któremu zawdzięczał swoje grunta, ryby z jeziora Łukowiec i dziki miód z sosnowych barci. Długo odwlekał decyzję, nie mógł wzbudzić w sobie ani ciepłych uczuć dla jednych, ani iść z drugimi z wdzięczności. Lenzowy Łukowiec, w oryginale powieści Lucknow, to rodzinne miasteczko pisarza Lyck, po polsku Elk.

Minęło parę stuleci, na Ziemi Chełmińskiej nad Drwęcą trudno coś pewnego powiedzieć, kto Niemiec, kto Polak. Na tym dawnym koronno-krzyżackim pogranicznym terytorium toczy się akcja powieści Johanna Bobrowskiego *Młyn Lewina. Trzydzieści cztery zdania o moim dziadku* (*Levins Mühle. Vierunddreißig Sätze über meinen Großvater*, 1964). Okolice, gdzie dziadek ów mieszkał około roku 1874 (czas akcji powieści) „była to kwitnąca wieś, z dużymi stodołami i solidnymi oborami i niejedno gospodarskie obejście – podwórze, plac między domem i stodołą, oborą, stajnią, piwnicą i spichlerzem – było tak duże, że w innej okolicy zmieściłaby się tam połowa wsi. I powinienem być powiedzieć (rzecze narrator powieści, J.W.) że najzasobniejszymi chłopami byli Niemcy, Polacy we wsi byli biedniejsi, chociaż z pewnością nie aż tak biedni, jak w tych polskich wioskach drewnianych, położonych dookoła dużej wsi. Ale tego nie powiem. Powiem zamiast tego: Niemcy nazywali się Kaminski, Tomaschewski i Kossakowski, Polacy zaś Lebrecht i German. Bo rzeczwiście tak było”.

Potomkowie tak jednych, jak i drugich potykali się na obu wojnach światowych. W powieści *Dwie strony drogi* (1983) – nie tak znanego jak Lenz

Ritterorden in die große masurische Wildnis gerufen und belehnt hatte mit Äckern, Wiesen und ausgestüctem Wald für keinen anderen Preis als den, das Land zu besiedeln und zu erschließen, abgabefrei für die ersten zehn Jahre und mit der Zusicherung, bei der eigenen Religion bleiben zu können. Er glaubte, dem Orden dafür Dank zu schulden, er, der Pole. Nun aber waren seine polnischen Landleute wieder einmal in das Ordensland herübergekommen und zwar weniger, um sich über Anbaumethoden auszutauschen, als um herauszufinden, wieviel Kilo Beute man als Einzelner transportieren konnte – ein Versuch, bei dem sie mit dem Orden aneinandergeraten mussten. Was gelassene Berichtersatter Unruhen nannten, war ein nicht ausgerufen Krieg, in dem auch Steffan Priezlaw sich entschließen musste: mit dem Orden gegen die alten Landsleute, oder mit den alten Landsleuten gegen den Orden, dem er sein Land verdankte und die Fische aus dem Lucknow-See und den wilden Honig aus den Beutekiefern. Lange hatte er die Entscheidung verschleppt, er konnte sich weder für die einen erwärmen, noch den anderen Gefolge leisten nur aus Dankbarkeit“. Das Städtchen Lucknow im Lenz' Roman ist in Wirklichkeit Lyck, das Heimatort des Schriftstellers; heute heißt es auf Polnisch Elk.

Es sind ein paar Jahrhunderte vergangen, im Kummerland an der Drewenz ist es schwer zu sagen, wer Deutscher und wer Pole ist. Eben in diesem Grenzgebiet zwischen Krone und Orden spielt der Roman Johannes Bobrowskis *Levins Mühle. Vierunddreißig Sätze über meinen Großvater* (1964). Die Gegend, wo der Großvater um 1874 (Handlungszeit des Romans) lebte, „ein blühendes Dorf war, mit großen Scheunen und festen Ställen und mancher Bauernhof dort, ich meine (so der Erzähler, J.W.) den eigentlichen Hof, den Platz zwischen Wohnhaus und Scheune, Kuhstall und Keller und Speicher, so groß war, dass in anderen Gegenden ein halbes Dorf hätte stehen können. Und ich musste sagen, die dicksten Bauern waren Deutsche, die Polen im Dorf waren ärmer, wenn auch gewiss nicht so arm wie in den polnischen Holzdörfern, die um das große Dorf herum lagen. Aber das sage ich nicht. Ich sage stattdessen: Die Deutschen hießen Kaminski, Tomaschewski und Kossakowski und die Polen Lebrecht und German. Und so ist es nämlich gewesen“.

Die Nachfahren der oben genannten Polendeutschen-Deutschpolen trafen sich auf beiden Weltkriegen. Im Roman *Die zwei Seiten des Weges* (*Dwie strony*

i Bobrowski pisarza, Mariana Turwida – spotykają się w kwietniu 1944 roku pod Monte Cassino. Po 40 latach ojciec odwiedza groby swoich dwóch synów na dwóch wojkowych cmentarzach: jeden leży na górze klasztornej na polskim, drugi na dole, w miasteczku, na niemieckim. Byli Ślązakami, powiodło ich różnymi stronami drogi, tak chyba tłumaczy się tytuł powieści.

Granica niemiecko-polska podzieliła po I wojnie światowej Górny Śląsk, gdzie w dniach 31 sierpnia – 1 września 1939 roku toczy się akcja powieści *Pierwsza polka* (*Die erste Polka*, 1975) Horsta Bienka. Mąż głównej bohaterki, Valeski Piontek (prototypem tej postaci jest matka pisarza), umiera w Gliwiczach (w Gliwiczach) we własnym łóżku w dniu wybuchu wojny niejako na znak protestu przeciwko rozwiązywaniu problemów międzypaństwowych na polach bitew: „To jest przeklęty kawałek ziemi... O przeklęta ziemi... – Leo Maria wyrzucił to z siebie cicho, ale gwałtownie. – Czy kiedyś to się skończy, że ludzie zabijają się z powodu tej przeklętej ziemi?”

Horst Bienek pokazuje względność narodowej przynależności na pograniczu polsko-niemieckim na przykładzie Wojciecha (po niem. Adalberta) Korfantego, przywódcy powstań śląskich, przed I wojną deputowanego do niemieckiego parlamentu. Postać ta fascynuje Georga Montaga, historyka amatora, pół-Żyda, którego narodowosocjalistyczne państwo uznało za Niemca – uniknął losu swych braci. K. wyrósł w dwóch językach, przy czym jego wykształcenie opierało się całkowicie na języku niemieckim, podobnie jak Róża Luxemburg mógł mieć wpływ w niemieckiej polityce. K. na początku był równie polski jak niemiecki. Albo odwrotnie. Co do tego nie było wątpliwości. Nikt, kto nie dorastał w tych stronach albo nie mieszkał tu przez dłuższy czas, nie pojmie, co znaczy: mówić po polsku i być Niemcem. Albo na odwrót: mówić po niemiecku, a być Polakiem (co jednak zdarzało się o wiele rzadziej). Myśląc o Korfancym, Montag zatrzymał się przy słowach, które znalazł u Augusta Scholtisa: „Tragedia Górnoślązaka polega na tym, że nie jest on Polakiem, jak i nie jest Niemcem, a właśnie Górnoślązakiem, i w każdym wypadku robi mu się krzywdę, gdy zalicza się go do Polski albo do Niemiec”. W tamtych czasach myślało się na Śląsku o autonomii państwowej, o czym świadczy powyższy cytat i co znalazło szersze odbicie w literaturze – zarówno niemieckiej, jak i polskiej – okresu międzywojennego.

drogi, 1983) von Marian Turwid, einem weniger als Lenz und Bienek bekannten Schriftsteller, trafen sie sich im April 1944 bei Monte Cassino. Nach 40 Jahren besucht ein Vater die Gräber seiner zwei Söhne auf zwei Militärfriedhöfen: einer liegt oben auf dem polnischen, der anderer unten auf dem deutschen. Sie waren Schlesier, das Schicksal führte sie auf zwei Seiten des Weges – so wäre wohl der Romantitel zu verstehen.

Die deutsch-polnische Grenze durchschnitt 1922 Oberschlesien, wo von 31. August bis 1. September 1939 der Roman Horst Bieneks *Die erste Polka* (1975) spielt. Der Mann der Hauptheldin Valeska Piontek (ihr Prototyp ist die Mutter des Schriftstellers) stirbt in Gliwicz in seinem eigenen Bett im Moment des Kriegsausbruches – sozusagen aus Protest gegen die Lösung bilateraler Probleme auf dem Schlachtfeld. „Es ist ein verfluchtes Stück Erde... Oh, du verfluchte Erde... Leo Maria stieß das leise, aber heftig hervor. Wird es denn nicht mal aufhören, dass sich die Menschen wegen dieser verfluchten Erde gegenseitig umbringen?“

Horst Bienek zeigt die Relativität der nationalen Zugehörigkeit im Grenzgebiet am Beispiel Wojciech (dt. Adalbert) Korfantys, des Anführers der schlesischen Aufstände, der vor dem ersten Krieg ein Mitglied des deutschen Parlaments gewesen war. Diese Gestalt fasziniert Georg Montag, eines Hobbyhistorikers, eines Halbjuden, den das Nazideutschland als Deutschen anerkannt hatte – er ist dem Schicksal seiner Brüder entkommen. „K. war zweisprachig aufgewachsen, wobei seine Bildung ganz von der deutschen Sprache geprägt war, er hätte ebenso wie Rosa Luxemburg in der deutschen Politik einflussreich sein können. K. war am Anfang so polnisch wie er deutsch war. Oder umgekehrt. Daran ab es keinen Zweifel. Niemand wird begreifen, der nicht in dieser Gegend Aufgewachsen ist oder hier längere Zeit gelebt hat, was das bedeutet: polnisch zu sprechen und Deutscher zu sein. Oder umgekehrt: deutsch zu sprechen und Pole zu sein (was freilich viel seltener vorkam). Unter Montags Aufzeichnungen war auch eine Notiz, die er bei August Scholtis gefunden hatte: Die Tragödie des Oberschlesier ist, dass er weder Pole noch Deutscher ist, sondern eben Oberschlesier, und dass ihm in jedem Fall Unrecht getan wird, wenn er zu Polen oder wenn er zu Deutschland zugeschlagen wird“. In jenen Zeiten dachte man in Schlesien an staatliche Autonomie, was dieses Zitat bezeugt und was eine größere Widerspiegelung in der Literatur der Zwischenkriegszeit gefunden hat – sowohl in der polnischen als auch in der deutschen. Korfanty

Korfanty musiał wybrać między dwoma państwami: albo niemieckie, albo polskie – i wybrał polskie. „K. był Polakiem, ponieważ chciał nim być... Był to ktoś poszukujący swojej tożsamości, wyrosły między Polską a Niemcami, kto dokonał między nimi wyboru. Ponieważ tego chciał”. Chciał, ale musiał – dodajmy, parafrazując prezydenta Lecha Wałęsę.

Korfanty był osobistością, człowiekiem wybitnym. Ale Niemcopolacy czy Polakoniemcy, na których natykamy się w literaturze dwóch państw niemieckich i jednego polskiego wraz z emigracją, są to przeważnie zwykli sobie ludzie, nieodznaczający się wysoką samoświadomością. Czują się oni często moralnie sfrustrowani w obliczu omnipotencji państwa narodowego, ciągnącego ich w jedną albo w drugą stronę.

Na stypie zmarłego w *Pierwszej polce* Leo Marii Piontka, od której zaczyna się *Światło wrześniowe* (*Septemberlicht*, 1977), druga część „tetralogii śląskiej” Horsta Bienka, panna Bombonek opowiada w Gleiwitz o swoim szwagrze z Katowic, który do roku 1922 był Niemcem i śpiewał patriotyczne pieśni pruskie, a następnie z racji miejsca zamieszkania został po regulacji granic Polakiem i śpiewał w polskim chórze *Jeszcze Polska nie zginęła*. Teraz znów stanie się Niemcem; w wygraną niemieckiego oręża ci prości ludzie nie wątpią w czwartym dniu wojny (czas akcji powieści), podczas gdy ich bracia i siostry w Chrystusie „za granicą” mogą wierzyć jeszcze w polską kawalerię i pomoc anglo-francuską. Inna Polakoniemka w odwiedzinach u krewnych martwi się poważnie o los dzieci, które „po tamtej stronie” mówiły dotąd wyłącznie po polsku i chodziły do polskiej szkoły, a teraz pójdą do niemieckiej, i kończy swoje żale tymi oto słowami: „A ja znów będę szły nowe flagi, już nie biało-czerwone, ale czerwone z czarną swastyką”. – I zachęcona faktem, że obecni słuchają jej ze zrozumieniem, dodaje szlochając: „Ale przecież ludzie nie mogą tak sobie zmieniać swojej narodowości, jak się zmienia koszulę...” Utyskiwania obecnych na stypie na ciężki los między niemieckim młotem, a polskim kowadłem podsumował niejako pan Apit, zwolennik autonomii Górnego Śląska: „Nie powinniśmy godzić się na to, żeby nas albo ci z Warszawy albo ci z Berlina za nos wodzili. Jedni i drudzy nazywają nas Hanyśy”. Słowa te do głębi oburzają pana Hubkę (nie Hupkę) rodem z Raciborza: „Powariowaliście wszyscy... Jesteśmy Niemcami

musste zwischen zwei Staaten wählen: entweder der deutsche oder der polnische Staat und er entschied sich für den polnischen. „K. war ein Pole, weil er ein Pole sein wollte... Das war jemand, der seine Identität suchte, der zwischen Polen und Deutschland gesetzt war, und der sich dann für eine Seite entschieden hat. Weil er das wollte”. Er wollte, aber musste – können wir nach dem polnischen Staatspräsidenten Lech Walesa sagen, leicht seine Worte verdrehend.

Korfanty war eine bedeutende Persönlichkeit. Aber die Deutschpolen oder Polendeutsche, die wir in der Literatur von zweier deutschen Staaten und einer polnischen incl. der Emigration treffen, sind meistens einfache Leute, die sich nicht durch großes Selbstbewusstsein auszeichnen. Sie fühlen sich oft moralisch frustriert angesichts der Omnipotenz der Nationalstaaten, die sie mal auf die eine, mal auf die andere Seite ziehen.

Während des Leichenschmauses für Leo Piontek, womit Horst Bieneks *Septemberlicht* (1977), der zweite Teil seiner „schlesischen Tetralogie“, beginnt, erzählt Fräulein Bombonek von ihrer Schwager aus Kattowitz, der bis 1922 deutscher Bürger war und alle preußischen patriotischen Lieder sang, und dann auf Grund der Lage seines Wohnortes zum Polen wurde und im polnischen Chor *Noch ist Polen nicht verloren* intonierte. Jetzt wird er wieder zum Deutschen; diese einfache Leute zweifeln an dem Sieg der deutschen Waffe am vierten Tag des Krieges (Handlungszeit des Romans) nicht, während ihre Brüder und Schwester in Christo „da drüben“ noch an die polnische Kavallerie und englisch-französische Hilfe glauben dürfen. Eine andere Deutschpolin, die zum Besuch zu ihren Verwandten gekommen ist, macht sich schwere Sorgen um das Schicksal ihrer Kinder, die bisher ausschließlich polnisch gesprochen und die polnische Schule besucht haben und jetzt einen deutschen besuchen werden. Sie beendet ihren sorgenschweren Vortrag mit folgenden Worten: „Und ich werde wieder neue Fahne nähen, ich mehr weiß-rote, sondern rote mit einem schwarzen Hakenkreuz drauf”. Die Anwesenden hören sie verständnisvoll zu, sie bricht in Tränen: „Aber die Leute können doch nicht ihre Nationalitäten wechseln wie ein Hemd...” Aus dem Murren über das schwere Schicksal zwischen deutschem Hammer und polnischen Amboss zieht Herr Apit, Anhänger der Idee einer Autonomie Oberschlesiens, gewissermaßen den Schluss: „Wir sollten uns weder von Warschau noch von Berlin kujonieren lassen, die da verachten uns ohnehin, für die einen sind wir

i pragniemy nimi pozostać. Zwłaszcza teraz, gdy zanosi się na to, że wygramy wojnę!”

Miło jest wygrywać i prosty człowiek, myślący praktycznie, a nie żaden idealista, stawia na tego, co wygrywa. Jednak dobrze się jest zabezpieczyć na wypadek przejściowej przegranej. „Wprawdzie Führer zapowiedział, że nigdy stopa wroga nie postanie na niemieckiej ziemi, ale myśmy tu już mieli różnych führerów, którzy nam dawali różne obietnice. Ludzie na pograniczu znają się na tym – powiedział ktoś. Niektórzy na wszelki wypadek taskali się strychu stare polskie podręczniki i gazety; dobrze, że się ich nie wyrzuciło w swoim czasie”. Oczywiście postępowanie takie nie jest dowodem cynizmu, lecz zwykłym odruchem obronnym.

W znanej powieści Jana Józefa Szczepańskiego o klęsce wrześniowej, *Polska jesień* (1955) mamy scenę, gdy oficer niemiecki pyta polskich jeńców, czy są między nimi Ślązacy. Dana im będzie szansa przebrania się z polskich złachanych mundurów w nowiutkie niemieckie – z pobitych Polaków przekształcić się mogą w zwycięskich synów wielkiego narodu niemieckiego.

Do nich to zalicza się Polakoniemiec Ernst Leśnik, syn Klary Krause primo voto Leśnik, tytułowej postaci opowiadania Wilhelma Szewczyka (*Klara Krause*, 1956). Uda mu się przeżyć kocioł pod Stalingradem i radziecki obóz jeniecki, po czym wylądować w Berlinie, aby po 10 latach jako obywatel NRD odwiedzić matkę i siostrę w PRL. Siostra, Gisela Krause, po „repolonizacji” wyjdzie za mąż za niekwestionowanego Polaka, Wacława Korowaja, co stanie się powodem konfliktu między matką a córką. Pierwszy mąż Klary, ojciec Ernsta, późniejszego niekwestionowanego Niemca, uważał się do tego stopnia za Polaka, że zginął był w powstaniu śląskim w 1921 roku. Gisela, późniejsza Polka z chętnego wyboru (?) jest córką SA-mana, drugiego męża Klary, poległego za narodowy socjalizm w 1934 roku w jakiejś potyczce z komunistami, który jako ojciec i małżonek zasłużył sobie u niej na wierną pamięć. W przeciwieństwie do Feliksa Leśnika, ponieważ tego ostatniego przez cały krótki okres małżeństwa prawie nigdy nie było w domu (bo albo walczył w powstaniu, albo się doń przygotowywał). Z tego właśnie powodu Klara Krause zachowała swe serce dla niemieckości aż do śmierci w latach 50. oraz niechęć do państwa polskiego. Państwo to odbierze jej odziedziczony po mężu (SA-manie) zakład fryzjerski

Wasserpolacken und für die anderen Wasserpreußen“. Diese Worte empören den aus Ratibor stammenden Herrn Hubka (nicht Hupka): „Ihr seid verrückt... Deutsche sind wir und deutsch wollen wir bleiben. Und gerade jetzt, wo wir dabei sind, den Krieg zu gewinnen!“

Es ist angenehm zu gewinnen und der einfache Mensch, der praktisch denkt und kein Idealist ist, setzt auf den, der gewinnt. Es ist aber gut, sich für den Fall einer vorübergehenden Niederlage abzusichern: „Zwar hatte der Führer gesagt, kein feindlicher Soldat werde jemals wieder deutschen Boden betreten, aber wir hatten schon manche Führer und manche Versprechungen erlebt. Grenzvölker werden zur Skepsis erzogen. Es gab welche, die holten für alle Fälle alte polnische Lehrbücher und Zeitungen vom Wäscheboden herunter, es war gut, wenn man etwas da hatte“. Natürlich ist das beschriebene Verhalten kein Beweis für Zynismus, sondern einfach natürliche Verteidigungsreaktion.

In dem bekannten Roman Jan Jozef Szczepanskis über die Septemberniederlage *Polnischer Herbst* (*Polska jesień*, 1955) gibt es eine Szene, in der ein deutscher Offizier polnische Kriegsgefangene fragt, ob unter ihnen Schlesier seien. Ihnen wird die Möglichkeit gegeben, ihren zerlumpten polnischen Uniformen in neuen deutsche einzutauschen. Aus geschlagenen Polen verwandeln sie sich in siegreiche Söhne des großen deutschen Volkes.

Zu den eben gehört der Deutschpole Ernst Lesnik, der Sohn von Klara Kruse, verwitwete Lesnik, die Titelgestalt der Erzählung von Wilhelm Szewczyk ist (*Klara Krause*, 1956). Ernst Lesnik überlebt den Kessel bei Stalingrad und die sowjetische Gefangenschaft, dann landet er in Berlin, um nach zehn Jahren als Bürger der DDR die Mutter und Schwester in Volkspolen zu besuchen. Seine Schwester, Gisela Krause, heiratet nach „Wiedereingliederung ins Polentum“ den Polen Wacław Korowaj, was zum Anlass des Konfliktes zwischen Mutter und Tochter wird. Klaras erster Mann, der Vater von Ernst, der als Pole geboren aber zum Deutschen wurde, hielt sich so sehr für einen Polen, das er im schlesischen Aufstand gefallen ist. Gisela, die später gerne (?) zur Polin wird, ist die Tochter eines SA-Mannes, Klaras zweiten Gatten, der 1934 bei einer Straßenprügelei mit Kommunisten ums Leben gekommen ist. Als Vater und Ehemann hat Krause sich bei Klara positiv eingepägt im Gegensatz zu Lesnik, weil jener in der kurzen Zeit ihrer Ehe fast nie zu Hause gewesen ist (entweder kämpfte er in einem Aufstand,

oraz dokwateruje do skromnego domku, dorobku jej życia, dwóch młodych przybyszów z głębi Polski, z których jeden wyrządzi jej krzywdę.

Tytułowa bohaterka opowiadania Wilhelma Szewczyka umrze w stanie głębokiej frustracji rodzinno-narodowościowymi problemami w czasie świąt Wielkiejnocy, w dniu ukrzyżowania Chrystusa.

Szewczyk, podobnie jak Bienek, posłużył się w swoim utworze metaforą szycia coraz to innych flag państwowych przez prostych ludzi na Górnym Śląsku. W obliczu zbliżającego się frontu kobiety lamentują: „Najpierw Hitler zabrał naszych mężów, a teraz przyjdzie nam jeszcze za to odpokutować. – Ktoś rozsądny radził wziąć się do szycia polskich flag. – Rosjanie są już w sklepie bławatnym Franoszka i wszędzie w mieście wiszą już flagi polskie... – Tak więc Klara, wespół z innymi kobietami, wzięła się do szycia, drżąc ze strachu, że mogą wrócić Niemcy”. Mamy tu sytuację podobną do tej z roku 1939, którą opisał Bienek; wtedy poczciwi ludzie siedzący między niemieckim młotem a polskim kowadłem zabezpieczali się na wypadek przyjscia Polaków, teraz drżą przed ewentualną karą ze strony Niemców za brak lojalności obywatelskiej.

Zanim niemiecki młot pobity został przez młot z sierpem, Ślązacy byli przeważnie Niemcami (tj. obywatelami niemieckimi); ci, którzy zamieszkiwali po polskiej stronie granicy, mieli okazję zostać nimi w 1939 roku. Obywateli pobitej Rzeczypospolitej Polskiej, którzy podpisali volkslisty (były cztery kategorie, wg „stopnia niemieckości”) literatura polska przedstawia albo jako paskudników, figury wredne i antypatyczne, zdrajców („To już nawet nie zdrajca, ale po prostu świnia” – píše o volksdeuschach Maria Dąbrowska w *Dziennikach powojennych*), jako swołocz, która gorliwie obnosi się w nowej sytuacji politycznej ze swoją „niemieckością” i odgrywa na Polakach za różne „krzywdy” (najczęściej prywatnej natury) albo jako nieszkodliwych zjadaczy chleba powszedniego, którzy się aranżują (przykładem wójt w opowiadaniu Iwaszkiewicza *Młyn nad Lutynią*); czasem jako patriotów polskich, których do „przyznania się na Niemca” zmuszono siłą (tak jest w wybijającej się powieści Zaleskiego *Pruski mur*), głównie, by wcielić do Wehrmachtu. Intencji szczerej miłości do państwa niemieckiego raczej się tym ludziom nie przypisuje – odwrotnie niż w przeciętnej (niżej niż przeciętnej) literaturze RFN dwóch pierwszych powojennych dekad. Tzw.

oder bereitete sich dafür vor). Eben aus diesem Grund bewahrt sich Klara ihr Herz für das Deutschtum und hegt eine Abneigung gegen den polnischen Staat bis zu ihrem Tod in den fünfzigsten Jahren. Dieser Staat nimmt ihr den von dem Ehemann (SA-Mann) geerbten Friseursalon weg und quartiert in ihrem bescheidenen Häuschen, ihrem Lebenswerk, zwei junge Kerle aus Zentralpolen ein, von denen ihr einer übel mitspielt.

Die Protagonistin von Wilhelm Szewczyks Erzählung stirbt im Zustand tiefer Frustration wegen ihrer familiären und nationalen Probleme in der Karwoche, am Tage der Kreuzigung Christi.

Szewczyk bedient sich wie Bienek der Metapher, dass der einfache Mensch in Oberschlesien wieder und wieder neue Nationalflaggen nähen musste. Angesichts der sich nähernden Front lamentieren die Frauen: „Erst hat Hitler uns die Männer weggeholt, nun werden wir für das noch büßen müssen. Eine behielt klaren Kopf und riet, polnische Fahnen zu nähen; die Russen seien bereits beim Franoscheks Textilladen und in der Stadt hängen schon überall polnischen Fahnen heraus... Also nähte Klara gemeinsam mit den anderen Frauen Fahnen – und zitterte, die Deutschen könnten zurückkehren”. Es wiederholt sich die von Bienek beschriebene Situation von 1939; damals sicherten sich die zwischen deutschem Hammer und polnischen Amboss platzierte Leuten für den Fall ab, dass die Polen kämen, jetzt zittern sie vor der deutschen Bestrafung wegen ihrer mangelnden staatsbürgerlichen Loyalität ihnen gegenüber.

Bevor der deutsche Hammer von Hammer und Sichel geschlagen wurde, waren die Schlesier meistens Deutsche (d.h. deutsche Staatsbürger); diejenigen, die auf der polnischen Seite der Grenze lebten, hatten 1939 die Gelegenheit, Deutsche zu werden. Die Bürger der geschlagenen Republik Polen, die die Volksliste (es gab vier Kategorien) unterschrieben, stellt die polnische Literatur vor entweder als Widerlinge, gemeine Subjekte, Verräter („Kein Verräter, sondern einfach ein Schwein” – schreibt über die Volksdeutschen Maria Dąbrowska in *Tagebücher der Nachkriegszeit*), als Pack jeder Art, das sich für ihm angebliches angetanes Unrecht (meistens privater Natur) an den Polen rächen will – oder als harmlose Normalverbraucher, Opportunisten (Beispiel: ein Dorfführer in der Erzählung Iwaszkiewiczs *Die Mühle an der Lutynia*); manchmal werden sie als Patrioten Polens dargestellt, die unter Zwang „sich für die Deutschen bekennen” mussten (so ist im Roman Zalewskis *Die preußische Mauer* oder *Die*

folksdojcz jest zresztą w utworach pisarzy PRL prze-
ważnie postacią uboczną, drugorzędną. Głębsze
analizy literackie przyjdą dopiero w III Rzeczy-
pospolitej.

Najzupełniej oryginalną w całej polskiej literatu-
rze powojennej kreację volksdeutscha stworzył
Kornel Filipowicz w minipowieści (moda światowa
w literaturze lat 60.) *Pamiętnik antybohatera*
(1964). Polakoniemiec ten nie posiada nazwiska, jest
bowiem ideą literacką, nie żywym człowiekiem.
Filipowicz skonstruował postać najzupełniej amo-
ralną: jest to człowiek, dla którego jedyną racją,
jedynym dobrem jest on sam. Tak się złożyło, że
mógł się przed władzami (okupowanej Polski, kraju
w którym był zamieszkiwał) wykazać swoim (nie-
mieckim) pochodzeniem – wykorzystał tę możli-
wość, to wszystko. „Moje życie, moje zdrowie jest
dobrem najwyższym – i basta. Nikt nie ma prawa
kwestionować tego. Chcę żyć, chcę żyć dobrze i być
kimś. Chcę mieć pewność, że nie będę prześlado-
wany, napiętnowany, traktowany jako istota niższej
kategorii. Nie mam poczucia solidarności z istotami
prześladowanymi, brzydzę się nimi”. Za parę lat te
budzące wstręt „antybohatera” istoty będą go sądzić
za „zdradę ojczyzny” jako złego Polaka, „tak zwanego
volksdeutscha” – tak wyraża się o podsądnym sędzia
polskiego sądu w końcowych partiach powieści.

Jaka jest pozycja tego „tak zwanego volksdeu-
tcha” między Polakami a Niemcami? „Wychodziłem
o pół do ósmej z domu i szedłem do biura piechotą,
aby nie musieć korzystać z tramwaju; w przedziale
dla Niemców, zwykle luźnym, byłbym wystawiony
na obrzydliwe spojrzenia Polaków stłoczonych
ciasno za sznurem; jadąc w przedziale dla Polaków
byłbym narażony na szykany ze strony Niemców.
Moja sytuacja życiowa była... dwuznaczna. Niemcy
mieli mnie po prostu za Polaka, Polacy za Niemca,
podczas gdy ja nie byłem ani tym, ani tamtym.”

Skonstruowana przez Kornela Filipowicza postać
„umyka” – rzecz można – narodowości jako kategorii
ontycznej, jak i nie poczuwa się do więzi z jakimkol-
wiek państwem – jest państwem sama dla siebie.
„Antybohater” polskiego pisarza (Filipowicz lubował
się w tego rodzaju „sztuczkach” literackich) jest
(ś w i a d o m i e) wyobcowany z ludzkiej wspólno-
ty, jakiegokolwiek. Jest „obcy” – jako człowiek, nie jako
Polak-albo-Niemiec. Nie poczuwa się do żadnej
więzi: państwowej, narodowej, regionalnej, grupo-
wej. Nie ma nawet rodziny. Nikogo. Jest sam.

Fachwerk). Ehrliche Liebe zu Deutschland wird kaum
einem dieser Unterzeichner der Volksliste zugestanden
– ganz anders als in der durchschnittlichen (unterdurch-
schnittlichen) BRD-Literatur der ersten zwei
Jahrzehnten nach dem Krieg. Der „folksdojcz” (poln.
populäre Schreibweise des Wortes) ist übrigens in den
Werken der polnischen Schriftsteller bis 1989 meistens
eine Nebenfigur.

In der ganzen polnischen Nachkriegszeitliteratur
eine absolut originelle Kreation von dem Deutschpolen-
Volksdeutschen schaffte Kornel Filipowicz im
Miniroman (eine Mode in der Weltliteratur der
sechziger Jahre) *Erinnerungen eines Antihelden*
(*Pamiętnik antybohatera*, 1964). Als eine literarische
Idee und nicht ein lebender Mensch hat der
Volksdeutsche bei Filipowicz keinen Namen. Der
Schriftsteller konstruierte eine amoralsche Gestalt: sein
„Antiheld” ist nur sich selbst der Nächste. Es hat sich so
ergeben, dass er vor den Behörden (des okkupierten
Polens, eines Landes, in dem er lebte) seine deutsche
Abstammung nachweisen konnte, er nutzte es aus, das
ist alles. „Mein Leben, meine Gesundheit sind das
wichtigste Gut – und Schluss. Niemand hat das Recht,
das in Frage zu stellen. Ich will leben, will gut leben und
jemand sein. Ich will sicher sein, dass ich nicht verfolgt
und als Wesen niedriger Kategorie gebrandmarkt
werde. Ich habe kein Solidaritätsgefühl gegenüber den
Verfolgten, sie kotzen mich an”. In ein paar Jahren wird
der „Antiheld” von einem Gericht von denen, die ihn
ankotzten, sich verantworten müssen; sie werden ihn
als einen Polen, der sein Land verraten hatte, anklagen,
als „sogenannten Volksdeutschen” – so wird er von dem
polnischen Richter im Finale der Erzählung tituliert.

Welche Stellung nimmt dieser „sogenannte
Volksdeutsche” zwischen Polen und Deutschen ein?
„Ich verließ das Haus um halb acht und ging zu Fuß ins
Büro, um nicht mit der Straßenbahn fahren zu müssen:
im weniger besetzten Abteil für Deutsche wäre ich den
widerlichen Blicken der Polen ausgesetzt, die dicht
gedrängt hinter der Absperrung stehen; wenn ich im
Abteil für die Polen gefahren wäre, wäre ich den
Schikanen der Deutschen ausgesetzt. Meine
Lebenssituation war... zweideutig. Die Deutschen hielten
mich einfach für einen Polen, die Polen für einen
Deutschen, während ich weder das eine noch das
andere war.”

Die von Kornel Filipowicz konstruierte Gestalt „ent-
flieht” – kann man sagen – der nationalen Qualifikation
sowie hat keine Verbindung mit irgendeinem Staat – sie

Na tym zakończmy nasz wywód o Niemcopolaku/Polakoniemcu w literaturze – niewykluczone, że doń jeszcze wrócimy.

Do konwencji mych tekstów z cyklu *Rozwagi polsko-niemieckie* należy, występujący zawsze na końcu, odrębny acz związany z tematem

Aneks

Billert (Miniopowiadanie)

Pana Billerta poznałem w 1983 roku na Rathausplatz w Hamburgu. Była wiosna. Czekałem na znajomą Niemkę, urzędniczkę w ratuszu, z którą się umówiłem. Siedziałem na ławce z wydany właśnie w Paryżu ostatnim tomem Brandysowych *Miesięcy* w ręce. Przysiadł się stary pan o wyglądzie polskiego hrabiego z Sienkiewiczowskiej *Rodziny Połanieckich*. Bułką z papierowej torby karmił gołębie, parę razy zaglądnął mi przez ramię do książki. Wreszcie zagadnął mnie po polsku. Od słowa do słowa, opowiedziałem mu swoją historię, on mnie swoją.

Urodził się na początku ubiegłego wieku w Poznaniu. Ojciec jego był cesarskim urzędnikiem państwowym w Provinz Posen, przybył z Brandenburgii. Ożenił się z ubogą dziewczyną z polskiej szlacheckiej rodziny, urodziło się dwóch synów, matka wkrótce zmarła na zakażenie krwi. W 1918 roku, gdy odrodziła się Rzeczpospolita Polska, ojciec mego rozmówcy zabrał dzieci i osiedlił się w Berlinie. Zmarł w roku 1924, gdy młody Billert miał 18 lat. Piętnoletni, wziął swoją część ojcowizny i – ponieważ w Niemczech był kryzys akurat większy niż gdzie indziej – wrócił do Poznania. Wyuczył się zawodu zegarmistrza, ożenił się z niebrzydką i niebiedną panienką, córką swego pryncypała Polaka. Po teściu została nieduża kamienica. Rok 1939 zastał pana Billerta u szczytu życiowego powodzenia, jako szczęśliwego męża i ojca, szanowanego obywatela. Miał on wszakże od lat paru zatarg z pewnym lokatorem swego domu, skrytym hitlerowcem. Po tym, jak Posen został stolicą Warthegau, hitlerowiec się ujawnił i szkodził mu usilnie u władz. Tak jakoś wyszło, że Billert nie uczynił żadnego wyraźnego między swą niemieckością a polskością wyboru; władze niemieckie go nie naciskały, sam się nie pchał ze względu na polską żonę i dzieci. Nadto nie był entuzjastą ustroju. Więc gdy do Poznania wrócili Polacy, mógł pozostać, gdzie był. Kamienicę mu

ist ein Staat für sich. Der „Antiheld“ des polnischen Schriftstellers (Filipowicz liebte literarische „Bildungen“ aller Art) ist (bewusst) der menschlichen Gemeinschaft entfremdet, jeder Gemeinschaft – als solche. Er ist „ein Fremder“ – als Mensch, nicht als Deutscher-oder-Pole. Er verspürt keine Bindung: staatliche, nationale, regionale oder mit irgendeiner Gruppe. Er hat nicht einmal eine Familie. Niemanden. Er ist allein.

Damit beenden wir den Vortrag über den Deutschpolen/Polendeutschen in der Literatur – seine Fortsetzung ist nicht ausgeschlossen.

Die Konvention meiner Texte aus dem Zyklus *Deutsch-polnischen Abwägungen* verlangt noch einen

Anex

Billert (Eine Minierzählung)

Ich lernte Herrn Billert 1983 auf dem Rathausplatz in Hamburg kennen. Es war Frühling. Ich wartete auf meine deutsche Bekannte, mit der ich verabredet war; sie war im Rathaus angestellt. Ich saß auf einer Bank mit dem letzten Band *Monaten* von Brandys in der Hand, welcher gerade in Paris herausgegeben wurde. Neben mir platzierte sich ein älterer Herr mit dem Aussehen eines polnischen Grafen aus Sienkiewicz' Roman *Die Familie Połaniecki*. Während er aus einer Papiertüte die Tauben mit Brötchen fütterte, guckte er mir über die Schulter ins Buch. Schließlich sprach er mich auf Polnisch an. Ein Wort gab es das andere, ich erzählte ihm meine Geschichte, er mir seine.

Er war Anfang letzteres Jahrhundert in Posen geboren. Sein Vater war kaiserlicher Staatsbeamter und stammte aus Brandenburg. Er heiratete ein unvermögendes Mädchen aus einer polnischen Adelsfamilie, zwei Söhne kamen zur Welt, die Mutter starb kurze Zeit darauf auf Tetanus. 1918, als die Republik Polen wiedererstand, nahm der Vater beide Söhne und siedelte mit ihnen nach Berlin über. Er starb im Jahre 1924, als der junge Billert achtzehn Jahre alt war. Der Volljährige nahm sein Erbteil und, weil die Wirtschaftskrise in Deutschland schwerer als woanders war – zog nach Posen zurück. Er erlernte den Uhrmacherberuf, heiratete ein nicht hässliches und nicht armes Fräulein, die Tochter seines polnischen Prinzipals. Der Schwiegervater hat eines nicht großen Mietshaus hinterlassen. Billert begrüßte das Jahr 1939 auf dem Gipfel seines Erfolges: als glücklichen Ehemann und Vater, angesehenen Bürger. Er hatte aber schon seit ein paar

zabrali – nie jako Niemcowi, lecz jako burżujowi, ale pozostawili w mieszkaniu i dali pracę w dużym zakładzie zegarmistrzowskim. Pan Billert był w momencie emerytury kierownikiem tego warsztatu. Od niedawna był wdowcem, dzieci były dorosłe. Postanowił wyjechać na stałe z Polski do brata, który od 40 lat mieszkał samotnie w Hamburgu. Brat przyjął brata z otwartymi ramionami. Jego skromnych dochodów z ciułanego przez całe życie kapitału starczyło dla dwóch. To było na początku lat 70.

Niechże pan sobie wyobrazi – powiedział do mnie pan Billert wtedy, na hamburskim bruku przed Ratuszem Miejskim – Szkopy nie chcą mi dać niemieckiego obywatelstwa. Mnie, Niemcowi z dziada pradziada, reichsdeutschowi wg hitlerowskiej nomenklatury. Już 10 lat trwa zabawa z urzędami. Ostatnio powiedział mi jeden urzędnik, tak niby żartem: „Co z pana za Niemiec, panie Billert, jeżeli przed pół wiekiem, gdy akurat państwo nasze znajdowało się w trudnej sytuacji, pan sobie pojechał do Polaków?!”

Epilog: Jan Billert, obywatel Republiki Federalnej Niemiec, zamieszkały na stałe w Hamburgu, zmarł w 1990 roku w Poznaniu, dokąd pojechał do znajomych Polaków na święta Wielkiejnocy. Tamże pochowany.

Jahren einen Feind unter seinen Mieter, einen stillen Hitleranhänger. Nachdem Posen zur Hauptstadt von Warthegau geworden war, machte sich der Nazi laut und schadete nach Kräften seinem Vermieter bei den Behörden. So kam es, dass Billert keine deutliche Wahl zwischen seinen Deutsch- oder Polentum tun musste; die deutschen Behörden zwangen ihn nicht dazu, er selbst blieb passiv wegen seiner polnischen Frau und Kinder. Sonst war er kein Enthusiast des Systems. Dank dessen, als nach Posen die Polen zurückkehrten, durfte er bleiben, wo er war. Sie haben ihm das Mietshaus weggenommen – und nicht als einem Deutschen, sondern als einem Bourgeois, die Wohnung aber konnte er behalten und eine Arbeit in großer Uhrmacherwerkstatt bekommen. Herr Billert war zu dem Zeitpunkt seiner Pensionierung Leiter dieser Werkstatt. Er war seit kurzem verwitwet, die Kinder waren erwachsen. Er entschloss sich für immer aus Polen zu seinem Bruder zu ziehen, der seit vierzig Jahren in Hamburg lebte. Von dem Bruder war er gerne willkommen. Sein bescheidenes Einkommen reichte für zwei. Das war am Anfang der siebzigen Jahre.

Stellen Sie sich vor – sagte Herr Billert zu mir damals vor dem Hamburger Rathaus – Fritzen wollen mir die deutsche Staatsangehörigkeit nicht geben. Mir, einem Deutschen seit –zig Generationen, einem – nach der Hitlerschen Nomenklatur – Reichdeutschen. Schon zehn Jahre dauert das Versteckspiel mit den Behörden. Letztlich sagte mir ein Beamter mit Augenzwinkern: Was für ein Deutscher sind Sie, Herr Billert, wenn Sie vor fünfzig Jahren, als unser Staat in Not war, zu den Polen gefahren sind?!

Epilog: Jan Billert, Staatsbürger der Bundesrepublik Deutschland, wohnhaft in Hamburg, starb 1990 in Posen, wohin er zu seinen polnischen Bekannten zu Ostern gefahren ist. Dort wurde er auch begraben.

Übersetzung vom Autor

Eva-Maria Budemann
Deutsch-polnischer
Frauenworkshop
in Cottbus

Seit dem Beitritt Polens in die „Europäische Union“ finden regelmäßige Treffen von Frauen aus dem Frauenzentrum Cottbus und „Baba“, einer Frauenvereinigung aus Zielona Gora, der Partnerstadt von Cottbus, statt.

Diese Workshops, die sich mit vielfältigen frauenspezifischen Themen wie Arbeitslosigkeit, Gewalt in der Familie, Sexualität, Wirtschaft, aber auch aktuell politischen Themen beschäftigen, werden beim Gedankenaustausch diskutiert. Durch viele Zusammenkünfte beiderseits der Neiße ist zwischen deutschen und polnischen Frauen unterschiedlicher Altersgruppen ein herzliches Verhältnis entstanden.

Das Treffen im Herbst 2008 stand ganz im Zeichen von Cottbuser Frauen, die in die Stadtgeschichte eingegangen sind. Es waren Frauen, die allein oder an der Seite ihrer Männer in besonderer Weise zum Wohle der Stadt tätig waren. Gebäude und Denkmale erinnern an diese Frauen. Ein historischer Stadtrundgang machte auch die Besucherinnen aus Zielona Gora mit ihnen bekannt.

Caroline Grünebaum (1861-1940) war die Frau des jüdischen Tuchfabrikanten und Kommerzienrat Max Grünebaum. Beide Ehepartner setzten sich dafür ein, dass sich Cottbus zu einer lebens- und liebenswerten Stadt entwickelt. Sie gründeten eine Rentenversicherung, richteten Kindergärten und Ferienheime ein und organisierten Weiterbildung für ihre Angestellten. Der Oberbürgermeister der Stadt Cottbus erhielt Unterstützung beim Bau der Wasser- und Abwasseranlagen in der Stadt, beim Bau des Elektrizitätswerkes, der Straßenbahn, des Kranken-

Eva-Maria Budemann
Polsko-niemieckie
warsztaty kobiece
w Cottbus

Od chwili przystąpienia Polski do Unii Europejskiej odbywają się regularne spotkania kobiet z „Frauenzentrum Cottbus“ oraz „Baba“, stowarzyszenia kobiet z Zielonej Góry, miasta partnerskiego Cottbus.

Warsztaty służą wymianie poglądów na różnorodne tematy kobiece, takie jak bezrobocie, przemoc w rodzinie, seksualność, gospodarka, ale także aktualne kwestie polityczne. Skutkiem licznych spotkań polskich i niemieckich kobiet w różnym wieku są rodzące się serdeczne więzi po obu stronach Nysy.

Spotkanie, które odbyło się jesienią 2008 roku, poświęcone było w całości kobietom, mieszkankom Cottbus, które zapisały się w historii tego miasta. Były to kobiety, które szczególnie działały na rzecz swego miasta, czy to samotnie, czy u boku swych mężczyzn. Przypominają o nich budowle i pomniki. Historyczny spacer po mieście pozwolił zapoznać się z nimi również paniom z Zielonej Góry.

Caroline Grünebaum (1861-1940) była żoną żydowskiego fabrykanta sukna i radcy handlowego, Maxa Grünebauma. Oboje starali się, by Cottbus stało się miastem, w którym chce się żyć i które chce się kochać. Utworzyli zakład ubezpieczeń rentowych, zakładali przedszkola i domy wczasowe, organizowali szkolenia dla swoich pracowników. Nadburmistrz Cottbus otrzymał od nich wsparcie przy budowie miejskich wodociągów i kanalizacji, elektrowni, sieci tramwajowej, szpitali, a także przy realizacji projektu pasa zieleni wokół historycznych murów miejskich. Z okazji otwarcia nowego budynku teatru ufundowali bogato zdobioną kurtynę główną, a w tym samym roku stworzyli Fundację Carolin i Maxa Grünebaumów. Fundowali renty dla ubogich

hauses sowie der Anlegung des grünen Gürtels entlang der historischen Stadtmauer. Zur Eröffnung des neuen Theaters stifteten sie den kostbaren Hauptvorhang und eröffneten im gleichen Jahr die Carolin und Max-Grünebaum-Stiftung. Renten wurden für in Not geratene Ehepaare, Gelder für die Volksküche und für bedürftige Kinder gespendet. Im sozialen Engagement stand Caroline ihrem Mann nicht nach. So finanzierte sie einer begabten Porzellanmalerin und Gobelinstickerin die Ausbildung. Vom Vaterländischen Frauenverein erhielt Caroline Grünebaum als Krankenschwester im

1. Weltkrieg die Medaille für karitative Dienste. Vierzig Jahre gehörten die Grünebaums zu den höchst angesehenen Familien in der Stadt. Dennoch mussten sie wegen ihrer jüdischen Abstammung 1939 vor der Gestapo fliehen. In England fanden sie eine neue Heimat. Ihre Nachkommen erhielten nach 1990 den Besitz der Grünebaums zurück. Sie verzichteten darauf und gründeten die Max-Grünebaum-Stiftung. Jedes Jahr im Oktober werden daraus an junge Künstler des Cottbuser Staatstheaters und Nachwuchswissenschaftler der Brandenburgischen Technischen Universität (BTU) Preise vergeben.

Auguste Feige (1824-1897) bereits eine sozial denkende Frau Ende des 19. Jahrhunderts in der Stadt Cottbus, die zwei Tage vor ihrem Tod per Testament in einer Schenkungsurkunde der Stadt ihren gesamten Besitz überließ.

Was veranlasste diese Frau, eine Stiftung zu gründen? Als einzige Tochter einer angesehenen Familie wuchs sie in bescheidenen Verhältnissen auf. Ihr Vater hatte eine Schankwirtschaft mit Brauereigerechtigkeit am Markt. Nach dem Tod des Vaters war sie Alleinerbin und erbt das der beiden wohlhabenden Schwestern ihrer Mutter. So war sie eine gute Partie und heiratete einen Buchhalter. Ihr Mann, der als Konkursverwalter tätig war, hatte Geld unterschlagen und wurde zu einer Strafe im neu erbauten Gefängnis verurteilt. Für Auguste war das ein schwerer Schicksalsschlag. Nachdem ihr Mann die Strafe verbüßt hatte, wurden sie von der vornehmen Cottbuser Gesellschaft gemieden und lebten viele Jahre sehr zurück gezogen. Wenn jemand in Geldnot geriet, fand er trotzdem den Weg zu Auguste Feige. Deshalb kursierte in der Stadt Cottbus ein bekanntes Sprichwort, „Geht dein Geld zur Neige, dann geh zu Auguste Feige“. Nach dem

Malheur, überreichten sie Geld an die Garküche und die armen Kinder. Carolin nicht zurückstapelte. I tak sfinansowała wykształcenie uzdolnionej artystce zajmującej się malowaniem na porcelanie i tworzeniem gobelinów. Za swą działalność charytatywną jako pielęgniarka w czasie I wojny światowej otrzymała medal od Patriotycznego Stowarzyszenia Kobiet (Vaterländisches Frauenverein). Przez czterdzieści lat Grünebaumowie należeli do najbardziej poważanych obywateli miasta. Jednak w 1939 roku musieli uciekać przed gestapo z powodu swego żydowskiego pochodzenia. Nową ojczyznę znaleźli w Anglii. Ich potomkowie w 1990 roku odzyskali własność Grünebaumów. Zrezygnowali z niej i założyli Fundację Maxa Grünebauma. Co roku w październiku Fundacja przyznaje nagrody młodym artystom Teatru Miejskiego w Cottbus oraz młodym naukowcom z Politechniki Brandenburgskiej w Cottbus (BTU).

Auguste Feige (1824-1897) była kobietą o prospołecznym światopoglądzie działającą pod koniec XIX wieku w Cottbus, która na dwa dni przed śmiercią zapisała w testamencie cały swój majątek miastu.

Co skłoniło tę kobietę do założenia fundacji? Wychowywała się w skromnych warunkach jako jedynaczka w szanowanej rodzinie. Jej ojciec był właścicielem szynku z prawem warzenia piwa na rynku miejskim. Po śmierci ojca odziedziczyła nie tylko jego majątek, lecz także dobytek dobrze sytuowanych siostr swojej matki. Była dobrą partią i wyszła za mąż za księgowego. Jej mąż, który pracował jako syndyk, dopuścił się malwersacji, został skazany na karę pozbawienia wolności i odbywał ją w nowo wybudowanym zakładzie karnym. Dla Augusty był to ciężki cios. Gdy jej mąż wyszedł z więzienia, dobre towarzystwo z Cottbus zaczęło ich unikać, przez wiele lat żyli z dala od świata. Jednak kto popadał w kłopoty finansowe i tak znajdował drogę do Augusty Feige. Dlatego po Cottbus krążyło powiedzenie: „Gdy twój trzosik pusty, biegnij do Augusty”. Po śmierci męża w 1896 roku skoncentrowała się na pomocy biednym i potrzebującym. Wtedy pojawiła się myśl o założeniu fundacji.

Odrodziła się ona 28 stycznia 2000 roku. Wspiera przede wszystkim kobiety i dziewczęta szukające pomocy i pragnące rozpocząć nowe życie w Domu Kobiet i Domu Samotnej Matki, kobiety uzależnione i bezdomne, a także podmioty zajmujące się pomocą społeczną, tak jak życzyła sobie tego Augusta Feige.

Tod ihres Mannes 1896 unterstützte sie besonders Arme und Bedürftige. In dieser Zeit kam ihr der Gedanke der Gründung einer Stiftung.

Am 28. Januar 2000 wurde die Stiftung wieder belebt. Die Stiftung unterstützt heute auf Antragstellung Frauen und Mädchen, die nach Zuflucht im Frauenhaus bzw. Mutter-Kind-Haus ein neues Leben beginnen wollen, suchtkranke und obdachlose Frauen sowie Träger der freien Wohlfahrtspflege, ganz im Sinne von Auguste Feige.

Heute ist in dem Gebäude im neugotischen Stil ein Therapiezentrum, eine moderne medizinische Dienstleistungseinrichtung ansässig.

Maria Groch (1801 bis 1864) ist die Erfinderin des „Königlichen“ später „Kaiserlichen“ Baumkuchens in der Stadt Cottbus, der auf keiner kaiserlichen Festtafel fehlte. Sie war verheiratet und hatte zwei Töchter.

Im Jahre 1819 gründete sie eine Baumkuchenbäckerei.

Am Cottbuser Marktbrunnen wurde der Erfinderin des Cottbuser Baumkuchens, der noch heute weit über die Grenzen der Stadt bekannt und gefragt ist, ein Denkmal gesetzt. Übrigens können wissbegierige in der angrenzenden Spremberger Strasse im Cafe Lauterbach beim Schaubacken zusehen und sich anschließend vom guten Geschmack überzeugen.

Das Rezept für den Baumkuchen ist sehr aufwendig, bestehend aus vier Pfund Butter, vier Pfund Zucker, drei Pfund Mehl und 50 Eier, abgeriebene Schalen und Saft von vier Zitronen, 3 Stangen Vanille, 1 Pfund geschälte, geriebene süße Mandeln, 1 Pfund bittere Mandeln und etwas Salz. Daraus wird ein dünnflüssiger Eierkuchen gerührt, der auf einem mit Papier umwickelten Kern, den späteren Hohlraum, gegossen wird. Dieser Kern dreht sich und die Teigmasse fließt langsam nach. Einzelnen wird jede Schicht gebacken, so dass die einzelnen Backschichten wie Jahresringe eines Baumes sichtbar werden. Um ihn haltbar zu machen und natürlich zu verfeinern, taucht man ihn heute in Schokolade, ursprünglich in Fondantmasse.

Lucie Fürstin von Pückler-Muskau (1776-1854) war die Gemahlin von Hermann Fürst von Pückler-Muskau, dem Landschaftsgestalter des letzten deutschen Landschaftsparks der nach englischem Vorbild in Cottbus (1846-1888) geschaffen wurde.

Die Ehe wird oft als Konvenienzehe bezeichnet, aber während des Zusammenlebens in 37 Jahren

Diesmal in neogotischem Gebäude befindet sich Zentrum therapeutische, moderne Einrichtung gesund.

Maria Groch (1801-1864) ist Erfinderin „königlichen“, a dann „kaiserlichen“ sękacz, którego nie brakowało na żadnej cesarskiej uczcie. Była mężatką i miała dwie córki.

W 1819 roku założyła piekarnię sękaczy.

Na rynku w Cottbus, obok fontanny, wynalazczyni tego ciasta, znanego i lubianego do dziś nie tylko w granicach miasta, postawiono pomnik. Zresztą ciekawscy mogą przejść się na sąsiednią Spremberger Strasse, do kawiarni Lauterbach, gdzie można przyjrzeć się, jak wypiekany jest ten sękacz, a potem przekonać się o jego wymyślnym smaku.

Wedle przepisu sękacz wymaga wielu nakładów, a to dwóch kilogramów masła, dwóch kilogramów cukru, 1,5 kilograma mąki i 50 jaj, startej skórki i soku z czterech cytryn, trzech lasek wanilii, 1/8 kilograma obranych, startych słodkich migdałów, 1/8 kilograma migdałów gorzkich oraz odrobiny soli. Z masy tej trzeba ubić cienkie ciasto jajeczne, którym zalewa się zawinięty w papier rdzeń, późniejsze wydrążenie. Rdzeń ten obraca się, a ciasto spływa po nim warstwami. Każda warstwa pieczona jest osobno, tak że potem są one widoczne niczym słoje drzewa. Żeby zapewnić ciastu trwałość, no i oczywiście lepszy smak, zanurza się je dziś w czekoladzie, a niegdyś w masie cukrowej.

Lucie księżna von Pückler-Muskau (1776-1854) była małżonką Hermanna księcia von Pückler-Muskau, projektanta ostatniego niemieckiego parku krajobrazowego, stworzonego w stylu angielskim w Cottbus (1846-1888).

Małżeństwo uważane było za zawarte z rozsądkiem, ale podczas 37 lat wspólnego życia małżonkowie stali się dla siebie ważnymi partnerami i dzielili zamiłowanie do projektowania parków.

Lucie była prawdziwie światową damą, znakomicie wykształconą, o bogatych koneksjach towarzyskich. Ślub odbył się w roku 1817, a siedzibą rodziny stał się zamek Muskau (Mużaków) odziedziczony przez księcia po kądzieli. Tutaj książę Pückler urządził pierwszy park krajobrazowy. Potem wielokrotnie udawał się w długie podróże do Anglii i orientalnych krajów. W czasie jego nieobecności księżna zarządzała majątkiem. Pückler dziękował jej za to czułymi listami. Wraz ze swą przyjaciółką,

wurden sie einander wichtige Partner und teilten die Leidenschaft für die Parkgestaltung.

In Lucie hatte Pückler eine Weltkategorie mit hervorragender Bildung und vielen gesellschaftlichen Kontakten kennen gelernt. Im Jahre 1817 fand die Hochzeit statt und der Wohnsitz wurde Schloss Muskau, der ererbte Besitz mütterlicher Seite. Hier gestaltete Fürst Pückler den ersten Landschaftspark. Es folgten viele lange Reisen nach England und dem Orient. Während seiner Abwesenheit verwaltete die Fürstin den Besitz. Dies dankte ihr Pückler mit liebevollen Briefen. Mit ihrer Freundin Rahel Varnhagen organisierte sie die Herausgabe dieser als „Briefe eines Verstorbenen“. Trotz aller Aktivitäten, wie Eröffnung des „Hermannsbades“ im Jahre 1823 in Muskau, wurden die angestauten finanziellen Probleme so groß, dass man sich entschloss, Muskau zu verkaufen. Wiederum war es Lucie, die ihn nach Branitz drängte, denn Pückler hatte niemals vor, in diese „Sandwüste“ zu ziehen. Das verpachtete väterliche Schloss Branitz war in einem sehr desolaten Zustand. Ihr Vorschlag war es, das Schloss von einer Terrasse mit Freitreppe zu umgeben, damit sich dieses nun besser in die Landschaft anpasst.

So finden wir in Muskau und Branitz viele Bereiche, die nur durch ihre Beharrlichkeit entstanden sind – eine dominante Frau an der Seite eines berühmten Mannes. Leider erlitt sie bald nach Einzug 1852 in Branitz einen Schlaganfall und erholte sich nur langsam. Am 8. Mai 1854 starb Lucie, Pücklers herzensgute Schnucke.

Rahel Varnhagen, księżna wydała je pod tytułem *Listy umarłego*. Mimo wszelkiej działalności, w tym otwarcia „Łaźni Hermanna” w Muskau w 1823 roku, doszło do takiego spiętrzenia problemów finansowych, że rodzina zdecydowała się sprzedać siedzibę rodu. I to Lucie namówiła Pücklera do przeprowadzki do Branitz; on sam nigdy nie miał zamiaru przenieść się „na tę pustynię”. Wydzierzawiony ojcowski zamek Branitz był w opłakanym stanie. Lucie zaproponowała, by otoczyć go tarasem ze schodami na zewnątrz, aby lepiej komponował się z otoczeniem.

I tak znajdziemy dziś w Muskau i w Branitz miejsca, które powstały tylko dzięki jej uporowi – silnej kobiety u boku słynnego mężczyzny. Niestety, wkrótce po przeprowadzce, w 1852 roku doznała wylewu i długo dochodziła do zdrowia. Lucie, nazywana przez Pücklera ukochaną owieczką, zmarła 8 maja 1854 roku.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Rita König

In der Partnerstadt von Zielona Góra

Die ‚Grundlose Kuhle‘ ist ein eisbedecktes Loch mitten im Wald. Es sieht aus wie ein Mini-Kratersee und obwohl es kalt ist und der Waldboden auf den Wegen hartgefroren, wage ich mich nicht hinunter. Vielleicht trägt der Schein und unter der Eisschicht verbirgt sich ein Moorloch. Ich hätte es nachlesen können, es gibt sicher irgendwo eine Erklärung dafür, eine Sage vielleicht sogar, doch ich erkunde die Umgebung lieber selbst. Auf einer Seite im Internet oder einem Geschichtsbuch erführe ich historische Fakten, doch die Menschen, die dies schrieben oder erforschten, sähe ich nicht.

Gerade in Soltau jedoch scheint es ein Leichtes zu sein, mit den Einwohnern ins Gespräch zu kommen. Das ist für mich der größte Unterschied zu meinem brandenburgischen Zuhause. Vieles andere ist vergleichbar: die Landschaft, die Einwohnerzahl der Stadt und des Landkreises, die Anzahl der Drogeriemärkte und der Zeitplan für den Wochenmarkt.

Aber Havelländer sind Brandenburger und tragen – als Zeichen ihrer Unzufriedenheit? – die Mundwinkel nach unten gezogen.

Vielleicht ist das folgerichtig. Es gibt doppelt so viele Arbeitslose, doppelt so viele Empfänger von Leistungen des ALG II, aber nur halb so viele offene Stellen im Angebot.

Vielleicht also ist es so, dass der Gram über fehlendes Einkommen und fehlende nützliche Beschäftigung das typische Meckern verursacht.

Aus dem allgegenwärtigen Stolz „Rathenow – Stadt der Optik“ (Alleinhersteller von Brillen) ist der Slogan „Brille = Fielmann“ geworden, und obwohl einiges investiert wurde, werden im Bereich der opti-

Rita König

W mieście partnerskim Zielonej Góry

„Grundlose Kuhle“ (dosł. „bezdenna czeluść“) to pokryta lodem jama w samym środku lasu. Wygląda jak mini jezioro wulkaniczne i chociaż jest zimno i ziemia na leśnych drogach zupełnie zamarznięta, nie mam odwagi, żeby zejść w dół. Może pozory mylą i pod warstwą lodu kryje się bagno. Powinnam była poczytać, na pewno jest gdzieś jakieś wyjaśnienie, może nawet jakaś legenda, ale wolę sama zbadać okolicę. Ze stron internetowych czy książki historycznej dowiedziałabym się pewnie czegoś o przeszłości tego miejsca, ale ludzi, którzy napisali te słowa, nigdy bym nie poznała.

A wygląda na to, że w Soltau jakoś szczególnie łatwo nawiązać kontakt. To największa różnica w stosunku do moich brandenburskich okolic. Wszystko inne jest podobne: krajobrazy, liczba mieszkańców miasta i powiatu, liczba drogerii i terminarz targowiska.

Jednak mieszkańcy Havellandu są Brandenburczykami i – na znak niezadowolenia? – usta mają wykrzywione w dół.

Może mają powody. Jest tu dwa razy więcej bezrobotnych, dwa razy więcej osób pobierających zasiłek, ale za to dwa razy mniej wolnych miejsc pracy.

Być może gorycz braku dochodu i użytecznego zajęcia są przyczyną tego charakterystycznego utyskiwania.

Wszechobecne budzące dumę hasło: „Rathenow – miasto optyki“ (jedyne producent okularów) zamieniło się w „Okulary = Fielmann“ i chociaż były tu jakieś inwestycje, to w przemyśle optycznym potrzebnych jest jeszcze zaledwie 15% liczby zatrudnionych z dawnych czasów.

schen Industrie heute nur noch etwa 15% der damals Beschäftigten benötigt.

Die vielen hochqualifizierten Facharbeiter schafften es nur in Einzelfällen, sich grundlegend neu zu orientieren. Die meisten von ihnen zogen weg – in den Westteil des neuen Landes.

Ich weiß nicht, ob andere Regionen in Deutschland besser mit einer solchen Umbruch-Situation hätten umgehen können.

Vielen Menschen in meiner Heimatstadt, die tagsüber das Bild prägen, fehlen Kraft, Kreativität und vor allem Orientierung – genau wie denjenigen, die in den ersten Jahren in Ämtern und Funktionen sich selbst erst zurechtfinden mussten. Woher soll jemand, der offiziell nicht mehr gebraucht wird, den Elan nehmen, sich gesellschaftlich zu engagieren? Dabei wäre es auch möglich Anerkennung zu erwerben in Vereinen, selbst welche zu gründen, tätig zu werden, 'nützlich' zu sein.

Wenn ich gefragt werde, wie es mir geht, antworte ich mit: „Danke, gut“. Immer noch ernte ich Erstaunen bis Neid. Wie kann es mir gut gehen in dieser wirtschaftlichen Situation, ganz abgesehen von den weltweiten Krisenherden, täglich sterbenden Kindern?

Ich habe das Gefühl, dass die Menschen, denen ich zu Hause begegne, schlechte Nachrichten aufsaugen wie ein trockener Schwamm das Wasser. Manchmal antworte ich zwinkernd auf so eine Katastrophenmeldung: „Der Joghurt steht bei Kaufland immer noch an derselben Stelle“ und male die Anführungszeichen in die Luft, denn diese Passage ist mir aus dem Buch von Jakob Hein („Herr Jensen steigt aus“, auch in der Soltauer Bibliothek vorhanden) am deutlichsten in Erinnerung. Auch der Titelblatt reagierte damit auf ein anklagendes „Nichts wird je wieder so, wie es vor dem Unglück war“. Erklären kann ich das nur wenigen. Das Jammern hat auch eine Kommunikationsfunktion, in einer Stadt, in der das Privatfernsehen und ‚Käseblätter‘ als Hauptinformationsquelle dienen.

Die Menschen, denen ich hier bisher begegnete, interessieren sich auch für meinen Blick auf die Dinge und dafür, wie es mir geht. Mein Gefühl dabei ist ein ganz anderes. Fragen dienen als Diskussionsgrundlage zum Meinungs austausch. Nicht verbietet, sondern öffnet. Dabei liegen ‚Käseblätter‘ auch hier aus, im Fernseher laufen die gleichen Sendungen. Wer berufstätig ist, hat zuviel zu tun, wer zu Hause ist, viel Zeit.

Z rzeszy wysoko wykwalifikowanych pracowników tylko nieliczni potrafili zacząć zupełnie od nowa. Większość się wyprowadziła – do zachodniej części nowego kraju.

Nie wiem, czy inne regiony Niemiec potrafiłyby lepiej poradzić sobie z przełomem tego rodzaju.

Wielu ludziom w moim rodzinnym mieście, tym, którzy kształtują jego wizerunek, brakuje siły, kreatywności, a przede wszystkim – świadomości, dokąd zmierzają – tak samo, jak tym, którzy w pierwszych latach musieli dopiero odnaleźć się na nowych urządach i w nowych rolach. Skąd ktoś, kto oficjalnie nie jest już potrzebny, miałby wziąć motywację do społecznego zaangażowania? A przecież uznanie można zyskać własnymi siłami, w organizacjach społecznych, poprzez założenie jakiejś własnej, przez działanie, przez „bycie użytecznym”.

Kiedy ktoś mnie pyta, jak mi się powodzi, niezmiennie odpowiadam: „Dziękuję, dobrze”. I wciąż reakcją jest zdziwienie, a nawet zazdrość. Jak komuś może się dobrze powodzić w tej sytuacji gospodarczej, nie mówiąc już o światowych ogniskach kryzysu, umierających dzień w dzień dzieciach?

Mam poczucie, że ludzie, których spotykam u siebie, wchłaniają złe wiadomości jak sucha gąbka wodę. Czasem opowiadam żartem o takiej oto katastrofie: „W supermarkecie jogurt znowu stał w tym samym miejscu” i palcami rysuję w powietrzu cudzysłów, bo to zdanie, które zapamiętałam najlepiej z książki Jakoba Heina (*Herr Jensen steigt aus*, dostępna także w bibliotece w Soltau). Jej tytułowy bohater tak właśnie zareagował na pełne wyrzutu stwierdzenie: „Nic już nie będzie nigdy takie, jak przed tym nieszczęściem”. Ale tylko nieliczni słuchają wyjaśnień. Białolenie pełni także funkcję komunikacyjną w mieście, w którym głównymi źródłami informacji są prywatna telewizja i bulwarówki.

Ludzie, których tu spotykałam, też są zainteresowani moim spojrzeniem na świat i tym, jak mi się powodzi. A przecież moje odczucia są zupełnie inne. Te pytania są podstawą dyskusji, której celem jest wymiana opinii. Nie chodzi o tym, by się zamartwiać, lecz o to, by być otwartym. A przecież tutaj też wszędzie można znaleźć bulwarówki, w telewizji leżą te same programy. Kto pracuje, nie ma czasu na nic, kto zostaje w domu, ma go za dużo.

Słyszę, że tu także można znaleźć restauracje ze spadającymi obrotami i fałszywym przekonaniem, że

Es gibt auch hier Gaststätten mit sinkendem Umsatz und dem falschen Ansatz, das mit höheren Preisen wettzumachen, wird mir berichtet, ich sehe auf dem Wochenmarkt nicht nur die in wollene Mäntel Gekleideten, sondern auch die mit schäbigem Anorak. Was also ist anders?

Vielleicht der Menschenschlag dieser Region, ich bekomme ja nur einen Ausschnitt zu sehen in dieser kurzen Zeit und kann mich irren. Eventuell aber gibt es etwas, das darüber hinaus geht. Jahrzehnte in wirtschaftlicher Sicherheit zählen bestimmt dazu, aber auch ein Stolz auf die Stadt, diese Region, den ich selbst dann spüre, wenn mein Gesprächspartner über – aus seiner Sicht – unfähige Regionalpolitiker oder fehlende Konzepte schimpft.

Beim Spazieren hinaus aus der Stadt entdecke ich ein Schild, auf dem die Partnerstädte verzeichnet sind. Zielona Góra, steht da, und ich lese das genau an jenem Tag, als ich eigentlich in Polen sein sollte: zur Präsentation der neuen Ausgabe der Literaturzeitschrift „Pro libris“. Einmal war ich bisher dort, bei netten Menschen, die helfend übersetzten und sich austauschten zu Problemen der Stadt und der Region. Auch die Einwohner dort beschäftigten sich mit den Auswirkungen des politischen Umbruchs. Ich weiß wenig über sie. Niedergeschlagen wirken sie jedenfalls nicht, wie sie diskutieren, streiten, Lösungen suchen. Ich weiß nicht, ob diese Menschen eine neue Orientierung gefunden haben, etwas, das ihrem Leben einen Sinn gibt, und das mir zu Hause zu fehlen scheint.

Vielleicht aber haben die Einwohner von Zielona Góra und die der Partnerstadt Soltau eines gemeinsam: den Stolz auf ihre Stadt.

In den letzten Jahren schafften es auch in meiner Heimat Erfolgsmeldungen bis in die Presse. Zur Landesgartenschau 2006 kam fast eine halbe Million Besucher in die Optikstadt, und im Jahr 2015 wird es in dieser Region sogar eine Bundesgartenschau geben – entlang der Havel von Dom zu Dom. Von der Stadt Brandenburg im Süden über Rathenow bis nach Havelberg, einer Stadt im Bundesland Sachsen-Anhalt. Das ist erstmalig und bisher einmalig in Deutschland. Grund genug auch für mich, stolz zu sein und mich für die Region zu engagieren.

man kann je erhöhen, unterbietet Preise, auf dem Markt sehen nicht nur die in warmen Mänteln gekleideten, sondern auch die mit schäbigen Anoraks. Was also ist anders?

Vielleicht der Menschenschlag dieser Region, ich bekomme ja nur einen Ausschnitt zu sehen in dieser kurzen Zeit und kann mich irren. Eventuell aber gibt es etwas, das darüber hinaus geht. Jahrzehnte in wirtschaftlicher Sicherheit zählen bestimmt dazu, aber auch ein Stolz auf die Stadt, diese Region, den ich selbst dann spüre, wenn mein Gesprächspartner über – aus seiner Sicht – unfähige Regionalpolitiker oder fehlende Konzepte schimpft.

Beim Spazieren hinaus aus der Stadt entdecke ich ein Schild, auf dem die Partnerstädte verzeichnet sind. Zielona Góra, steht da, und ich lese das genau an jenem Tag, als ich eigentlich in Polen sein sollte: zur Präsentation der neuen Ausgabe der Literaturzeitschrift „Pro libris“. Einmal war ich bisher dort, bei netten Menschen, die helfend übersetzten und sich austauschten zu Problemen der Stadt und der Region. Auch die Einwohner dort beschäftigten sich mit den Auswirkungen des politischen Umbruchs. Ich weiß wenig über sie. Niedergeschlagen wirken sie jedenfalls nicht, wie sie diskutieren, streiten, Lösungen suchen. Ich weiß nicht, ob diese Menschen eine neue Orientierung gefunden haben, etwas, das ihrem Leben einen Sinn gibt, und das mir zu Hause zu fehlen scheint.

Vielleicht aber haben die Einwohner von Zielona Góra und die der Partnerstadt Soltau eines gemeinsam: den Stolz auf ihre Stadt.

In den letzten Jahren schafften es auch in meiner Heimat Erfolgsmeldungen bis in die Presse. Zur Landesgartenschau 2006 kam fast eine halbe Million Besucher in die Optikstadt, und im Jahr 2015 wird es in dieser Region sogar eine Bundesgartenschau geben – entlang der Havel von Dom zu Dom. Von der Stadt Brandenburg im Süden über Rathenow bis nach Havelberg, einer Stadt im Bundesland Sachsen-Anhalt. Das ist erstmalig und bisher einmalig in Deutschland. Grund genug auch für mich, stolz zu sein und mich für die Region zu engagieren.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski



Piotr Czech

1987-1993 studia w PWSSP w Poznaniu (obecnie ASP); 1993 – dyplom z wyróżnieniem w zakresie: projektowanie graficzne, ilustracja. W 2000 uzyskał kwalifikacje I stopnia w dyscyplinie grafika na ASP w Poznaniu na Wydziale Komunikacji Multimedialnej. Od 1993 jest zatrudniony na Wydziale Artystycznym UZ. Prowadzi Pracownię Projektowania Graficznego i Edytorów Obrazu w Katedrze Sztuki i Kultury Plastycznej. Od 2006 pracuje również w PWSZ w Głogowie na kierunku Edukacja Artystyczna.

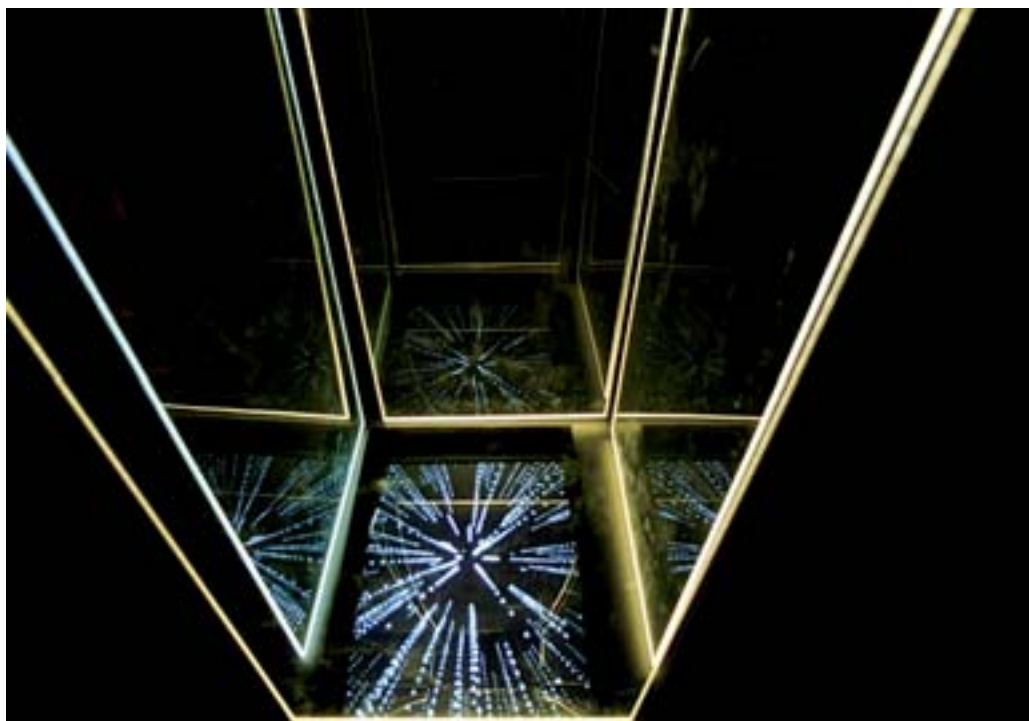
Wybrane wystawy indywidualne: 2000 *...wokół czasu ilustracji...* Miejska Galeria Sztuki, Puławy; 1997 *Małe rzeczy*, Mieczkowska 7, Zielona Góra; *Grafika – linoryt*, Galeria BWA, Ciechanów; 1996 *od...czasu...do...czasu*, Mieczkowska 7, Zielona Góra; *...x...y...z...t?*, Pracownia Zastępcza, Poznań; 1995 *pod tobą, obok siebie, ponad tobą i wokół ciebie*, Poznań; 1994 *I...Lus...Tracje*, Pracownia Zastępcza, Poznań.

Wybrane wystawy zbiorowe: 2008 *Miejsce do mieszkania, miejsce do kochania...*, (grafika, strony www) Galeria BWA, Zielona Góra; Galeria Miejska, Wrocław; BGS Słupsk; 2001 *Exhibition of Children's Book Illustrators*, Bologna, Włochy; 2000 *Wystawa pracowników ISiKP*, Muzeum Historyczne, Głogów; 1999 *Exhibition of Children's Book Illustrators*, Bologna, Włochy; *Wystawa pracowników ISiKP*, Muzeum Ziemi Lubuskiej Zielona Góra; *Polska Abstrakcja Analityczna*, BWA Wrocław; 1998 *II Biennale Książki i Umenia*, San Martin, Bratysława, Słowacja; *Książka artystyczna jako obiekt oraz warsztat edukacyjny*, ISiKP, Zielona Góra; 1997 *IX Konkursu Graficznego im. Józefa Gielniaka* BWA Jelenia Góra; 1995 *Pola Sztuki*, Zielona Góra; *I Biennale Sztuki Książki*, San Martin, Bratysława, Słowacja; 1993 *Inna Książka*, Galeria ON, Poznań.

Wybrane realizacje graficzne i projektowe: 2007 Katarzyna Podgórska-Glonti, *Historie własne*, Galeria Miejska, Wrocław (projekt graficzny i skład katalogu); 2006 Artur Żmijewski, *Filmy*, Galeria BWA, Zielona Góra (projekt graficzny i skład katalogu); Mirosław Bałka, *Ruhe*, Galeria BWA, Zielona Góra (projekt graficzny i skład katalogu); *Lubuska Zachęta Sztuki Współczesnej*, Galeria BWA Zielona Góra (projekt graficzny i skład katalogu); *Park Mużakowski*, Oficyna Wydawnicza UZ (projekt graficzny i skład katalogu); 2005 *Klem Felchnerowski, 1928-1980* Muzeum Ziemi Lubuskiej (projekt graficzny i skład katalogu); Leszek Lewandowski, *Instytut Imaginacji*, (projekt graficzny i skład katalogu) oraz liczne realizacje w zakresie projektowania graficznego: logotypy, plakaty, foldery.



Po...Za...Czas...Em, fragment, w ramach wystawy Pola Sztuki, Zielona Góra 1995



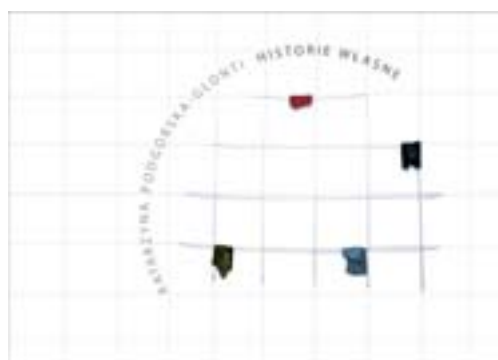
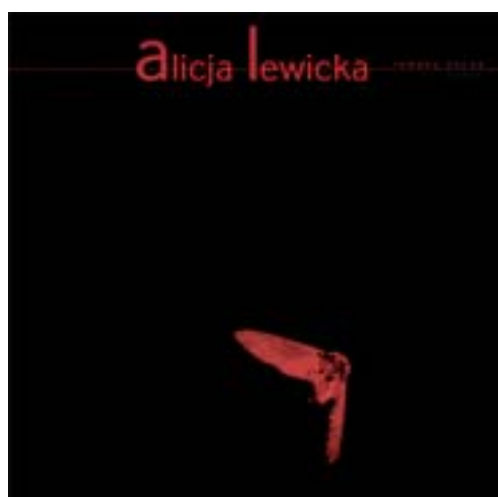
od...czasu...do...czasu, fragment, Mieczykowa 7, Zielona Góra 1996



od...czasu...do...czasu, fragment, Mieczkowa 7, Zielona Góra 1996



...x...y...z...t?, fragment, Pracownia Zastępcza, Poznań 1996



Przestrzenie i Światy Ilustracji

„...Słowo *ilustracja* nie jest najszcześniejszym określeniem podróży w *tekście* wyobraźni. Ponieważ właśnie wyobraźnia jest przede wszystkim miejscem początku tego, co jest zamieniane w obraz. Artysta szukając tam obrazów przenosi je w dwu lub trójwymiarowy świat realny. Świat tych obrazów to niekończące się obszary *światów wewnętrznych* bez linearnej kolejności, porozrzucane i wyczekujące. Każdy z tych światów jest jedyny i niepowtarzalny. Poszukiwanie obrazów to bezustanna podróż w *przestrzeniach wyobraźni*, odnajdywanie okrucichów przedmiotów, miejsc i przestrzeni. Czas wyobraźni jest możliwością ograniczoną tylko naszą wyobraźnią. To, w jaki sposób poruszamy się w nim, jakich manipulacji możemy dokonać, zależy od nas samych. Poszukujemy w nim znanych przedmiotów, horyzontów i pejzaży, aby je zatrzymać, odnaleźć fragment tajemnicy i odejść do następnego świata. Czasami jest to stan nieskończoności, niemożności dotarcia do miejsc i obrazów niezobrazowanych, nie-nazwanych. Odwoływanie się do tekstów wyobraźni jest odwołaniem do Księgi, w której zapis naszego czasu, tego, co przeczytaliśmy zobaczyliśmy, przeżyliśmy będzie źródłem inspiracji. Ilustracja takiego *tekstu* staje się kolejną narracją ograniczoną tylko przestrzenią zaistnienia w konkretnym medium zapisu dwu lub trójwymiarowego. W kreowanym miejscu ważny jest nie tylko sposób przekazu, ale także intymność tego świata, poszukiwanie punktu, od którego zaczynają się możliwości odwołań do kolejnych miejsc w obrazie już zapisanym. Taki punkt staje się swoistym tesseractem – hipersześcianem rozwinętem w przestrzeni trójwymiarowej i próbą przeniknięcia do czwartego wymiaru. W jednym z przeczytanych opowiadań architekt buduje przestrzeń

budując hipersześcianem. W wyniku nieprzewidzianych okoliczności konstrukcja ulega zniszczeniu i pozostaje tylko jeden z sześciątów. Nagle okazuje się, że wchodząc do wnętrza takiego sześciątka widać pozostałe jego zaginionie segmenty. Zwiedzając kolejne przestrzenie dostrzega, że nie mają one końca, powielając się w nieskończoność, że nie istnieją pojęcia *na zewnątrz*, czy *kolejność*. Poruszanie się w czwartym wymiarze staje się nieskończonością możliwości odnajdywania lub gubienia punktu będącego pozornym miejscem początku świata ilustracji – wyobraźni. Światy tak kreowane stają się potencjalną chęcią otwarcia *bram wyobraźni* odbiorcy i zaproponowania mu indywidualnej gry z zastanym światem obrazem.”

... od kilku lat oprócz realizacji artystycznych zdecydowanie więcej czasu poświęcam na doskonalenie warsztatu związanego z projektowaniem graficznym. Ten czas uświadamia, ile pokory wymaga zdobycie umiejętności, które dla niektórych mogą być „tylko” rzemiosłem. Bycie dobrym rzemieślnikiem nie jest rzeczą łatwą i maksyma „im prościej tym trudniej” jak najbardziej przekłada się na sposób pracy. Uświadomienie najpierw sobie, a później innym idei owej prostoty jest czasami rzeczą karkołomną. Szacunek do literatury, kompozycji oraz harmonii zawartej w projekcie staje się radością tworzenia. Realizacje drobnych niuansów w detalach, piękna w układzie poszczególnych liter i „czystości” wykonania projektu stają się swoistą nagrodą dla odbiorcy, który dostrzeże coś, co przykuje jego uwagę. Pogodzenie świata edukacji, umiejętności przekazania zdobytej wiedzy również uczy cierpliwości i wskazywania już otwartych drzwi w sposób zrozumiały dla tych, którzy w przyszłości być może również będą projektantami.

Andrea Böning

Die Touristische Wahrnehmung

Die zentralen Themen meiner künstlerischen Arbeit sind der Tourismus und die Freizeitgestaltung.

Die durch den Globalisierungsprozess sich verändernde touristische Wahrnehmung erforsche ich eben so wie die Strategien der Tourismusbranche. Neben fotografischen Arbeiten entwickle ich Installationen für den öffentlichen Raum zu Themen wie der Reisefotografie, Stadtarchitektur und Landschaft und hinterfrage stereotype Sprachelemente der touristischen Welt. Ich agiere mit einer Gratwanderung zwischen Realität und Künstlichkeit und versuche auf diese Weise deren verschwimmende Grenzen neu auszuloten.

In der Arbeit *Velvet Mountain*, Weimar, 2001 installierte ich einen einladenden, sich bewegenden aber dennoch offensichtlich unbenutzbaren Skilift in das Treppenhaus des Museums. Es entsteht ein Wechselspiel zwischen der Erwartungshaltung gegenüber der alpinen Welt und der gegenüber der musealen Welt. Die Vernetzung von Eventkultur, Kulisse, Museum, Kunst und Tourismus thematisiert die inhaltliche und gesellschaftliche Neuorientierung des Systems Museum.

Der Installation *Die Sicht oder: Eine Bank für Zempow*, Zempow, 2008 liegt eine Auseinandersetzung mit Wahrnehmungsmustern von „Landschaft“ zugrunde.

Eine Holzbank mit Aussicht auf Wiesen und Wälder lädt auf dem Wanderweg zum Verweilen ein. Hat man den Platz eingenommen, kann man die Landschaft genießen. Man erblickt in den Weiten der Wiesen eine weitere Bank, die ebenso aussieht wie die, auf der man sitzt. Jedoch ist die zweite Bank unverhältnismäßig groß und scheint nicht wie üblich

Andrea Böning

Widzieć świat jak turysta

Centralnymi tematami mojej pracy artystycznej są turystyka i czas wolny. Badam zarówno zmieniające się w wyniku globalizacji postrzeganie świata przez turystów, jak i strategie branży turystycznej. Tworzę fotografie, ale także instalacje dla przestrzeni publicznej na tematy takie jak: fotografia z podróży, architektura miejska i krajobraz; przyglądam się też krytycznie stereotypowym elementom języka świata turystyki. Poruszam się na krawędzi rzeczywistości i sztuczności, próbując w ten sposób na nowo zdefiniować dzielące je granice.

W mojej pracy *Velvet Mountain*, Weimar, 2001 zainstalowałam zachęcający do skorzystania, poruszający się, ale w oczywisty sposób bezużyteczny wyciąg narciarski na klatce schodowej muzeum. Rodzi się napięcie między oczekiwaniami związanymi ze światem białego szaleństwa a światem muzeum. Wzajemne powiązania kultury eventu, kulisy, muzeum, sztuki i turystyki opowiada o nowym merytorycznym i społecznym rozumieniu systemu, jakim jest muzeum.

Celem instalacji *Die Sicht oder: Eine Bank für Zempow* („Widok albo ławka w Zempow”), Zempow, 2008 jest dyskusja nad wzorcami postrzegania łączącymi się pod pojęciem „krajobrazu”. Drewniana ławka z widokiem na łąki i pola zaprasza do chwili przerwy w czasie wędrówki. Można więc zająć miejsce i kontemplować krajobraz. W dali łąk widać kolejną ławkę, która wygląda dokładnie tak jak ta, na której siedzimy. Jednak ta druga ławka jest nieproporcjonalnie duża i wydaje się, że nie stoi, jak inne, przy drodze. Znajduje się dokładnie naprzeciwko siedzącego, zaśłania mu widok, który tym samym staje się niczym więcej jak obrazem. Ławka na szlaku

an einem Weg zu stehen. Sie steht dem Betrachtenden genau gegenüber, steht irritierend in der Aussicht, womit die Aussicht einmal mehr zum Bild erklärt wird.

Eine Sitzbank impliziert immer auch die Aussicht. Die Bank auf der Wiese wird zum Spiegelbild: man schaut an, wie man die Landschaft betrachtet und reflektiert somit seine jeweils eigene Sicht.

„Landschaft“ ist ein konstruierter Begriff. Und in der Betrachtung von „Landschaft“ schwingt für uns auch heute noch etwas „romantisches“, sowohl im engeren, epochalen als auch im weiteren, allgemein verständlichen Sinn mit.

Die Sehnsucht nach einem „intakten“ Verhältnis zur Natur dominiert die Landschaftsbetrachtung. Sie lässt sich in einen engen Zusammenhang zur ökonomischen Entwicklung setzen. Seitdem die Landwirtschaft sich aus dem ursprünglich symbiotisch eng verwachsenen System „Landwirtschaft – Landschaft (Natur)“ zurückzieht, konzentriert sie sich auf wenige spezialisierte Hochleistungsbetriebe. In der Sehnsucht das verloren Gehende zu erhalten oder zurückzuholen, entsteht eine Verklärung der Natur und der Landschaft. Das äussert sich etwa in einer überhöhten und im heutigen Sinne romantisierten Idee von „Natürlichkeit“ und einem „Zurück zur Natur“ in vielen Bereichen, besonders aber in der Freizeitgestaltung und im Tourismus. Gerade hier entstehen stereotype Bilder von „Ferien auf dem Bauernhof“.

Ich habe die auf der Wiese stehende *Bank für Zempow* daher bewusst nicht – wie die „echte“ – aus Holz, sondern aus diesbezüglich „falschem“ Material reproduziert. Styropor, Zement und Farbe: das sind nicht die Materialien von Bauten, die für eine lange Zeit konzipiert sind. Sie verweisen vielmehr auf die Welt der Erlebnis- und Erholungsparks, deren Bauten und künstliche Welten aus eben solchen Materialien sind. Die Sehnsucht nach „Natur“ und einem „gesunden Ökosystem“ formuliert sich also in künstlichen Bauten und ihren stereotypen Bildern. Und es geschieht um so mehr, je weiter die gemeinte Natur durch Agrarpolitik und -ökonomie von dem entfernt wird, was sie eigentlich ausmachen soll.

Städtebauliche Situationen untersuche ich z.B. in *Eine Gondel für Beelitz*. Eine Gondelfahrt ist immer eine Attraktion. Es ist stets ein Genuss, mit dem Blick über offene Landschaften zu wandern und die Zusammenhänge von Wäldern, Flüssen, Wiesen und Städten zu erkennen.

zawsze implikuje widok. Ławka na łące staje się jej odbiciem: można patrzeć na samego siebie, jak się obserwuje krajobraz, podjąć refleksję na temat własnego spojrzenia.

„Krajobraz” to pojęcie sztuczne. Nawet dziś pobrzmiewa w nim coś „romantycznego”, zarówno w wąskim znaczeniu epoki literackiej, jak i w rozumieniu szerszym, ogólnym. Kontemplacja krajobrazu jest zdominowana przez tęsknotę za „nienaruszonym” stosunkiem do przyrody. Można ją umieścić w bliskim związku z rozwojem ekonomicznym. Od chwili, gdy rolnictwo wyrwało się z pierwotnego, symbiotycznego systemu „rolnictwo – krajobraz (natura)”, zaczęło się koncentrować na niewielkiej liczbie wysoko wyspecjalizowanych zakładów produkcyjnych. W obliczu tęsknoty za tym, by zachować lub przywrócić to, co utracone, rodzi się gloryfikacja natury i krajobrazu. Wyraża się to w przesadnej i romantycznej w dzisiejszym znaczeniu tego słowa idei „naturalności” i „powrotu do natury”, w wielu obszarach, ale przede wszystkim w branży turystycznej i organizacji wolnego czasu. To tutaj powstają stereotypowe obrazy, takie jak choćby „wakacje na wsi”.

Dlatego właśnie ławkę stojącą na łące w *Bank für Zempow* celowo wykonałam nie – jak „prawdziwą” – z drewna, lecz ze „złego” materiału: styropor, cement i farba – to nie są materiały, z których można skomponować coś trwałego. Odsyłają raczej do świata parków rozrywki i wypoczynku, których budowle i sztuczne światy powstają właśnie z takich materiałów. Tęsknota za „naturą” i „zdrowym ekosystemem” wyraża się więc także w sztucznych budowlach i ich stereotypowych prezentacjach. A dzieje się tak tym bardziej, im bardziej to, co wydaje nam się naturą, oddala się od tego, czym ona być powinna, z powodu oddziaływania polityki agrarnej i ekonomii.

Sytuacje urbanistyczne poddaję badaniom np. w instalacji *Eine Gondel für Beelitz* („Gondola w Beelitz”). Przejazdźka gondolą zawsze jest atrakcją. Przyjemnie jest wędrować, podziwiając otwarte krajobrazy, dostrzegając powiązania między lasami, rzekami, łąkami i miastami. *Gondel für Beelitz* odsyła w ten sposób do niedostrzeganych cech otwartej przestrzeni, na której zainstalowana jest gondola: gdy poruszamy się po ulicach miasta, w miejscu, gdzie kończy się stara architektura, otwiera się luka, którą witamy z radością, ponieważ

der Austauschbarkeit der Reiseziele der heutigen Tourismusindustrie.

Die Motive der Inszenierungen orientieren sich an Erwartungsbildern des Tourismus in ferne Länder, die als fremd und exotisch gelten und binden gleichzeitig an die Anfänge der Studiofotografie an, bei der einfachste Theaterelemente für Inszenierungen dienten. In kolonialistischer Anlehnung umgaben sich die Portraitierten gerne mit einem Ambiente ferner Länder.

Snapshot Island untersucht und hinterfragt auf humorvolle und Weise die Urlaubsfotografie und deren Funktion. Sie sind Markierungen des Ich-binda-gewesen mit postkartenbekannten Sehenswürdigkeiten im Hintergrund. Die Urlaubsfotografien agieren mit der Bildsprache der globalisierten Idee des Reisens und lassen damit die Erwartungshaltung der Reisenden auch als sichtbar erfüllt beweisen.

Ich sehe meine künstlerische Tätigkeit nicht allein in meiner Arbeit wie diese Beispiele. Ich konzipiere und realisiere ebenso Ausstellungsprojekte. So ist entstand 2008 das Projekt *Village Resort Brandenburg?*, ein künstlerisch-architektursoziologisches Projekt im brandenburgischen Beelitz, welches die Situation im ländlichen und kleinstädtischen Lebensraum am Rande der Metropolregion Berlin thematisiert.

Vor dem Hintergrund von beinahe zwanzig Jahren Nachwendezeit verfolgen temporäre Kunstwerke im öffentlichen Raum gekoppelt mit einer Veranstaltungsreihe Fragen nach städtebaulichen und sozialen Veränderungen. Nach der rasanten Stadtsanierung Ost und nach großen sozialen Veränderungen versteht sich das Projekt als Einladung mit unkonventionellen Methoden veränderte und neue Blicke auf Städte wie Beelitz zu gewinnen.

Bibliografie:

- *Shift – Wie konnte das Einhorn die Sintflut überstehen*, Ausstellungskatalog, Neues Museum Weimar, 2001, Hrsg: Kunstsammlung zu Weimar
- *Blühende Landschaften?*, Zempow, Handbuch für die Erkundung eines Dorfes am Zonenrand, 2009, Hrsg: Michael Kurzwelly und UmLand e.V., ISBN: 978-3-89998-149-0
- *Village Resort Brandenburg?* Ein Kunstprojekt in Beelitz, 2008, Hrsg: Andrea Böning und Kunstpflug e.V., ISBN: 978-3-89998-141-4

fotografii studyjnej, w której inscenizacji służyły najprostsze rekwizyty. W czasach kolonialnych portretowani chętnie otaczali się przedmiotami pochodzącymi z dalekich krajów.

Snapshot Island bada i krytycznie, choć z humorem, przygląda się fotografii urlopowej i jej funkcji, będącej czymś w rodzaju napisu „tu byłem” na znanej z kartek pocztowych atrakcji turystycznej. Fotografia urlopową oddziałuje językiem obrazu odzwierciedlającego zglobalizowaną ideę podróży i pozwala tym samym na widoczne spełnienie oczekiwań osób udających się w takie podróże.

Powyższe przykłady to nie jedyny typ działalności artystycznej, którym się zajmuję. Tworzę koncepcje i realizuję także projekty wystawiennicze. Tak powstał w roku 2008 *Village Resort Brandenburg?*, artystyczno-socjoarchitektoniczny projekt w brandenburgskim Beelitz, którego tematem jest sytuacja na wiejskich i małomiasteczkowych obszarach położonych na krańcach metropolii berlińskiej.

Dzieła artystyczne, czasowo prezentowane w przestrzeni publicznej, połączone z serią imprez, zadają pytanie o zmiany urbanistyczne i społeczne w niemal 20 lat po politycznym przełomie. Projekt ma być niekonwencjonalnym zaproszeniem do nowego spojrzenia na miasteczka takie jak Beelitz, po dynamicznej modernizacji niemieckiego Wschodu i wielkich zmianach społecznych.

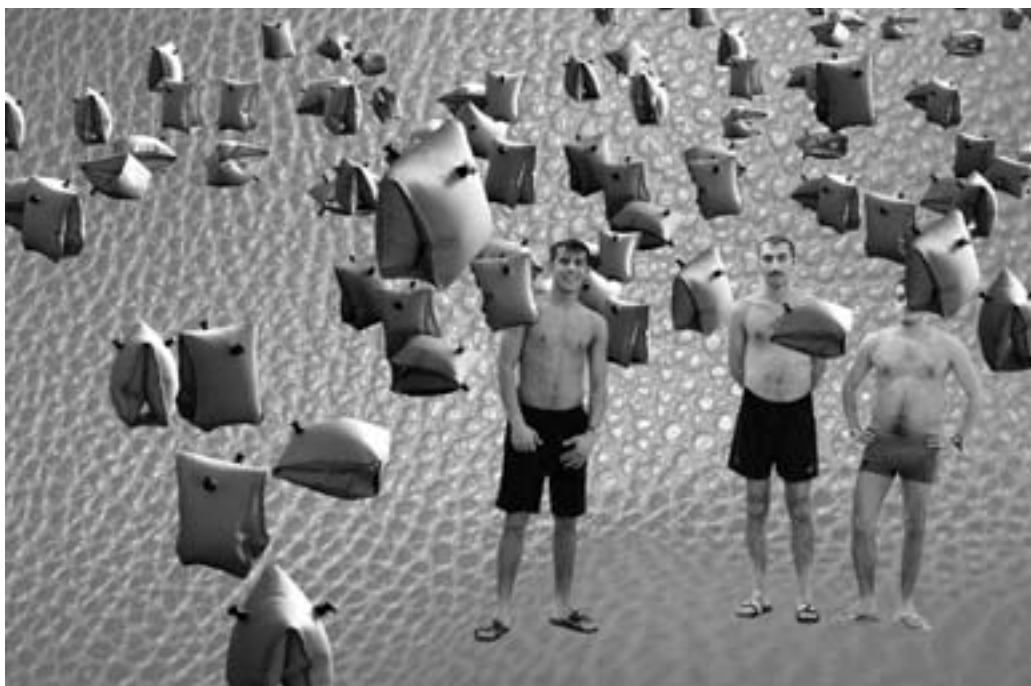
Bibliografia:

- *Shift – Wie konnte das Einhorn die Sintflut überstehen*, (*Shift – jak jednorożec mógł przetrwać potop*), Katalog wystawy, Neues Museum Weimar, 2001, wydawca: Kunstsammlung zu Weimar.
- *Blühende Landschaften?*, Zempow, Handbuch für die Erkundung eines Dorfes am Zonenrand, 2009 (*Kwitujące krajobrazy? Podręcznik eksploracji pewnej wioski na granicy stref*), Wyd.: Michael Kurzwelly und UmLand e. V.
- *Village Resort Brandenburg?* Ein Kunstprojekt in Beelitz, 2008 (*Village Resort Brandenburg? Projekt artystyczny w Beelitz*), Wyd.: Andrea Böning und Kunstpflug e. V.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski



Andrea Böning, *Piz Plaza*, Kunstverein Gifhorn 1999, ok. 200 „skrzydełek do pływania”, sztuczna skóra, miękki PVC, 7 x 10 x 0,15 m
VG Bild-Kunst, Bonn.



Andrea Böning i Dagmar Hugk, *Snapshot Island*, od 2006 r., wydruk komputerowy, 48 x 33 cm, VG Bild-Kunst, Bonn.



Andrea Böning i Dagmar Hugk, *Snapshot Island*, od 2006 r., wydruki komputerowe, 48 x 33 cm każdy, VG Bild-Kunst, Bonn.

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Krystyna Kamińska

Landsberg
an der Warthe
– Gorzów Wielopolski

Nasze miasto

30 stycznia 1945 r. miasto L. stało się miastem G. Takimi skrótami Christa Wolf nazwała dawny Landsberg an der Warthe i obecny Gorzów Wielkopolski w swojej książce *Wzorce dzieciństwa*. Christa Wolf zaliczana jest do najwybitniejszych pisarek niemieckich. Urodziła się w 1929 r. w Landsbergu. Miała 15 lat, gdy 30

Krystyna Kamińska

Landsberg
an der Warthe
– Gorzów Wielopolski

Unsere Stadt

Am 30. Januar 1945 wurde die Stadt L. zur Stadt G. Mit diesen Abkürzungen bezeichnete Christa Wolf das ehemalige Landsberg an der Warthe und das heutige Gorzów Wielkopolski in ihrem Buch „Kindheitsmuster“. Christa Wolf gehört zu den hervorragendsten deutschen Schriftstellerinnen. Sie wurde 1929 in Landsberg

stycznia 1945 r. razem z rodzicami na zawsze opuściła miasto dzieciństwa. Po raz pierwszy wróciła tu w 1971 r. Wspomnienia Landsbergu oraz wrażenia z Gorzowa stały się dla niej inspiracją do napisania książki *Wzorce dzieciństwa* (*Kinderheismuster* 1976, tłumaczenie polskie 1981). Dzięki Chrście Wolf miasto zyskało literacki obraz ostatnich dni przed historyczną zmianą.

*

Przez 30 powojennych lat na ziemiach zachodnich i północnych obowiązywała polityczna dewiza: „Myśmy tu nie przyszli, myśmy tu wrócili”. W Gorzowie także, choć miasto założyli margrabiowie askańscy w 1257 r., czyli już po włączeniu tego obszaru do Brandenburgii. Przez pierwsze lata polskiej administracji konsekwentnie niszczone niemieckie ślady. Protestantcki cmentarz stał się parkiem Kopernika, zburzono zabytkowy arsenał, bo był świadectwem pruskiego militarizmu, zniszczone w końcu wojny śródmieście obudowano, świadomie zacierając ślady przeszłości.

*

Wiosną 1976 r. do Zdzisława Linkowskiego, dyrektora gorzowskiego muzeum, przyjechał Hans Beske z żoną Barbarą. Przedstawił się jako przewodniczący organizacji skupiającej dawnych mieszkańców miasta Landsberg i powiatu (Bundesarbeitsgemeinschaft Landsberg (Warthe), Stadt und Land – dalej używany jest skrót BAG), przywiózł pierwszy z trzech tomów monografii miasta wydanej przez Ziomkostwo.

Zdzisław Linkowski urodził się i wychował w Zbąszyniu, polskim mieście przed wojną położonym tuż przy granicy z Niemcami. I choć babcia powtarzała mu zawsze, że „nie będzie Niemiec Polakowi bratem”, on był otwarty na kontakty z Niemcami, a w muzeum miewał gości z obu stron granicy.

Minęło już pięć lat od podpisania przez kanclerza Niemiec Willy Brandta układu o normalizacji stosunków między RFN a Polską, po obu stronach żywa była pamięć gestu kanclerza, który w Warszawie uklęknął przed pomnikiem Ofiar Getta.

Zdzisława Linkowskiego zaskoczyła nie tyle wizyta, co prośba gości: eleganckiego, wysokiego mężczyzny i jego niezwykle sympatycznej żony. Szukali oni dojścia do władz miasta, aby do Gorzowa przenieść to, co

geboren. Mit 15 Jahren, am 30. Januar 1945, hat sie mit ihren Eltern die Stadt ihrer Kindheit für immer verlassen. Zum ersten Mal ist sie hierher 1971 zurückgekommen. Die Erinnerungen an Landsberg und die Eindrücke von Gorzów haben sie zum Verfassen des Buchs „Kindheitsmuster“ (1976, polnische Fassung 1981), angeregt. Dank Christa Wolf gibt es ein literarisches Bild der Stadt aus den letzten Tagen vor der historischen Wende.

*

Während der ersten 30 Nachkriegsjahre galt auf den ganzen West- und Nordgebieten Polens die folgende Parole: „Wir sind nicht an-, wir sind zurückgekommen.“ Auch in Gorzów, obwohl die Stadt von den askanischen Markgrafen 1257 gegründet wurde, also nachdem das Gebiet Brandenburg angeschlossen worden ist. In den ersten Jahren der polnischen Verwaltung wurden die deutschen Spuren konsequent vernichtet: Der evangelische Friedhof wurde zum Kopernikuspark, das historische Arsenal – als Zeuge des preußischen Militarismus – niedergeissen, die zum Ende des Krieges zerstörte Stadtmitte bewusst mit dem Ziel wiederaufgebaut, die Spuren der Vergangenheit zu verwischen.

*

Im Frühjahr 1976 wurde der Direktor des Museums in Gorzów, Zdzisław Linkowski, von Hans Beske und dessen Frau Barbara besucht. Dieser hat sich als Vorsitzender einer Organisation vorgestellt, die ehemalige Bewohner von Landsberg (weiter BAG, Bundesarbeitsgemeinschaft Landsberg Warthe Stadt und Land) vereint, und legte das erste der aus drei Bänden bestehenden Monografie der Stadt auf den Tisch, herausgegeben durch diese Landsmannschaft.

Zdzisław Linkowski wurde in Zbąszyń geboren und erzogen, einer polnischen Stadt, die vor dem Krieg direkt an der deutschen Grenze gelegen hatte. Und obwohl ihm seine Großmutter immer wieder in den Kopf legte: „Ein Deutscher und ein Pole können niemals Brüder werden“, war er für Kontakte mit den Deutschen offen, und in seinem Museum waren oft Gäste von beiden Seiten der Grenze zu sehen.

Fünf Jahre zuvor hatte Bundeskanzler Willy Brandt den Vertrag zur Normalisierung der Beziehungen zwischen der BRD und Polen unterzeichnet und auf beiden Seiten war die Erinnerung an die

kanclerz Brandt i premier Cyrankiewicz zrobili w stosunku do obu państw.

Linkowski zorganizował w swoim domu spotkanie państwa Beske z poetą Zdzisławem Morawskim, wtedy najwyższym w Gorzowie autorytetem moralnym, z którym liczone się w gabinetach. Trochę wcześniej jedyny syn Morawskiego zdecydował się na osiedlenie w RFN, pisał listy o tamtejszych warunkach życia. Ojciec chciałby odwiedzić syna, co wówczas było prawie niemożliwe. Tak więc wątki osobiste nałożyły się na wątki polityczne i rozmowa była pełna życzliwości z obu stron. Zakłócały ją tylko dochodzące od czasu do czasu spod stołu głoche odgłosy uderzania dwóch drewnianych protez: Hans Beske nosił protezę po amputacji nogi na froncie wschodnim, a Zdzisław Morawski po wypadku w kopalni, gdzie odpracowywał niepokorność wobec władz socjalistycznych.

Niebawem doszło do kurtuazyjnego spotkania w gabinetach najwyższych władz gorzowskich, wtedy jeszcze bez zobowiązań, ale z życzliwością.

Już wcześniej Hans Beske spotykał się z biskupem Wilhelmem Plutą, w którym jego idea zyskała zdecydowanego zwolennika. Wszak biskup Pluta należał do najaktywniejszych rzeczników porozumienia między Polską a Niemcami z 1965 r., w którym polscy biskupi deklarowali: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie...”

*

W 1982 r. ukazał się w Herfordzie (mieście opiekuńczym dla landsberskiego ziomkostwa) album *Wege zueinander: Landsberg (Warthe) – Gorzów Wlkp. – Herford*. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie udział w nim polskich twórców: tekst napisał profesor (obecnie) Bogdan Kunicki, zdjęcia współczesnego Gorzowa zrobił Waldemar Kućko, wykorzystano także rysunki o mieście Bolesława Kowalskiego i Andrzeja Gordona.

W Gorzowie zawrzało. W kręgach towarzyskich z uznaniem mówiono o odwadze artystów, którzy nie bali się przekazać tamtym (zachodnim) Niemcom swoich prac i współczesnego Gorzowa. Wszystkim wydawało się, że lada chwila wybuchnie awantura w Komitecie Wojewódzkim PZPR lub w ratuszu. Nie wybuchła.

*

Wiosną 1983 r. jako pierwszy na doroczny zjazd ziomków pojechał do Herfordu Zdzisław Linkowski.

Geste des Kanzlers lebendig, der in Warschau vor dem Gethodenkmal niederkniete.

Zdzisław Linkowski war nicht so sehr von dem Besuch überrascht, wie von der Bitte der Gäste: des eleganten, groß gewachsenen Mannes und seiner sehr sympathischen Ehefrau. Sie suchten nach Kontakt mit den Stadtbehörden, um das nach Gorzów zu verpflanzen, was der Bundeskanzler Brandt und der Premierminister Cyrankiewicz auf der Staatsebene getan haben.

Linkowski veranstaltete bei sich zu Hause ein Treffen des Ehepaares Beske mit dem Dichter Zdzisław Morawski, damals der höchsten moralischen Instanz in der Stadt, die sich in den politischen Kabinetten Gehör zu verschaffen wusste. Etwas früher hat der einzige Sohn von Morawski die Entscheidung getroffen, sich in der BRD niederzulassen; er berichtete von den Lebensbedingungen dort. Der Vater wollte seinen Sohn besuchen, damals ein beinahe aussichtsloses Unterfangen. So haben sich persönliche Angelegenheiten mit den politischen verflochten und das Gespräch durch beiderseitiges Wohlwollen gekennzeichnet. Es wurde nur ab und zu durch dumpfes Geklapper aufeinanderstoßender Holzbeine gestört: Hans Beske musste eine Prothese tragen, nachdem ihm ein Bein an der Ostfront amputiert worden war, Zdzisław Morawski – nach einem Unfall in einem Bergwerk, wo er seinen Trotz gegenüber den sozialistischen Herrschaft in Polen abarbeiten musste.

Kurz danach kam es zu Anstandsbesuchen in den Kabinetten der höchsten Gorzower Behörden, damals noch unverbindlich, aber mit Zuneigung.

Noch früher traf sich Hans Beske mehrmals mit dem Bischof Wilhelm Pluta, in dem er einen entschiedenen Anhänger seiner Idee gefunden hatte. Bischof Pluta gehörte doch zu den aktivsten Befürwortern der Versöhnung zwischen Polen und Deutschland, die sich 1965 in der Erklärung der polnischen Bischöfe manifestierte: „Wir vergeben und bitten um Vergebung...”

*

Im Jahre 1982 wurde in Herford (Patenstadt der BAG) das Bildband „Wege zueinander: Landsberg (Warthe) – Gorzów Wlkp. – Herford“ veröffentlicht. Und es wäre vielleicht nichts Außergewöhnliches daran, hätten an dem Projekt nicht auch polnische Autoren teilgenommen: Der Text wurde von (heute) Professor Bogdan Kunicki verfasst, die Bilder des

ProLib

Niby na prywatne zaproszenie, ale musiał podpisać stosowną deklarację gorzowskiej SB, a tam miał wrażenie, że stale jest śledzony. Czy tak było? Dziś się z tego śmieje, ale także twierdzi, że teczkę w IPN z tego powodu na pewno ma. W Herfordzie poznał wspaniałych ludzi. Z Hansem Beske blisko współpracowała Ursula Hasse-Dresing, wtedy dyrektorka dużej, nowoczesnej szkoły zawodowej, a od śmierci Hansa Beske w 1985 r. do dziś przewodnicząca ziomkostwa. Duszą kontaktów na innej płaszczyźnie okazał się Werner Siebke, opiekun landsberskiego muzeum w Herfordzie, sponsor i organizator ogromnej ilości darów dla gorzowskich domów dziecka, szpitali, ośrodka pomocy społecznej i wszystkich biednych oczekujących wsparcia. W Gorzowie bardzo go lubiano, a przy okazji każdego pobytu był życzliwie przyjmowany w ratuszu.

Z roku na rok coraz więcej landsberczan i gorzowian miało bezpośrednie kontakty.

*

W 1988 r. do gabinetu Zdzisława Linkowskiego zawitał kolejny niespodziewany gość. Starszy pan raczej mikrej postury, którego połowę twarzy zasłaniały potężne, krzaczaste brwi, także przyjechał z żoną. Jego nazwisko było dyrektorowi Linkowskiemu znane: to Kurt Scharf, biskup Berlina i Brandenburgii. W latach wojny związany był z nurtem, który sprzeciwiał się obecności ideologii faszystowskiej w nauce Kościoła ewangelickiego; po wojnie sygnatariusz memorandum tego Kościoła o stosunku Niemców do wschodnich sąsiadów, w którym padły słowa: „Prosimy o przebaczenie i modlimy się o pojednanie”; jeden z założycieli organizacji Znak Pokuty – Służba dla Pokoju (Aktion Sühnezeichen Friedensdienste e.V.), w ramach której Kościół ewangelicki pomagał ofiarom systemu nazistowskiego, a niemiecka młodzież pracowała w obozie zagłady w Oświęcimiu. Ale o tych zasługach biskupa Scharfa Zdzisław Linkowski jeszcze chyba wtedy nie wiedział. Dla niego biskup Kurt Scharf był przede wszystkim chrześniakiem i spadkobiercą kolekcji Wilhelma Ogoleita, który w swoim mieszkaniu przy dzisiejszej ulicy Sikorskiego zgromadził największy we wschodnich Niemczech zbiór pamiątek po Goethem i Schillerze. Pokazał więc to, co w muzeum zdołano uchronić, bo dom z częścią kolekcji spłonął w lipcu 1945 r. A jednak pozostało całkiem sporo. Jak się okazało, sam Wilhelm Ogoleit wywiózł z Lands-

modernen Gorzów stammten von Waldemar Kućko, es wurden auch Zeichnungen der Stadt von Bolesław Kowalski und Andrzej Gordon verwendet.

In Gorzów brodelte es. In den gesellschaftlichen Kreisen sprach man mit Achtung über den Mut der Künstler, die keine Angst hatten jenen (West-) Deutschen ihre Arbeiten über das heutige Gorzów zur Verfügung zu stellen. Alle glaubten, es würde gleich zum Krach im Woiwodschaftskomitee der kommunistischen Partei oder im Rathaus kommen. Doch dazu kam es nicht.

*

Im Frühjahr 1983 war Zdzisław Linkowski der erste Gorzower, der an dem jährlichen Treffen der ehemaligen Landsberger in Herford teilgenommen hat. Er hat zwar eine private Einladung bekommen, musste aber trotzdem eine entsprechende Erklärung bei der Gorzower Sicherheitspolizei unterzeichnen, und an Ort und Stelle hatte er das Gefühl, verfolgt zu sein. Hatte er recht? Heute lacht der darüber, aber behauptet auch, es könne bestimmt eine Akte über ihn im Archiv der Sicherheitspolizei gefunden werden. In Herford lernte er wunderbare Menschen kennen. Mit Hans Beske arbeitete Ursula Hasse-Dresing eng zusammen, damals Oberstudiendirektorin einer großen, modernen Fachhochschule, und seit dem Tod von Hans Beske im Jahre 1985 Vorsitzende der BAG. Als wahre Seele der Kontakte auf einer anderen Ebene erwies sich Werner Siebke, Betreuer des Landsberger Museums in Herford, Stifter und Veranstalter von zahlreichen Transporten mit Geschenken für die Gorzower Kinderheime, Krankenhäuser, sozialen Einrichtungen und alle armen Menschen, die Unterstützung brauchten. Er war in Gorzów sehr beliebt, und bei jedem Besuch mit großer Zuneigung im Rathaus aufgenommen.

Jahr für Jahr pflegten immer mehr Landsberger und Gorzower direkte Kontakte.

*

Im Jahre 1988 erschien ein weiterer unerwarteter Gast bei Zdzisław Linkowski. Ein älterer Herr von eher kleiner Gestalt, dessen Gesicht zur Hälfte durch mächtige, buschige Augenbrauen verdeckt war; auch er kam mit seiner Frau. Doch seinen Namen kannte Direktor Linkowski schon: Es war Kurt Scharf, der evangelische Bischof von Berlin und Brandenburg. Während des Zweiten Weltkrieges war er mit einer



bergu tylko dwa eksponaty: rękopis i medal, ale po wojnie kontynuował swoją pasję i zgromadził okazałą kolekcję. Biskup Kurt Scharf z uznaniem kiwał głową i grzecznie dziękował.

W maju 1991 r. Zdzisław Linkowski otrzymał telefon z Berlina z prośbą, żeby możliwie szybko przyjechał do siedziby biskupa Berlina, najlepiej dużym samochodem. Jak się okazało, zmarł biskup Scharf, a w testamencie właśnie gorzowskiemu muzeum zapisał całą kolekcję otrzymaną od Wilhelma Ogoleita. Prezentacja tych zbiorów w 2000 r. była wydarzeniem nie tylko na płaszczyźnie kulturalnej. Pokazywano je także w Niemczech.

*

Dla landsberczyków najważniejsze było oddanie czi bliskim pochowanym na głównym cmentarzu miasta, który w latach 70. przekształcono w park Kopernika, niszcząc przy tym wszystkie mogiły. Na cmentarzach w wielu miastach stawały wtedy pomniki.

W październiku 1993 r. także w Gorzowie odświeżono taki pomnik. Na płaskim kamieniu dwujęzyczny napis głosi: „Pamięci mieszkańców naszego miasta pochowanych na tym cmentarzu w latach 1831-1945”. Długo wtedy dyskutowano o nazwie: Landsberg czy Gorzów. Przeszła propozycja Zdzisława Linkowskiego, neutralna: nasze miasto – bo wszak do 1945 r. było ono „naszym” dla landsberczan, a po 1945 jest „naszym” dla gorzowian. Uro-

strömung der protestantischen Kirche verbunden, die sich der Einbindung der nationalsozialistischen Ideologie in die Lehre der Kirche entgensetzte; nach dem Krieg war er einer der Unterzeichner des Memorandums dieser Kirche über das Verhältnis der Deutschen zu ihren östlichen Nachbarn, in dem die folgenden Worte zu lesen waren: „Wir bitten um Vergebung und beten um Versöhnung”; er war auch einer der Gründer von Aktion Sühnezeichen Friedensdienste e. V., im Rahmen deren die evangelische Kirche den Opfern des nationalsozialistischen Regimes Hilfe und die deutsche Jugend im Vernichtungslager Auschwitz Arbeit leistete. Von diesen Verdiensten des Bischofs wusste aber Zdzisław Linkowski damals noch nichts. Für ihn war Bischof Kurt Scharf vor allem Taufkind und Erbe von Wilhelm Ogoleit, der in seiner Wohnung in der heutigen ul. Sikorskiego die größte Sammlung von Andenken an Goethe und Schiller in Ostdeutschland angehäuft hatte. Linkowski zeigte also dem Bischof, was fürs Museum gerettet werden konnte, denn das Haus war mit einem Teil der Sammlung im Juli 1945 niedergebrannt. Und doch blieb noch ziemlich viel davon. Wie es sich herausstellte, hatte Wilhelm Ogoleit aus Landsberg nur zwei Exponate mitgenommen: ein Manuskript und eine Medaille; doch nach dem Krieg huldigte er weiterhin seiner Leidenschaft und war imstande, eine stattliche Kollektion zu versammeln. Bischof Kurt Scharf nickte nur immer wieder anerkennend und bedankte sich höflich.

Im Mai 1991 bekam Zdzisław Linkowski einen Anruf aus Berlin mit der Bitte, möglichst schnell zum Sitz des Bischofs zu kommen, am besten mit einem großen Auto. Wie es sich zeigte, war Bischof Scharf verstorben, und vererbte die ganze von Wilhelm Ogoleit erhaltene Sammlung testamentarisch dem Gorzower Museum. Die Vorstellung dieser Sammlung im Jahre 2000 war ein Ereignis, und zwar nicht nur auf der kulturellen Ebene. Sie wurde auch in Deutschland präsentiert.

*

Das Hauptanliegen der Landsberger war, ihren auf dem Hauptfriedhof der Stadt bestatteten deutschen Mitbürgern zu gedenken; der Friedhof wurde in den siebziger Jahren in den Kopernikuspark verwandelt, alle Gräber dabei vernichtet. Auf den Friedhöfen in zahlreichen anderen Städten errichtete man damals Denkmäler.

czystość odsłonięcia kamienia poprzedziła pierwsza msza ekumeniczna odprawiona w dawnym Kościele Zgody, dziś częściej nazywanym Białym Kościołem. Rozpoczęto ją z pewnym opóźnieniem: czekano na prezydenta Lecha Gorywodę. Nie przyszedł. Dobrze, że dotarł na odsłonięcie pomnika.

Ciągłe nie było wiadomo, czy uznawać tych Niemców stąd, czy lepiej nie. Wcale nie mało Polaków było przekonanych, że przyjeżdżają tylko po to, aby się upomnieć o swoje dawne majątki, a przede wszystkim, by zakwestionować granicę. I co wtedy będzie z nami? – pytali.

*

21 listopada 1995 r. w Gorzowie prezydenci miast: Herfordu – Gerard Klippstein i Gorzowa Wlkp. – Henryk Maciej Woźniak podpisali umowę o współpracy. Był to kolejny dowód akceptacji działań landsberczan, teraz także ich opiekunów jako miasta partnerskiego dla Gorzowa. Związki się zacieśniały. Prezydent Woźniak, jako pierwszy przedstawiciel gorzowskich władz, został zaproszony na zjazd landsberczyków do Herfordu. Odtąd w kolejnych zjazdach zawsze będą uczestniczyć przedstawiciele gorzowskiego samorządu, a kilka zjazdów odbyło się w Gorzowie.

*

Zbliżał się rok 1997, a z nim jubileusz 740-lecia miasta. Może nie tak okrągły, ale ważny, bo obchodzony w nowych warunkach obopólnej akceptacji dawnych i obecnych mieszkańców miasta. Landsberczanie zaproponowali z tej okazji odtworzenie figur z pomnika na Starym Rynku, które pod koniec wojny zdemontowano i prawdopodobnie przetopiono na popiersia.

Pomnik ten ufundował miastu jeden z twórców przemysłowej prosperity Landsbergu w XIX wieku, Johann Goetlieb Paucksch. W 80 urodziny „swemu umiłowanemu miastu” dał 10 tys. marek w złocie na postawienie fontanny na Starym Rynku, w miejscu, gdzie – jak napisał – „stał kiedyś sławny ratusz, w którym składałem ślubowanie obywatelskie i gdzie stawiałem moje pierwsze kroki w działalności obywatelskiej”. W 1897 r. odsłonięto fontannę z kompozycją rzeźbiarską Cuno von Uechtritz symbolizującą rzekę Wartę i zajęcia mieszkańców.

Po wojnie pozostał tylko cokół z piaskowca. Z inicjatywy Wernera Siebke postanowiono, że w sto

Im Oktober 1993 wurde auch in Gorzów ein Denkmal enthüllt. Da gibt es einen flachen Stein mit einer Aufschrift in zwei Sprachen: „Zum Andenken an die Bewohner unserer Stadt, die auf diesem Friedhof in den Jahren 1831-1945 bestattet wurden“. Lange dauerten damals Diskussionen, mit welchem Namen soll die Stadt bezeichnet werden: Landsberg oder Gorzów? Durchsetzen konnte sich der neutrale Vorschlag von Zdzisław Linkowski: „unsere Stadt“ – denn bis 1945 war das „unsere Stadt“ für die Landsberger, nach 1945 ist es schon „unsere Stadt“ für die Gorzower. Der feierlichen Enthüllung des Steines ging der erste ökumenische Gottesdienst in der ehemaligen Konkordienkirche voran, heute im Volksmund als die „Weiße Kirche“ bekannt. Er begann mit einer Verzögerung: Man wartete auf den Stadtpräsidenten Lech Gorywoda. Er kam nicht. Gut, dass er es zur Enthüllung schaffte.

Man wusste es immer noch nicht so richtig: Sollte man diese Deutschen von hier anerkennen, oder lieber nicht? Nicht wenige Polen waren fest davon überzeugt, dass sie nur nach Polen kommen, um ihr ehemaliges Vermögen zurückzufordern, und vor allem, um die Staatsgrenze in Frage zu stellen. Was machen wir dann? – fragten sie sich.

*

Am 21. November 1995 unterzeichneten der Bürgermeister von Herford, Gerald Klippstein, und der Stadtpräsident von Gorzów, Henryk Maciej Woźniak, einen Vertrag über Zusammenarbeit. Es war ein weiterer Beweis, dass nicht nur die Arbeit der Landsberger auf Anerkennung stößt, sondern auch die ihrer Patenstadt, die von nun an eine der Partnerstädte von Gorzów wurde. Die Beziehungen wurden immer enger. Stadtpräsident Woźniak wurde als erster offizieller Vertreter von Gorzów zur jährlichen Tagung der Landsberger nach Herford eingeladen. Von nun an werden Mitarbeiter der Gorzower Selbstverwaltung oder andere Vertreter der Stadt an jedem solchen Treffen teilnehmen. Mehrere Veranstaltungen fanden sogar in Gorzów statt, darunter 2007, als die Stadt zum 750. Jubiläum wohl von allen lebenden Landsbergern besucht wurde.

*

Es näherte sich das Jahr 1997, und das 740. Jubiläum der Stadt. Kein so rundes Jubiläum, doch



lat później figury wróćą na swoje miejsce. Landsberczycy zbierali 120 tysięcy marek na odtworzenie figur z brązu, a ich wykonanie powierzyli gorzowskiej rzeźbiarce Zofii Bilińskiej. Trudne to było zadanie, ale artystka wywiązała się z niego świetnie. Centralną postacią jest kobieta niosąca na koromysłach wodę w wiadrach, która symbolizowała codzienny trud mieszkańców Landsbergu oraz rzekę Wartę. Bilińska – za zgodą fundatorów – nadała jej bardziej słowiańskie rysy twarzy. Niżej siedzi troje dzieci z rekwizytami przywołującymi landsberskie firmy: budowy maszyn, produkcji sieci i stocznię.

2 lipca 1997 r. do Gorzowa przyjechało ponad tysiąc landsberczan. Żar lał się z nieba, gdy co najmniej drugie tyle gorzowian czekało na zakończenie nabożeństwa w katedrze i odsłonięcie pomnika. Pierwsze po wojnie ekumeniczne nabożeństwo w katedrze odprawiali biskup Adam Dyczkowski i pastor prof. Ulrich Luck, landsberczyk, syn cenionego piekarza z Zawarcia, uznany biblista i judaista, emerytowany profesor Uniwersytetu w Kilonii. To on tak rozpoczął swoje kazanie: „Droga wspólnoto, bo przecież jesteśmy wspólnotą. (...) Wszyscy przyznajemy się do historii tego miasta, która zaczęła się w 1257 roku, ale dla jednych wcale nie skończyła się

wichtig, denn unter neuen Umständen begangen, bei gegenseitiger Akzeptanz der ehemaligen und heutigen Bewohner der Stadt. Die Landsberger schlugen vor, die Figuren der Skulptur auf dem Alten Markt wiederherzustellen, die gegen das Ende des Krieges auseinandergenommen wurde und wahrscheinlich in Geschosse umgeschmolzen.

Jene Skulptur wurde für die Stadt von Johann Gottlieb Pauksch gestiftet, einem von jenen Bürgern, die am meisten zur Blütezeit von Landsberg im 19. Jahrhundert beigetragen haben. Zu seinem 80. Geburtstag überreichte er „seiner beliebten Stadt“ 10.000 Reichsmark in Gold, damit auf dem Alten Markt ein Brunnen errichtet würde, und zwar an der Stelle, an der, wie er schrieb, „einst das berühmte Rathaus stand, in dem ich mein Bürgergelöbnis abgegeben hatte und meine ersten Schritte in der öffentlichen Arbeit getan“. Im Jahre 1897 wurde der Brunnen mit einer Skulptur von Cuno von Uechtritz enthüllt, die den Fluss Warthe und die Beschäftigten der Stadtbewohner abbildete.

Nach dem Krieg blieb nur noch der Untersatz aus Sandstein stehen. Auf Veranlassung von Werner Siebke wurde die Entscheidung getroffen: Die Figuren sollten ein Jahrhundert später auf ihren Platz zurückkommen. Die Landsberger sammelten 120.000 DM, um die Bronzeskulptur wiederherzustellen, und beauftragten damit die Gorzower Bildhauerin Zofia Bilińska. Es war eine schwierige Aufgabe, mit der aber die Künstlerin ausgezeichnet zurechtgekommen ist. Die Hauptfigur ist eine Frau, die zwei Eimer Wasser mit einem Tragjoch trägt, ein Symbol für die täglichen Mühen der Stadtbewohner und für die Warthe. In Übereinstimmung mit den Stiftern gab Bilińska der Frau slawische Gesichtszüge. Unten sitzen drei Kinder mit Requisiten, die an große Landsberger Firmen erinnern sollen: Maschinenfabrik, Netzfabrik und Werft.

Mehr als 1000 ehemalige Landsberger sind am 2. Juli 1997 nach Gorzów gekommen. Es herrschte glühende Hitze, als eine wenigstens genauso große Gruppe von Gorzowern auf das Ende des Gottesdienstes in der Marienkirche und die Enthüllung der Skulptur wartete. Diesen ersten nach dem Krieg ökumenischen Gottesdienst in der Marienkirche haben Bischof Adam Dyczkowski und Pastor Professor Ulrich Luck abgehalten, ein Landsberger, Sohn eines hoch geschätzten Beckers aus der Brückenvorstadt, ein angesehener Bibelforscher und



w 1945 r., a dla drugich wcale nie zaczęła się dopiero z końcem wojny.”

Rzeźby na fontannie odsłonił przewodnicząca BAG Ursula Hasse-Dresing i prezydent Henryk Maciej Woźniak. Pani Ursula w imieniu wszystkich landsberczyków powiedziała: „Zniknięcie fontanny stało się dla nas symbolem utraty ojczyzny. Teraz wróciła na swoje miejsce. Pokochajcie ją tak, jak myśmy ją kochali.”

Jako pierwszy umoczył rękę w wodzie fontanny wnuk fundatora Eberhard Pauksch. W 2002 r. odbył się w Gorzowie zjazd rodziny Paukschów, w którym wzięło udział ok. 30 potomków fundatora z piątego i szóstego pokolenia. Dla gorzowian fontanna ta jest „Fontanną Paukscha”, choć wcześniej tak jej nie nazywano.

*

Jednym z najtrudniejszych problemów było nazwanie 30 stycznia 1945 r. i jego rocznic w kolejnych latach, jako że to ważny dzień zarówno dla niemieckiej, jak i polskiej historii miasta. Na pewno nie był to dzień wyzwolenia, jak przez wiele lat głosiła propaganda. Termin wymyślił Zdzisław Linkowski. W jego koncepcji 30 stycznia (data gremialnego wyjazdu Niemców) winien być obchodzony jako Dzień Pamięci, a 31 stycznia (data zajęcia miasta przez Armię Czerwoną) jako Dzień Pojednania. Życie przyniosło połączenie.

Od 1995 r. 30 stycznia w Gorzowie jest obchodzony jako Dzień Pamięci i Pojednania, zawsze z udziałem landsberczan. Miasto udekorowane jest flagami państwowymi i miejskimi, program obejmuje: nabożeństwo ekumeniczne, złożenie kwiatów na cmentarzu pod pomnikami niemieckich i polskich ofiar wojny, od trzech lat także uderzenie w Dzwon Pokoju

Kenner der jüdischen Kultur, Professor a. D. der Universität zu Kiel. So leitete er seine Predigt ein: „Liebe Gemeinde! (...) Wir sind eine Gemeinde. (...) Wir bekennen uns zur Geschichte dieser Stadt (...), die 1257 angefangen hat (...) Eine Geschichte, die für die einen 1945 nicht aufgehört und für die anderen 1945 nicht erst begonnen hat.“

Die Figuren auf dem Brunnen wurden von der Vorsitzenden der BAG, Ursula Hasse-Dresing, und dem Stadtpräsidenten Henryk Maciej Woźniak enthüllt. Im Namen aller Landsberger sagte Frau Hasse-Dresing: „Das Verschwinden des Brunnens wurde uns zum Symbol für den Verlust der Heimat. Jetzt ist er zurück. Lieben Sie ihn so, wie wir ihn geliebt haben.“

Als Erster durfte Eberhard Pauksch, ein Enkelsohn des Stifters, seine Hand mit dem Wasser des Brunnens befeuchten. Im Jahre 2002 fand in Gorzów eine Zusammenkunft der Familie Pauksch statt, an der etwa 30 Nachkommen des Stifters in fünfter und sechster Generation teilnahmen. Für die Gorzower gilt der Brunnen heute wieder als „Paukschbrunnen“, auch wenn er früher so nicht genannt wurde.

*

Besonders schwer war es, den Namen für den 30. Januar 1945 und seine Jahrestage zu finden, da er sowohl für die deutsche, als auch für die polnische Geschichte der Stadt von großer Bedeutung war. Bestimmt war es kein Befreiungstag, wie es jahrelang von der Propaganda verkündet war. Der neue Name stammt von Zdzisław Linkowski. Nach seinem Konzept sollte der 30. Januar (der Tag des Massenaufbruchs der Deutschen) als „derGedenkttag“, der 31. Januar (an dem die Stadt von der Roten Armee besetzt wurde) als „der Tag der Versöhnung“ begangen werden. Letzten Endes hat man die beiden Namen zusammengeführt.

Seit 1995 wird der 30. Januar in Gorzów als Gedenk- und Versöhnungstag begangen, immer unter Anwesenheit der Landsberger. Die Stadt wird mit Staats- und Stadtfahnen geschmückt, und das Programm umfasst immer: einen ökumenischen Gottesdienst, Blumenlegung auf dem Friedhof und an die Denkmäler der deutschen und polnischen Kriegsoffer, seit drei Jahren auch einen Anschlag der Friedensglocke; es wird auch auf unterschiedliche Art und Weise den ehemaligen Bewohnern der Stadt



oraz upamiętnienie w różnej formie zasłużonych dawnych mieszkańców miasta. Były wystawy, np. malarstwa Ernsta Henselera lub pamiątek wywiezionych z Landsbergu i przywiezionych do Gorzowa, było odsłonięcie pamiątkowych tablic bądź pomników, np. Maxa Bahra lub pochowanych w zbiorowej mogile szczątków zmarłych z dawnego cmentarza, było nadanie Domowi Pomocy Społecznej imienia Marie Juchacz, cenionej działaczki SDP rodem z Landsbergu, były koncerty z udziałem polskich i niemieckich wykonawców, a na jednym po raz pierwszy wykonano marsze Carla Teike, niemieckiego kompozytora mieszkającego w Landsbergu.

*

31 stycznia 2006 r. do gorzowskiego ratusza zaproszeni zostali dawni mieszkańcy Landsbergu i po raz pierwszy także przedstawiciele organizacji zrzeszających dawnych mieszkańców ziem wschodnich. O takim spotkaniu od dawna marzyła Christa Grueling, z domu Lucke, teraz wiceprzewodnicząca BAG. Opisał je Dieter Ehrhardt we wstępie do pamiętnika *Landsberg nad Wartą i ja*: „Było to wzruszające spotkanie Polaków i Niemców. Udało się je zorganizować tylko dlatego, że obie strony przezwyciężyły obawę przed nieznanym. (...) Rozejrzałem się po sali i poczułem jakiś intymny związek ze wszystkimi czterdziestoma obecnymi osobami. Poruszającym przeżyciem było dla mnie poznanie dwóch Polaków z Wilna. (...) Już na tym pierwszym spotkaniu pojawiły się nowe wątki i wspólne pomysły działań dla dobra miasta”.

Od trzech lat do udziału w obchodach Dnia Pamięci i Pojednania zapraszani są także przedstawiciele stowarzyszeń kresowych działających w Gorzowie. Dla nich Pamięć i Pojednanie są równie ważne.

gedenkt. Es gibt Ausstellungen, zum Beispiel der Malerei von Ernst Henseler, von Gegenständen, die die Deutschen als Andenken aus Landsberg mitgenommen oder die Polen nach Gorzów mitgebracht hatten; es wurden Gedenktafeln und Denkmäler enthüllt, etwa von Max Bahr, oder für die in einem Massengrab bestatteten Gebeine aus dem ehemaligen Friedhof; der Sozialhilfestation wurde der Name Marie Juchacz verliehen, einer angesehenen SPD-Politikerin, die in Landsberg geboren wurde; es gab Konzerte deutscher und polnischer Musiker, und bei einem wurde zum ersten Mal Marschmusik von Carl Teike dargeboten, einem deutschen Komponisten, der in Landsberg lebte.

*

Am 31. Januar 2006 wurden ins Gorzower Rathaus die ehemaligen Einwohner von Landsberg eingeladen, und mit ihnen zum ersten Mal auch Vertreter der Organisationen von Bewohnern der ehemaligen polnischen Ostgebiete. Ein solches Treffen hat sich seit Langem Christa Greuling erträumt, geboren Luck, jetzt stellvertretende Vorsitzende der BAG. So wurde es von Dieter Ehrhardt im Vorwort seiner Memoiren „Landsberg an der Warthe und ich“ beschrieben: „Es war eine ergreifende Begegnung zwischen Polen und Deutschen. Sie konnte nur deswegen verwirklicht werden, weil beide Seiten in zwei Jahren die Scheu vor dem Unbekannten überwunden hatten. (...) Ich sah mich im Saal um und empfand eine stumme und stille Zugehörigkeit zu allen vierzig Anwesenden. Es war bewegend, zwei polnische Freunde aus dem litauischen Wilna zu erleben. (...) Schon auf diesem Treffen [wurden] neue Fäden geknüpft und neue gemeinsame Anstrengungen zum Wohle Gorzows angedacht.“

Seit drei Jahren werden auch Vertreter von Organisationen der Bewohner ehemaliger ostpolnischer Gebiete zum gemeinsamen Begehen des Gedenk- und Versöhnungstages eingeladen. Für sie sind das Gedenken und die Versöhnung auch sehr wichtig.

*

Am 2. September 2006, zum Jahrestag des Ausbruchs des Zweiten Weltkrieges, wurde in Gorzów ein weiteres gemeinsames Werk der Gorzower und der Landsberger enthüllt: die Friedensglocke. Mit diesem Akt leitete man die Feierlichkeiten



*

2 września 2006 r., w rocznicę wybuchu II wojny światowej, odsłonięto kolejne wspólne przedsięwzięcie gorzowian i landsberczan – Dzwon Pokoju. Tym aktem rozpoczęto obchody 750-lecia miasta, którego kulminacją przypadła na 2 lipca 2007 r. Wcześniej miejscowe media informowały o każdym kroku w procesie budowy dzwonu i dzwonnicy. Pomysł wyszedł od prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka, a landsberczycy go w pełni zaakceptowali. Miał nawiązywać do Dzwonów Pokoju w Filadelfii, Hiroszimie, Nowym Jorku. Landsberczycy zebrali na dzwon 20 tys. euro. Miasto zbudowało dzwonnice i otoczenie. Na czaszy dzwonu od strony placu Grunwaldzkiego znajduje się słowo „Pokój” po polsku, niemiecku i po łacinie (Pokój – Pax – Frieden), a od strony ul. Dąbrowskiego napis: „Landsberg A. D. Warthe – Gorzów Wielkopolski 1257-2007”. Dzwon wydaje dźwięk „F”, jak Frieden, czyli Pokój. Na dzwonnicy znajduje się dwujęzyczna tablica z dwuwierszem Fryderyka Schillera: „Niech radością miasta będzie / Pokój jego pierwszym dźwiękiem.”

Był spokojny wieczór wczesnej jesieni. Ciepło. Plac Grunwaldzki szczelnie wypełniony. Orkiestra gra mazurę z *Halki* i *Alte Kameraden* – znany w świecie marsz Carla Teike. Przemówienia, których tłumaczone teksty dobrze widoczne są na dużych ekranach, o tym, że pokój jest najważniejszy. I o mieście, które łączy dawnych i obecnych mieszkańców. Starsi i dzieci. Władza i zwykli ludzie. Wszyscy czekają na pierwszy głos dzwonu. Dzwon jest zamocowany na sztywno, zaś dźwięk wzbudza się przez rozkołysanie jego serca. Linę trzymają

zum 750. Jubiläum der Stadt ein, die ihren Höhepunkt am 2. Juli 2007 erreichten. Die lokalen Medien hatten Schritt für Schritt vom Bau der Glocke und des Glockenturms berichtet. Die Idee stammte vom Stadtpräsidenten Tadeusz Jędrzejczak, die Landsberger haben sie vollständig angenommen. Sie sollte an die Friedensglocken in Philadelphia, Hiroshima und New York anknüpfen. Die Landsberger haben 20.000 Euro für die Glocke gesammelt. Die Stadt hat den Glockenturm errichtet und die Umgebung vorbereitet. An der Glockenschale wurde von der Seite des Plac Grunwaldzki das Wort „Frieden“ auf Polnisch, Deutsch und Lateinisch eingraviert (Pokój – Pax – Frieden), von der Seite der ul. Dąbrowskiego – die Namen der Stadt: „Landsberg a. d. Warthe – Gorzów Wielkopolski 1257– 2007”. Die Glocke lautet mit „F”, wie Frieden. An dem Glockenturm findet man eine Tafel mit dem Auszug aus einem Gedicht von Friedrich Schiller: „Freude dieser Stadt bedeute, Friede sei ihr erst Geläute.”

Es war ein ruhiger Abend im Frühherbst. Warm. Auf dem plac Grunwaldzki Mensch an Mensch. Das Orchester spielt eine Mazurka aus der polnischen Oper „Halka” und „Alte Kameraden”, den weltbekannten Marsch von Carl Teike. Anreden, deren Übersetzungen gut auf großen Bildschirmen zu sehen sind, dass der Frieden am wichtigsten sei. Und über die Stadt, die ihre ehemaligen und heutigen Einwohner verbindet. Ältere Menschen und Kinder. Vertreter der Behörden und einfache Menschen. Alle warten auf den ersten Anschlag. Die Glocke hängt starr, sie wird durch Hin- und Herschwingen ihres Schwengels zum Lauten gebracht. Der Stadtpräsident Tadeusz Jędrzejczak und die Vorsitzende der BAG, Ursula Hasse-Dresing, greifen nach der Schnur. Endlich ist es soweit. Die Glocke ist laut, man kann sie wohl in der ganzen Stadt hören. Und soll es auch die ganze Welt sein.

Zur gleichen Zeit wird in der polnischen Presse mit der kurz davor in Berlin eröffneten Ausstellung zu den Vertreibungen abgerechnet. Diejenigen, die sie gesehen haben, behaupten, sie sei ausgewogen gewesen. Die Politik handelt aber nach anderen Gesetzen. Die Regierung Jarosław Kaczyński strebt eine Modifizierung der Beziehungen zwischen Deutschland und Polen an. In Gorzów inzwischen...

*

Das Konzept des Films „Erinnerungen aus der Stadt L” ist einfach: Ältere Menschen erzählen von

razem prezydent Tadeusz Jędrzejczak i szefowa BAG Ursula Hasse-Dresing. Wreszcie jest. Niesie się szeroko, słychać go chyba w całym mieście. Niech jego dźwięk idzie na cały świat.

W tym samym okresie w polskiej prasie trwa rozrachunek z otwartą nieco wcześniej w Berlinie wystawą o wypędzeniach. Ci, którzy ją widzieli, twierdzą, że była w pełni wyważona. Ale polityka rządzi się innymi prawami. Rząd Jarosława Kaczyńskiego dąży do weryfikacji relacji między Polską a Niemcami. Tymczasem w Gorzowie...

*

Film *Wspomnienia z miasta L.* jest prosty w pomyśle: starsi ludzie opowiadają o swoim szczęśliwym dzieciństwie. Każde dzieciństwo jest szczęśliwe, gdy dzieci otoczone są miłością rodziców i mają poczucie bezpieczeństwa. Bohaterami filmu są dawni mieszkańcy Landsbergu i najbliższych okolic. Film zrobili gorzowianie: Monika Kowalska, Grzegorz Kowalski i Zbigniew Sejwa. Szczęśliwe dzieciństwo bohaterów filmu zostało dramatycznie przerwane przez wkroczenie do miasta Armii Czerwonej, co dla nich wiązało się z koniecznością wyjazdu na zawsze z miejsc rodzinnych. Dzieci nie zajmowały się polityką, a przecież to polityka zdecydowała o zawaleniu się ich świata. Film podkreślał potrzebę spojrzenia na dawnych mieszkańców miasta jak na ludzi skrzywdzonych przez historię.

*

Dieter Ehrhardt wyjechał z rodziną 30 stycznia 1945 r., gdy miał niespełna 11 lat. W pamiętniku napisał: „Pierwsze 30 lat było dla mnie naprawdę straszne. W swojej własnej ojczyźnie czułem się obco. Jak wielu innych uchodźców wzrastałem w poczuciu wykluczenia, ze świadomością, że nie należę do tutejszych.”

Skończył prawo, przez wiele lat pracował w agendach ONZ na całym świecie. Do Gorzowa powrócił równo 50 lat po wyjeździe. W pamiętniku pisze: „Odkryłem w sobie nowe pragnienie poznania starego Landsbergu, ale to pragnienie tylko Gorzów mógł spełnić. (...) Ciężar, który czułem na plecach przez pierwsze 30 lat, zniknął. Dzięki ubogającym i radosnym spotkaniom i rozmowom z wieloma gorzowianami odczułem wyzolenie, które wydało się nieosiągalne. Wszystko to jest czymś więcej niż tylko światem nowego początku.”

iher glücklichen Kindheit. Denn jede Kindheit ist glücklich, wenn die Kinder von der Liebe ihrer Eltern umgeben sind und das Gefühl der Geborgenheit genießen. Protagonisten dieses Filmes sind ehemalige Einwohner von Landsberg und Umgebung. Er wurde von einer Gorzowerin und zwei Gorzowern gedreht: Monika Kowalska, Grzegorz Kowalski und Zbigniew Sejwa. Die glückliche Kindheit wurde auf dramatische Weise durch den Einmarsch der Roten Armee in die Stadt unterbrochen, für die Kinder hieß es, dass sie ihre Heimat für immer verlassen müssen. Die Kinder interessierten sich nicht für die Politik, doch die Politik hat ihre Welt zusammenbrechen lassen. Im Film wird betont, dass die ehemaligen Einwohner der Stadt Opfer der Geschichte sind und so betrachtet werden sollen.

*

Dieter Ehrhardt verließ Landsberg am 30. Januar 1945, keine 11 Jahre alt. In seinen Memoiren schreibt er: „In Deutschland waren die ersten 30 Jahre die schlimmsten. In meinem Vaterland empfand ich mich als fremd und wuchs wie viele andere Flüchtlinge auf mit dem Gefühl, ich sei ausgegrenzt und gehörte nicht zu den einheimischen Landsleuten.”

Er hat Jura abgeschlossen und viele Jahre lang bei unterschiedlichen Behörden der UNO auf der ganzen Welt gearbeitet. Gorzów besuchte er genau 50 Jahre nach seiner Ausreise. So schreibt er in seinen Memoiren: „Ich entdeckte neues Verlangen nach dem alten Landsberg - und es war ein Verlangen, das Gorzów erfüllen konnte. (...) Das Gewicht, das in den ersten 30 Jahren auf meine Schultern gedrückt hat, ist verschwunden. Dank der belohnenden und beglückenden Begegnungen und Gespräche, die ich inzwischen mit so vielen Gorzowern hatte, hat eine innere Befreiung stattgefunden, die ich nicht für möglich gehalten habe. Das Ganze ist mehr als die Morgenröte eines Neubeginns.”

*

Beim letzten Gedenk- und Versöhnungstag, am 30. Januar 2009, wurden Josef Emil (Vater) und Woldemar (Sohn) Nürnberger geehrt, Schriftsteller, die in der deutschen Literatur den Klassizismus (Vater) und die Romantik (Sohn) vertraten. Im Institut für Geisteswissenschaften der Staatlichen Fachhochschule fand eine wissenschaftliche Konferenz statt, dann wurde in der ul. Łokietka 11, wo die

*

Podczas ostatniego Dnia Pamięci i Pojednania, 30 stycznia 2009 r. honorowano Josefa Emila (ojca) i Woldemara (syna) Nürnbergerów, pisarzy w literaturze niemieckiej reprezentujących klasycyzm (ojciec) i romantyzm (syn). W Instytucie Humanistycznym PWSZ odbyła się sesja naukowa, potem na budynku przy ul. Łokietka 11, gdzie mieszkali, odsłonięto tablicę. Josef Emil Nürnberger wznosił ten dom w latach 20. XIX wieku daleko poza murami miasta, z widokiem na łąki nadwarciańskie i rozlewiska Kłodawki. Nadał mu nazwę „Zacisze” (Stilleben). Dziś jest to ścisłe centrum miasta. Po śmierci Woldemara w 1869 r. dom przejęło stowarzyszenie dobroczynne, które tam prowadziło wiele akcji. Po wojnie dom upaństwowiono, ale siedzibę tam miały także instytucje społeczne. W 1997 r. wrócił w ewangelickie ręce. Przed wojną na murze tego domu umiejscowiono tablicę upamiętniającą ojca i syna Nürnbergerów. Nie przetrwała powojennych lat, więc landsberczycy i Kościół ewangelicki ufundowali nową, teraz dwujęzyczną. Odsłanili ją Ursula Hasse-Dresing i pastor Mirosław Wola, proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej w Gorzowie.

*

Po odsłonięciu Dzwonu Pokoju Zbigniew Czarnuch, regionalista z Witnicy, zgłosił inicjatywę zorganizowania w Gorzowie spotkania przedstawicieli miast polskich o niemieckich korzeniach, by podzielić się formami współpracy z dawnymi ich mieszkańcami. Choć już określono termin i znaleziono fundusze, atmosfera polityczna nie sprzyjała tej idei. Prezydenci, burmistrzowie i wójtowie, mimo że samorządowi, rezygnowali z udziału w konferencji.

Mineły dwa lata. Zmienił się klimat polityczny. Kolejny Dzień Pamięci i Pojednania, w 2010 roku, będzie poświęcony właśnie przypomnieniu historii kontaktów gorzowian i landsberczyków jako modelem przykładowi współdziałania. Planuje się zaproszenie samorządowców z innych miast.

beiden gewohnt hatten, eine Gedenktafel enthüllt. Josef Emil Nürnberger hatte dieses Haus in den zwanziger Jahren des 19. Jahrhunderts errichtet, weit hinter der Stadtmauer, mit Blick auf das Wartebuch und das Überschwemmungsgebiet der Kladow. Er verlieh ihm den Namen Stilleben. Heute liegt es im Stadtzentrum. Nach Woldemars Tod im Jahre 1869 wurde das Haus von einem Wohltätigkeitsverein übernommen, der dort zahlreiche Veranstaltungen durchgeführt hat. Nach dem Krieg wurde das Gebäude verstaatlicht, aber auch dann hatten dort Wohltätigkeitseinrichtungen ihren Sitz. Im Jahre 1997 kehrte es in protestantische Hände zurück. Vor dem Krieg wurde an der Wand dieses Hauses eine Gedenktafel zur Ehrung des Vaters und des Sohnes Nürnberger angebracht. Sie konnte über den Krieg hinaus nicht gerettet werden, deswegen haben jetzt die Landsberger und die evangelische Kirche eine neue, jetzt zweisprachige Tafel gestiftet. Enthüllt wurde sie von Ursula Hasse-Dresing und Pastor Mirosław Wola, dem Pfarrer der Pfarrei der Evangelischen Kirche Augsburgers Bekenntnisses in Gorzów.

*

Nach der Enthüllung der Friedensglocke hat Zbigniew Czarnuch, ein Regionalhistoriker aus Witnica, vorgeschlagen, in Gorzów ein Treffen von Vertretern polnischer, aber ehemals deutscher Städte zu organisieren, um Erfahrungen aus der Zusammenarbeit mit den ehemaligen Einwohnern auszutauschen. Der Termin wurde festgelegt, die Gelder wurden gefunden, aber die politische Atmosphäre begünstigte eine solche Initiative nicht. Staatspräsidenten, Bürgermeister und Ortsvorsteher, auch wenn sie nur Selbstverwaltungen vertreten haben, haben ihre Teilnahme abgesagt.

Zwei Jahre sind ins Land gegangen. Das politische Klima hat sich verwandelt. Der nächste Gedenk- und Versöhnungstag, 2010, wird der Geschichte der Kontakte zwischen den Gorzowern und den Landsbergern gewidmet, als einem Musterbeispiel für diese Art Kooperation. Es ist geplant, Vertreter von Selbstverwaltungen aus anderen Städten einzuladen.

Übersetzung vom Grzegorz Kowalski

**Das Lied von der Frau Warthe.
Eine Romanze**

»So bist Du jetzt denn meine süße Braut,
Und, hoff ich, bald sind Beide wir getraut;
Doch leider sind wir gar so schmerzlich arm,
So arm, so dürftig, daß es Gott erbarm.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Wohl ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
 Die polnische Frau Warthe.

Ein Kleinod gar zu gerne gäb' ich Dir
Zu Deines weichen Busens holder Zier;
Wohl eine Perlenschnur, wohl einen Reif,
Für Deine Stirne einen güldnen Streif.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Die drunten wohnet in des Stromes Blau,
 Die polnische Frau Warthe.«

Das süße Mädchen spricht: »Auch ich gar gern
Brächt wohl ein Angebinde meinem Herrn,
Und knüpfte, hätt' ich's, ihm ans Wehrgehenk
Den schärfsten Dolch, den blanksten, zum Geschenk.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Gar ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
 Die polnische Frau Warthe.

Wie wär es denn, wir gingen beide hin
Und griffen mit vertrauensvollem Sinn
In's Wasser tief, vielleicht, daß sie was giebt
Dem armen Paar, das sich so innig liebt.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Die drunten wohnet in des Stromes Blau,
 Die polnische Frau Warthe.«

Er wohl spricht: »Ja;« und als im Dämmergold
Der Strom die blauen Wogen milde rollt,
Da steigen sie in einen Nachen ein,
Der Jüngling mit dem bleichen Mädchen sein.
Denn, sagen sie: 's ist eine gute Frau,
Gar ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
Die polnische Frau Warthe.

Der Jüngling faßt mit seiner starken Hand
Das Ruderholz, und löst den Kahn vom Strand.
»Schau dort,« spricht sie, »die dunkle Purpurgluth,
Es ist, als wär in diesem Wasser Blut.«
»Hab' keine Furcht! 's ist eine gute Frau,
Die drunten in des tiefen Stromes Blau,
Die polnische Frau Warthe.«

Es wollt' der Knabe nun der erste sein,
Er griff geschloss'nen Auges wohl hinein
Tief in die Fluth: »Ha!« rief er jauchzend aus,
»Sie hatten Recht, wir zieh'n beschenkt nach Haus,
Es ist wahrhaftig eine gute Frau,
Gar ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
Die polnische Frau Warthe.

Sieh dieser Perlen dreigewund'nes Band,
Das legt die gute Frau mir in die Hand,
Wie schimmert das so mild und bläulich licht,
Hold schmückt es Dich, schön steht Dir's zu Gesicht.
Beim höchsten Gott! 's ist eine gute Frau,
Die drunten wohnt in des Stromes Blau,
Die polnische Frau Warthe.«

»Nun ich.« Und zitternd faßt die Maid hinein;
»Ich hab' schon was, o trauter Knabe mein,
Sieh her! sieh her! ein Dolch mit Silbergriff,
Ein Dolch für Dich von wasserblauem Schliff.
Ach! was bist Du für eine gute Frau,
Für ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
Du polnische Frau Warthe.«

Wie jubeln nun die Beiden gar so laut,
Der Bräut'gam küßt vor Freuden seine Braut,
Und hätten sie nur einen Becher noch,
Sie brächten ein begeistert Lebehoch,
 Ein Vivat Hoch der gar zu guten Frau,
 Der drunten in des tiefen Stromes Blau,
 Der polnischen Frau Warthe.

Doch plötzlich spricht die Maid: »O komm mein Knab',
Komm Jüngling mein, nimm mir die Perlen ab,
Zu Boden drückt mich Aermste ihr Gewicht;
O komm mein Knab', kann's länger tragen nicht.
 Wie sagen sie? 's ist eine gute Frau,
 Gar ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
 Die polnische Frau Warthe.«

Der Jüngling spricht: »Mein Kind und wie wird mir!
Es scheint der Dolch mir schwer zehn Centner schier;
O komm, erlöse mich vom Silbergriff,
Von dieser Höllenpein mit blankem Schliff.
 Verflucht, wer sprach: es sei 'ne gute Frau,
 Die drunten in des tiefen Stromes Blau,
 Die polnische Frau Warthe.«

Und schwer und schwerer wird der Armen Last,
Daß auch des Kahnes Rand bald Wasser faßt,
Wie auch sich sträubt das Paar, wie's ächzt und ringt,
Die rothe Fluth hinab sie beide schlingt.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Gar ein barmherziges, mildthät'ges Weib,
 Die polnische Frau Warthe.

Seht dort der Dämmeronne Purpurgluth,
Glüht's nicht herauf, als wär im Wasser Blut?
Und in die Tiefe schaut zum andern Mal,
Zwei Leichen birgt der röthliche Krystall.
 Sie sagen ja: 's ist eine gute Frau,
 Die drunten in des tiefen Stromes Blau,
 Die polnische Frau Warthe.

Romanca o Pani Warcie

– Jesteś moją, słodka panno,
Wnet mi będziesz zaślubioną...
Dzisiaj nade wszystko pragnę
Z twych ust gasić me pragnienie.
– Jesteśmy bardzo ubodzy
Niczego nie posiadamy.
– Płoniemy spragnieni siebie.
– Boże zmiłuj się nad nami.
Mówią wokół, dobra pani
Niesie życie w swoich nurtach,
Oddana i miłosierna
Polska Pani Warta

– Kragłe piersi, zwinną kibić
Ozdobię Ci klejnotami:
Perły, pierścień i przepaskę
By jaśniała nad włosami...
– Przepaską zwiążę Twą miłość,
Będziemy zawsze we dwoje –
Ostrą klingę dam Ci w zamian...
– Klingę? Wolności ostoję?
Mówią wokół, dobra pani,
Niesie życie w swoich nurtach,
Oddana i miłosierna
Polska Pani Warta

– Pójdź! Ukryjmy naszą miłość
W piaszczystych rzeki głębinach...
Tam znajdziemy skarb bogaty,
Co nam w biedzie nie da zginać.
Słońce – krwisto-purpurowy
Dywan w wodzie rozpostarło.
– O, jakże nas pięknie witasz
Dobra, polska Pani Warto

Na weselną łódź wsiadają
Młody i młoda dziewczyna.
Młodzian pierwszy w odmet sięga,
Narzeczonej perły wręcza
Wielkie, o potrójnym splocie.
Teraz toń rozgarnia ona
I miłemu srebrny sztylet
daje – dar od Polskiej Pani.
– – Wracamy obdarowani!

Słońce rzuca z klingi skry,
W sznurach pereł tańczy błękit.
Tańczą młodzi w uniesieniu,
Modrej rzeki kochankowie,
Dobroczynnej, Polskiej Pani...

Nagle krzyk z dziewiczej piersi:
– Miły, rwij z mej szyi perły,
Bo mnie dusi ciężar ich!
– Ach, mnie także gnie ku ziemi
srebrny klingi mojej trzon!

Jeszcze bronią się oboje,
Krzyk i płacz, i prośba na nic!
Niech przeklęty będzie ten,
Kto powiedział: miłosierna,
Polska, dobra Pani Warta!

Purpurowy słońca zachód.
Krwawa kipiel łamie łódź...
Nim otworzą się przed nimi
Gościnne rzeki podwoje,
Ona tuli ich do łona,
Lepsze obiecuje życie
W purpurowo-kryształowych
I błękitno-szarych nurtach,
Jak to mówią – miłosierna,
Polska Pani Warta?

Przekład: Ireneusz K. Szmidt i Maria Borcz

VARIA BIBLIOTECZNE

Alicja Lipińska

Wczesne polonica zielonogórskiej księżnicy

Charakterystyka i typologia

Zainicjowany ok. 1450 r. w Moguncji proces rozwoju książki drukowanej w szybkim tempie przeniknął do różnych krajów Europy, także do Polski. Najwcześniejsze druki, wytwarzane w XV i XVI wieku, stanowią dziś dla każdej biblioteki wartość wyjątko-

wą, która dodatkowo wzrasta, gdy pozytywnie przechodzą one próbę zakwalifikowania do grupy poloniców. Wydzielenie owych książek, będących przedmiotem rozważań, z ogólnego zbioru starodruków WiMBP w Zielonej Górze nie należy bynajmniej do zadań łatwych. Na problem składa się przede wszystkim nie do końca sprecyzowane rozu-

mienie terminu „polonica”. Próby wyjaśnienia definicji nie podejmuje nawet *Encyklopedia wiedzy o książce*, która jak dotąd stanowi największe compendium z zakresu wydawnictw zwartych. Za ogólnie funkcjonujące w naszej tradycji pojęcie „poloniców” przyjmuje się wytyczenie kryteriów doboru dokumentów dokonane przez Karola Estreichera w jego *Bibliografii polskiej*. Należy nadmienić, że „o szerokim zasięgu Estreicherowskich poloniców decydowały kryteria: państwowe, językowe, genetyczno-narodowe i wreszcie łącznie z treścią, o ile dotyczy ona spraw polskich”¹. Prowadząca badania nad retrospektywną bibliografią Estreichera Alodia Kawecka-Gryczowa, wyznaczyła szczegółowy podział na polonica właściwe (*sensu stricto*), a więc dzieła wydrukowane na obszarze państwa polskiego, napisane przez Polaków, w języku polskim, odnoszące się w całości do spraw polskich oraz polonica sekundarne (*sensu largo*) pochodzące ze środowiska obcego, zawierające jednak fragmenty tekstu związane z Polską lub przeznaczone dla polskiego odbiorcy bądź dzieła wydane w kraju jednak z myślą o odbiorcy odmiennej kultury².

Korzystając z rozważań zawartych w przytoczonym artykule – w trakcie analizy bibliotecznego zbioru wczesnych starodruków w celu wyselekcjonowania z nich poloniców, rozszerzono kryterium doboru o tzw. „polonica graniczne” (w tym wypadku silesiaca), których treść wskazuje na znaczące związki Śląska z Polską.

Zastosowanie się do powyższych zasad pozwoliło z ogólnej liczby 258. wczesnych druków wyodrębnić grupę objętych badaniem książek tworzącą 42 jednostki tytułowe. W trakcie następujących po sobie etapów działania – zawężając już proces badawczy do omawianej liczby prac – ustalono m.in. strukturę językową piśmiennictwa (proporcje między językiem polskim a językami zachodnimi), chronologię wydawniczą, geografie produkcji oraz tematykę. Z interpretacji danych prezentujących pełny obraz struktury językowej poloniców wynika, iż w zestawie rozważanych tytułów zdecydowanie wiodącym językiem jest łacina (32 tyt.). W tym przypadku uzyskany wynik jest zgodny z ogólną tezą uwzględniającą bezwzględny prymat języka łacińskiego w produkcji piśmienniczej okresu renesansu. Literatura w języku polskim tworzy skromniejszy zespół prac (7 tyt.) Try druki zostały wydane w języku niemieckim.

Podjmując starania w kierunku analizy lat wydań omawianych książek, można zauważyć, że rozpiętość czasowa pomiędzy datą najwcześniejszej (ok. 1470 r.) i najpóźniej opublikowanej z nich (1600 r.) wynosi 130 lat. W przypadku poloniców XV- i XVI-wiecznych jest to największa z możliwych skala, gdyż nie odnotowano dotąd dzieła zakresem bądź zasięgiem związanego z Polską, wydanego przed rokiem 1470. Najstarszy znajdujący się w zbiorach biblioteki inkunabuł wydany prawdopodobnie we Wrocławiu, pierwszym ośrodku drukarstwa na Dolnym Śląsku – to *Sermones* papieża Leona I. Autor dzieła, wybitny teolog i dyplomata, jako uznany autorytet Kościoła napisał ważne dzieło, w którym gloryfikował biskupa Rzymu, uznając go następcą św. Piotra oraz gorliwie bronił wartości wiary chrześcijańskiej. Dzięki zachowanym *Kazaniom* można poznać porządek i sposób odprawiania obrzędów religijnych w starożytnym Rzymie. Z lat 1598-1600, a więc najmłodszą spośród rozważanych publikacją, jest książka Nikolausa Reusmana (1545-1602) pt. *Epistolarvm Tvrccicarvm Variorvm Et Diversorvm...*, wydana we Frankfurcie nad Menem. Praca składa się z 14 ksiąg i przybliża na tle historii powszechnej także historię Polski. Z okresu renesansu zachowała ona ciekawą oprawę zdobioną w zwierciadle tłoczonymi medalionami królowej Bony i Zygmunta Augusta.

Analiza przechowywanych w bibliotece poloniców w aspekcie typo- i topograficznym pozwala jedynie na wycinkową próbę rozpoznania sytuacji polskiego drukarstwa w XV i XVI stuleciu. Miastem skupiającym największy potencjał czarnej sztuki był Kraków. Spośród zgromadzonych w bibliotece druków w ówczesnej stolicy Polski zostały wydane aż 22 tematycznie różnorodne książki. W grupie warsztatów typograficznych odnotowanych na kartach poloników na czoło wysuwają się oficyny Łazarza Andrysowicza i jego spadkobiercy Jana Januszowskiego (6 tyt.), Floriana Unglera (4 tyt.), Hieronima Wietora (3 tyt.). Udział swój akcentują (po jednym tytule) również inne znaczące stołeczne typografie: rodziny Szarffenbergów, Jakuba Siebeneychera, Jana Hallera, Andrzeja Piotrkowczyka, Aleksa Rodeckiego. Sukcesywnie analizując adresy wydawnicze poloniców rolę w produkcji książki odegrały także inne miasta, m.in. Poznań (Johann Wolrab), Wrocław

1 Cyt. za: A. Kawecka-Gryczowa, *Nad uzupełnieniami „Bibliografii polskiej”* [w:] *Z problemów bibliografii*, Warszawa 1970, s. 200.

2 Zob. tamże, s. 201.

(Cryspin Schanfferberg), Zgorzelec (Ambroży Fritsch), Wilno (Jan Karcan), Bazylea (Johann Oporinus), Norymberga (Antoni Koberger).

Wymieniona jako ostatnia oficyna norymberska wytoczyła jeden z najpiękniejszych typograficznie druków – *Kronikę Świata* Hartmanna Schedla. Inkunabuł, jeden z 1400. egzemplarzy edycji, wydany w 1493 roku stanowi wyjątkowo cenny eksponat biblioteki. Wśród dominujących w XVI wieku książek z zakresu religii i liturgii amalgamat wątków fantastycznych i legend oraz nowoczesnej nauki stał się kamieniem milowym w historii drukarstwa. Treść książki przedstawiająca dzieje świata od momentu jego stworzenia do wydarzeń z Sądu Ostatecznego została podzielona według ówczesnych wydarzeń mistyczno-historycznych i bogato zilustrowana. Kodeks wydany w drukarni Antoniego Kobergera niewątpliwie wymagał od twórców dokonania wielu niezwykle zaawansowanych technicznie prac. Samo umieszczenie w książce 1809 obrazków odbitych z 645 drewnianych klocków, w tym 42 widoków dużych miast oddanych po części z autopsji, to pionierski, wymagający wysokich kwalifikacji wyczyn artystów Michaela Wolgemuta oraz jego pasierba Wilhelma Pleydenwurffa. Z arytmetyki wynika, że większość umieszczonych w książce rycin, m.in. wizerunków ówczesnych uczonych, książąt panujących i duchowieństwa, nie przedstawia wartości dokumentalnej. Drzeworytowe matryce wykorzystywano bowiem do szablonowego portretowania rozmaitych osób. Z literatury sekundarnej wiadomo dziś, że w warsztacie u Wolgemuta nauki drzeworytnicze pobierał Albrecht Dürer. Na podstawie przeprowadzonych przez znawców tematu badań nad książką zaistniało przypuszczenie, że jest on autorem kilku umieszczonych w pracy ilustracji, m.in. *Sądu Ostatecznego*. *Kronika* znalazła swoje miejsce w gronie poloników, gdyż kilkanaście stron poświęcono w niej Polsce³. Hartmann Schedel z uznaniem wyraża się w tekście o Królestwie Polskim, omawia zabytki Krakowa, wspomina wojnę z Zakonem Krzyżackim, zachwyca się napojem z jęczmienia (nie znana mu jest jego nazwa ani sam napój). Zwięzłe opisy autora

uzupełnione zostały wieloma ilustracjami, w tym np. najstarszymi widokami Krakowa, Nysy i Wrocławia [il. 1.]. Książka, wzorem innych inkunabułów, dane bibliograficzne prezentuje w finalizującym dzieło kolofonie. Egzemplarz *in folio*, wydrukowany rozpowszechnioną w tekstach naukowych rotundą, zawiera szereg niepowtarzalnych, ręcznie malowanych purpurowych inicjałów.

Omawiana grupa poloników reprezentuje z różnym nasileniem większość podstawowych dziedzin wiedzy. Najliczniejszą wśród nich stanowi szeroko pojęta literatura religijna (17 tyt.). W dobie reformacji tekstem, po który sięgano szczególnie chętnie była Biblia. W księgozbiorze biblioteki zachowały się dwa spośród pięciu polskich przekładów całego Pisma Świętego wydanych w okresie zwanym „złotym wiekiem Biblii Polskiej”⁴. Związana z obozem katolic-



1. Najwcześniejszy widok Wrocławia z *Kroniki Świata* Hartmanna Schedla, Norymberga 1493.

kim oficyna krakowskiej rodziny Szarffenbergów jako pierwsza na krajowym rynku typograficznym (1561 r.) podjęła się druku polskiego przekładu całego Pisma Świętego. Tłumaczenia z Wulgaty dokonał prof. Akademii Krakowskiej Jan Nicz, zwany Lwowczykiem (łac. Leopolda) czerpiąc pewne wzorce z czeskich przekazów Księgi Świętej. *Biblia to jest Księgi [!] Starego y Nowego Zakonu...*, powszechnie znana jako *Biblia Leopolda* bądź *Szarffenbergowska* doczekała się kilku wydań. Egzemplarz biblioteczny wydany w roku 1577 stanowi reedycję tekstu, która,

3 W roku 1973 w Oficynie Stanisława Gliwy w Londynie dokonano przedruku *O Europejskiej Sarmacji* z dzieła Hartmanna Schedla *Liber Chronicarum*. Praca ta, łącznie z komentarzami, przypisami i tłumaczeniami Bogdana Deresiewicza doczekała się w roku 1992 w Toruniu kolejnego przedruku. Jest dostępna w zbiorach biblioteki.

4 W latach 1561-1632 wydano pięć Biblii w języku polskim: 1561 – *Biblię Leopolda*, 1563 – *Biblię Brzeską*, 1574 – *Biblię Nieświeską*, 1599 – *Biblię Wujka*, 1632 – *Biblię Gdańską*.

nota bene, nie istniała. Wcześniejszy nakład książki opublikowanej dwa lata wcześniej (1575) nie znalazł kompletu nabywców, przez co drukarz Mikołaj Szarffenber niesprzedaną część nakładu wypuścił po wtórnie na rynek księgarski, zmieniając jedynie datę, kartę tytułową i dedykację. Nie przyznał się jednak do porażki i w dołączonej mowie pochlebnej do króla napisał: „Wydaję tę Biblię po raz wtóry(!), ponieważ zabrakło egzemplarzy poprzedniej edycji, wielką pracą i wielkim nakładem”⁵. Demystyfikacji oszustwa dokonał po latach Jan Muczkowski i całą sytuację opisał w tekście *O bibliach Szarffenbergowskich*, 1845⁶.



2. Herb wielki Rzeczypospolitej za panowania Stefana Batorego z Biblii w przekładzie Leopolda. Kraków 1577.

Święta Księga, choć nie do końca realizowała oczekiwania swoich twórców, zawiera obszerny materiał ikonograficzny. Oprócz drzeworytowego herbu Rzeczypospolitej za panowania Stefana Batorego [il. 2.] i herbu Jagiellonów przedstawia ponad 200 scen ze Starego i Nowego Testamentu, m.in. okazały akt

ukrzyżowania Chrystusa oraz ornament z Drzewem Jessego autorstwa Erharda Schöna, ucznia Albrechta Dürera. *Biblia Leopolda* nie za długo cieszyła się uznaniem. Pod względem „gładkości słowa” musiała ustąpić swojej następczyni, która to niemal do końca XIX stulecia stanowiła niedościgny wzór biblijnej polszczyzny. Wydane w całości w roku 1599 w krakowskiej oficynie Janusza Januszowskiego *inne Pismo Święte* pt. *Biblia To jest Księgi Starego Y Nowego Testamentu...*, przez potomnych okrzyknięte zostało dziełem pomnikowym. Na zlecenie władz zakonnych pracy nad tłumaczeniem tekstu z Wulgaty podjął się, doskonale do tej misji przygotowany, jezuita Jakub Wujek z Wągrowca (1541-1597). Nałożony na siebie obowiązek wykonał z wielką starannością, próbując znaleźć złoty środek między wiernością przekładu a stylem i pięknem języka ojczystego. Dzięki gruntownemu wykształceniu tłumacza praca została wzbogacona na kartach w liczne, rozwijające kwestie teologiczne, komentarze. Jednak, oprócz karty tytułowej zdobionej scenami ze Starego i Nowego Testamentu, edycja pozbawiona jest całkowicie ilustracji. Publikacji przekładu w całości ks. Wujek już nie doczekał. Zmarł dwa lata wcześniej, będąc świadkiem wydania jedynie Nowego Testamentu. Pozostawiony materiał, nakładem władz jezuickich został przekazany w ręce specjalnie powołanej Komisji i poddany znacznej ingerencji cenzorskiej. Brak oryginału uniemożliwia dziś ocenę skali zmian w kształcie tekstu. Pomimo to *Biblia* wciąż funkcjonuje jako przekład Jakuba Wujka a efekt jego pracy przekroczył najśmielsze oczekiwania nie tylko samego twórcy.

„[Przekład] Był dziełem, któremu towarzyszy zasługa dotąd nieporównywalna z żadnym innym tekstem w polszczyźnie, z wyjątkiem może modlitw codziennego pacierza. Żaden bowiem nie był używany tak często i obficie, tak długo i przez tak wielu, jak to przypadło Pismu Świętemu w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka”⁷.

Rzeczywiście, jezuita z Wągrowca udało się wypracować indywidualny, niedościgny styl biblijny. Jego *Biblia*, przez bez mała trzy stulecia, dla polskich katolików pełniła funkcję wersji kanonicznej.

5 Zob. *Drukarze dawnej Polski od XV do XVIII w.*, praca zbiorowa pod red. A. Kaweckiej-Gryczowej, t. 1, cz. 1, Wrocław 1988, s. 277.

6 Zob. tamże, s. 269.

7 Cyt. za: G. Kubski, *Wzór biblijnej polszczyzny*, „Przewodnik Katolicki”, 2007, nr 29, s. 27.

Spod pras najznakomitszej oficyny wspomnianego już architypografa Janusza Januszowskiego wyszło kolejne katolickie dzieło pt. *Nvntius Salvtius, Siue De Incarnatione ad ladem D[omi]ni nostri Iesu Christi...* [Kraków, 1588]. Autor Stanisław Sokołowski (1536-1593), teolog i orator wzorem XVI-wiecznych twórców książki rozpoczyna tekst od szeregu pochlebstw skierowanych do miłośnicwie panujących Zygmunta III i Anny Jagiellonki, wychwalając mądrość króla i ofiarność jego małżonki. Praca typowo kaznodziejska (składa się z pięciu kazań) w całości przesiąknięta jest kultem Matki Boskiej. Łaciński tekst zawiera wiele cytowań ojców kościoła, na których to prace autor chętnie się powołuje. Stanisław Sokołowski, jako prof. Akademii Krakowskiej, był opiekunem wielu młodych filozofów i teologów. Jednym z nich był Andrzej Schoneus z Głogowa (1552-1615) zaangażowany duszpastersko tłumacz i poeta nowołaciński, który realizując się naukowo w stolicy, przeszczepił jej kulturę na grunt Śląska.

Wiek XVI, związany z rozwojem ruchu reformatorskiego w Polsce, to okres szczególnej mobilizacji duchowieństwa katolickiego do walki z coraz liczniejszymi ogniskami różnowierców. Przedstawiciele obu stron sporu szybko zrozumieli, jak ważnym orężem w walce jest słowo drukowane. Aby przemówić do szerokich mas społecznych musieli więc zacząć posługiwać się w piśmie językiem ojczystym. Paradoksalnie, rozłam w Kościele katolickim w istotny sposób przyczynił się do unarodowienia literatury. Drukarnia, która chętnie współpracowała z obozem jezuitów i poprzez książkę szerzyła zasady religii katolickiej, była poznańska oficyna Jana Wolraba. Czołowym jej szermierzem, specjalizującym się głównie w literaturze polemicznej, stał się Hieronim Powodowski (1543-1613) kanonik poznański i pisarz. W bibliotece ocalało jedno ze sztandarowych jego dzieł *Wędzidło Na sprosne błędy a bluźnierstwa Nowych Aryanov...* z roku 1582. Książka, dedykowana królowi Stefanowi Batoremu, składa się z czterech kazań, w których autor stoczył ostry spór z doktryną arian na temat Chrystusa. Zaatakował przywódców gminy lubelskiej językiem wrogości i inwektyw, oskarżając ich o największe herezje. Na reakcję zwolenników reformacji nie czekał długo. W odpowiedzi ukazały się teksty ideologów protestantyzmu m.in. Marcina Czechowa i Jana Niemojowskiego, którzy czynili mu zarzut braku tolerancji i przesławiających go za wiarę, co w ich mniemaniu niegodne jest

chrześcijanina. Nawoływanie do zachowania postawy zgodnej z naukami Jezusa potęgowały tylko nawiści do reformatorów. Zaangażowanie jezuitów w tłoczenie pism wymierzonych w różnowierców nasiliło się do tego stopnia, że poświęcali oni na ten cel często własne majątki. Zainwestowane nakłady finansowe nie zwracały się im niemal nigdy, gdyż służąca misji propagandowej literatura sprzedawana była za symboliczne pieniądze.

Z literatury polemicznej na uwagę zasługują także pisma reformatorskie rozwijające doktrynę teologiczną Jana Kalwina. W zbiorach biblioteki znajduje się główne dzieło staropolskiego kaznodziei Grzegorza z Żarnowca (1528-1601) pt. *Postilla Albo wykłady Ewangelii Niedzielných y Świąt vroczystých, przez cały Rok, Kościoła Krześcianskiego Powszechnego...* (Wilno, 1597). W dwutomowym zbiorze komentarzy do Biblii autor rozprawiał się z katolicyzmem, szczególnie napastliwy atak kierując na jezuitów. Ostrą formą wypowiedzi, kwestionującą ideę kultu maryjnego i hołdowanie świętym, zyskał sobie rozgłos i uznanie wśród współwyznawców. Śmiałość w głoszeniu własnych poglądów podniosła go do rangi „kalwińskiego Skargi”. Ewangelicka *Postilla* prezentująca szereg objaśnień perykop popartych rozległą wiedzą teologiczną pisarza znajdowała się w kręgu zainteresowań czytelników na długo po zamknięciu doby reformacji. Egzemplarz dzieła przechowywany w bibliotece, mimo śladów częstego używania, zachował oryginalną, estetycznie ze skóry wykonaną oprawę uwieńczoną motywem zdobniczym w postaci wyciskanych radełkiem bordiur.

Rozbudzone w XVI wieku świadomość narodu oraz chęć poznania własnej przeszłości wpłynęły na umocnienie się polskiego dziejopisarstwa. Ważną z punktu widzenia każdego narodu twórczość historyograficzną reprezentują w zbiorach biblioteki dzieła trzech historyków: Macieja z Miechowa (Miechowity), Marcina Kromera i Joachima Bielskiego. Najwcześniej z prywatną inicjatywą spisania dziejów Polski wyszedł prof. uniwersytetu w Krakowie Maciej z Miechowa (1457-1523), który wzorując się na dziele Jana Długosza przedstawił je od czasów najdawniejszych do roku 1506, uzupełniając rzetelnymi faktami dziejowymi. Dysponując wszechstronną wiedzą naukową, w swojej pracy zawarł również wiele informacji z zakresu medycyny, etnografii, historii kultury, co znacząco podniosło rangę dzieła. *Chronica*

Polonorum – pierwsza drukowana historia Polski, wydana w 1519 roku w krakowskiej oficynie czotowego typografa Hieronima Wietora, stała się pretekstem pierwszej interwencji władzy państwowej w sprawie wolności druku. Edycję ze względu na zawartą w niej krytykę rządów króla Aleksandra Jagiellończyka i magnaterii polskiej poddano bezwzględnej konfiskacie. W dwa lata później, po szczegółowym ocenzurowaniu treści dzieła, polegającym na usunięciu nieprzychylnych władzy królewskiej akapitów i dokonaniu znaczących przeróbek tekstu, książka została wydana ponownie. Egzemplarz z roku



3. Trójwymiarowo modelowana karta tytułowa *Kroniki Polski* Macieja z Miechowa. Kraków 1521.

1521 wyposażony już w aprobatę króla i duchowieństwa, choć nie do końca przybliży rzeczywiste losy kraju, zawiera niezwykle ciekawy materiał ilustracyjny. Wprowadzająca wiele innowacyjnych rozwiązań typograficznych oficyna Wietora ozdobiła druk trójwymiarowo modelowaną kartą tytułową z użyciem sceny batalistycznej, ukazującej dynamiczną

walkę zbrojną rycerstwa polskiego i litewskiego. Wykonana technika drzeworytną ramą prezentuje antyczne motywy architektoniczne, herby państwa polskiego, litewskiego i krzyżackiego, a pierwszoplanowym motywem ilustracji jest umieszczona wewnątrz ramy postać biskupa [il. 3.]. Równolegle z tekstem rozlokowanych jest około 40 obrazków półfigur monarchów, z których większość to imaginacyjne wizerunki władców polskich.

Wpływ kronik średniowiecznego dziejopisa Jana Długosza oraz wspomnianego Miechowity zaznaczył się w dziele kolejnego historiografa, sekretarza królewskiego i biskupa Marcina Kromera (1512-1589). Jego praca, wydana w 1555 roku pt. *De Origine Et Rebus Gestis Polonorum* daje obraz całości dziejów Polski do czasów Zygmunta I Starego. Autor, prowadząc badania w archiwum Skarbcu Królewskiego, stworzył dzieło tendencyjnie, w duchu poparcia dla króla i wysokich urzędników. Choć bardziej beletrystyczne niż rzetelne i naukowe przewyższało jednak wcześniejszą kronikę Miechowity barwnym, literackim językiem. Kromer wykazał się również większymi ambicjami w realizacji popularyzatorskiego formowania obrazu ojczyzny w oczach oświeconej Europy, gdyż pracę swoją wydał w Bazylei – ważnym ośrodku wydawniczym rozpowszechniającym teksty na skalę międzynarodową. Dzięki tym zabiegom historię Polski poznały cudzoziemskie elity czytelników, które książkę Kromera przyjęły z entuzjazmem. Świadczą o tym m.in. liczne kompilacje czynione na jej kanwie przez polskich i obcych autorów. Skromniejszy od poprzedniczki jest jednak materiał ilustracyjny zawarty w kronice. Johann Oporinus, wydawca dzieła, na jego kartach umieścił element graficzny w postaci orła w koronie z krzyżem na tarczy oraz wizerunków polskich władców – Zygmunta I Starego i Zygmunta II Augusta.

Niewątpliwym sukcesem u schyłku XVI stulecia zakończyło się inne prywatne przedsięwzięcie wydawnicze. Inicjatywy, zmierzającej do opracowania po raz pierwszy w języku ojczystym monumentalnego dzieła rejestrującego w całości dzieje Polski, podjął się kronikarz i sekretarz królewski Joachim Bielski (ca 1500-1599). Autor, syn znanego historiografa Marcina Bielskiego, po śmierci ojca w roku 1575 zajął się kontynuacją jego prac w zakresie kwestii poświęconym wyłączenie sprawom Polski i doprowadził ją do czasów panowania swojego pracodawcy, Zygmunta III Wazy. Opierając się na wielu dostępnych

mu dokumentach źródłowych dzieło zmodyfikował i rozszerzył o szereg wydarzeń, co czyni dziś daremnymi próby precyzyjnego ustalenia autorstwa poszczególnych wątków w tekście. Przechowywane w zbiorach biblioteki wspólne dzieło ojca i syna wydane zostało w krakowskiej oficynie Jakuba Siebeneychera pt. *Kronika Polska Marcina Bielskiego Nowo Przez Joachima Bielskiego syna iego wydana*, 1597. Kontynuator książki, realizując swą pasję historyczną, wzbogacił zreformowany tekst materiałem ilustracyjnym ukazującym pełnopostaciowe wizerunki władców polskich, m.in. Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego [il. 4.], Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełłę i Kazimierza Jagiellończyka⁸. Zarówno w materiale graficznym, jak i w tekście drukowanym poruszono wiele kwestii odnośnie funkcjonowania i obyczajów szlachty, heraldyki oraz scen batalistycznych. Historia Polski w kronice opisana jest bardzo szeroko. Autor nie pomija w niej nawet narodowych podań i legend, np. przedstawia podanie o smoku wawelskim, które uzupełnia, wprowadzając postać dzielnego szewca Skuby, znaną odtąd kolejnym pokoleniom Polaków. Joachim Bielski sięgnął również do „symbolu narodu” – pochodzącej ze średniowiecza pieśni *Bogurodzicy*, z którą wiązał pomyślność w starciach wojennych. Na kartach książki pisał: „*Bogurodzica* to pieśń, którą przodkowie naszy idąc do potrzeby zwykli byli śpiewać i szczęściło się im”⁹. Wspólna kronika ojca i syna szybko zyskała sobie względy czytelników. Pokonała tekst Marcina Kromera i na okres dwóch kolejnych stuleci stała się narodowym kompendium wiedzy o polskiej historii.

W bliskim związku z książką historyczną pozostawały prace z dziedziny polityczno-prawnej (8 tyt.). Wśród XVI-wiecznych poloników biblioteki szczególny podziw budzi najpiękniejsza książka krakowskiej tłoczni Jana Hallera prezentująca po raz pierwszy kodyfikację całego dotychczasowego prawa polskiego. To wybitne dzieło rejestrowane pod tytułem *Co[m]mune incliti Poloniae Regni priuilegium co[n]stitutionu[m]*, 1506 – znane jest powszechnie jako *Statuty Łaskiego*, gdyż inicjatorem spisania i opublikowania wszystkich statutów koronnych był

kancelarz i prymas polski Jan Łaski (1459-1531). Wydane w nakładzie 162 woluminów przyczyniło się do rozpowszechnienia prawa polskiego wśród narodu. To w *Statutach* po raz pierwszy wydrukowano polski tekst *Bogurodzicy*, traktując go jako obowiązujący hymn narodowy. Kodeks uchodzący za pomnik praw Królestwa wyposażony został w grafikę o treści politycznej niemającą w Polsce precedensu¹⁰. Jeden z czołowych drzeworytów, umieszczony w książce w formie alonża, kreuje na tronie króla Aleksandra Jagiellończyka w otoczeniu przedstawicieli senatu i izby poselskiej [il. 6.]. „Odtworzono tutaj kilka



4. Wizerunek króla Kazimierza Wielkiego na tronie z *Kroniki Polskiej* Marcina i Joachima Bielskich, Kraków 1597.

warstw znaczeniowych ilustracji, pokazanej na tle ówczesnej sytuacji politycznej oraz program ideowy,

8 Zob. *Drukarze dawnej Polski...*, s. 197.

9 Cyt. za: P. Buchwald-Pelcowa, *Historia literatury i historia książki*, Kraków 2005, s. 257.

10 Zob. *Drukarze dawnej Polski...*, s. 55.

11 E. Chojacka, *Znaczenie kulturowe grafiki polskiej XVI w.*, [w:] *Dawna książka i kultura*, Wrocław 1975, s. 92.

w którym struktura państwa sprzężona została z symboliką kosmiczną”¹¹. Tytułowa ilustracja natomiast ukazuje króla w majestacie, któremu insygnia kanclerskie: pieczęć i dyplom (symbolizujący tu zapewne statut) przekazuje autor dzieła Jan Łaski¹². Element zdobniczy stanowi również wyobrażenie czterech patronów Królestwa oraz, po raz pierwszy przedstawione w polskiej sztuce, drzewo genealogiczne rodu Jagiellonów. Choć wystrój typograficzno-graficzny dzieła odzwierciedla styl gotycki, w książce pojawił się świeży element mający pełnić rolę „marketingową”, tzw. sygnet drukarski. Oficyna Jana Hallera, zwanego ojcem drukarstwa polskiego, używała w drukach drzeworytowego znaku firmo-



5. Sygnet drukarski oficyny Jana Hallera w Krakowie zamieszczony w *Statutach Łaskiego*, Kraków 1506.

wego w kształcie litery „h” dwukrotnie kreślonej krzyżykiem [il. 5.]. *Statuty* stały się fundamentalnym zbiorem polskiego prawa aż do momentu rozbiorów. Do dziś jedna z grafik kodeksu symbolizująca alegorię Rzeczypospolitej, odwołując się do narodowych tradycji prawno-ustrojowych, stanowi wystrój ikonograficzny siedziby Trybunału Konstytucyjnego w Warszawie.

Materiał poglądowy, zawarty w opisanym dziele, chętnie wykorzystywany był przez innych autorów. Podobny w wymowie drzeworyt ilustrujący obrady sejmowe, tym razem z królem Zygmuntem Augustem na tronie [il. 7.], zawarł w pracy *Statuta Y Przywileie Koronne* sekretarz królewski Jan Herbut z Fulsztyna (1508-1576). Autor, czerpiąc wzory z kodeksu praw Jana Łaskiego, także zamieścił w pracy tekst polskiej pieśni *Bogurodzicy*. Piękny druk wydany w Krakowie przez impresora Mikołaja Szarffenbergera powstał w roku 1570 na zlecenie sejmu polskiego. Podstawowe dokumenty z dziedziny ustroju państwa przedstawione zostały w pracy w układzie systematycznym. Nowy sposób podejścia do opracowania tematu miał ułatwić czytelnikom korzystanie z tekstu i być może właśnie czynnik ten zaważył, że książka długo znajdowała liczne rzesze odbiorców, a w sądach powszechnie była używana jeszcze przez 200 lat.

Ważnym kompendium prawa polskiego przechowywanym w grupie poloniców zielonogórskiej ksiąźnicy jest zbiór ustaw, statutów i przywilejów Królestwa Polskiego spisany przez sędziego ziemi krakowskiej Jakuba Przyłuskiego (1480-1554). Dzieło *Leges Seu Statuta Ac Privilegia Regni Poloniae Omnia*, Kraków 1553, którego drukarzem i nakładcą był sam autor składa się z sześciu ksiąg: I – *O ustroju państwa i stanach*; II – *O skarbowości*; III – *Prawo karne i prywatne*; IV – *O procesie*; V – *O stosunku ziem do Korony*; VI – *O wojnie*. Pisarz, wytrawny znawca prawa rzymskiego, w swoich komentarzach wielokrotnie opierał się na źródłach antycznych i mowach ojców kościoła, przeplatając je wierszami pisarzy klasycznych. Pracując nad tekstem, znacząco zaakcentował własne poglądy religijne. W przedmowach do ksiąg wychwalał pisarzy obozu reformatorskiego, niepochlebnie oceniając przy tym duchowieństwo. Reakcją kleru na ową krytykę było zniszczenie wielu egzemplarzy edycji co, paradoksalnie, czyni zachowany egzemplarz cenniejszym. Interesująco brzmi, znajdujący się na *verso* karty tytułowej, przywilej Zygmunta Augusta zezwalający na druk dzieła i objaśniający powody, jakie skłoniły monarchę do wydania licencji. Jednocześnie władca zastrzega, że sądom nie wolno książki używać, dopóki zawartość jej nie zostanie zbadana i zatwierdzona na najbliższym posiedzeniu sejmu¹³.

¹² Zob. *Drukarze dawnej Polski...*, s. 56.

¹³ Zob. K. Estreicher, *Bibliografia Polska*, t. 25, cz. 3, Kraków 1913, s. 376.

Z uwagi na obszerną listę zgromadzonych w bibliotece poloniców XV i XVI wieku przedstawione tytuły książek nie prezentują w całości wymienionych dziedzin wiedzy.

Ponadto, wśród tekstów znajdują się także takie, których treść odbiega od utworzonych grup tematycznych. Zakres tej części prac nie jest ujednolicony. Można tu zarówno znaleźć np. pozycję dotyczącą sztuki sepulkralnej autorstwa wrocławskiego sztycharza Tobiasza Fendta (*-1576) zatytułowaną *Monvmenta Sepvlcrorvm Cvm Epigraphis*, [Wrocław, Crispin Scharffenberg, 1574], jak i dzieło z zakresu językoznawstwa pt. *Disciplinarvm Liberalivm Orbis*, [Bazylea, 1528] napisane przez humanistę Johanna Sicharda.

Różnorodność zagadnień poruszanych we wczesnych polonicach, latami kształtowała umysły polskich czytelników. Dziś zgromadzony w bibliotece księgozbiór wczesnych druków nadal ciekawi, zachwyca i stanowi „żywy” warsztat pracy dla badaczy z kraju i z zagranicy. Zainteresowanie i podziw wzbudza również jego wartość edytorska, co jest niekwestionowaną zasługą renesansowych oficyn. Liczące ponad 400 lat druki, stanowiące rzadkość w skali światowej, przechowywane są w bibliotece z wyjątkową dbałością, by mogły nadal służyć kolejnym pokoleniom. W tym też celu realizowany jest program ochrony unikatowych dokumentów poprzez zamieszczenie ich wersji elektronicznej na stronie internetowej Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej.



6. Scena z obrad sejmu i senatu z królem Aleksandrem Jagiellończykiem na tronie umieszczona w *Statutach Łaskiego*, Kraków 1506.



7. Obrady sejmowe z królem Zygmuntem Augustem na tronie zawarte w *Statutach y Przywilejach Koronnych* Jana Herburta, Kraków 1570.

Konferencja: Spadkobierca Norwida? Wokół romantycznej genealogii Zbigniewa Herberta

Rok 2008, na który przypadła dziesiąta rocznica śmierci Zbigniewa Herberta, został ustanowiony przez Sejm Rokiem Zbigniewa Herberta. W tym roku w całym kraju odbywały się liczne konferencje, sesje, wystawy i spotkania rocznicowe, upamiętniające postać wybitnego poety. Do obchodów włączyła się także Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, która – przy współudziale Zakładu Teorii i Antropologii Literatury, działającego przy Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego – zorganizowała konferencję zatytułowaną *Spadkobierca Norwida? Wokół romantycznej genealogii Zbigniewa Herberta*. Konferencja, traktująca o Norwidowskich korzeniach poezji Herberta i jej niejednoznacznych związkach z szeroko rozumianym romantyzmem, odbyła się w dniach 6-7 listopada 2008 r. w sali dębowej biblioteki. W obradach wzięło udział kilkunastu prelegentów z najważniejszych ośrodków akademickich w kraju i liczne grono słuchaczy. Biblioteka miała zaszczyt gościć historyków, teoretyków literatury oraz kulturoznawców, wybitnych badaczy problematyki polskiej poezji współczesnej i romantyzmu, autorów wielu znaczących publikacji naukowych.

Pierwszy dzień konferencji otworzył referat *(Prze)milczenie współczesności u Norwida i Herberta* prof. Piotra Michałowskiego z Uniwersytetu Szczecińskiego. Literaturoznawca, interpretując utwory obu poetów, mówił o różnych aspektach milczenia. Jego spojrzenie na milczenie i przemilczenie w poezji

Norwida i Herberta zostało potraktowane z odzieniem ironii. Ironia natomiast nadała wystąpieniu charakter nieco żartobliwy, sprawiając, że forma stała się atrakcyjna dla słuchaczy. Kolejnym prelegentem był prof. Marek Adamiec z Uniwersytetu Gdańskiego. W swoim wystąpieniu, zawierającym kilka wypowiedzi na temat relacji Herbert – Norwid, zaprezentował obszary oddziaływania autora *W Weronie* na twórcę *Epilogu burzy*, poruszył problem dominacji systemu dwójkowego we współczesnej kulturze oraz postawił tezę o uwikłaniu w politykę zarówno autora *Promethidionu*, jaki i Zbigniewa Herberta. Trzeci referat „... lecz ty spomnisz, wnuku”. *Herbert – Norwid* przedstawił dr Włodzimierz Toruń z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Sekretarz Instytutu Badań nad Twórczością Cypriana Norwida postawił tezę o nieśmiertelności poezji obu twórców na tle różnych aspektów przemijania i pamięci. Mówił o paralelach między Norwidem a Herbertem; wskazywał na ich wspólne konfrontowanie mitów z rzeczywistością oraz odnajdywanie w sztuce swoich niespełnionych miłości i fascynacji. Następnie zebrani słuchacze zapoznali się z referatem, który wygłosiła prof. Joanna Zach z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dotyczył on szyfru istnienia jako głównego zagadnienia, którym zajmuje się poeta; tutaj na przykładzie twórczości Norwida i Herberta. Tekst krakowskiej literaturoznawczyni składał się z trzech części. W pierwszej został poruszony problem Norwidowskiego przekonania o pozorności dziejów, sytuacji

ówczesnego pokolenia a sytuacji autora *Marionetek* oraz indywidualności Norwida. W drugiej części referatu prelegentka skupiła się na podobieństwach i różnicach między życiem oraz twórczością Cypriana Norwida i Zbigniewa Herberta, wskazała na analogię między sytuacją Norwida a sytuacją autora *Pana Cogito*. Trzecią część wypowiedzi prof. Joanny Zach wypełniły takie zagadnienia jak: ustanowienie relacji między przeszłością a chwilą obecną oraz dialog z przeszłością – i u Norwida, i u Herberta. Prof. Dariusz Pawelec z Uniwersytetu Śląskiego w referacie *Romantyczne tropy do lektury „Prześłania Pana Cogito”* wskazał na potrzebę reinterpretacji najsłynniejszego utworu poetyckiego Zbigniewa Herberta, zestawiając *Prześłanie...* z *Lilią Wenedą* Juliusza Słowackiego. Z kolei prof. Grzegorz Kubski z Uniwersytetu Zielonogórskiego w swoim wystąpieniu starał się udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego Tukidydes stał się bohaterem jednego z najważniejszych wierszy Herberta pt. *Dlaczego klasycy?* Prof. Anna Szóstak (Uniwersytet Zielonogórski) w referacie *Wielkie Teraz czasu mitycznego w poezji Zbigniewa Herberta jako aktualizacja historii i poszukiwanie sensu* mówiła na temat funkcjonowania mitu i jego odniesień do wydarzeń historycznych w twórczości poetyckiej autora *Napisu*. Dr Anita Kucharska-Dziedzic (Uniwersytet Zielonogórski) wygłosiła referat, który odnosił się do spojrzenia poetów pokolenia '68 na twórczość Herberta zarówno jako romantyka, jak i ironisty. Pierwszy dzień konferencji zakończył referat traktujący o wpływie myśli Kierkegaarda na dorobek literacki Zbigniewa Herberta, który przedstawił mgr Artur Telwikas (Uniwersytet Zielonogórski).

Drugi dzień obrad otworzyła prof. Dorota Heck z Uniwersytetu Wrocławskiego, która przedstawiła referat pt. *Między klasycyzmem a romantyzmem. Dyskurs metapolityczny w eseistyce Zbigniewa Herberta*. W swoim wystąpieniu wrocławska badaczka ukazała, że w eseistyce Herberta nie istnieją kategorie metapolityczne, a posiada ona przede wszystkim aspekt etyczny. Następnie prelegentka mówiła na temat oddziaływania i wzajemnej relacji między klasycyzmem a romantyzmem w twórczości poety. Prof. Sławomir Kufel (Uniwersytet Zielonogórski) zaprezentował wypowiedź, w której wychodząc od definicji klasycyzmu, charakteryzował klasycyzm Herberta na przykładzie zbioru esejów *Barbarzyńca w ogrodzie*. Dr Małgorzata Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego przedstawiła analizę i interpretację Herbertowskiego wiersza *Pora*, umiejscawiając go w kontekście „czarnego” i „białego” Norwida. Ostatnim prelegentem był mgr Marcin Jerzynek (Uniwersytet Zielonogórski), który przedstawił referat *Poetyka na usługach epistemologii. Milczenie jako zasada etyczna Norwida i Herberta*.

Na zakończenie konferencji prof. Piotr Michałowski wygłosił żartobliwy wiersz własnego autorstwa, utrzymany w Norwidowskiej stylistyce, a adresowany do Zbigniewa Herberta. Konferencja spotkała się z szerokim zainteresowaniem studentów, pracowników Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz słuchaczy spoza zielonogórskiego środowiska akademickiego. Zaprezentowane referaty nie tylko poszerzyły i wzbogaciły wiedzę na temat jednego z najwybitniejszych polskich poetów współczesnych, ale też potwierdziły aktualność i siłę oddziaływania twórczości Cypriana Norwida – patrona biblioteki.

Milczenia-klasyk

Zbigniewowi Herbertowi

1.

Nie-dopowiedzeń dla jutrzejszych Epok
Kaskada spada bez dna – przez w s z e c h - c z a s y.
Jak mgłą jest przyszłość – choć nie patrzysz ślepo
– T a k m i l c z y klasyk!

2.

Będzie społecznym mądrość p o - n i e w c z a s u
Ciszą jednaką – a obcą dalece...
W niemocie Nieba, we wrzasku Parnasu,
W mej bibliotece.

3.

Milczę potomnym. Adresat – nieznany.
Tyś spadkobierca mój – tak przez badaczy
W lat ledwie dziesięć będziesz z a - g a d a n y
– By nic nie znaczyć?

4.

Zalakowana ma pusta koperta
Testament niesie. Szelestem nauka
O tym, co wiersze p r z e - m i l c z ą Herberta
– Mego prawnuka...

5.

Wiem, Ci to dziwne: niżliś się narodził,
Żem dziejów długą miał odczekać przerwę,
A nie wiem jeno, czy-li mnie uchodzi
U - w n u c z y ć pierwej...

6.

Nam jeno czekać, aż odpowiedź czas da...
O d - m i l k n ą ć t y m - c z a s n i k t się nie pokwapi.
Studium przedmiotu, Hermes, pies i gwiazda
Milczą jak *Napis* – –

7.

Gdy tryśnie prawda, co dotąd zakryta,
Spólne pytanie nas w przyszłość zjednoczy:
Nie co wypada m ó w i ć – będziem pytać
– A m i l c z e ć – o czym?

8.

Ścichną krytyki i spory zajadłe,
Kiedy zamilknieś z *Epilogiem burzy*.
Że głos mój wspomnisz – tego nie odgałęm
– W Zielonej Górze!

Mistrz Florkowski

Tomasza Florkowskiego nazywam mistrzem i z dumą podkreślam, że jest moim kolegą z pracy. Podziwiam jego warsztat i styl pracy dziennikarskiej, który przenika tak rzadko dziś spotykany „ducha posłannictwa”. Ten nieprzeciętny człowiek na stałe wpisał się w krajobraz Zielonej Góry i regionu jako architekt, publicysta, literat i podróżnik. W ogromnej ilości opracowań, artykułów, komentarzy, a także w kilku książkach zawarł doświadczenia i przemyslenia człowieka, który nie przechodzi obojętnie obok spraw, jeśli warto są zainteresowania, i który potrafi dostrzec piękno we wszystkim.

15 stycznia br. przypadła mi w udziale szczególna przyjemność uczestniczenia w wieczorze promującym kolejną książkę Tomasza Florkowskiego pt. *Blżej piątego wymiaru*. Autor, dając zdecydowany odpór złośliwej chorobie, z benedyktyńską pracowitością składał wieloletnie doświadczenia architekta, humanisty, podróżnika, poety i pisarza w monografię zmierzającą do odkrycia tajemnicy piątego wymiaru otaczającej nas przestrzeni. Jak opowiedzieć o książce, której nie można tak po prostu przeczytać? Tę książkę trzeba studiować, odkrywać, smakować, przeglądać (liczne rysunki i fotografie). Wtedy jest szansa, że coś naprawdę zrozumiemy. Warto podjąć taki trud.

Czwartkowy wieczór w bibliotece Norwida zapowiadał się ciekawie. Z niecierpliwością oczekiwano spotkania, tłum przybywających narastał. Dyskretnie zaczęto dostawiać krzesła. Bohater wieczoru nie ukrywał radości, witając wchodzących do sali Pro Libris przyjaciół, byłych współpracowników, towarzyszy rozlicznych podróży, sympatyków i tych, którzy chcieli go dopiero poznać. Sądzę, że tych ostatnich było najmniej. Trudne nie kojarzyć Tomasza Florkowskiego, znamienitego zielonogórzanina,

jednego z twórców obecnej koncepcji urbanistycznej miasta.

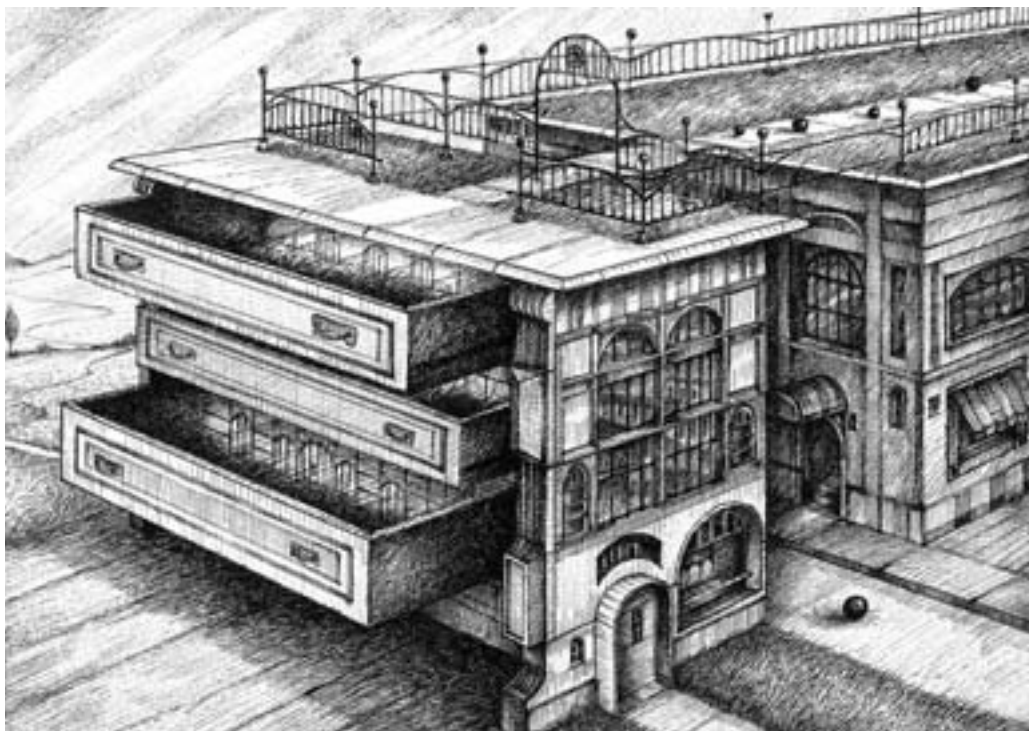
Erudycja autora *Witaj Hiszpanio* pozwala mu zasadniczo mówić na każdy temat. Można wsłuchiwać się nie tylko w to co mówi, ale też – jak to robi! Z pewnością przybyli na spotkanie czytelnicy ciekawi byli zarówno nowej książki, jak i samego autora, który nieoczekiwanie zniknął z życia zawodowego i towarzyskiego ponad dwa lata temu. Warto było czekać na jego znakomity powrót. Zobaczyli pogodnego, radosnego i lekko speszonego starszego pana, który z właściwym sobie temperamentem snuł opowieść o pracy nad książką. W zamyśle autora miała być wywodem o różnych aspektach twórczości, prowadzonym w oparciu o przesłanki filozoficzne i doświadczenia naukowe, uzupełnionym głęboką refleksją humanistyczną. Tomasz Florkowski daje czytelnikowi szansę odkrycia tajemnicy twórczej wyobraźni, wyobraźni architekta i urbanisty, także człowieka z wielkim doświadczeniem życiowym i głębokimi przemyśleniami natury filozoficznej. Jak pisze dr Adam Sznajderski: „Kontekst pracy dotyczy wykładu o tajemnicach zawodu architektów i urbanistów, ale jej zainteresowania wybiegają także w stronę kultury wymowy, piękna języka ojczystego, przenikniętego poezją, także muzyką, metafizyką, w ogóle – duchowością... Korelacje te są oczywiste u autora uprawiającego filozofią kreacjonizmu (...) Autor bliski jest norwidowskiej estetyce, nadrzędnie akceptującej w działaniu jedność treści i formy. Wymóg ten odnosi się do *piątego wymiaru*. Osiągnięty może zostać wyłącznie wówczas, gdy artysta otwiera się na owo *dalej*, ubogacając w ten sposób platońską triadę o harmonii: prawdy, dobra i piękna jako atrybutów doskonałości (...)”.

Piąty wymiar to wyznaczenie człowieka wszechstronnego, wrażliwego i utalentowanego. To historia o przestrzeni wielowymiarowej, w której tkwimy od wieków, lecz której sobie nie uświadamiamy. Zawarta w tytule *przestrzeń i estetyka* to konfrontacja naszej rzeczywistości z racją naukową, fizyką, sztuką, historią, psychologią, a nawet teologią. Czy to zamierzenie autora, by nad jego dziełem intelektualnie pogimnastykować się? Być może to zachęta do tego, aby w prozie codzienności dostrzec myśli głębokie i abstrakcyjne.

Może właśnie dlatego na okładce książki umieszczone jest zdjęcie Bogusława Światały – malowniczy zachód słońca, napawający spokojem obraz równowagi, do której dąży każda żyjąca istota. Za tą okładką nie odnajdziemy opowieści o tym, jak Tomasz Florkowski dom budował, będzie za to historia o tym, dlaczego go zbudował i jak urządził wokół niego harmonijną przestrzeń miłośnika ładu przestrzennego. Robert Berekowski pisze: „*Piąty wymiar* otwiera się dzięki Tomaszowi Florkowskiemu – świat człowieka i zarazem twórcy ożywiany innymi postaciami, nauczycieli, autorytetów, przyjaciół”. Czy właśnie dlatego książki nie można tak po prostu

przeczytać? Chyba tak, bo znajdujemy w niej co krok odniesienia do myśli filozofów, nauk i mądrości przekazywanych przez szanowanych przez autora myślicieli, a także niedoścignionych mistrzów sztuki formowania ludzkiego otoczenia, przestrzeni architektonicznej i urbanistycznej. Książka niewątpliwie intryguje, choć dla wielu czytelników może być lekturą trudną. Nie dziwią więc zadumane twarze czytelników, lekkie zmieszanie, gdy pada pytanie: „O czym właściwie jest ta książka?” lub „O co chodzi z tym piątym wymiarem?”

Ktoś z obecnych na spotkaniu trafnie zasugerował, że piątego wymiaru można szukać w sobie. Te poszukiwania mogą wyrażać się solidną pracą, wyobraźnią i odpowiedzialnością twórczą, humanizmem, dostrzeganiem tego, co niedostrzegalne, chwytaniem tego co nieuchwytnie. Ośmielam się powiedzieć, że ten styczniowy wieczór spowodował, że poczulśmy się jakby w innym wymiarze. Nie wiem w którym, ale na pewno obszarze, który do niego zbliża. Temu, kto chciałby dotrzeć do celu poszukiwań, polecam książkę Tomasza Florkowskiego pt. *Blżej piątego wymiaru*.



Uważajcie, co mówicie przy niej i do niej, bo może to wykorzystać!

Z Eugenią Pawłowską (dla przyjaciół Żenią, dla czytelników Snobką), felietonistką, dziennikarką „Gazety Lubuskiej” rozmawia Elżbieta Wozowczyk-Leszko

– W felietonach opisywała Pani życie kulturalne, towarzyskie i społeczne Zielonej Góry. Czy było to ciekawe zajęcie? Jakie wnioski wynikały z tych obserwacji?

– Tak, bardzo ciekawe. Robiłam to, co mnie naprawdę interesowało. Cóż, zdarzało się, że musiałam po prostu zebrać „na gwałt” materiał do kolejnego felietonu (moje teksty ukazywały się w określonych dniach, raz w tygodniu, potem dwa razy). Poznawałam dużo ludzi. Czasem zazdrościłam tym felietonistom, którzy w oparciu o obserwacje życia politycznego, patrząc w ekran telewizora, czytając prasę pisali, że tak powiem z głowy, w ciepłku domowym. Ja musiałam być na imprezach wieczornych osobiście, „telepać” się bez względu na pogodę i porę po imprezach wieczornych, wracając do domu niemal nocą, krążyć na bankietach, za którymi nie przepadałam, ale mówiąc bez ogródek – na nich żerowałam. Pisałam te felietony w dużej mierze z podsłuchu i z podglądu. Czasem nawet na imprezach mówiono: „Uważajcie, co mówicie przy niej i do niej, bo może to wykorzystać!”. I wykorzystywałam. Robiłam to z myślą o czytelnikach, ale też i ku swojej satysfakcji, starałam się, by felietony były i uszczypliwe, i zabawne, żeby jeden czytelnik mógł się uśmiechnąć, drugi wściec. Chciałam, żeby coś się działo.

– Wydanie felietonów w formie książkowej to raczej nieoczekiwane przez Panią przedsięwzięcie?

– Tak, przyznaję, że odbywało się to w dużym stopniu poza mną. Choroba, która mnie dopadła, bardzo poruszyła przyjaciół. W kilka osób zgromadzili teksty, te, które miałam u siebie i te rozsiane po ludziach i postanowili je wydać. Na okładce, projektu Zbigniewa Jujki, jestem przedstawiona jako wiedźma, która zamiast na miotle, leci na długim piórze zakończonym stalówką. Ta okładka prowokuje do śmiechu.

– Kto wymyślił Pani pseudonim?

– Sama go wymyśliłam. Zastanawiałam się: By-walska, Plota... Nie, nie podobało mi się. Pomyślałam, że podpis Snobka da mi szersze pole manewru, bo taka Snobka jest po trosze – i mądra, i głupia. Na tyle byłam „oblatana” w sprawach sztuki, literatury, muzyki, że mogłam o nich pisać, nie bojąc się większych wpadek. Myślę, że mi się to udawało. Chciałam też, by moje teksty dobrze się czytało. Ci, którzy chodzili na te imprezy, mogli porównać, co Snobka napisała, zaś ci, którzy nie chodzili, czytając felietony byli „na bieżąco”. Kiedyś spytałam pewną panią prawnik, która chwaliła moje teksty, dlaczego je czyta? Na co odpowiedziała: „Mieszkamy z mężem na Jędrzychowie, nigdzie nie bywamy, ale dzięki pani wiemy co dzieje się »na salonach«”. Myślę, że miałam czytelników. Ilu? Nie wiem. Nie wiem też, co mówili i myśleli, czytając moje teksty. Przecież my dziennikarze piszemy trochę w pustkę. Gdybyśmy widzieli naszych czytelników, mieli ich przed oczami, to prawdopodobnie czulibyśmy się nieswojo i nic byśmy

nie napisali. A tak staramy się, żeby jak najlepiej wyszło, niby myśląc o nich, a jednak nie myśląc.

– Jakie były początki Pani pracy dziennikarskiej?

– Zatrudniłam się w 1954 roku, kiedy to jeszcze obowiązywały nakazy pracy. Mnie przydzielono do „Gazety Zielonogórskiej”, na czym mi zresztą zależało. Nie miałam szans na pracę w „nasyconym” inteligencją Krakowie czy Wrocławiu. Natomiast w mniejszych ośrodkach brakowało dziennikarzy z wyższym wykształceniem. Zielona Góra odpowiadała mi z uwagi na sąsiedztwo Żar, gdzie mieszkali moi rodzice i rodzeństwo. Wtedy przyszło nas do redakcji czworo. Nakaz pracy miał obowiązywać nas trzy lata. Z czwórki przyjętych wówczas młodych dwoje zostało do końca: śp. Michał Toś, zastępca redaktora naczelnego i ja. Całe życie, do końca...

– Do jakiego działu Pani trafiła?

– Terminowałam w różnych miejscach. Zaczęłam od działu korespondentów, gdzie opracowywało się listy korespondentów robotniczo-chłopskich, bo tacy wtedy pisywali do redakcji. Nie lubiłam tego zajęcia. Moja szuflada pękała w szwach od zaległości. Poza tym groziły wpadki. Dostałam raz korespondencję do opracowania o pewnym zastępcy zawiadowcy stacji, że pijany, że jakiegoś podróznego czy też korespondenta potraktował fatalnie. Ja to jeszcze wyostrzyłam i zatytułowałam *Chuligan w kolejarskim mundurze*. Następnego dnia po ukazaniu się artykułu wyczułam, że w pracy coś dziwnego wisi w powietrzu. Dopiero później dowiedziałam się, że nie było żadnego korespondenta, że ktoś podszył się i zemścił na człowieku, który był w rzeczywistości abstynentem. Ale to kierownik powinien był wiedzieć, że nie ma takiego korespondenta, ja nie musiałam...

– Obserwowała Pani zmiany związane z pracą dziennikarza, jego słynną wolnością słowa, z tym co mógł pisać, a czego nie mógł, w jaki sposób był kontrolowany...

– Och, wolność słowa to ja uzyskałam dopiero jako Snobka, czyli dziennikarka emerytowana. Mogłam już pożartować z biskupa, uszczypląc prezydenta miasta, hulaj duszo. Żartem mówiliśmy, że w PRL-u mogliśmy skrytykować najwyżej sołtysa czy instruktora partii w gminie, i to też niekoniecznie. Jako dziennikarze organu partyjnego, a taką była gazeta, musieliśmy podporządkować się, a jednocześnie „coś” wygrać, zwłaszcza bezpartyjni. Dodatkowo czuwała cenzura. Pamiętam, jak redagowałam

Kociótek harcerski. Od harcerzy przychodziły listy o strażnicach WOP-u. Cenzura to wykreślała, ponieważ „wróg czuwa, szpiegdy przechwycą gdzie jest WOP, gdzie są strażnice”, a to i tak powszechnie było wiadome... Prawie trzydzieści lat redagowałam *Kociótek*, ale nie jestem zapraszana na złoty, rocznice, jubileusze. Nie wiem dlaczego...

– Teraz jest takie modne określenie „dziennikarz śledczy”. Co Pani na to?

– Nie byłam dziennikarzem śledczym. Dziennikarstwo moje czy znakomitej koleżanki po piórze Danuty Piekarskiej, nie było wojujące, ostre. Jednak na swój sposób walczyliśmy. Przytoczę pewną anegdotę – Agata Drzyzga, artystka malarka, wstępując na stanowisko dyrektora BWA ufetowana została wielką autorską wystawą w muzeum. Na wernisażu zapytała mnie: „Czy widziałeś swój *ex libris*?”. Odpowiedziałam, że nie. Pokazała pracę, mówiąc: „Tu jest. Pokazałam cię jako kaczkę dziennikarską”. Trochę oburzona powiedziałam: „Agata, przecież to jest gęś. Długa szyja, to gęś w locie!”. Podobno w prowadzonym przez siebie dzienniku zapisła, że stojąca wtedy za mną malarka Halina Maśkiewicz, powiedziała: „Ależ Żeniu, gęsi kapitołińskie ocaliły Rzym przed wojskami Hannibala”. Nawiązując do gęsi kapitołińskich – Adam Michnik udzielając wywiadu powiedział kiedyś, że rolą dziennikarza jest gęganie, ostrzeganie. I myśmy gęgali. Jak każdy potrafił, na miarę swoich możliwości, jak kto czuł. Ja też gęgałam, zaczynając od działu korespondentów. Potem, nie należąc do partii, byłam w dziale partyjnym. Zajmowałam się młodzieżą, ale młodzież to z kolei ZMP [Związek Młodzieży Polskiej – przyp. red.], no i też miewałam różne perturbacje. Marzyłam wciąż o dziale kulturalnym, do którego niełatwo było się dostać. Byli w nim: Tadeusz Jasiński, Irena Solińska, Irena Kubicka. W końcu dostałam się do tego działu i tkwiłam w nim kilkadziesiąt lat.

Po jakimś czasie Henryk Ankiewicz dołączył do zespołu jako kierownik działu. Potem został samodzielny publicystą i zaproponował mnie na kierowniczkę działu. Bałam się tej funkcji, wiązała się z nią adiustacja, czyli poprawianie tekstów kolegów. Ale poradziłam sobie. Na emeryturze nawet mi tego brakowało. I nie tylko mnie. Danuta Piekarska mówiła, że brakuje jej kogoś, kto by jej „przekreślił” materiał. Oj, przekreślałam artykuły koleżeństwu, niektórymi miotalam prawie o ściany. Cała sztuka adiustacji polegała na tym, by w poprawkach nie było

ProLibi

widać mojej ręki. Mam wrażenie, że mi to dobrze wychodziło.

– Świat nie stoi w miejscu. Zmieniają się czasy, ludzie, warunki, w których żyjemy i pracujemy. Dziennikarz to specyficzny zawód, który musi zmieścić się w tych wszystkich etycznych normach, społecznych regułach, nie może swoim „gęganiem” robić krzywdy.

– Tak. I to jest właśnie problem. Na jednej z sesji Stowarzyszenia Dziennikarzy-Absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego (teoretycznie należę do niego) tematem była sprawa etyki zawodowej dziennikarza. Co wynikało z tej sesji? Bito na alarm, że etyka upada. Niedługo zawód ten był rodzajem posłannictwa, chociaż brzmi to teraz nieprawdopodobnie. Niósł ze sobą adrenalinę, ciekawość świata, ludzi, problemów. Chcieliśmy zbawiać świat, choćby chodziło tylko o świetlicę wiejską czy jakiś osiedlowy klubik. Właśnie to trzymało w zawodzie i mimo że nie zarabialiśmy dużo, nie odchodziliśmy z zawodu. Dawniej kierownicy mniej pisali, za to pracowali z młodymi, uczyli ich. Teraz kierownik nie ma na to czasu, chce wypisać jak największą wierszówkę, chce zarobić. Dlatego młodzi, puszczeni na głęboką wodę, piszą rozmaicie. Korekty prawie nie ma, bo właściciele gazety mówią: „No jak to, ludzie po studiach i trzeba ich poprawiać? Przecież umieją pisać”. Niestety, piszą na czas, a wiadomo, że zawsze na swój tekst jest się ślepym. U siebie przepuści się błąd, a u kogoś się wyłapie. Zawsze potrzebne było tzw. świeże oko. Teraz traktuje się dziennikarstwo jak zwykły zawód. Zarabia się mało, potrzeby są duże. Więc gdy trafi się okazja lepszych zarobków, to odchodzą.

– Kto był Pani autorytetem, jeśli chodzi o warsztat dziennikarski, styl, poziom pracy dziennikarskiej?

– Hmm, sporo osób. Irena Solińska, Irena Kubicka (obie już nie żyją) i naczelny Zdzisław Olas, który był moim życiowym partnerem, i Michał Toś – zastępca naczelnego i sekretarz redakcji Doczyński, też nie żyje. Wtedy dziennikarze umierali młodo...

Takim wzorem dla wszystkich była Alicja Zatrzybówna, utalentowana literacko intelektualistka, z – można rzec – męskim umysłem. Według mnie najbardziej utalentowanym dziennikarzem w Zielonej Górze był Ryszard Rowiński, którego od dawna też już nie ma. Może trochę raził wyglądem, zaniedbaniem, zapominalstwem. To był oryginał. Ale ten oryginał miał pióro! Był naszym lokalnym Kapuścińskim.

Urodzony reportażysta, który skończył zaledwie Zasadniczą Szkołę Zawodową. Namówiliśmy go na licealną szkołę średnią, by zdobył maturę, ale skończyło się na paru lekcjach.

– W czym wyrażał się ten autorytet, co szczególnie było w tych ludziach, wzbudzało podziw, zaufanie...

– Jestem spod znaku Barana. Byłam rogata, nie uznawałam autorytetów. Byłam równocześnie dość samokrytyczna. Wprawdzie nie od razu, ale... Na początku człowiek tak pisze, jak ptak śpiewa, czyli naiwnie i często głupawo. Wydaje się, że to taka fajna przygoda. Mówiliśmy o tym z zaprzyjaźnioną dziennikarką, Henryką Doboszwą, która u nas zaczynała, potem poszła do „Nadodrza”, gdzie była gwiazdą, nim skaperowała ją „Gazeta Wybrzeże”. Któregoś dnia pytam ją: „Henryka, jak widzisz nasz zawód?”. Ona: „To prawdziwa przygoda, coś wspólnego”. Pracowała wtedy w dwutygodniku, w którym nie ma tak obłądnego tempa jak w dzienniku. Po dziesięciu latach zapytałam ją o to samo, na co odpowiedziała: „To jest taki walec drogowy, który przejeżdża i miażdży człowieka, zwłaszcza kobietę”. Kobieta musi pogodzić ten zawód, wymagający właściwie wyłączonego, z obowiązkami domowymi. I ma do wyboru: albo makarony, albo pisanie. Jak wybierze jedno, to rwie się drugie i odwrotnie. To ciągła huśtawka i męczarnia. Ja zaniedbywałam dom, bardziej realizowałam się w pracy.

Urodziłam się na terenie obecnej Białorusi, w województwie nowogródzkim, pod Baranowiczami. Przyjechałam do Polski w ramach repatriacji jako trzynastoletnia dziewczynka, do Żar. Tam ukończyłam dobry ogólniak, potem poszłam na studia. Pisanie zajęłam się dlatego, bo nabrałam dystansu do świata, życia, do wszystkiego, gdy zmienił się ustrój (lewicowałam całe życie i jakkolwiek tamten porządek mi się nie podobał, to sama idea socjalizmu, gdyby był realny, odpowiadałaby mi). Z dystansu zaczęłam obserwować. Gdziekolwiek byłam. Nawet ludzie mówili, że bywają na tych samych imprezach, a ja widzę co innego niż oni. Może rzeczywiście wychwytywałam co innego, dlatego powstawały takie felietony. Ale dopiero na emeryturze je pisałam, od 1992 czy 1993 roku, minęło sporo lat, mnóstwo się tego zebrało. Nie wszystkie mam, nie wszystkie też będą w książce... Czy nie za dużo mówię, kto to będzie czytał?

– Pani Eugenio, zapewniam, że znajdą się tacy...

– No dobrze, powiem jeszcze, czym różniłam się od Danusi Piekarskiej. Ona była jak wzorowa uczennica z I a: zawsze przygotowana, utalentowana, do tego bardzo pilna, niemal pracoholiczka. Często przesiadywała w bibliotece. Była także odważna. Pojechała np. zrobić wywiad z Kapuścińskim. W przeciwieństwie do mnie zawsze wykorzystywała do pisania zebrane materiały. Mnie często nie starczało odwagi. Miałam wrażenie, że nie udźwignę tematu. Nie raz oddalałam pisanie tak długo, aż temat sam umierał. Tak było np. z Edwardem Dąbrowskim. To był renesansowy człowiek, dosłownie tryskał wiedzą. Sugestywnie opowiadał o odległych dziejach, badaniach archeologicznych. Byłam na jego benefisie w Klubie Dziennikarza, gdzie doszło do niefortunnej sytuacji. Ówczesny dyrektor muzeum, Jan Muszyński, tego popijał w trakcie uroczystości, wręcz zapominał, czyj to benefis. No i czcił, czcił Edwarda Dąbrowskiego, w końcu wypalił: „Edziu, nie gniewaj się, ale całą lubuską archeologię stworzył Adam Kołodziejski, a nie ty”. No i całą atmosferę diabli wzięli. Muszyński też erudyta, człowiek niezwykły, z poczuciem humoru, był wtedy na etapie tworzenia galerii autorskich rozmaitych autorów. Ze Złotego Grona, Kruczka i innych. Stworzył nawet galerię w toalecie. Nie wiem szczegółowo, kogo tam umieścił, ale doniesiono mi, że Snobkę z pewnością. Żałuję do dziś, że nie odwiedziłam tego przybytku.

Co do poczucia humoru... Jan Paweł II mówił, że poczucie humoru przychodzi razem z wiekiem. Chyba miał rację. I to jest jedyna fajna rzecz związana z wiekiem... Nie mówiąc o tym, że z wiekiem nabiera się dystansu.

– Czy z wiekiem nabiera się też dystansu do prawdy? Bo prawda, jak tu Pani opowiada, nie zawsze jest mile widziana, a dziennikarz musi mówić prawdę.

– Dziennikarz powinien, ale często omija prawdę. Nie wiem, czy znajdzie się ktoś taki z branży, kto nigdy nie omijał prawdy. Co do mnie... Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym, jak często omijałam. Chyba omijałam. Zajmowałam się np. różnymi festiwalami, w tym Festiwalem Piosenki Radzieckiej. Tam prawdę się omijało, jak najbardziej. W tzw. wstępniaku trzeba było wbrew sobie „lać wodę”. Ułożyć tych kilka zdań było najtrudniej. Przyznaję, że samą imprezę lubiłam. Wtedy niewiele działało się w Zielonej Górze. Festiwal dawał możliwość podziwiania Ałły Pugaczowej, Żanny Biczewskiej, Magomajewa...

Kolejna impreza – Lubuskie Lato Filmowe z czołówką filmowców polskich w Łagowie. Zajmowałam się tym blisko siedem lat. Jako kierowniczką byłam zawsze na pierwszej linii frontu. Pracowałam bez jedzenia i bez spania. Na którymś z festiwali red. Palto, który zastał mnie piszącą na maszynie wywiad, powiedział: „Tutaj powinna przyjeżdżać pani Simińska (była starsza ode mnie), a nie my, młodzi. Tu tyle się dzieje w zamkowej knajpie i w basztowej. Nie wiadomo gdzie iść i jak tu jeszcze pisać”.

Kiedyś napisano w „Gazecie Wyborczej”, że sowietyzowałam. Można to i tak określić. Napisałam, że ten co mi to zarzucił, też nie jest czysty jak żona Cezara. Zajmowałam się lubuską drogą do uniwersytetu. Propagowałam i popierałam z przekonaniem to, co moim zdaniem było warte poparcia. Lubuska droga do uniwersytetu zaczęła się od punktów konsultacyjnych, wniosłam nawet kilka pomysłów. Nadstawałam też karku, bo gdy ministerstwo stawiało jakieś warunki KW, a myśmy je naruszali, to winę zwalali na prasę. Z oburzeniem kiedyś stwierdziłam, że przecież sami to powiedzieli. Oni na to, że „...pani nic nie robią, a my mielibyśmy problemy”. „No dobrze. Będę chłopcem do bicia”.

Niegdyś sporo się działo, chociaż nie było klubów, pubów, lokali. Żyło się inaczej, ludzie nie byli uzależnieni od telewizji. Nie było zażartej rywalizacji, zawiści. Było ciepełko. Kiedyś zapytano mnie, jakie są stosunki w redakcji? Odpowiedziałam „Cóż, u nas są stosunki między dziennikarzem i komputerem. Myślę, że to dotyczy wszystkich redakcji. Gdybym miała zaczynać raz jeszcze w zawodzie, wolałabym zacząć tak jak w młodości, tylko w innych uwarunkowaniach politycznych i ideologicznych. Ale do partii nigdy nie należałam, udało mi się. Wielu nie należało, nie zmuszano nas. Zawód? Sama pani widzi w pisemkach kolorowych te „sensacyjne” wiadomości, często niesprawdzone bzdury.

– A wie Pani, że wielu młodych ludzi chce zostać dziennikarzami?

– Tak, bo imponuje im to. Jadą w teren, są tytułowani „pani redaktor”, „panie redaktorze”. Nas nazywano korespondentami, a mimo to prestiż dziennikarza był większy niż teraz. Dziś np. biznesmeni potrafia pogonić dziennikarza jak psa...

– Może to wynika z formy, jaką posługują się dziennikarze, co chcą uzyskać, idąc do biznesmena?

– Nie wiem. Być może nie ma kto ich bronić, wtedy może partia by broniła, prawda? W czasie

wyborów, gdy kandydował Gomułka, komitet rozparcelował nas w terenie. Mnie przypadł Sulechów, w którym był I sekretarz partii, zaciekle wróg gazety. W czasie wspólnej podróży zapytał mnie: „Towarzystwo, wy oczywiście należycie do partii?”, odpowiedziałam przecząco (a mieszkłam w służbowym pokoju w komitecie powiatowym), wtedy on na to: „Czyli możemy was nie zapraszać na posiedzenia egzekutywy”. Odpowiadam: „Możecie, ale ja wtedy zgłoszę w KW, że mnie nie wpuszczacie, bo mnie wysłał tu komitet wojewódzki”. No i zamilkł.

– Niezależnie od plusów i minusów pracy dziennikarza, jest w tym zawodzie coś takiego, co daje duże pole do tworzenia nowej wartości, jeśli komuś na tym właśnie zależy.

– Myślę, że w tym zawodzie ważna jest ciekawość świata. Dziennikarz ma możliwość poznania wielu ludzi, dowiaduje się ciekawych rzeczy, na dodatek może uzyskaną wiedzę sprzedawać, podzielić się nią z innymi.

– I cały w tym szkopał, żeby sprzedać tę wiedzę zgodnie z zasadami etyki, nie robiąc nikomu krzywdy.

– Tak, wydaje mi się, że moje pokolenie, może z pewnymi wyjątkami, było etyczne, na ile to było możliwe w tamtych czasach. A teraz... odbywają się sesje na temat upadku etyki dziennikarskiej.

– Dziennikarze ponoszą ogromną odpowiedzialność za to, co mówią, pokazują, piszą, bo przecież – jak wykazują badania – czytelnicy,

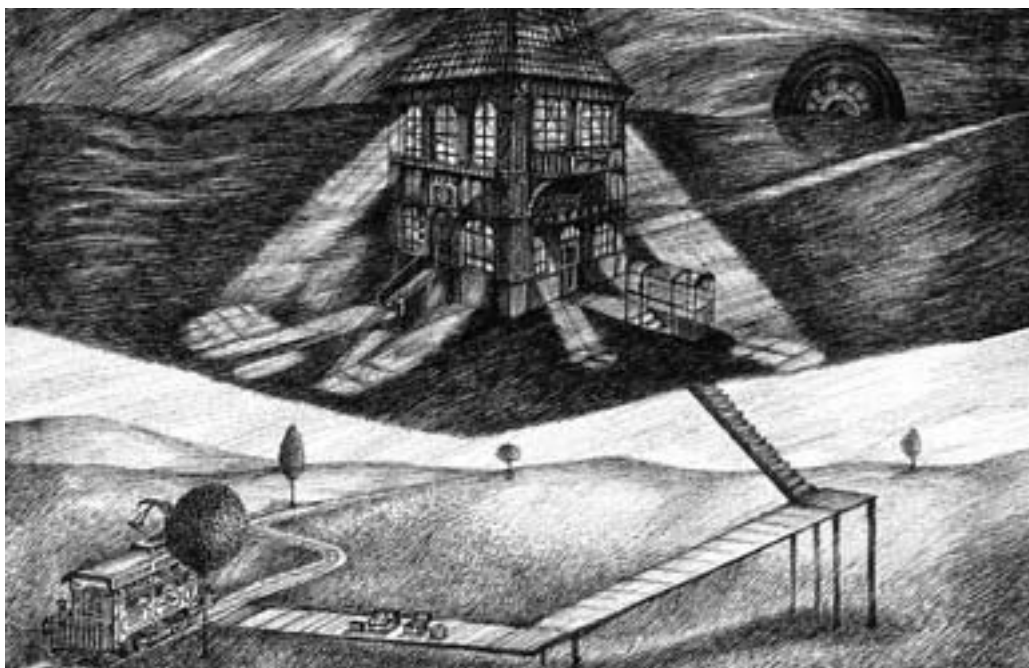
widzowie, słuchacze mają duże zaufanie do mediów. Niestety, często bezkrytycznie i bezrefleksyjnie przyjmują to, co im dają owi dziennikarze, redaktorzy czy reporterzy.

– To prawda. Ale ten zawód ciągle nieźle plasuje się w rankingach. Jest sporo ludzi, którzy czytają tylko kolorowe pisemka, tylko im wierzą. Jest duże zamieszanie, a jak się nie pogubić, to już zależy od inteligencji czytającego, jego edukacji i erudycji. To z kolei wiąże się ze szkołami i uczelniami; w bibliotekach spada czytelnictwo, w księgarniach coraz mniej książek, wynika to ze zubożenia kraju. Myślę, że to bardzo skomplikowany proces, to temat rzeka.

– Na promocję Pani książki przyszło mnóstwo ludzi. Sala dębowa w Norwidzie pękała w szwach. Taki widok to pewnie radość dla autorki?

– Bardzo denerwowałam się przed spotkaniem. Mieszkańcy Domu Kombatanta mocno mnie wspierali, dostałam nawet na drogę „kopniaka” na szczęście. Rzeczywiście był to niezwykle wieczór. Całość pięknie prowadził red. Eugeniusz Kurzawa, a występ kabaretu pod egidą Jadwigi Boho-Kokot wywołał ogólną radość. Onieśmiało mnie ciągłe mówienie o mnie, byłam zdezorientowana, nie wszystkich poznałam, za co bardzo przepraszam. Książki wszystkim chętnie podpiszę, zapraszam w tym celu do „Kombatanta”. Efekt tego spotkania ma podwójną wartość – jest książka, a ja znowu zaczęłam pisać „Snobki”...

– Dziękuję za rozmowę.



Lubuskie Wawrzyny 2008

W lutym w sali dębowej zielonogórskiej księżnicy wręczono Lubuskie Wawrzyny. Honory gospodyni czyniła Maria Wasik, dyrektor WiMBP. Na uroczystości nie zabrakło przedstawicieli lokalnych władz i bywalców, dla których coroczne rozdanie nagród za najlepszą książkę literacką i naukową stało się pewnie jednym z punktów kulturalnego kalendarza. Po raz piętnasty przyznano Wawrzyn Literacki, zaś Naukowy po raz czwarty. Przez kolejne lata formuła konkursu ulegała zmianie, podobnie jak nagroda – i nie chodzi tu tylko o uhonorowanie finansowe, ale i sam „wawrzyn”, który ewoluował od symbolicznego broszkopodobnego złotego listka, ku formie bardziej okazałej, jaką jest kryształowa statuetka ze splecionymi srebrnymi liśćmi. To nie koniec zmian, w tym roku bowiem skład obu kapituł Lubuskich Wawrzynów uległ zmianie.

Jury „literackiemu” przewodniczył Leszek Żuliński. W jego skład weszli: prof. dr hab. Piotr Michałowski i Andrzej K. Waśkiewicz. Brano pod uwagę ponad 20 pozycji. Wyłoniono dwoje laureatów. Jednym z nich była bywalczyni kilku poprzednich edycji tego konkursu, tropicielka kularowych nastrojów i niuansów, ale o niej za chwilę.

Przedstawiając wyniki konkursu, przewodniczący podkreślał, że nie sposób tych publikacji porównać i zdecydować, która lepsza, sprawniejsza stylistycznie. Obie prezentują odrębne wrażliwości oraz niedające się zestawić wartości. Jako pierwszy

nagrodę odebrał Karol Graczyk za tomik poetycki *Osiemdziesiąt cztery*, który ukazał się w gorzowskim Wydawnictwie Artystyczno-Graficznym „Arsenał”. Sylwetkę młodego literata, redaktora portalu internetowego PKPzin, nagradzanego już w literackich konkursach przedstawiła Lidia Kurzawowa, a wiersze z najnowszej książki zaprezentował Janusz Młyński. Kilka pytań autorowi zadał Czesław Markiewicz.

Ex aequo laureatką nagrody została Eugenia Pawłowska, znana pod pseudonimem Snobka, za zbiór felietonów publikowanych w „Gazecie Lubuskiej” zebranych i opracowanych przez Eugeniusza Kurzawę, wydanych pt. *I ja tam byłam...* nakładem Wydawnictwa Kropka. Snobka więc tym razem pojawiła się nie tylko jako bywalczyni, po której można się spodziewać żartobliwego felietonu, ale przede wszystkim autorka tekstów cenionych i ważnych, bo w niebanalnym stylu utrwalających lokalny koloryt. Fragmenty felietonów Eugenii Pawłowskiej przeczytała Lidia Kurzawowa, po czym z laureatką rozmawiał redaktor nagrodzonego zbioru.

Prócz tego dyplomem honorowym wyróżniono krakowskie Wydawnictwo LIST za atrakcyjną edytorsko książkę Jerzego Hajdugi *Rozerwanie nieba*. Jury postanowiło nie przyznawać nominacji. Publikacje Graczyka i Snobki zdystansowały pozostałe, wydane w ubiegłym roku w Lubuskim książce literackie.





A gdy przyszło mówić o książkach naukowych, głos zabrał Edward Mincer. Reprezentował on kapitułę Lubuskiego Wawrzynu Naukowego, któremu przewodniczył prof. dr hab. Czesław Osękowski. W jury ponadto zasiedli: prof. dr hab. Dariusz Dolański, dr Tadeusz Dzwonkowski, dr Przemysław Bartkowiak i Juliusz Sikorski. Na konkurs wpłynęło 18 publikacji. Za najlepszą książkę naukową o tematyce regionalnej uznano opracowanie Radostawa Skryckiego *Dzieje kartografii w Nowej Marchii do końca XVIII wieku*. Ta rozprawa doktorska ukazała się drukiem w warszawskim wydawnictwie DiG. Nowatorska publikacja zawiera liczne reprodukcje map, a przy tym w rzetelny metodologicznie sposób

porusza temat do tej pory rzadko podejmowany w polskiej historiografii.

Jury wyróżniło nominacjami do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego dwie, istotne dla popularyzowania wiedzy o regionie książki: Zbigniewa Czarnucha *Ujarmianie rzeki. Człowiek i woda w rejonie ujścia Warty* i Leona Okowińskiego *Sulechów 1945–2005. Przemiany gospodarczo-społeczne*.

Po wręczeniu Lubuskich Wawrzynów na scenie zagościł Kwartet Filharmonii Zielonogórskiej. W koncercie znalazły się utwory m.in. Bacha i Mozarta. Muzyczny akcent był znakomitą dopełnieniem uroczystości.



Henri Landru wychodzi na łowy

Henri Landru wstaje z łóżka, pali tytoń i wychodzi przed dom. Jest zimny grudzień, od mrozu wszystko zmienia się w szkło. Z portfela spoglądają zdobyci nocą przywódcy Trzeciej Republiki.

Henri Landru wraca do domu, zamyka drzwi, rozpala w piecu. Siada na fotel i czyta gazetę. Każda garść popiołu jest mu bliższa od poprzednich kobiet. Typowy artysta krwi.

Wczoraj: Henri Landru wyszedł na łowy. Pani Collomb była nieostrożna jak kilka przed nią i jeszcze kilka po niej. Do wieczora było ciepło, później sytuację rozpalili Landru.

Dziś: Henri Landru czyta gazetę i pali tytoń. Resztki Pani Collomb uchodzą przez piec.

Gorzów Wlkp., 7.02.2009

Życie po porodzie nie istnieje

Patrząc z odpowiedniej perspektywy jesteśmy
bezdumni od zawsze. Jelita bloków plują
nami na świeże i mokre powietrze, jakby
codziennie trzeba było iść krawędzią kranu,

kropla w kroplę, zawsze z jakąś misją. Bezdumni
też mają kupę spraw na głowie: chroniczny brak
wódki, dzieci pozostające przy matkach i
wiara, której nie uratują nawet gruzy

kościółów. Życie po porodzie nie istnieje.
Może jej piękna twarz wyłaniająca się przy
kumplu rzygającym wczorajszym samogonem.
Są miejsca, z których nie sposób się stoczyć. Zaraz

wracam, albo nie ruszę się nigdzie. Póki co
jesteśmy tu, a tam pójdziesz w dół, tam pójdziesz w dół.

Gorzów Wlkp., 3.02.2009

*** (Maleństwo)

Maleństwo, podejdź do mnie, musisz być kobietą,
skoro rodzisz się obok, a ja nią nie jestem
pomóż mi ustalić moją *tożsamość własną*
względem lampy, suwaka albo psa sąsiadów.

Jesteś tu długo dłużej, niż od czasu, kiedy
rodziła cię moja matka. Na jej pogrzebie
byliśmy jeszcze w wózkach, w piątek po południu,
w białych spodenkach, czapeczkach. Dokąd idziemy?

Zbierać kawałki z kobiet i hektarów ziemi.
Pobudka. Na śniadanie chleb, kubek, łyżeczka
cukru, dwie, soli. Przy drzwiach do kuchni dwa lustra
lambrekin. Jesteśmy krew z krwi, kość z kości, kiedy

stawiam stopę – idziesz, otwieram oczy – patrzysz.
Na razie stój spokojnie albo pisz od nowa.

Gorzów Wlkp., 27.12.2008

*** (Założmy na chwilę)

*Obudzeni mają jeden wspólny świat –
we śnie każdy wraca do własnego*

Heraklit

Założmy na chwilę, że nie mamy na sobie
garniturów, nie pierdolimy się po kątach,
nie udajemy dzieci płynących na piaskach
pustyni pod szeroko uchylonym światłem.

Okolicznych wiosek jeszcze nikt nie ostrzelał,
ze względu na białe, unoszone spódniczki
byłoby szkoda plamić je krwią, kiedy takie
młode. Teraz wdech – nie czujesz – wydech – czy to sen,

czy grudki spod spódnic pukają ci już w okno.
Spojrzysz przez szybę, zapalisz fajkę, tutaj wciąż
nic się nie dzieje i nic złego nie może nas
dotykać. Jesteśmy coraz bardziej rozlegli,

rozrastają się półki, śmietniki i białe
sukienki. Poza tym niewiele, wchłaniania nas piach.

Gorzów Wlkp., 1.12.2008

Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII

Anna Janczys

Rudolf Haym – zielonogórski krytyk filozofii G. W. F. Hegla

Rudolf Haym – dziewiętnastowieczny filozof, publicysta, historyk i profesor literatury niemieckiej w Uniwersytecie w Halle, rektor tej uczelni w roku akademickim 1873/1874, autor do dziś aktualnych prac naukowych poświęconych wybitnym twórcom kultury niemieckiej. W Polsce znany jest przede wszystkim wąskiemu gronu badaczy spuścizny

intelektualnej Georga W. F. Hegla jako jeden z oskarżycieli mistrza berlińskiego, krytykujących system idealistyczny ze stanowiska liberalnego. Niewiele jednak osób wie, że ten sławny naukowiec, urodzony 5 października 1821 r., pochodził z Zielonej Góry i był synem konrektora tutejszej szkoły miejskiej powstałej w drugiej połowie XVIII wieku, której budynek mieści

się dziś przy ul. Lisowskiego. Postać Hayma wpisuje się w poczet „znanych zielonogórzan”, a z jego twórczością warto się zapoznać nie tylko ze względu na jego pochodzenie, ale także ze względu na wartość jego dorobku. Dorobek ten doceniły władze państwowe II Rzeszy, które odznaczyły Hayma Orderem Czerwonego Orła drugiej klasy, Królewskim Orderem Korony drugiej klasy oraz złotym Pruskim Medalem Nauki.

Większość życia Haym spędził w Halle, gdzie rozpoczął studia w 1839 r. z zamiarem ukończenia teologii, w 1851 r. rozpoczął nauczanie jako docent prywatny, następnie od 1860 jako profesor nadzwyczajny historii literatury niemieckiej i w końcu od 1868 roku jako profesor zwyczajny. Ówczesny Friedrichs-Universität, a dziś Martin-Luther Universität Halle-Wittenberg należy do młodszych uczelni, gdyż powstał w 1817 r. z fuzji uczelni z Wittenbergi, słynnej z wykładów Marcina Lutra, oraz uniwersytetu z Halle, założonego w 1694 r., gdzie wykładał prekursor oświecenia, Christian Wolff. W okresie studiów Hayma uniwersytet oddychał atmosferą sporów prowadzonych przez spadkobierców myśli heglowskiej. Naprzeciw konserwatywnie nastawionych władz uczelni stanęło w gronie kadry i studentów kilku przedstawicieli tzw. lewicy heglowskiej (zwanych również młodoheglistami), wśród których prym wiódł nauczyciel Hayma, Arnold Ruge. Doświadczenia tych lat związane z filozoficznymi dysputami na temat wartości heglizmu, prowadzonymi jednak w atmosferze krępującej swobody intelektualnej cenzury, w znaczny sposób ukształtowały profil intelektualny przyszłego filozofa i historyka literatury.

Zanim jednak Haym związał się na stałe z Halle, przez kilka lat mieszkał u zamożnych krewnych matki, Gaertnerów, w stolicy Królestwa Prus. Uczęszczał do berlińskiego gimnazjum, do którego wrócił na krótko w roli nauczyciela języka niemieckiego i literatury, niedługo po ukończeniu studiów. Natomiast Zielona Góra pozostała jego miastem rodzinnym, do którego wracał ze względu na bliskich. Relacje z wizyt napisane plastycznym językiem, z nutką melancholii, zawarte w jego wspomnieniach dowodzą przywiązania Hayma do okolic winnego grodu, między innymi do widoków otaczających jego dom i zarazem szkołę.

Haym zmarł w 1901 r. podczas urlopu w austriackim ośrodku narciarskim Sankt Anton w Arlberg.



Rudolf Haym (źródło: R. Haym, *Aus meinem Leben. Erinnerungen*, Berlin 1902).

Jego pamięć uczczono uroczystością zorganizowaną w jednej z uniwersyteckich auli uniwersytetu. Razem z żoną, Minną Haym z domu Dzondi, pochowany został na halskim cmentarzu Sankt Laurentius, wzdłuż alejki przeznaczonej dla zmarłych zasłużonych w świecie nauki.

Młodość w Zielonej Górze

Haym spędził w Zielonej Górze dwanaście lat swego dzieciństwa, edukując się w szkole miejskiej i pod okiem rodziców. Największy wpływ na wychowanie przyszłego filozofa miał jego ojciec, Johann Gottlieb Haym, niegdyś student teologii w Lipsku, następnie pastor i jednocześnie nauczyciel zielonogórskiej młodzieży. W spisany po latach pamiętniku *Aus meinem Leben* (Berlin 1902) Haym z wielkim szacunkiem i wdzięcznością wspominał rozmowy prowadzone z ojcem podczas spacerów po Zielonej Górze i jej okolicach. Każda z tych rozmów była zarazem lekcją racjonalistycznego sposobu patrzenia na rzeczywistość. Johann Haym nie był dogmatykiem religijnym, choć człowiekiem głęboko wierzącym. Matka, Henriette Haym z domu Gaertner, uczyła młodego Rudolfa języka francuskiego i gry na pianinie, ponadto młodziemiec uczestniczył w lekcjach

tańca, które absolutnie nie przypadły mu do gustu. Szkołę i system nauczania ocenił po latach raczej negatywnie. Program obowiązujący w szkole służył – jego zdaniem – raczej przygotowaniu synów mieszczaństwa zielonogórskich do zawodów sukiennika i winiarza niż wykształceniu humanistycznemu. Taka droga życiowa nie odpowiadała Haymowi, nie interesowała go kariera w rozwijającym się wówczas na większą skalę winiarstwie. Już w latach młodzieńczych nie lubił matematyki i innych nauk ścisłych, natomiast przyjemność sprawiała mu nauka języka łacińskiego, religii, historii, geografii i naturalnie tłumaczenie dzieł starożytnych. Po ukończeniu szkoły udał się na dalszą naukę do Berlina, początkowo zdany jedynie na pomoc krewnych.

Zmiana szkoły i miejsca zamieszkania pociągnęła za sobą poszerzenie horyzontów i rozwój nowych zainteresowań. Jedną z jego pasji stała się wówczas poezja Goethego oraz twórczość Herdera. Na miejsce studiów wybrał Halle, dokąd udał się mając lat osiemnaście. Zgodnie z wolą ojca zamierzał zostać teologiem, zmodyfikował jednak te plany w trakcie swej edukacji i wybrał filozofię. W późniejszej pracy naukowej łączył jednak problematykę teologiczną i filozoficzną, podobnie zresztą jak wielu współczesnych mu myślicieli.

Zielona Góra we wspomnieniach Hayma

Obroniwszy pracę doktorską w 1843 r. na Uniwersytecie w Halle przyjechał do Zielonej Góry, aby pochwalić się nowym tytułem. Po latach rodzinne miasto wydało się mu miasteczkiem prowincjonalnym, daleko odbiegającym od ośrodków uniwersyteckich. Nie było w tym oczywiście nic dziwnego. Istotne jest to, że Haym nie widział już możliwości powrotu do Zielonej Góry na stałe. Chciał uczestniczyć na bieżąco w dyskusjach filozoficznych, literackich oraz pracować naukowo. Z dumą podkreślał, że w Zielonej Górze był pierwszym doktorem filozofii. Wspominał o Wilhelmie Levysohnie, późniejszym założycielu i wydawcy „Grünberger Wochenblatt”, który również uzyskał stopień doktorski, ale w zakresie prawa. Satysfakcję Haymowi sprawiło wrażenie, jakie wywarł na zielonogórczanach. Na jego cześć zorganizowane zostało spotkanie, podczas którego padły te oto słowa: „Mamy dziś, moi panowie, doktora filozofii wśród nas, który zamierza poświęcić się karierze akademickiej i być może w ciągu roku wstąpi

na katedrę w Halle. Jako rodacy mamy pewne prawo być jego pierwszymi uczniami. Rozmowa z nim uświadomiła nam, w jakim wrzeniu znajduje się obecnie filozofia. Chcielibyśmy dowiedzieć się wszystkiego na ten temat i wyrobić sobie własną opinię”. Prowadzący spotkanie zwrócił się następnie do Hayma: „Będziemy panu, panie doktorze, zobowiązani, jeśli pan opowie nam o obecnym stanie filozofii i jej osiągnięciach dostosowując jednocześnie swój wykład do naszych laickich głów. Pan stoi w centrum problemów filozoficznych a my obiecujemy być pańskimi uważnymi słuchaczami”. Szacunek, jaki Haym zdobył wśród mieszkańców rodzinnego miasta, nie skłonił go jednak do pozostania w Zielonej Górze. Kusiła natomiast perspektywa napisania pracy habilitacyjnej, którą to filozof obronił w 1850 r.

Twórczość Rudolfa Hayma

Haym poświęcił się badaniu „rozwoju niemieckiego ducha w realistycznym sensie”. Wypełniał to zadanie, pisząc prace o wybitnych myślicielach epoki nowożytnej. Miały one charakter biograficzny, ponadto w przypadku pracy o Heglu Haym nie stronił od analizy psychologicznej. Do najważniejszych i – co warto podkreślić – współcześnie wysoko ocenianych jego prac należy między innymi dwutomowe dzieło poświęcone filozofii Herdera. Do dziś stanowi ono cenne źródło wiedzy o tym osiemnastowiecznym myślicielu. Ponadto, cenną pozycją pozostaje również praca o jednym z założycieli Uniwersytetu Berlińskiego, Wilhelmie von Humboldcie. Pisał także o kontrowersyjnym w pierwszej połowie XIX wieku Ludwiku Feuerbachu. Haym był także autorem jednej z pierwszych prac monograficznych poświęconych wyodrębnionej jako zjawisko kulturowe szkole romantycznej. Ponieważ Haym przez pewien okres miał styczność z polityką, w jego dorobku znajdują się również prace traktujące o bieżących sprawach państwa. Pod koniec lat pięćdziesiątych Haym zaangażował się jako redaktor w wydawanie miesięcznika o profilu literacko-politycznym „Preussische Jahrbücher”, organie prasowym partii narodowo-liberalnej. Na jego łamach, początkowo anonimowo, publikował teksty krytykujące politykę państwa pruskiego.

Haym znany jest w Polsce głównie jako autor czarnej legendy Hegla – filozofa pruskiej reakcji. Choć w literaturze zachodnioeuropejskiej pogląd o Heglu

jako apologecie państwa pruskiego i powiedeńskiego porządku został już zarzucony, taka ocena systemu autora *Fenomenologii ducha* funkcjonuje nadal w kraju. Efektem zainteresowania spuścizną Hegla była historyczno-filozoficzna monografia zatytułowana *Hegel und seine Zeit* (Berlin 1857), przez niektórych badaczy nazywana pamfletem politycznym wymierzonym przeciwko dorobkowi Hegla. Na miano pamfletu politycznego praca ta zasłużyła przede wszystkim dzięki przeprowadzonej przez Hayma krytyce heglowskiej filozofii prawa.

Haym jako krytyk filozofii Hegla

Swoj stosunek wobec systemu idealistycznego Hegla Haym przedstawił właściwie tylko w pracy *Hegel und seine Zeit*. Napisał ją na podstawie własnych notatek i materiałów, które przygotowywał prowadząc wykłady w Halle oraz manuskryptów udostępnionych mu przez potomków Hegla. Dzieło opublikował w czasie, kiedy spory między heglistami już prawie wygasły. Jego praca, napisana z liberalnego punktu widzenia, prezentowała wizerunek Hegla jako ideologa pruskiego konserwatyzmu. W poglądach Hayma widoczny jest młodoheglowski punkt widzenia. Młodohegliści chcieli łączyć filozofię z działaniem, chcieliby wykorzystać dorobek Hegla w walce o liberalizację życia w Królestwie Prus. Zarzut akceptacji przez Hegla skrępowania wolności jednostki dezawuował heglizm. W tym tonie bardzo ostro wypowiedział się Rudolf Haym. Niemniej profesor z Halle oceniał system idealistyczny wysoko – jako ostatni etap rozwoju myśli ludzkiej, to jego klęska była dla niego równoznaczna z klęską nauki w ogóle, a pytając o sens filozofii Hegla, pytał o sens filozofii w ogóle. Pytanie, jakie Haym postawił autorowi *Fenomenologii ducha*, było pytaniem o relację między systemem a teraźniejszością i przyszłością, między teorią a praktyką. Haym, co było charakterystyczne dla poglądów przedstawicieli lewicy heglowskiej, nie aprobeował panującego w pierwszej połowie XIX wieku porządku polityczno-społecznego w krajach niemieckich i właśnie filozofii wyznaczał rolę w kreowaniu nowych możliwości zmiany sytuacji. Uważał się za liberała, gdyż jego ideałem było państwo respektujące wolę jednostki, indywidualną inicjatywę oraz przestrzegające podstawowych wolności człowieka, w tym między innymi wolności prowadzenia badań naukowych.

Lektura *Hegel und seine Zeit* nasuwa wniosek, że Haym i Hegel różnili się w zasadniczej sprawie – interpretacji celów stawianych filozofii czy nauce w ogóle. Podczas gdy ten ostatni w Przedmowie do *Zasad filozofii prawa* z 1821 r. wyjaśniał: „W tym więc zakresie, w jakim rozprawa niniejsza ma zawierać w sobie naukę o państwie, nie ma ona być niczym innym, jak tylko próbą pojęciowego ujęcia i przedstawienia państwa jako czegoś w sobie rozumnego. Jako rozprawa filozoficzna musi ona być jak najdalsza od tego, by uważać za swe zadanie stworzenie konstrukcji państwa takiego, jakim ono być powinno. Nauka, jaka się w niej ewentualnie zawiera, nie może zmierzać ku temu, by pouczać państwo, jakim ono być powinno, lecz raczej ku temu, by pokazać, w jaki sposób państwo – etyczne uniwersum – ma być poznane”, to Haym interpretował filozofię prawa i cały system Hegla pod kątem tego, czy i jak służy on jednostce-obywatelowi państwa pruskiego. Haym próbował przekonać czytelnika, że to „dumne słowo »pojmować«, dumne z racji swej głębi logicznej, stanowi przykrywkę dla posłuszeństwa Hegla wobec współczesnego porządku społeczno-politycznego. Najwyższym celem filozofii Heglowskiej było »pojednanie z rzeczywistością« zapewnione przez poznanie”. Haym zarzucał Hegłowi absolutyzację pojęcia państwa jako czegoś „boskiego” oraz posiadającego „absolutny autorytet i majestat”. Dla Hayma takie rozumienie państwa było równoznaczne z pomniejszeniem roli jednostki, z przyznaniem, że człowiek jedynie państwu zawdzięcza swoją wartość i w nim osiąga pełnię wolności. Jednostka ta zostaje w Heglowskiej analizie państwa oszukana, a jej wolność zachowana jedynie formalnie. Właśnie w tym, co subiektywne i indywidualne tkwi – według Hayma – potężna siła, której Hegel nie dostrzegł, a tym, co subiektywne i indywidualne, pogardzał. Wydaje się, że przyczyną tak niezgodnej z poglądami Hegla interpretacji jego państwa było niezrozumienie, a może niechęć do zrozumienia istoty państwa jako etycznego uniwersum, etycznej wspólnoty, w której wprawdzie jednostka podporządkowuje się celom ogółu i działa na rzecz jego dobra, lecz nie traci przy tym możliwości realizacji własnych, partykularnych celów. Poglądy Hayma ukształtowały się na podstawie doświadczeń, gdyż jako student został ukarany ośmioma dniami karceru za zredagowanie petycji o zatrudnienie w uniwersytecie wzbudzającego kontrowersje autora *Życie Jezusa*, Davida

Straussa, za co po latach dodatkowo odpokutował nie otrzymując za pierwszym razem zgody na pisanie pracy habilitacyjnej. Zestaw wymagań stawiany Hegłowi dyskwalifikował jego filozofię w oczach Hayma. Oskarżał Hegla o kontemplatywizm (*nota bene* to samo oskarżenie padło ze strony części polskich filozofów doby romantyzmu), o stworzenia „filozofii pojednania”, o bierność i zgodę na pruski porządek. Taki oskarżycielski ton pojawia się między innymi w całym rozdziale poświęconym filozofii prawa i Prusom. Już samo połączenie analizy filozofii (jako teorii) oraz polityki Prus (sfera rzeczywistości) pokazuje perspektywę patrzenia Hayma, którą wyznaczało pytanie o możliwość przełożenia teorii na dziedzinę praktyki. Już na początku rozdziału o filozofii prawa stwierdził, że dążeniem Hegla było „zostanie filozoficznym dyktatorem Niemców”, a w najbardziej szczęśliwym okresie jego życia i twórczości, czyli okresie berlińskim, jego filozofia stała się „filozofią czasu i filozofią pruską”. Nauka, jaką dawał Hegel swoim czytelnikom i słuchaczom w Berlinie, miała wspierać ducha restauracji: „państwo pruskie, prowadzone za rączkę przez Austrię, weszło w okres restauracji. Filozofia, która się z nim identyfikowała, szła tą samą drogą. Hegłowski system stał się naukowym domem ducha pruskiej restauracji”. Taki oskarżycielski ton pojawia się bardzo często na kartach *Hegel und seine Zeit*.

Podsumowując swoją analizę filozofii prawa, Haym przytoczył słynne zdanie z *Przedmowy* Hegla o zadaniu filozofii, czyli pojęciowego ujęcia tego, co jest, oraz o filozofii jako sowie Minerwy, która przy-

chodzi zawsze za późno, aby pouczać, jaki świat powinien być. Według profesora z Halle te zdania dowodziły tego, że filozofia Hegla nie ma charakteru absolutnego. Wolność, jedna z najważniejszych kategorii heglowskich, w interpretacji Hayma była tylko pozorem poddanym estetyzacji i logicyzacji, pojęciem nieposiadającym w rzeczywistości (konkretnej) odzwierciedlenia.

Hegel und seine Zeit wywołało sporo kontrowersji. W pisemną polemikę z jego autorem wszedł znany przedstawiciel staroheglistów, Karl Rosenkranz. W broszurze *Apologie Hegel gegen Dr. R. Haym*, wydanej już w rok po ukazaniu się pracy Hayma, przeciwstawił się przekonaniu profesora z Halle o konserwatyzmie i antyliberalizmie Hegla.

Interpretacja filozofii Hegla zaproponowana przez profesora z Halle nie wywołuje dziś tak żywej reakcji jak w wieku XIX, niemniej jej znajomość pozwala zrozumieć istotę legendy o Heglu jako apologetce polityki władz pruskich, a także daje możliwość wejścia w gorącą atmosferę sporów wokół myśli Hegla.

Literatura:

R. Haym, *Aus meinem Leben. Erinnerungen*, Berlin 1902.

R. Haym, *Hegel und seine Zeit. Vorlesungen über Entstehung, Entwicklung, Wesen und Werth der Hegel'schen Philosophie*, Berlin 1857.

G. W. F. Hegel, *Zasady filozofii prawa*, przeł. A. Landman, Warszawa 1969.

H. Schnädelbach, *Hegel. Wprowadzenie*, tłum. A. J. Noras, Warszawa 2006.

RECENZJE I OMÓWIENIA

Berliński collage. O łamaniu stereotypów „polskości” na wystawie *My, berlińczycy! / Wir, Berliner!* *Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa – raz jeszcze*

My, berlińczycy! Wir Berliner! Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa, red. R. Traba, red. język.: E. Krzemińska, M. Satizabal Niemeyer, S. Stekel, K. Zastawny, © CBH PAN Verlag Koehler & Amelang 2009, 336 s.

W Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, jedynej w swoim rodzaju badawczej placówce PAN za granicą, zrealizowano pod kierownictwem profesora Roberta Traby imponujący projekt poświęcony roli Polaków w rozwoju Berlina od XVIII do XXI wieku. Na przedsięwzięcie to, realizowane od 2006 roku i omówione obszerniej w poprzednim (4/25/2008) numerze „Pro Libris”, złożyły się liczne wykłady i seminaria z udziałem wybitnych naukowców polskich i zagranicznych oraz publikacje, wśród nich tom dokumen-

tów pod redakcją Doroty Danielewicz-Kerski i Macieja Górnego, *Berlin. Polnische Perspektiven*. Zasadniczym celem podsumowującej projekt wystawy prezentowanej w centrum Berlina, w Ephraim Palais i w Märkisches Museum, a także towarzyszącego jej katalogu jest przełamywanie stereotypów postrzegania własnej historii i współokreślającej jej historii sąsiedniego państwa i narodu. Palimpsest do oficjalnej historiografii stanowią indywidualne losy i wspomnienia polskich rodów, rodzin, naukowców i artystów.



Część pierwszą publikacji zatytułowaną *Panorama* otwiera tekst Roberta Traby *W poszukiwaniu 'przenośnej ojczyzny'. Polacy w wielokulturowym Berlinie* stanowiący nawiązanie do wcześniejszych publikacji projektodawcy ekspozycji na jej temat w „Dialogu”, „Tygodniku Powszechnym” i w „Museen Journal”. Materiał ten, wraz ze scenariuszem wystawy autorstwa wieloosobowego zespołu badawczego, stał się źródłem informacji zamieszczonych w artykule na temat projektu *My, berlińczycy* zamieszczonego w poprzednim numerze „Pro Libris”. Z kolei *Spotkania między Polakami i Niemcami w Berlinie (1815-1945)* prezentuje Tomasz Szarota, a *Berlińską Polonię dzisiaj* Andrzej Stach.

Część druga, *Collage 'polskiego Berlina'*, podobnie jak wystawa, zawiera fragmenty na tematy historyczne i socjologiczne oraz artystyczne. O dziejach wzajemnych oddziaływań polsko-niemieckich w Berlinie w XIX wieku piszą Konrad Vanja (dyrektor Museum für Europäische Kulturen Berlin-Dahlem) i Gerhard Weiduschat. Roli Polaków w historii społeczności akademickiej Berlina przygląda się Jarosław Suchoples w eseju pod znamienym tytułem *Mój dziadek studiował w Berlinie...* Także on jest autorem szkicu o „Polskim Berlinie” w czasie II wojny światowej *Od 'wypędzenia' do niemieckiej 'godziny zero'*. Natalie Wasserman śledzi polskie ślady we wschodniej części Berlina w artykule *W cieniu muru*, a Leszek Szaruga w eseju *Mój Berlin* dzieli się z czytelnikiem wrażeniami pisarza emigracyjnego.

Prezentacja berlińskiego collage u z Polakami w tle zawiera również kilka esejów na temat polskich artystów. Tym działającym na królewskim i cesarskim dworze uwagę poświęca Ewelina Wanke, a zasługi hrabiego Atanazego Raczyńskiego – znanego mecenasa sztuki i twórcy kolekcji będącej podstawą zasobów Muzeum Narodowego w Poznaniu, omawia Wojciech Suchocki, obecny dyrektor tej instytucji. Anna Baumgartner komentuje fenomen Fałata i Kossaka – polskich malarzy w pruskim Berlinie pod koniec XIX wieku, a Lidia Głuchowska, która stworzyła również koncepcję aranżacji i narracji sceny poświęconej polskiej klasycznej awangardzie w Berlinie, kreśli jej losy w eseju *Awangarda: Berlin – Poznań*. Spojrzenie własne artystów polskich na Berlin analizuje z kolei Heinrich Olschowsky, jeden z najwybitniejszych niemieckich polonistów. O obecności polskiego teatru na deskach scenicznych Berlina pisze Natalie Wasserman.

Katalog zamyka tablica synchroniczna, prezentująca najważniejsze daty z historii Polaków w Berlinie oraz informacje na temat wystawy i biogramy jej twórców, niekiedy tożsamych z autorami katalogu. Oprócz nich wspomnieć należy konsultantów naukowych przedsięwzięcia, Tomasza Szarotę z Instytutu Historii PAN i Basila Kerskiego, redaktora naczelnego Magazynu Polsko-Niemieckiego „Dialog” czy Radę Naukową składającą się z przedstawicieli polskich i niemieckich instytucji naukowych i kulturalnych, wśród nich profesora Dominika Bartmanna z Fundacji Stadtmuseum Berlin oraz profesora Uniwersytetu Humboldtów i Uniwersytetu Poznańskiego, Adama Labudę. Towarzyszący wystawie projekt filmowy przygotował Kornel Miglus, a nad scenami dotyczącymi polskiej historii i społeczności Berlina pracowali także Ewa Maria Slaska, Esther Lühn, Marta Szafrńska, Robert Żurek i Joanna Schallert – koordynatorka całego przedsięwzięcia, którą wspierały Annette Bossmann, Ewa Gossart i Ewa Krzemińska. Danuta Słomczyńska i zespół firmy wystawienniczej PTASIA 30 przedłożyli koncepcję scenograficzną.

Monumentalną ekspozycję *My, berlińczycy! Wir Berliner! Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa* (20.03-14.06.2009), która posłużyć ma łamaniu stereotypów polskości w Niemczech, uzupełnia bogaty program towarzyszący w postaci m.in. serii wykładów i seminariów rozszerzających i pogłębiających zasygnalizowaną na wystawie problematykę. Ekspozycja cenna jest nie tylko jako głos w dyskursie

historiograficznym, lecz również jako unikalna szansa prezentacji dokumentów i dzieł sztuki wypożyczanych z krajowych i zagranicznych muzeów oraz kolekcji prywatnych. Do prawdziwych pereł ekspozycji należy obraz *Błogosławieństwo Baar Szem Towa* Jankiela Adlera. Po raz pierwszy pokazany zostanie tu m.in. obraz *Żyd czytający gazetę* Artura Nachtasamborskiego, fotogram roztrzaskanej podczas rewizji SA w berlińskim atelier Margarete i Stanisława Kubickich rzeźby Poli Lindenfeldówny *Matka i dziecko*, a ponadto ostatni, niedokończony obraz Kubickiego *Mojżesz przed krzewem gorejącym*, malowany od 1933 roku. Symbolicznie domyka on nie tylko dzieje polskiej awangardy artystycznej w Niemczech – także przez fakt, iż w 2005 roku trafił on z Berlina do Muzeum Narodowego w Poznaniu, jako pierwszy z nielicznych zachowanych obrazów powstałych w kręgu poznańskiej ekspresjonistycznej grupy Bunt, od 1918 roku w Poznaniu i w Berlinie przełamującej społeczne, artystyczne i narodowe stereotypy wystawami w duchu *épater le bourgeois*.

Lidia Głuchowska



Berliner Collage. Zur Überwindung der Stereotype des „Polentums“ auf der Ausstellung *My, berlińczycy! / Wir, Berliner! Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft* – noch ein Mal

My, berlińczycy! Wir Berliner! Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft, hrsg. v. R. Traba, Lektorat: E. Krzemińska, M. Satizabal Niemeyer, S. Stekel, K. Zastawny, © CBH PAN, Verlag Koehler & Amelang 2009, S. 336.

Im Zentrum für Historische Forschung der Polnischen Akademie der Wissenschaften in Berlin, einer einzigartigen polnischen Forschungsinstitution im Ausland, ist unter der Leitung von Professor Robert Traba ein imponierendes Projekt durchgeführt worden, das der Rolle von Polen in der Entwicklung Berlins vom 18. bis zum 21. Jahrhundert gewidmet ist. Das Projekt, an dem seit 2006 gearbeitet wird, umfasst zahlreiche Vorträ-

ge und Seminare, an denen anerkannte polnische wie deutsche Forscher teilnahmen, sowie Publikationen wie das von Dorota Danielewicz-Kerski und Maciej Górny herausgegebene Buch *Berlin. Polnische Perspektiven*. Das Gesamtprojekt wurde bereits eingehend im letzten Heft von *Pro Libris* besprochen.

Die abschließende Ausstellung, die im Zentrum Berlins, im Ephraim Palais und im Märkischen

Museum präsentiert wird, sowie der Begleitband zur Ausstellung zielen in erster Linie auf die Überwindung der stereotypen Betrachtung sowohl der eigenen Geschichte als auch der Geschichte des Nachbarn, von der die eigene im wesentlichen mitgeprägt und dadurch mit kontextualisiert wird. Einen Palimpsest zur offiziellen Historiographie bilden individuelle Schicksale und Erinnerungen der polnischen Adelsfamilien, Wissenschaftler und Künstler.

Den ersten Teil der Publikation unter dem Titel „Panorama“ leitet Robert Trabas Beitrag „Auf der Suche nach dem „portativen Vaterland“. Polen im multikulturellen Berlin“ ein. Der Projektinitiator knüpft damit an seine Publikationen zu dieser Ausstellung in *Dialog*, *Tygodnik Powszechny* und *Museen Journal* an. Die Ausstellung wurde nach dem Konzept eines größeren Recherche-Teams konzipiert, und die Materialien dienten zusammen mit den Unterlagen über den Aufbau der Ausstellung als Informationsquelle für den Artikel über das Projekt „Wir, Berliner“ im letzten Heft von *Pro Libris* (4/25/2008). Im Anschluss an Robert Trabas Text im Katalog präsentieren Tomasz Szarota den Beitrag „Begegnungen zwischen Polen und Deutschen in Berlin (1815-1945)“ und Andrzej Stach einen Bericht über die „Berliner Polonia heute“.

Der zweite Teil – „Collage des „polnischen Berlin“ geht – ähnlich wie die Ausstellung – auf die geschichtlichen, soziologischen wie künstlerischen Momente ein. Über die Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen und der gegenseitigen Wechselwirkung im Berlin des 19. Jahrhunderts schreiben Konrad Vanja (Museum für Europäische Kulturen Berlin-Dahlem) und Gerhard Weiduschat. Die Rolle der Polen in der Geschichte des Berliner akademischen Milieus analysiert wiederum Jarosław Suchoples in seinem Essay unter dem bezeichnenden Titel „Mein Großvater hat in Berlin studiert ...“. Er ist auch Verfasser der Skizze über „Das polnische Berlin“ während des Zweiten Weltkrieges – „Von der 'Vertreibung' bis zur deutschen 'Stunde Null'“. Den polnischen Spuren im Ostteil Berlins geht Natalie Wasserman in ihrem Beitrag „Im Schatten der Mauer“ nach, und Leszek Szaruga lässt den Leser in seinem Essay „Mein Berlin“ an den Erfahrungen eines ehemaligen Emigrationsschriftstellers teilnehmen.

Die Präsentation der Berliner Collage mit den Polen im Hintergrund enthält auch einige Essays, die den polnischen Künstlern gewidmet sind: Denjenigen, die auf dem königlichen und kaiserlichem Hof

wirkten, widmet sich in ihrem Beitrag Ewelina Wanke; die Verdienste von Graf Atanazy Raczyński – dem bekannten Kunstförderer und Begründer einer Gemäldesammlung, die heute den Grundbestand des Nationalmuseums Poznań bildet, sind Thema des Beitrags von Wojciech Suchocki, dem gegenwärtigen Direktor dieser Institution; Anna Baumgartner wiederum leistet mit ihrem Beitrag einen Kommentar zum künstlerischen Phänomen von Fałat und Kossak, den polnischen Malern im preußischen Berlin Ende des 19. Jahrhunderts; Lidia Głuchowska dagegen, nachdem sie das Arrangement-Konzept samt inhaltlichen Kommentaren zur polnischen Avantgarde entworfen hat, schildert die Schicksale dieser künstlerischen Bewegung in ihrem Essay „Avantgarde: Berlin – Poznań“; die Selbstzeugnisse der polnischen Künstler und ihren Blick auf Berlin analysiert wiederum Heinrich Olschowsky, einer der angesehensten deutschen Polonisten, und über die Präsenz des polnischen Theaters in der Berliner Theaterlandschaft schreibt Natalie Wasserman.

Den Katalog schließt eine synchronische Tabelle mit den wichtigsten Daten aus der Geschichte der polnischen Präsenz in Berlin ab. Er enthält darüber hinaus Informationen über die Ausstellung sowie Kurzbiographien der Autoren von Beiträgen – diese überschneiden sich zum Teil mit den Autoren des Katalogs. Außer ihnen gilt es noch die wissenschaftlichen Berater des Gesamtvorhabens zu nennen – Tomasz Szarota (der das Institut für Geschichte PAN repräsentiert) und Basil Kerski (Chefredakteur des *Deutsch-Polnischen Magazins DIALOG*) sowie den Wissenschaftlichen Beirat, der aus Vertretern der wichtigsten deutschen und polnischen wissenschaftlichen und kulturellen Einrichtungen besteht. Dazu zählt u.a. Prof. Adam Labuda von der Humboldt Universität und der Universität Poznań. Das Filmprojekt zur Ausstellung wurde von Kornel Miglus vorbereitet, und an den Szenen zur polnischen Geschichte und Gesellschaft haben auch Ewa Maria Slaska, Esther Lühn, Marta Szafrńska, Robert Żurek und Joanna Schallert mitgewirkt – die Letztere als Koordinatorin des Gesamtvorhabens, maßgeblich unterstützt von Annette Bossmann, Ewa Gossart und Ewa Krzemińska. Danuta Słomczyńska und das Team der Ausstellungsfirma PTASIA 30 legten die gestalterische Konzeption vor.

Zu der monumentalen Schau *My, berlińczycy! Wir Berliner! Geschichte einer deutsch-polnischen Nach-*

barschaft (20.03-14.06.2009), die der Überwindung von Stereotypen in Bezug auf Polen und Deutschland dienen soll, wurde ein reiches Begleitprogramm konzipiert, das u.a. aus Vorträgen und Seminaren besteht, die die Thematik der Ausstellung erweitern und vertiefen. Die Ausstellung ist nicht nur als Stimme im geschichtlichen Diskurs wichtig, sondern auch als eine einmalige Chance zur Präsentation von Dokumenten und Kunstwerken aus den Museen und Privatsammlungen im In- und Ausland. Zu wahren Kostbarkeiten auf der Ausstellung gehört das Gemälde *Die Segnung des Baar Schem Tow* von Jankel Adler. Zum ersten Mal wird hier das Bild *Ein Jude beim Lesen einer Zeitung* von Artur Nacht-Samborski gezeigt, des weiteren ein großformatiges Foto der während einer Hausdurchsuchung im Atelier von Margarete und Stanislaw Kubicki 1933 zerschla-

genen Plastik von Pola Lindenberg *Mutter und Kind* sowie das letzte, unvollendete Werk Kubickis, *Moses vor dem brennendem Dornbusch*, das seit 1933 gemalt wurde. Dieses Werk schließt auf eine symbolische Weise die Geschichte der polnischen Avantgarde in Deutschland ab – nicht zuletzt weil es im Jahre 2005 als erstes der wenigen erhaltenen Bilder, die im Umkreis der Posener Expressionistengruppe *Bunt* entstanden sind, von Berlin in das Posener Nationalmuseum gelangte. Die Gruppe *Bunt* allerdings sorgte schon seit 1918 mit ihren Ausstellungen in Posen wie in Berlin dafür, im Sinne von *épater le bourgeois* mit sozialen, künstlerischen und nationalen Stereotypen zu brechen.

Lidia Głuchowska
Übersetzt vom Autor

Bywalec w spódnicy

Eugenia Pawłowska (Snobka) *I ja tam byłam...*, wybór i oprac. red. E. Kurzawa, Wydawnictwo Kropka, Zielona Góra 2008, 320 s.

Komu jak komu, ale czytelnikom z Zielonej Góry Eugenii Pawłowskiej bliżej przedstawiać nie trzeba. Jest być może jedną z najbardziej znanych postaci tego miasta. Po wojnie przybyła z kresowych Baranowicz do kresowych Żar; od 1954 r. pracowała w „Gazecie”, wtedy „Zielonogórskiej”, potem „Lubuskiej”, na łamach której od 1992 r. prowadziła (i prowadzi do dziś) stały felieton podpisywany kryptonimem Snobka. I to okazało się „rolą Jej życia”. Snobka jest czytana, jest lubiana, znana, kochana, opiniotwórcza, opinioburczą i co tam jeszcze chcecie. Oto jest siła felietonu, będącego Stańczykiem pośród gatunków dziennikarskich.

W Polsce felieton jest gatunkiem lubianym i cenionym. Zakorzeniony w czasach Prusa i Sienkiewicza, „rozrajcowany” przez Stonimskiego, pisany przez takich dziennikarskich tuzów naszych czasów, jak Groński, KTT, Małachowski, Łagowski, Passent, Stomma, Waldorff i inni – stał się cymesem niemal każdej gazety, od którego zaczynamy jej konsumpcję. Zważszcza „felieton cotygodniowy” stał się klasykiem

gatunku. Za czasów Prusa i Sienkiewicza był „kroniką” – kroniką czasów i miejsc, kroniką podróży, potem ewoluował w stronę diariusza, ale bardzo różnorodnego: intelektualnego, politycznego, społeczno-obyczajowego, kulturalnego... Ta ostatnia odmiana została szczególnie spopularyzowana przez Daniela Passenta, który w dawnej „Polityce” – pamiętają Państwo? – był „na salonach” i jako Bywalec opisywał te lukry i likiery, jakie tam smakował. Nie wiem do dzisiaj, czy salonom na pewno jest blisko do kultury, ale ich elitarność i zadęcie sprzyjają każdej sztuce, nawet gdy jej nie rozumieją. Passent mógł więc folgować własnej złośliwości co niemiara, tym samym jednak prawdziwej kulturze nie szkodząc, a wręcz pomagając jej.

Snobka z „Lubuskiej” jest dla mnie kimś w rodzaju „Bywalca w spódnicy”. Jej felieton kroczy od lat najwyraźniej ścieżką kulturalną. Pani Eugenia bywał! Bywanie jest jej zajęciem, przyjemnością, pasją, żywiołem, w końcu zacząłem podejrzewać, że obowiązkiem, a nawet misją. A do bywania powodów co

niemiara: tu wernisaż, tam premiera, spotkanie autorskie, odczyt, konferencja, sesja, panel dyskusyjny, narada, festiwal, koncert lub inne wydarzenie estradowe, sceniczne, jubileusz, wizyta, gościnne występy, no, gdzie się cokolwiek działo i zdarzało, tam diabli Pawłowską posyłali. Tak, diabli, bo nawet nie podejrzewam, że wykonywała polecenia naczelnego. Wykonywała własny imperatyw. Z determinacją, zacięciem, wiarą w cel i sens. Może czasami *pur la hec*, jak mówią domorośli Francuzi albo dla starej zasady, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... Snobka – to wymyśniony kryptonim. Bo Snobka jest od bywania, od cmokania, od pokazywania się w miejscach, gdzie pokazać się wypada, od bycia i komentowania „na bieżąco”, od dowartościowywania salonów, bo gdyby snobów na salonach zabrakło, to po czorta sztuka dla motłochu... Ale w tym właśnie momencie zaczyna się komplikacja: Eugenia Pawłowska bardziej snobkę udawała niż nią kiedykolwiek była. Więc kim była? Ha, wymagającą odbiorczynią sztuki, świadomą „konsumentką” kultury, Zoilem w spódnicy, złośliwą – gdy zachodziła potrzeba – komentatorką pseudosalonu. Wyobrażam sobie, ilu organizatorów *eventów* kulturalnych stawalo na głowie, by ściągnąć Snobkę na swoją imprezę i ilu – wręcz przeciwnie – zadrzało, gdy zobaczyło ją na sali. Osobną kwestią jest w takich przypadkach publiczność. Jeśli Snobka chwaliła – zapewne sporo osób chciało zobaczyć to, co chwaliła; jeśli ganiła – ludzie machali ręką i mówili, że to sobie mogą darować. Snobka przez wszystkie te lata formowała, wychowywała swoimi felietonami publiczność. Być może jakąś garstkę ludzi przeprowadziła trudną ścieżką od powierzchownego snobizmu do świadomego koneserstwa?

Pamiętają Państwo słynną rozprawkę Żeromskiego pt. *Snobizm i postęp*, którą Mistrz wzbudził istną burzę w 1922 r.? W puencie padły m.in. takie słowa: „Snobizm nasycą nową treścią jałowe pustki, zakamarki, schowki, dziury, wypełnia nową bądź co bądź modą najobszerniejsze podwórka barbarzyństwa, oświeca zapadłe ścieżki i drożyny banalności, stroi najostatniejszą parafianśszczyznę w szateczki inne, niż przedtem nosiła, aż do odwołania przez obrzydzenie powszechne i wybuch nowego naśladownictwa. Snobizm jest postępek dusz wtórnych, jałowych, martwych w sobie, ryf, kołków, naśladowców. Nie należy snobizmu do szczytu wytrzebiać, aby snadź nie został sam szczyrek bezdenny i sam ugor,

samo jeno barbarzyństwo. Należy go jednak oświeć latarniami Thackeray’a, żeby się znowu zbyt nie rozbijał w Sarmacji i po wawrzynowy liść postępu nie sięgał.”

Myszę, że zielonogórska Snobka bardzo świadomie brała przez wszystkie te lata udział w takiej właśnie grze. Za kryptonim obrała sobie słowo obciążone negatywnymi konotacjami, ale podpisywała nim produkt, który ogrywał niebanalną rolę w edukacji kulturalnej kolejnych roczników czytelników.

Pomijając zaś wszelką „ideologię”, jaką ja tutaj dopisuję tym felietonom, są one na podstawowym planie po prostu pracownitą kroniką wydarzeń kulturalnych. Czy jest w Zielonej Górze jakiś inny Koszałek-Opalek, który aż tak systematycznie i żmudnie podobną kronikę prowadził? Toteż dokumentacyjna wartość książkowego zbioru tych kronik wydaje mi się bezcenna.

Tu *chapeau bas* przed Eugeniuszem Kurzawą, który to wszystko zebrał, przeselekcjonował i we współpracy z Autorką ułożył w książkę (tak, tak: Żenia Żeni zgotował ten tom). Sam Kurzawa nazywa te teksty gawędami, opisami, recenzjami, a nawet „nibyrelacjami” będącymi w swej istocie „obrazkami socjologicznymi”. We wstępie do wyboru m.in. pisze: „No i ten język, pojagielloński (czyli absolwentki Uniwersytetu Jagiellońskiego). Piękna, subtelna polszczyzna, skrząca niebanalnymi dowcipami, niezadumy, pełna zadumy, spokoju. Zawsze z pewnym dystansem (głównie Autorki wobec siebie, bowiem potrafi patrzeć samokrytycznie i autoironicznie).”

Tak, ta Autorka ma cenną lekkość pióra, poczucie (ciepłego) humoru, ironii, sarkazmu, błyskotliwej acz nieobraźliwej złośliwości, umie „zakręcić zdaniem”, odnieść, porównać, zmetaforyzować... Ma więc wszystko, co powinien mieć dobry, nie roz hulany, szanujący się felieton, stale pamiętający o tym, że jest gatunkiem lekkim, łatwym i przyjemnym, aczkolwiek śmiertelnie poważnym, w którym każde czasy snadnie, jako w zwierciadle, mogą się przejrzeć. Rzeczywistość, jaką Pawłowska opisuje, ma – to wyraźnie dostrzegamy po przeczytaniu całości – racjonalny „kręgosłup aksjologiczny”, który w wyobraźni ludzi formatu tej Autorki podtrzymywał przez wszystkie te lata naszą mniej lub bardziej kuśtykającą Polskę. Chciałbym do tego formatu należeć, bo właśnie taką wizję Polski akceptuję.

Kurzawa pisze, że dysponował 550 odcinkami felietonu, z których do druku w książce podał 455. To sporo, acz ponoć w archiwach jest więcej materiału. Może będzie okazja do wydania drugiego tomu Snobki? Warto, moim zdaniem, ocalić te teksty; mają one spory walor uniwersalny: Snobka skupiając się i wyzywając na lokalnych, lubuskich wydarzeniach społecznych i kulturalnych (tych wszystkich festiwalach, wawrzynach, nocach poetów, winobraniach itp.) w gruncie rzeczy opisywała o wiele większy fragment polskiej rzeczywistości – *pars pro toto* – czyli nasze zbiorowe bolączki i radości, narowy, obyczaje, zahamowania, odblokowania, i znowu wszystkie inne zbrocenia. Zresztą i sam zapis (arcybogaty!) życia kulturalnego regionu wykracza w tej książce poza lokalne opłotki, bo przecież w Zielonej Górze bywali artyści z całej Polski, z niemal wszystkich scen, galerii i oficyn wydawniczych, czego skrupulatny zapis w tych felietonach znajdziemy. Gdyby powołać przed laty zespół ds. dokumentacji i opisu tego wszystkiego, o czym wspominałem

wyżej, to nie przerzuciłby on tylu ton „odnośnego węgla”, jak to zrobiła Snobka. Chwała jej za to!

*

Wtajemniczeni Czytelnicy tej recenzji wiedzą, że w dniu 26 lutego 2009 odbyła się w Bibliotece Wojewódzkiej im. C. Norwida uroczystość wręczenia Lubuskich Wawrzynów Literackich 2008. Niżej podpisany był przewodniczącym tegorocznej Kapituły, a sama nagroda była celebrowana już w jej XV, jubileuszowej edycji. Wawrzyn otrzymała Eugenia Pawłowska. Ta recenzja jest więc w jakiejś mierze okolicznościowa, napisana „z okazji”, lecz jak bardzo *con amore* – tylko ja wiem. Pani Pawłowska „uwiodła” mnie swoją książką, swoim językiem, swoimi poglądami, swoją szlachetną zdroworozsądkowością, także werwą i humorem. Tak, mamy swoich felietonistów, którzy dobrą tradycję felietonu polskiego podtrzymują we wspaniałej kondycji. Tej kondycji życzę Pani Pawłowskiej jeszcze na długie lata.

Leszek Żuliński

Niebezpieczne Muzy. Kobiety wokół Maxa Ernsta

Karoline Hille, *Gefährliche Musen. Frauen um Max Ernst*, Wydawnictwo Edition Ebersbach, Berlin 2007, 240 s.

W polskiej historiografii sztuki rzadko wspomina się o artystycznych partnerstwach, choć przecież takie pary artystyczne jak Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński, Teresa Żarnowerówna i Mieczysław Szczuka, Barbara i Stanisław Brukalscy, Helena i Szymon Syrkusowie, Margit i Roman Sielscy czy Margarete i Stanisław Kubicki należą do czołówki reformatorów polskiej sztuki okresu międzywojennego. W kontekście par artystycznych, które pod względem strukturalno-organizacyjnym, z uwagi na ich wspólne nierzadko wystawy, manifesty, a niekiedy i dzieła, uznać można za najmniejsze grupy artystyczne. Więcej miejsca poświęcono może jedynie... braciom Menasze i Efraimowi Seidenbeutlom (Joanna Pollakówna, *Byli bracia malarze*, Warszawa 2002) oraz Strzemińskim (Ewa Franus, *Punkt nierównowagi*

w starym śnie o symetrii, [w:] Władysław Strzemiński 1983-1952, pod red. J. Janik, Łódź 1994; Nika Strzemińska, *Sztuka, miłość i nienawiść*, Warszawa 2001), a ostatnio Sielskim (Piotr Łukaszewicz, *Roman i Margit Sielscy*, Wrocław 2004). Inne pary artystyczne omawiano raczej za granicą (np. Monika Król w katalogu wystawy *Avant-Gardes in Central Europe 1910-1930*; Los Angeles 2002).

Tymczasem w Niemczech, Anglii i Ameryce o parach artystycznych pisze się znacznie częściej, interpretując przy tym nie tylko fenomen twórczych par w sensie tradycyjnym, lecz również rodzeństwa (*Künstlerbrüder von den Dürers zu den Düchamps*, pod red. Leóna Krempela) czy tandemy homoerotyczne (m.in. w książkach Renate Berger, *Liebe Macht Kunst*, Kolonia 2000 czy *Du und ich* pod red. Ilse-Marii Dorfstecher).

W tym kontekście warto wskazać na publikację dotyczącą tej aktualnej tematyki badawczej, skierowaną do szerokiego kręgu odbiorców. Karoline Hille w swej książce *Gefährliche Musen* odśladania inspiracje, kulisy sławy i twórczości wybitnego surrealisty, Maxa Ernsta, wskazując na rozmaite aspekty twórczej autokreacji i autostylizacji. Autorka szkicuje portrety pięciu współtwórczyni jego sukcesu – artystek, historyczek sztuki, kolekcjonerek i menadżerek, które wspierały go, pisząc recenzje, organizując wystawy, dbając o jego utrzymanie, inspirując jego obrazy czy wreszcie malując u jego boku własne prace. Były to Luise Straus, Helene „Gala” Diakonowa, Leonora Carrington, Peggy Guggenheim i Dorothea Tanning. Wszystkie one suwerennie decydowały o własnym życiu, dzieląc los dwudziestowiecznych artystów-nomadów.

Autorka nie tylko uchyla drzwi do *sanctum sanctorum* artysty – jego atelier, lecz również tworzy historię jego artystycznych siedzib i kobiet, które je wykreowały.

Pierwsza żona Maxa Ernsta, pochodząca z zamożnej żydowskiej rodziny, Luise Straus, formułowała wraz z nim wczesne dadaistyczne manifesty i recenzje, organizowała wystawy, a ich wspólny dom przekształciła w słynny koloński „salon dada”. Była historykiem sztuki, dziennikarką – autorką m.in. pierwszych reportaży z homoseksualnych lokali tanecznych i przejmującej autobiograficznej książki *Nomadengut*, w której swą decyzję na samodzielną wędrówkę w pogoni za powołaniem porównuje do życia w zielonym wozie. Podczas gdy po wkroczeniu faszystów do Francji, ich wspólny syn Jimmi i Max Ernst zdołali schronić się w Ameryce, jej ciało spalono w krematoriach Auschwitz.

Już dwa lata po ślubie Max Ernst porzucił ją zafascynowany przez późniejszą mużę Salvadora Dali, podówczas jeszcze żonę surrealistycznego poety Paula Éluarda, Galę Diakonową, decydując się na skandalizujący *ménage à trois* i pokrywając ściany ich małżeńskiego domu w Eaubone we Francji

przedziwnymi malowidłami w stylu „nowego rokoka”, a ją samą upamiętniając na jednym z najsłynniejszych artystycznych portretów grupowych *Rendez vous avec les amis* (1922).

Z młodszą o dwadzieścia lat surrealistyczną malarką, pisarką i dramatopisarką Leonorą Carrington Ernst zamieszkał na krótko w wiejskim domu na prowincji, w Saint Martin, gdzie oboje stworzyli jedyną w swoim rodzaju artystyczną siedzibę, kreując tam malarski świat pełen koni, hien i innych figur podświadomości. Tę współinspirującą relację przerwała II wojna światowa. Leonora Carrington pokonała depresję i wyjechała do Brazylii, Max Ernst, dzięki wsparciu wpływowej kolekcjonerki Peggy Guggenheim zdołał w 1941 r. schronić się w Stanach Zjednoczonych. Zawarte z nią małżeństwo z rozsądku nie trwało długo.

Już w 1942 r. Ernst związał się z kolejną surrealistyczną malarką Dorotheą Tanning, która została jego czwartą i ostatnią żoną (drugą była – a jakże – zamożna Marie-Berthe Aurenche, uwieczniona na jednej ze wspólnych fotografii wykonanych przez Man Raya, do której pozowała także słynna modelka i fotografka Lee Miller). Także Dorothea była pełną fantazji, niekonwencjonalna i awangardowa – tak w sztuce, jak i w życiu. W ich pierwszym wspólnym ogrodzie w Sedonie Max Ernst wznosił słynną rzeźbę *Caprocorn*, którą potem przenieśli do kolejnej siedziby w Seillans, wykreowanej już przez samą Dorotheę Tanning.

Artystyczno-erotyczne związki Maxa Ernsta były na poziomie ideowym realizacją surrealistycznej mitologii, uwikłanej w tajemnice podświadomości i erotyczne perwersje, osnute wokół centralnej figury demonicznej kobiety-dziecka, *femme fatale* czy sfinksa. Na poziomie pragmatycznym stanowią typowy przykład przejawiania się socjologiczno-artystycznego fenomenu pary artystycznej jako najmniejszej grupy twórców, funkcjonującego tak na zasadach symbiozy, jak i destrukcji czy konkurencji.

Lidia Głuchowska

Między kontestacją a popkulturą

Anna Pelka, *Teksas-land. Moda w PRL*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007, 264 s.

Trudno jest pisać o modzie. Zwłaszcza o siermężnej modzie czasów PRL-u, gdy brakowało wszystkiego, od butów i skarpet po guziki i pończochy, „a dezodorantów – proszę Państwa – dezodorantów wówczas nie było” – jak wspominał jeden z wykładowców Uniwersytetu Warszawskiego.

O modzie pisze się zwykle dwie-trzy szpalty jako komentarz do kilku stron barwnych ilustracji. Jednak w czasach, o których mowa, fotografii mody prawie nie było, tkanin i maszyn do szycia też nie było – więc jeśli fotografowano, to często ledwie sfastrygowane sukienki, a najczęściej zamiast zdjęć pojawiały się proste schematy odzieży czy wykroje do samodzielnego wykonania i przeróbek, a w najlepszym wypadku reprodukcje wycinków z zachodnich pism, nijak przystających do polskich realiów gospodarczych.



Dwurzędowy płaszcz w formie trapeza – przebój lat 60.

Modę kreowali idole z estrad Opola czy Jarocina albo spikerzy telewizyjni. Pojęcie konfekcji młodzieżowej – dziś tak oczywiste – oficjalnie właściwie nie istniało.

Książka Anny Pelki prezentuje modę PRL-u na trzy różne sposoby: po pierwsze w chronologicznie uporządkowanych rozdziałach, prezentujących jej rozwój, od wczesnych lat powojennych do przełomu politycznego w r. 1989; po drugie za pomocą wywia-

dów z projektantami, dziennikarzami i fotografami; po trzecie wreszcie za pomocą fotografii, rzadziej wyszperanych z archiwów agencji prasowych, a częściej z albumów rodzinnych czy ze zbiorów fotografów czy gwiazd telewizyjnych. Niekiedy sięga do wspomnień pisarzy i reżyserów, takich jak choćby Leopold Tyrmand, Marek Hłasko czy Andrzej Wajda.

Kolejne odsłony ukazują amerykańskich bitników i militarną modę powojenną kształtowaną pod wpływem paczek z UNRRA, samodzielnie farbowane i wycinane tenisówki – pepegi, czerwone krawaty Związku Młodzieży Polskiej i malowane w plamy krawaty oraz przykrótkie spodnie „szkodników społecznych” – „bikinarzy”. Z kolei ukazuje rodzimą wersję *new look* Diora w postaci kretonowych sukienek i pasiastych spodni z cągu, zaznaczając przy tym,



Kostium-zbroja, zaprojektowany przez Barbarę Hoff, w którym Halina Frąckowiak (na zdjęciu) wystąpiła w 1969 r. na Festiwalu Opolskim, okazał się szokiem obyczajowym.

że spodnie – dziś oczywistość w damskiej modzie – do lat 60., a w niektórych środowiskach i 70., w oficjalnym stroju kobiet stanowiły absolutne tabu.

W tym kontekście moda jawi się jako doświadczenie pokoleniowe z pogranicza kontestacji i kultury popularnej. Amerykańscy bitnicy w latach 40.,

a później polscy bikiniarze zafascynowani byli kulturą murzyńską i jazzem, ubrani w powycierane jeansy, krytykowali pragmatyzm oraz konsumpcjonizm. Ich strój był rodzajem antymody, reakcją na salonowe *haute couture*. Z czasem modę z Zachodu przyjmowano bez świadomości politycznych podtekstów jakie prymarnie ze sobą niosła. O ile strój hippisowski w Ameryce czy Francji był wyrazem antywojennego buntu czy rewolucji seksualnej, o tyle w Polsce pojmowano go raczej jako odcięcie się od szarżyzny i programowego uniformizmu socjalistycznych ulic,



Strój zainspirowany ubiorem Lenina prezentuje Grażyna Hase podczas pokazu swej debiutanckiej kolekcji w 1967 r.

ewentualnie jako wyraz indywidualizmu i młodzieżowej swobody.

Interesującym aspektem książki jest ukazanie rozenia się od czasów powojennych mody sportowej i uniseksu, czytelnych w projektach dla anorektycznych i kreowanych na infantylne modelkach i geometrycznych wzorach André Courregesa z lat 60., w swobodnych strojach i długich włosach następnej dekady czy w zacierających znamiona płciowości, inspirowanych przez projektantów japońskich, eksponujących formę a nie ciało fasonach *oversize* z lat 80.

Pelka opisuje struktury, w których kształtowano oficjalną, choć dostępną tylko dla nielicznych i to prawie wyłącznie w stolicy modę PRL – przedsiębiorstwo Moda Polska, kolekcje Barbary Hoff i Grażyny Hase, czasopisma, w których ich kolekcje prezentowano – „Ja i ty”, „Przekrój”, „Zwierciadło”, „Kobieta i życie” czy „Filipinka”. Sięga przy tym do licznych archiwów krajowych i zagranicznych, analizuje ankiety przeprowadzane w Niemczech czy na Węgrzech, świadczące o tym, iż PRL mimo wszelkich panujących tu ograniczeń uznawany był za najweselszy z baraków komunizmu.

Do ciekawostek należą opisy oryginalnych i pionierskich prezentacji mody, takich jak autorska kolekcja Grażyny Hase, zaprezentowanej w rocznicę rewolucji październikowej, w której ona sama wystąpiła w mini-kostiumie stylizowanym na garnitur Lenina czy też faktu odrzucenia przez komitet partyjny projektów Mody Polskiej z r. 1968, uznanych za kolekcję „młodzieży bananowej”, a także tego, iż Polska jako jeden z nielicznych krajów socjalistycznych na Targach Wzornictwa w Lipsku opowiedziała się za modą mini. Nie było to jednak wyrazem rewolucji obyczajowej, a jedynie swoistego prozachodniego estetyzmu. Młodszych czytelników zadziwić też może fakt, iż w latach 70. synonimem najwyższej jakości były „odrzuty z eksportu” – do Związku Radzieckiego i na Zachód, niezaakceptowane przez tamtejszy odbiór jakościowy...

O czym jeszcze przeczytać można w tej książce? – choćby o szokującym, metalowym neglizżu Krystyny Frąckowiak na jednym z opolskich festiwali, o narodzinach spodnium, o jeansach zespołu Breakout, o ortalionach, folkowych przebraniach Niemena i punkowych kreacjach Lady Punk, Kory czy Małgorzaty Ostrowskiej, czy wreszcie o odosobnionych próbach artystycznego kształtowania fotografii mody.

To lamus historii materialnej, dokumentujący walkę o indywidualizm stroju i barwność polskich ulic w warunkach, w których zdobycie czegokolwiek graniczyło z cudem, a osobista inwencja i talent manualny umożliwiały przełamanie powszechnej zewnętrznej szarżyzny i nijakości oraz poczucie zaistnienia tu i teraz. Jak malarstwo awangardowe i jazz, tak i moda stanowiły wentyle systemu pełnego ograniczeń.

Trudno naukowo pisać o modzie, dlatego książka, skądinąd rzetelna i rzeczowa, wydaje się nieco zbyt deskryptywna w porównaniu z tradycyjnymi, lekkostawnymi i krótkimi notami o modzie rodem

z kolorowych pism. Jest to jednak bezcenna – bo pierwsza w Polsce – próba wnikliwego przyjrzenia się tej gałęzi kultury materialnej, która dziś zalicza się do nauk pomocniczych historii sztuki, z uwzględnieniem instrumentarium metodologicznego historii i socjologii. Rekonstrukcja prób adaptacji zachodnich wzorców do lokalnych warunków, uświadamia, że obecny pluralizm w modzie poprzedzał często restrykcyjny

dyktat aktualnego trendu w imię nowoczesności i niezależnie od sylwetki czy osobowości nabywcy odzieży. Warto przeczytać, choć skromne i stosunkowo nieliczne czarno-białe ilustracje pozostawiają niemal tyle przestrzeni dla wyobraźni, co ich pierwowzory z lat 60. i 70. w ówczesnych czasopiśmiech...

Lidia Głuchowska

O dyskretnym uroku klasyki i pochwalę istnienia

Wisława Szymborska, *Tutaj*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, 48 s.

Wśród narodowych cech Polaków zdecydowany prym wiedzie skłonność do malkontenctwa. Może i faktycznie nigdy nie brakuje nam ku niemu powodów, chyba jednak – lubimy narzekać. Niektórzy – jak choćby krytycy literaccy – szczególnie.

Oto pojawił się nowy, niecierpliwie oczekiwany tomik Noblistki. Oceny są dość zgodne: wiersze jak zawsze piękne, ale... właściwie nic zaskakującego... Szymborska niczym nie zaskoczyła, nie wywołała zdziwienia, nie zaszokowała... Czy rzeczywiście?

Bombardowani przez rzeczywistość, którą sami stworzyliśmy, wciąż gwałtowniejszymi bodźcami, nie tylko stajemy się coraz bardziej zachłanni, żądając więcej i więcej, ale też tracimy wrażliwość, zdolność reagowania na subtelne doznania, umiejętność odczuwania dreszczu emocji w zetknięciu z tym, co nie jest krzykliwe i ekspansywnie nachalne. Gargantuicznie rozdęci medialną papką i bezrefleksyjną konsumpcją tępiejemy i obojętniejemy, a nasze zmysły tracą czułość, karleją i zanikają. W *Rozmowie z kamieniem* z tomu *Sól* (1962) pisała przed laty Szymborska, podejmując jeden z najistotniejszych problemów swej poezji – uczestnictwa i miejsca człowieka w świecie, że brakuje nam niesłuchanie ważnego zmysłu, zmysłu udziału. Jego brak uniemożliwia porozumienie z nieprzebranym bogactwem istnienia, które w najprzeróżniejszych swoich formach i manifestacjach – zarówno ożywionych (zwierzęta, rośliny), jak i nieożywionych (skały, minerały – kamień!) – wydaje się kryć niezgłębione i intrygujące tajemnice, skutecznie opierające się nie tylko utołmionemu zmysłom, ale nawet „szkiełku i oku”

mędrca. Mamy jednak namiastkę tego zmysłu: wyobraźnię.

Cóż za paradoks – dziś, coraz sprawniejsi technologicznie, bałwochwalczo zapatrzeni we wszystko-wiedzące ekrany telewizorów i komputerów, dobrowolnie rezygnujemy nawet z tej namiastki, a tym samym właśnie ze współuczestnictwa – choćby w wyobraźni – w oszałamiającej różnorodności uniwersum, którego przecież jesteśmy częścią. Szymborska jak nikt inny potrafi odkryć na nowo – przed nami i dla nas – nasze teraz (przypomnijmy tomik z roku 2002 o wymownym tytule *Chwila*) i nasze tutaj dane nam w ich najrozmaitszych przejawach, z których żaden – nawet pozornie najbanalniejszy – nie jest nieważny, ma wartość, znaczenie i sens, bo jest treścią naszego bytu; a właściwie Teraz i Tutaj w perspektywie wieczności i wszechświata, których ułamek w jednostkowej skali jest jedynym naszym ziemskim udziałem. I co najbardziej istotne – nie gorycz starości i pewność bliskiego kresu każe poetce chwycić i zatrzymać uciekające chwile i zmieniające się miejsca, drobne i większe okruciny życia, ale nieustający zachwyt istnieniem, którego – nie bezkrytyczną! – pochwałę głosi konsekwentnie w całej swojej twórczości.

I jakby tego jeszcze było mało, kręcisz się bez biletu w karuzeli planet, a razem z nią, na gapę, w zamieci galaktyk, przez czasy tak zawrotne, że nic tutaj na Ziemi nawet drgnąć nie zdąży.

No bo przyjrzyj się dobrze:
stół stoi jak stał,
na stole kartka, tak jak położona,
przez uchylone okno podmuch tylko powietrza,
a w ścianach żadnych przeraźliwych szczelin,
którymi by donikąd cię wywiało.

(*Tutaj*, s. 7)

Pogodna zgoda na świat, na rządzące nim prawa, połączona z niezwykłym darem dostrzegania wagi i istotności detalu sprawia, że twórczość Szyborskiej staje się wykładnią szczególnej filozofii człowieka i przyrody, rezerwuarem i przetrwalnikiem wartości i prawd stanowiących humanistyczny fundament ludzkiej kondycji w świecie zastanym.

Wpisani w wielkie koło bytu przestajemy być przypadkowi, jednorazowi i nietrwali, uczestniczymy – poszczególni w mnogości – w wielkim misterium natury i cywilizacji jako beneficjenci i dłużnicy, poddani i decydenci, ofiary i triumfatorzy, przeszli i teraźniejsi, inni, a zarazem tak podobni, złączeni wspólnotą losu i przeznaczenia:

Miliardy twarzy na powierzchni świata.
Podobno każda inna
od tych, co były i będą.

[...]

Miliardy twarzy na powierzchni świata.
Twarz moja, twoja, czyja –
nigdy się nie dowiesz.
Może natura oszukiwać musi,
i żeby zdążyć, i żeby nastarczyć
zaczyna łowić to, co zatopione
w zwierciadle niepamięci.

(*Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach*, s. 8-9)

Z każdym kolejnym tomikiem i wierszem coraz bliższa wydaje się poetka dotknięcia i rozwiązywania ontologicznej zagadki życia, zajmując się wciąż innymi jego wymiarami: antropologicznym, socjologicznym, biologicznym, kulturowym, cywilizacyjnym, historycznym, i dochodząc przy tym mozolnie również do prawdy o sobie: istnieniu poszczególnym i ogólnym jednocześnie, o swej wyjątkowości i typowości w procesie życia i jego przemian. Jak wtedy choćby, gdy z genialną oczywistością konstatuje fakt zmienności jako reguły istnienia w planie własnej,

pojedynczej biografii. Hipotetyczny zatem sylizm: „Ja – kilkunastoletnia?” (*Kilkunastoletnia*) staje się pretekstem do rozważań nad problemami czasu i śladów, jakie w nim pozostawiamy, pamięci wreszcie, która nas kształtuje i tworzy, decydując o tym, kim się stajemy i przypominając, kim jesteśmy w każdym z aspektów naszego istnienia. Życie z pamięcią jest trudne, ucieczka jednak – bezskuteczna i bezcelowa, bez niej bowiem nie istnieje świadomość:

Czasami mam jej towarzystwa dosyć.
Proponuję rozstanie. Od dzisiaj na zawsze.
Wówczas uśmiecha się z politowaniem,
bo wie, że byłby to wyrok i na mnie.

(*Trudne życie z pamięcią*, s. 16)

Każdy właściwie wiersz Szyborskiej staje się mini-traktatem filozoficznym o kwestiach, które – choć najczęściej umykają naszej uwadze, to jednak w sposób istotny ważą na naszym życiu, o czym przypomina nam poetka w wirtuozerii formy łączącej żart z problemami, nad którymi głowiły się najtęższe umysły wszystkich epok.

Najbardziej interesujące okazuje się to, czego nie widać, co nie daje się dotknąć i uchwycić – i w równej mierze dotyczy to mikrobów („Nie mają nawet porządných wnętrzości. / Nie wiedzą co to płeć, dzieciństwo, starość. / Może nawet nie wiedzą czy są – czy ich nie ma. / A jednak decydują o naszym życiu i śmierci”, *Mikrokosmos*, s. 18), jak metafizyki, wyobraźni czy snów, bo „w ich cieniach i lśnieniach, / w ich zatrząsieniach, niedoprzewidzeniach, / w ich odniechceniach i rozprzestrzeniach / czasem nawet uchwytne sens / trafić się może” (*Sny*, s. 34).

Tomik Szyborskiej to żywy dowód na to, że poezja może się znaleźć bliżej wyjaśnienia i opisanie fenomenu czasoprzestrzeni niż najnowsze ustalenia fizyki kwantowej, choć łączy je jedno: zdumienie światem. Poezja i nauka to tutaj dobrana para, bo *Tutaj* to intelektualna i duchowa przygoda, rozpusta myślenia, uczta wyobraźni. Zblazowani i znudzeni możemy postrzegać świat, w tym również poezję, jako znane i przewidywalne, możemy też, z Wisławą Szyborską jako przewodniczką, stale odkrywać w nich rzeczy nowe, niezwykle, zaskakujące i cudowne.

Szyborska to Einstein poezji formułujący własną teorię względności, wybijający nas z utrwalaonych i pewnych sądów o świecie i o nas samych, uczący pokory z jednej, a dodający otuchy z drugiej strony,

mówiącą o tym, co kosmiczne i ludzkie, abstrakcyjne i konkretne jednocześnie. Czym na przykład jest przestrzeń?

Łatwo określać ją tym jednym słowem,
dużo trudniej wieloma.

Pusta i pełna zarazem wszystkiego?
Szczelnie zamknięta, mimo że otwarta,
skoro nic
wymknąć się z niej nie może?
Rozdęta do kresu?
Bo jeśli ma kres,
z czym, u licha, graniczy?

No dobrze, dobrze. Ale teraz zaśnij.
Jest noc, a jutro masz pilniejsze sprawy,
w sam raz na twoją określoną miarę:
dotykanie przedmiotów położonych blisko,

rzucanie spojrzeń na zamierzoną odległość,
słuchanie głosów dostępnych dla ucha.

(*Przed podróżą*, s. 21)

Precyzja liczby, rachunek prawdopodobieństwa,
matematyka statystyk, założony punkt widzenia,
skala – zimną i obojętną geometrię i logikę naukowego opisu świata sprowadza poetka do ludzkiej miary, wydobywa z niej to, co jednostkowe i niepowtarzalne, pochyla się nad człowiekiem zatrzymanym w pędzie ku nicości: w jego chwili i na kawałku przestrzeni, który zajmuje stopami, z tym, a nie innym obłokiem nad głową i ptakiem – „I tylko pod warunkiem, że będzie to ptak / przelatujący właśnie” (*Portret z pamięci*, s. 31).

I niech ktoś jeszcze spróbuje powiedzieć, że to poezja, która nie zadziwia!

Anna Szóstak

Tęsknota za istotnością i impresje wyobraźni. O poezji Dariusza Dziurzyńskiego

Dariusz Dziurzyński, *Metrum*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2005, 106 s.

Sformułowanie „czuły klasycyzm” (zob. „Pro Libris” 2004, nr 3/4), którego użyłam na określenie poezji Dariusza Dziurzyńskiego, wciąż do niej przystaje, kolejny jednak tomik utalentowanego warszawskiego poety wymyka się jednoznacznym klasyfikacjom. Z jednej strony bowiem jego wiersze rzeczywiście wpisują się w tę formułę klasyczności, która na poziomie poetyki cechuje się rytmicznym wdziękiem regularnych strof i wersyfikacyjną elegancją, leksyka zaś wyraża się – jak ujęli to Anna Legeżyńska i Piotr Śliwiński w odniesieniu do twórczości innego młodego poety o klasycznych skłonnościach, Krzysztofa Koehlera – we frazach, w których pojawia się „pamięć, Bóg, katedry i klasztory, podróż, książki, Mickiewicz i Goethe” (zob. A. Legeżyńska, P. Śliwiński, *Poezja polska po 1968 roku*, Warszawa 2000, s. 126).

Co zatem odróżnia Dariusza Dziurzyńskiego od innych klasycyzujących poetów polskich nie tylko debiutujących po przełomie 1989 roku (jak wspo-

mniany Krzysztof Koehler czy Wojciech Wencel), ale także tych, których dzieło definiuje Ryszard Przybylski w swojej słynnej analizie krytycznej *To jest klasycyzm* jako odrzucające ideę historyzmu: „Jarosław Marek Rymkiewicz wie – pisze między innymi Przybylski – że historia nie może nadać sensu działalności poety. Wynika z niej – pisze w jednym z manifestów – »tyle, że nic nie wynika«. I dodaje: »na historię nie można zbyt liczyc, ponieważ to, co się dzieje i działo, nie jest nigdy rozwiązaniem«. Rymkiewicz odrzucił więc historyzm i powrócił do mitycznej jedności człowieczeństwa” (R. Przybylski, *To jest klasycyzm*, Warszawa 1978, s. 21)

Patos, wielkie słowa i wielkie miary, Rymkiewicz i Herbert, historia i ludzkość, są już jednak – chyba na szczęście – obce autorowi *Metrum* – używane i nadużywane roztrwonily swoje sensy, dziś w obliczu dramatycznych doświadczeń przełomu wieków byłyby już tylko fałszywymi liczmanami dawnych złudzeń.

Klasycyzm Dziurzyńskiego w tym kontekście zatem, to klasycyzm poszukujący nie tyle bezpowrotnie już chyba utraconego ładu świata czy też ów ład idealizujący, co klasycyzm przykrojony na miarę poe-dynczego człowieka próbującego odnaleźć siebie, swoją własną historię, dotrzeć do źródeł po to, by zrozumieć kim się jest i co jest ważne.

Nie chodzi również o „rytuały mowy” (*Wiecznik*, s. 5), które są poecie doskonale znane, ale o samookreślenie wobec tradycji najbliższej – domowej, rodzinnej (tomik poświęcony jest zmarłej Babci) – a więc tej rodzajej poczucie najintymniejszej wspólnoty, obdarowującej pewnością i bezpieczeństwem nawet wtedy, jeśli jest tylko wspomnieniem zaludnionym cieniami bliskich, których już nie ma. Odnajdziemy tu niewątpliwie echa koncepcji Rymkiewicza z jego teorią wiecznych repetycji w sztuce i życiu, wzbogaconą u Dziurzyńskiego o metaforę lustra czy raczej lustrzanego odbicia przeniesioną z płaszczyzny kultury na płaszczyznę jednostkowego istnienia. Owo zwierciadło przeszłości zmieniające obraz odbijającej się w nim teraźniejszości decyduje o naszej tożsamości i jestestwie, stając się ich niezbywalnym składnikiem i kształtując wyobrażenia o człowieku i świecie. Znakomicie ujmując to zjawisko Marek Zaleski, omawiając zagadnienie pamięci i jej roli w najnowszej polskiej prozie: „Jesteśmy tworem naszych wspomnień i nasza świadomość jest funkcją naszej pamięci. Ta nasza przeszłość domaga się od nas upamiętnienia i pragnienie upamiętniania przeszłości stale znajduje wyraz w naszych poczynaniach. Między innymi znajduje go w literaturze” (M. Zaleski, *Formy pamięci*, Gdańsk 2004, s. 5). W sformułowaniu Zaleskiego wydaje się jednak kryć pewien ledwie wyczuwalny fatalizm. Jest on również obecny w omawianym tomiku. Mianowicie, przeszłość nas determinuje, pozostawia panami siebie tylko w niewielkiej mierze, cała reszta to spuścizna, element odziedziczony, na który mamy minimalny wpływ, no, może jedynie poza aspektem wolicjonalnym: możemy otóż ową przeszłość odrzucić i unieważnić lub zaakceptować z dobrodziejstwem inwentarza – jak czynią (choć też wybiórczo) klasycy.

Taką drogę wybiera również Dariusz Dziurzyński, zaglądając w zwierciadło przeszłości, by w szeregu lustrzanych odbić próbować odnaleźć oblicze własne, autentyczne i jedyne w swoim rodzaju. Teraźniejszość jest tu zdecydowanie zwierciadłem krzywym, a „dossier współczesności” wygląda w nim kompromitująco i karykaturalnie:

prywatyzacja
„Polacy a Holocaust”
lustracja
(z rzutem oka na parlament)
kościół a media
przestępczość zorganizowana
bieda w Bieszczadach
środowiska akademickie
regionalne Oddziały ZLP.

(*Modlitwa o Zołą*, s. 10)

Wyraźnie zaznaczony dystans wobec współczesności nie jest tu jednak najważniejszy, najbardziej istotna jest jego przyczyna: dominacja spraw zbiorowości nad problemami jednostki, które nie dość, że są wzgardzone i pominięte, to jeszcze tak trudno uchwytne w słowie. Jak bowiem

Odpowiednie dać rzeczy
nierzeczy
Wiele-słowo

(*Przybyszewski*, s. 11)

Jak utrwalić to, co dziś, w świecie emocji kolektywnych i uczuć programowanych medialnie, jest wyjątkowe i niepowtarzalne – „twoje wyobrażenia” i „twój strach”, to, że „Jeśli miałeś kota / będziesz mówić o kocie. / Jeżeli papugę to właśnie o niej” (*Po*, s. 15), pragnienie istotności, zachłanność świata, potrzeba poznania i identyfikacji.

Świat dzisiejszy to kostium, który uwiera i nie pasuje, pozbawia indywidualności i kolorów, a „literacka dusza” poety, zagubiona i samotna w korytarzach betonowych blokowisk i czeluściach windowych szybów tęskni ku wzlotom, iluminacjom i pięknu, które – choćby tylko (lub aż) poprzez słowo – dostrzec można nawet w odbitym refleksie brudnej szyby nocnego autobusu, gdzie

Oczy z matowego szkła
oglądają zatopione rzeźby
i śnią ciężarne
o matowych rybach.
Tutaj skrapla się czas.
Pachnie czarna głębia.
Ławica wpływa w noc
na ostatnim przystanku.

(*W autobusie*, s. 20)

ProLib

Tak, poezja Dariusza Dziurzyńskiego zdecydowanie wymyka się krytycznym opisom i próbom uogólnienia; czy to jeszcze w ogóle jest klasycyzm – zastanawia się w *Posłowie* do zbioru Anna Legeżyńska – wskazując na jej polifoniczność i różnogatunkowość.

I rzeczywiście, raz jeszcze to powtórzmy, nie będzie to klasycyzm rozumiany jako stylistyczne ćwiczenie, popis warsztatowej sprawności lub wierność regułom sztuki wierszowania. Klasycyzmu Dziurzyńskiego trzeba szukać gdzie indziej – na znacznie głębszym poziomie, bowiem w sferze światopoglądu, świadomości i samoświadomości poetyckiej. Nie formuła zatem, w której można by zamknąć tę poezję, ale jej duchowa istota lokująca się w sferze wyobraźni i wrażliwości (czułości) na piękno świata, na jakie większość z nas – w tym również często poeci (zwłaszcza najmłodszych roczników) – jest po prostu ślepa. A wystarczy umieć patrzeć, z „czuciem i wiarą” – chciałoby się powiedzieć, choć nie o romantyzm tu idzie – albo raczej z niedziśniejszym (klasycznym więc, bo należącym, niestety, do przeszłości) zachwytem i uważnością, by

Zatrzymała mnie kamienica
rzucając
fioletowy cień sytych liści.
Liści pnących się arabeską
Ku żrenicom mansard.
Po obu stronach okien liany w ciężarnych
girlandach
w cieplarniach wyrosłe warkocze
lepiej: Rubens ceramicznych powojów.
(Secesja, s. 23)

I jeszcze jedno – u Dariusza Dziurzyńskiego wszystko jest pomiędzy: między dziś i wczoraj, ciałem i transcendencją, światem i słowem, zakorzenieniem i wolnością, realnością i imaginacją, prawem do marzenia i regułami rzeczywistości. Jego poezja jest jak tkanina, w której splotach spotykają się czasy, wydarzenia, ludzie i miejsca; w jej prześwitach zaś ujawniają się – ułamkowo i nigdy nie do końca – utajone sensory i znaki. Znaczenia nakładają się na siebie, tworząc nowe lub niespodziewanie ukazując podobieństwa niewidoczne na pierwszy rzut oka. Wszystko jest sprawą zmysłu wzroku i wyobraźni; za ich przyczyną przeszłość prześwieca przez teraźniejszość, tworzy asocjacyjne ciągi i układy, nowe wzory

i konfiguracje, jak wtedy, gdy nazwisko polityka (Poncyliusz, *Kampania*, s. 22) uruchamia pamięć i fantazję, przenosząc w świat starożytnego Rzymu i jego realiów, zadziwiającą zresztą bliskich współczesnym.

Odnaleźć „między” to odnaleźć siebie: to odwieczna tęsknota do pełni i pogodzenia przeciwieństw, pragnienie harmonii i istotności. To jest klasycyzm – wysublimowany i przefiltrowany przez traumę doświadczeń współczesności, mający odwagę wątpienia i marzenia, będący jednocześnie obrazem twarzy i lustra, tego, co prywatne i tego, co wspólne, ja osobnego i ja wielokrotnionego – w historii, religii, sztuce, dziedzictwie przeszłości; rozpięty między intymnością a komercją, przyziemnością i anielstwem, zmysłowością i bólem przemijania...

Utrwalić to, co ulotne, choć zawsze dla kogoś z jakiegoś względu ważne, ująć w słowie wrażenie, impresję zmysłów lub wyobraźni „posłusznej lękom jak barokowy światłocień” (*Paliatywy*, s. 74). Poezja Dariusza Dziurzyńskiego jest też przecież zmysłowa, malarska, impresjonistycznie finezyjna w rysunku i kolorycie, starająca się uchwycić rytm i wzorzec zaplątany w chaotycznej fakturze rzeczywistości. Czasem odnajduje go dzięki żartobliwej ironii, która bywa najlepszym komentarzem do codzienności, bo dlaczego na przykład nie przyznać się (w sposób jak najbardziej naturalny i pozbawiony zadęcia), że „bardzo lubię słodczyce / i czuję niepoahamowany pociąg / do dekadencji towarzyszącej kawie”, gdy herbatniki Leibniz „w aksamitnych tunikach czekolady / leżą na kryształowej paterze / jak ostatni Rzymianie” i ... „mają pięćdziesiąt dwa ząbki / i po tym można je odróżnić / od barbarzyńskich ciastek” (*Zapraszamy do reklamy*, s. 76). Może i tu tkwi jakaś tajemnica?: „Tylko dlaczego akurat / pięćdziesiąt dwa ząbki? – zapytuje Leibniz”. (Który? Może ten od monad i teorii osobności w wielości porządkowanej boską wolą?)

Poezja Dziurzyńskiego, co dziś rzadkie niezwykle, wyraża podziw dla świata, który stworzyliśmy, świata ludzkiego; szczerze i bez maniery umie zachwycić się jego cudami i różnorodnością, jest pochwałą człowieczego geniuszu i kunsztu („Jaki geniusz wyrzeźbił powietrze / oddychające łuskami gotyku? – *Ratusz*, s. 48), poprzez który przemawia tajemnica istnienia, prawdy i dobra na zawsze złączonego z pismem: finezja metafory, subtelne niuanse niedopowiedzeń, przestrzeń dla wyobraźni pod dyscypliną

wiersza, cudowność odnajdywana pośród zwyczajności, teraźniejszość opisywana przez przeszłość, prywatność okazująca się modelem człowieka i świata – wśród tych antynomii i dylematów, pomiędzy

nimi, jest prawdziwa poezja. Znajdziemy ją w tomie Dariusza Dziurzyńskiego.

Anna Szóstak

Oczyma dwudziestokilkulatka – *Osiemdziesiąt cztery* Karola Graczyka

Karol Graczyk, *Osiemdziesiąt cztery*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów Wlkp. 2008, 62 s.

Osiemdziesiąt cztery – nowy zbiorek poezji Karola Graczyka potwierdza oryginalność i dużą sprawność warsztatu młodego (ur. w 1984 r.) poety. Większość znajdujących się w tej książce utworów została utrzymana w klimacie znanym już z debiutanckiego tomiku, *Oko i oko*. Przerazenie światem (czy też izolowanie się od niego w rzadko bezpiecznych czterech ścianach), przedawkowanie życia i zarażenie śmiercią – to obsesje poetyckie, które dominują w pierwszym zbiorze i mają swój ciąg dalszy w drugim. Choć obie publikacje dzieli tylko rok, wiersze z *Osiemdziesiąt cztery* są bardziej zróżnicowane i wydają się artystycznie dojrzalsze – lejtmotywy są tu realizowane z większym upodobaniem konkretności (szczególnie w erotykach), co nadaje utworom bolesnego ciężaru, zwłaszcza gdy tłem albo punktem wyjścia do mówienia o trudnych tematach stają się zwykłe, codzienne rzeczy. Poza tym podmiot liryczny nie jest tak jednorodny i nie zawsze należy go utożsamiać z poetą.

Problemem poruszonym w pierwszym wierszu, zatytułowanym *Płyniemy* jest kondycja tych, których można sprowadzić jedynie do kilku danych osobowych. Podmiot mówiący sytuuje się wśród nich, staje się niejako głosem swego pokolenia, mówi: „Nie ma nas w planach ani nekrologach / są tylko imiona nazwiska i daty”. Tytułowe „płyniemy” oznacza ciągły ruch, lecz jeszcze bez wyraźnie określonego celu. Wyborem spośród wielu możliwości jest to, „by wysiąść gdziekolwiek” (świetnie obrazuje to przewijający się w poezji Graczyka motyw jazdy pociągami). Momentalne tu i teraz układa się w ciąg niewielkich interwałów czasu, ale bez znajomości początku i końca.

Po trosze dekadenski, pesymistyczny wiersz ma charakter inicjalny, można by go więc traktować jako diagnozę postawy obecnych dwudziestokilkulatków, którzy nie są jeszcze skrytykowanymi, prawdopodobnie dlatego że nie dane im było doświadczyć tzw. przeżycia pokoleniowego. Jedynym, niepodważalnym mianownikiem tej generacji okazuje się rocznik.

Innymi ujęciami tego tematu są przede wszystkim dwa utwory ze zbioru o znamienitych tytułach: *Osiemdziesiąt cztery* i *Pokolenie '84*. Oba psychodeliczne, podrażniające. To mówienie o pokoleniu, na które wskazuje już nazwa tomiku, polega nie tyle na prezentacji określonej generacji jako grupy, co na zwielokrotnieniu spojrzenia, dzięki wprowadzeniu jako podmiotu tejże poezji jednostki wrażliwej, introwertycznej, autodestrukcyjnej. Dominujące w zbiorze pesymistyczne widzenie świata wynika z braku złudzeń, ale i ze stymulowania wyobraźni. Leki, alkohol i inne używki, bolesna miłość są antidotum na pustkę rzeczywistości. Seks w tym wypadku ma niewiele wspólnego z romantyzmem, a już zupełnie nic z sentymentalizmem. Bardzo przejmujące, mówiące nie tylko o fizycznych zbliżeniach, erotyki paradoksalnie stają się obrazem potęgującej się samotności. Brakuje tu ukojenia. Ból zostaje rozpisany na dwie osoby i nie ma mowy o przyszłości; jest, co jest tu i teraz. W *Ciepłej ziemi* znajduje się taki fragment: „Zostaje się nam pożegnać, jak przywitaliśmy: / bez wielkich słów, z uśmiechem na ustach”.

Brak zakorzenienia, chwilowość, a przy tym sprzeczności charakteryzują podmiot kilku wierszy. Na niebezpiecznym pograniczu, gdzieś pomiędzy

jawą a obłędem nienormalność może stać się normą: „W moich snach lodołamacze biegają po ulicach / to jest zupełnie normalne, jeśli jeże pożerają młode / by je chronić, a owce milczą idąc na rzeź (...)”. Wydaje się, że według autora percepcja świata jest zawsze relatywna, postrzeganie zależy od stanu podmiotu. Rzeczywistość widziana oczyma, czy raczej „okiem i okiem” poety jest niebezpieczna, śmierć czai się za rogiem, znieczulenia natomiast bywają jedynie chwilową ucieczką.

Uprawnianą przez Graczyka analiza przestrzeni jest – moim zdaniem – jednym z najciekawszych wyróżników jego poezji. Na przykład każdą strofę wiersza *Przekątne sześcianu* można zinterpretować jako kolejną próbę umiejscowienia się w czasoprzestrzeni. Miejsca dają się sprowadzić do pionów, poziomów, przekątnych, pięter, przedziałów. To kawałkowanie i zarazem scalanie obszarów zawiera się w sformułowaniach typu: „krawędź do krawędzi”, „z ulicy w ulicę”, „półka po półce”, „od łóżka do łóżka”, „z miejsca na miejsce”. Dokładne liczenie i mierzenie przestrzeni (motyw kafelków) czy jej szacowanie na oko jest niekiedy świadectwem zaburzonego widzenia rzeczywistości, a także klaustrofobicznych obsesji, gdy perspektywa ulega zwężeniu. Świat bywa sprowadzany do aktualnie dostępnych, widzianych czy przeżywanych miejsc: „za rogiem kończy się mapa świata”, „w mieście na południu zawęży się pole widzenia”. Jest i druga skrajność, kiedy nadwrażliwemu oku poety staje się dostępny zwierzęcy mikrokosmos (w wierszu o incipicie *W szczelinach parkietu*). Świat w jakimś stopniu zostaje odrzucony – taka sytuacja sprzyja szukaniu nowych możliwości, a wtedy „każdy centymetr podłogi / to osobne terytorium” (*Patologia*). Otwarcie się na inną rzeczywistość pomagają używki, miłość i poezja. W wierszu *Dryf* czytamy:

(...) Rozpoczniesz dryf – granicami
będzie szerokość łóżka i obszar między
palcami stóp – tam rozegra się akcja
którą sobie wymyślisz bez względu
na świat zewnętrzny;

W poezji Graczyka ujmowanie świata zewnętrznego (niekoniecznie rzeczywistego) jest podporządkowane emocjom, jednakże momentami autor stara się być, o ile to możliwe, „przezroczysty”.

W niektórych utworach poeta „filmuje” rzeczywistość. Pokazuje świat jak gdyby zza kamery (*Pływy*) lub też obraz poetycki wydaje się być kreowany wraz z odbiorcą, wyobrażany na gorąco (*Białe*). Autor potrafi również beznamietnym stylem budować napięcie. W wierszu *Sepia (na odwrocie: grudzień 1913)* dramatyczna historia zostaje opowiedziana najpierw w trybie przypuszczającym, potem w czasie przeszłym i następnie w czasie przyszłym, którego użycie dobitnie podkreśla, że złego zakończenia nie da się uniknąć, jest ono przesądzone.

Graczyka cechuje duża wrażliwość na rzeczywistość, przejawiająca się nawet tam, gdzie stara się on przedstawić coś chłodnym spojrzeniem. Świetnie to ilustruje wiersz *Okno*. Podmiot mówiący zwraca się do odbiorcy, nakierowując jego uwagę na szczegóły – „Teraz wyjrzyj przez okno”. Analityczne oko kawałkuje rzeczywistość. Rama okna, w którego rogach zostały zarejestrowane ruchome scenki, staje się tu swoistym ogranicznikiem. Poszczególne obrazy współtworzą pesymistyczną wizję przemocy, agresji i znieczulicy. Odwieczna zabawa dzieci w wojnę zawsze może mieć straszne konsekwencje. Ten problem stał się tematem *Wycieczki* – wiersza poruszającego w swej pozornej beznamietności, ze względu na ciężar i nastrój korespondującego z *Warkoczykiem* Różewicza.

W życie wpisane jest nicestwienie – o tym truzimie, rozważanym w literaturze wszystkich epok, Karol Graczyk potrafi pisać niebanalnie i różnorodnie. Towarzyszą temu rozmaite konteksty. Podmiot tych wierszy cechuje iście Wojackowe zarażenie śmiercią. Obsesyjne ćwiczenia w umieraniu nabierają niezwykle dramatycznej wymowy. Wykorzystanie motywów: wojny, zbrodni, morderstwa, samobójstwa sprawia, że śmierć zostaje pokazana jako coś odwiecznego, ale zawsze zaskakującego. I tu pojawia się kolejna wątpliwość: „(...) a my wciąż nie wiemy / czy poznawać historię czy tworzyć”. Poeta nie ucieka od dylematów współczesności, czego dowodzi *Polska armia wkracza do Tybetu*. Nieco ironiczny charakter tego wiersza można odczytać jak oskarżenie: oddajemy się własnym zajęciom, a „już jesteśmy martwi. / Lecimy w irackie powietrze”. Jest to bodajże jedyny w tym tomiku akcent polityczny.

Pytanie o śmierć łączy się z przemijaniem i upływem czasu w omówionym już wierszu *Płyniemy*. W utworze *Przezlas* z kolei poeta prezentuje świat w stanie rozkładu, próchniejącą rzeczywistość:

drzewa i sucha ściółka
przechodzi pod butem w proch.
Nie jest nawet śladem biologicznym
wyłącznie dopełnieniem definicji.

Opisy niekiedy ocierają się o estetykę brzydoty. W prezentowanym obrazach zwracają uwagę takie fragmenty jak: „ścierwa kilku psów i kotów”, „garby ziemi: palmy i mszyce. / szczury i fortepiany”. Ponadto omawiany tomik zaskakuje świeżością metafory. Skojarzenia z zakresu rozmaitych dziedzin, wulgaryzmy, cytaty (wyróżnione kursywą), nowe wyra-

żenia budowane na szkieletach utartych zwrotów – wszystko to charakteryzuje indywidualny styl poezji Karola Graczyka. Obrazowanie i nastrojowość jego wierszy mogą się kojarzyć z twórczością Wojaczka i Stachury, jednak – jeżeli w ogóle by tu mówić o wpływach i wzorcach – są to inspiracje niewpływające na oryginalność i odrębność poetyckiego spojrzenia zaprezentowanego w zbiorze *Osiemdziesiąt cztery*. Autorowi bowiem udało się wypracować własny sposób uprawiania poezji, wobec którego odbiorca nie powinien pozostać obojętnym.

Joanna Wawryk

Poemat Wachowiaka

Eugeniusz Wachowiak, *Wolności dla nas idzie czas*, MBP im. S. Grochowiaka, CICER, SBP Oddział Leszno, Leszno 2008, 96 s.

Literatura, sztuka przeoczyły Powstanie Wielkopolskie. Jedyne, jak wiadomo, zwycięskie powstanie w naszych dziejach. Nieco późniejsze trzy powstania śląskie, które wymusiły przyłączenie do Polski wschodniej części Górnego Śląska, już w połowie lat międzywojennych, więc niemal na gorąco, opisał Ślązak Gustaw Morcinek w wielowątkowym *Wyrąbanym chodniku*. Powstańcy, najczęściej górnicy, czynem zbrojnym wyrąbali chodnik ze Śląska do Polski. Po wojnie do powstańczej problematyki nawiązał w swoich filmach Kazimierz Kutz, najbardziej znany dziś Ślązak, reżyser, pisarz, polityk. W epopei reporterskiej Małgorzaty Szejnert *Czarny ogród* mamy pogłosy śląskich powstań, bo nie da się pisać o Śląsku i Ślązakach XX wieku, nie pamiętając o tamtych wydarzeniach.

Pisanie panoramicznej powieści o Powstaniu Wielkopolskim rozpoczął Eugeniusz Paukšta, wilnianin z urodzenia, poznański, Wielkopolanin z wyboru. Szkicował także scenariusz fabularnego filmu o zbrojnym czynie mieszkańców Wielkopolski. Uważał, że ta powieść i ten film to jego pisarska powinność. Moralny obowiązek. Przedwczesna śmierć pisarza przerwała tę pracę.

W 1978 r. Eugeniusz Wachowiak, Wielkopolanin z Leszna, poeta i tłumacz z literatury niemieckiej

opublikował poemat *Powstańczy polem wiedzie ślad*. Na renesans tego utworu przyszło, jak to często w historii bywa, długo czekać. W końcu ubiegłego roku poemat, nieco zmieniony, pod innym, wyrazistszym tytułem *Wolności dla nas idzie czas* ukazał się ze środków samorządowych w Lesznie. W ten sposób rodzinne miasto poety uczciło 90. rocznicę Powstania Wielkopolskiego.

Poemat Wachowiaka to raczej zbiór wierszy, które dość luźno łączy opis różnych powstańczych wydarzeń. Wielkich, które weszły do naszej historii. I epizodycznych, o których wie i pamięta jedynie poeta, żeby przypomnieć tutaj słynny wers Miłosza. Wachowiak w swoje wiersze, uznanie za pomysł, wpisał frontowe zapiski kapitana Jana Tomaszewskiego. I inne dokumenty z Powstania. Podniósł je do rangi wiersza. Poetycko nobilitował. Poszerzył nie tylko informacyjną przestrzeń swego poematu. Ale również przestrzeń emocjonalną. I dramaturgiczną. Pokazał Powstanie od wnętrza, od podszewki. Stracił z rocznicowego pomnika. Po prostu uczłowieczył je, spersonifikował. To połączenie poetyckiego słowa z dokumentem dało świeży, świetny efekt. Album *Wolności dla nas idzie czas* jest i do czytania, i do oglądania.

„W dniu tym – czytamy w zapiskach kapitana – wszyscy żołnierze współzawodniczyli w odwadze i bitności. Na szczególne wyróżnienie zasługuje dowódca kompanii gnieźnieńskiej śp. Wachtel, który.. poległ śmiercią żołnierza, wymawiając ostatnim tchnieniem imię Polski, jak autentycznie stwierdzono”. Niektóre akcje powstańcze, jak na przykład zdobycie Ławicy, zostały przeprowadzone po głębokiej analizie. Przemyślano każdy rozkaz, każdy krok. Wzięto pod uwagę różne sytuacje, które mogły się przecież zdarzyć... Ale Powstanie to także, jak zapisał ów kapitan, „przejawy niesubordynacji”, „rabowanie sklepów”, „rekwizycje”, bo żołnierze byli głodni, marzli w podartych butach, dręczyły ich wszy i parchy.

Na te śmiertelne zapasy, w których zwyciężyli w tym przypadku ofiarniejsi, lepiej zorganizowani i bardziej zaangażowani, Wachowiak patrzy nie jak chłodny obserwator z odległej perspektywy, tylko ich zwykły, szeregowy uczestnik. Po ciężkim boju o Kargową, Babimost i Kramsko, w lutowy dzień w zamartym borze dopada jego uczestników po obu stronach tego ruchomego, jak morskie fale, frontu, także jakby samego poetę, „taki psiakrew bolesny ziąb...”

Wachowiak wiele uwagi poświęca wybuchowi Powstania. Tej iskrze, która spowodowała płomień. A zaczęło się od, jak pisze z kronikarską dokładnością, wspaniałego przejazdu Ignacego Paderewskiego z dworca kolejowego w Poznaniu do hotelu „Bazar” w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1918 r. około dziesiątej wieczór. Nazajutrz w piątek 27 grudnia około jedenastej przed południem przed „Bazarem” zebrały się dzieci polskie, które nie chciały mówić „Vater unser” i mieć belfra feldfebla. Około piątej pod wieczór na ulicy Rycerskiej od pierwszej, celnej pruskiej kuli zginął trzydziestodwuletni Franciszek Ratajczak, który pracował jako górnik w Westfalii. I do Poznania przybył znad Renu, jak napisano

w nekrologu, „bronić naszej sprawy”. Pogrzeb odbył się „w Nowy Rok 1919 około godziny pierwszej w południe”. Tak rozpoczyna się *Kondukt Franciszka Ratajczaka* najlepszy wiersz w tym albumie. Jeden z najlepszych w obfitym i różnorodnym dorobku poetyckim Wachowiaka.

Wolności dla nas idzie czas to profesjonalnie przygotowany do druku przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Lesznie album, w którym wachowiackie słowo wzbogacają czarno-białe fotografie powstańców, kronikarskie zapiski, komunikaty. Powstanie Wielkopolskie przestaje być wydarzeniem anonimowym, historyczną magmą. Staje się zbrojnym, patriotycznym czynem konkretnych ludzi, z imienia i nazwiska. Z twarzy. Na jednej z fotografii rozpoznajemy Bronisława Grochowiaka, ojca Stanisława Grochowiaka, poety, także jak Wachowiak, z Leszna.

Wachowiak wpisuje w swój poemat bardzo ciekawą *Pieśń żołnierską zanotowaną przez ojca poety*. Pieśń, jeśli nawet nieco podkolorowana przez ojca lub syna, a może przez obu, koresponduje z legendami, mitami, wierszowanymi opowieściami o dzielnych niewiastach, które w potrzebie stawały na czele rycerzy, żołnierzy, pospolitego ruszenia. „Nie był to rycerz – czytamy w puencie *Pieśni*... – a rycerka, nie był to rycerz a rycerka, Sama Hallera córka, sama Hallera córka”. Wielkopolska Emilia Plater, która w przeciwieństwie do bohaterki Mickiewicza zwyciężyła, bo Powstanie Wielkopolskie było wszak powstaniem zwycięskim.

Utwór Wachowiaka zainspirował kompozytora Jacka Sykulskiego do stworzenia dzieła na orkiestrę symfoniczną, chór i solistów. Prawykonanie miało miejsce w auli UAM, dokładnie w dziewięćdziesiątą rocznicę wybuchu Powstania.

Janusz Koniusz

Przywołanie biografii

Stanisława Plewińska, *Świat był piękny, a ludzie niezgorsi*, Gorzów: „Arsenał”, 2008, 132 s.

Stanisława Plewińska do tej pory wydała cztery zbiory wierszy inspirowanych rodowodem chłopskim, stąd dużo w nich widzenia ziemi, przyrody, poczucia bliskości ze zjawiskami natury. Jest to poezja – można rzec – pisana sercem, bezpośrednim odczuwaniem najbliższego, w tym gospodarskiego świata. Poezja jednak nie pokazuje całej prawdy o człowieku, bo nie jest biografią *sensu stricto*. Bardzo często za każdym człowiekiem i z człowiekiem idą zaskakujące, dramatyczne dzieje, los obfitujący w wydarzenia, których byśmy nawet się nie spodziewali. Najnowsza jej książka *Świat był piękny, a ludzie niezgorsi*, tym razem prozatorska, jest tego najlepszym dowodem i przykładem. Jest to książka wspomnieniowa. Autorka w konwencji prozy pamiętnikarskiej stara się dokładnie zrelacjonować, opowiedzieć o dziejach swojego życia. Już od pierwszych stron wiadomo, że jej los naznaczony był trudnymi doświadczeniami. Najpierw dotyczyły one jej rodziców, później już jej samej. Trzeba przyznać, że ma Plewińska zdolność utrzymania swoich wspomnień w ryzach zwięzłości. Nie wdaje się w wątki poboczne, a zapewne mogłaby, ale trzyma się głównego nurtu swojego losu. Dobrze zrobiono dzieląc wspomnienia na nie za długie segmenty, wątki, opatrzone adekwatnymi tytułami, o osobnych zakresach tematycznych, bo ten zabieg sprawia, że lektura okazuje się bardziej przejrzyste porządkować przedstawioną opowieść. To, co może być w tej prozie najbardziej interesujące, to pokazanie drogi życia, a zwłaszcza strony materialnej, od dzieciństwa aż po lata dojrzałe, kiedy poetka już podjęła próbę wkroczenia na drogę literacką. Jest ta droga, jej własna i rodziny, dość charakterystyczna dla dużej części społeczeństwa polskiego, zwłaszcza najniżej położonej warstwy chłopskiej, można rzec, wzrastania od samych dołów. Ojciec autorki jeszcze przed wojną najpierw mieszka i pracuje w dworskim majątku, w czworakach, pisze Plewińska: „Chodząc za pracą rodzice często zmieniali miejsce zamieszkania.” Pędzili więc biedny żywot pracowników najemnych i sezonowych. W pewnym momencie decyduje się na usamodzielnienie, na stałe miejsce i nabywa kawałek ziemi, stawia dom, mały domek, trzeba raczej powiedzieć słowami wspomnienia: „daleko od wsi, od ludzi,

wśród łąk, stał dom nie-dom podobny raczej do małej szopki na bezludnej wyspie czekającej na zbłąkanego człowieka”. Od tego momentu ta szopka jednak nabiera statusu domu rodzinnego, w którym przychodzą na świat jej siostry. Z punktu widzenia dziecka wszystko jest mimo tych warunków nawet cudowne. Tu jest jednak radość, dzieciństwo pełne marzycielskich myśli, swobody, biegania po łąkach i miłości do świata i trudna równocześnie codzienność, bo brakowało czasami kawałka chleba. Pojawiła się choroba. Jeszcze w trudniejszej sytuacji są „nędzarze, którzy chodzili po prośbie. Wędrowali całymi dniami, spali w stogach albo gdzie ich noc zastała.” Z domem łączy się miejsce powrotów i tęsknoty, choćby w wieczór wigilijny, kiedy autorka, młoda dziewczyna, przez zaśnieżone pola niemal boso biegnie, wymknąwszy się w nocy od gospodarzy – Niemców. Autorka wspomina pierwsze wojenne dni, okropny chaos „na warszawskiej szosie”, licznych uciekinierów, pierwsze bomby, które zrzuciły samoloty. I służbę najpierw u złego Niemca w gospodarstwie, ale też mamy obraz dobrego Niemca, który ją broni przed krzywdą nieludzkiego traktowania. Dobrymi Niemcami są też gospodarze pod Berlinem. Traktują tutaj młodą dziewczynę z Polski z szacunkiem. Wyposażają w ubrania i żywność, gdy podejmuje się wracać do swego kraju po zakończeniu wojny. Plewińska bardzo obrazowo, konkretnie unaocznia swoje życie. Czasami oczywiście widzimy jej reakcje emocjonalne, sentymentalne. Okropność wojny dociera do niej przez widziane sytuacje i obrazy zabitych ludzi, których wszędzie było pełno, jak np. obraz młodego żołnierza niemieckiego zastrzelonego akurat w momencie pożywiania się kompotem z wiśni. Czyż to nie wstrząsające?

Po dramatach oglądanych przychodzi czas na tragedie osobiste. Albowiem osiedliwszy się na Ziemiach Odzyskanych w Maszewie nie jest jej dane zbyt długo cieszyć się swoim życiem rodzinnym, wychodzi szczęśliwie za mąż, doświadcza klimatu ludzkiej wspólnoty, wzajemnego pomagania sobie w polowych pracach, cóż kiedy nagle jednego dnia traci obydwu synów w wyniku ich choroby. Świat się zawala. Opisuje całą tę gehennę. Swoje głębokie załamanie psychiczne. Ból. To są naprawdę poru-

szające stronie. Później przychodzi czas odmiany związany z przeprowadzeniem się do Deszczna. Z wejściem w nowy etap. Gorzkie doświadczenia powoli ulegają zatarciu. Jadąc od Zielonej Góry ten dom Stanisławy Plewińskiej można z okien autobusu lub samochodu dojrzeć. Jest jeszcze w tej książce druga opowieść *Córka trzech matek*, ale już napisana nie w konwencji pamiętnika, lecz narracji trzecioosobowej, nawiązująca również do kręgu rodzinnych doświadczeń. Podobała mi się nieco mniej, gdyż

zanadto jest cikliwa. Cenne i funkcjonalne w tej książce są liczne fotografie, które mają wartość dokumentalną, ale i historyczną. Dobrze zostały wplecione w nurt opowieści. To jest książka o życiu autorki, ale zarazem obraz życia w przedwojennej Polsce i organizowania się życia po wojnie na obszarze pomorskim.

Czesław Sobkowiak

Nowy tomik Władysława Łazuki

Władysław Łazuka, *Kilka słów*, IBiS, Warszawa 2008, 96 s.

Rok 2008 był chyba dla Władysława Łazuki jako twórcy rokiem bardzo udanym. Jakże mogłoby inaczej być, skoro było mu dane wydać dwa duże objętościowo zbiorki poezji, jeden w Pro Libris pt. *Gdzie Drawy szybki bieg*, a drugi w warszawskim Wydawnictwie Książkowym „IBiS” pt. *Kilka słów*. Niejeden poeta by tego sobie życzył. Także dotarła do mnie wiadomość, że już w tym, czyli 2009 r., wyszła książka z jego fraszkami. Tylko gratulować. Oczywiście wiem dobrze, że tak się czasami zdarza, jest sprzyjający czas tworzenia i pojawiają się dobre okoliczności wydawnicze. Trzeba z nich korzystać, gdyż mogą się nie powtórzyć. Od razu nasuwa się pokusa porównania tych dwóch wydań. To, co jest dla nich wspólne, to osadzenie bohatera lirycznego w realiach wiejskiego życia oraz wśród przyrody. Różnią je akcenty. Pierwszy eksponuje głównie rodowód wiejski, związki z domem rodzinnym i okolicą, a drugi już niemal wyłącznie poświęcony jest szerokiej, pięknej i bogatej wewnętrznie fascynacji otaczającego poetę spektrum natury. Wśród tych realiów Łazuka czuje się jak u siebie w domu. Jest obserwatorem natury, wszystkich jej tchnień, tyleż bardzo uważnym co mimowolnym. Lubi ją kontemplować, a jednocześnie tkwić w niej zwyczajnie. Jakby w niej spełniała się w sposób najlepszy z możliwych jego życiowa droga. Poeta rejestruje ją nieustannie: „Mróz zamieszkał w ogrodach / po grudzie zbliża się zima / na dróźce pióra z gołębia”, a w innym „Na żdźble trawy / kołysz się kłós / – dopełnia się lato /

Z kwiatu ostu / motyl spija nektar”. Łazuka ma dar zauważania drobnych, migotliwych zdarzeń. Nie ma tu estetyzującego zachwyty, co raczej notowane jest trwanie i dzieło się przyrodniczego świata: „promień sięga w głąb”. To jest widzenie szczegółów w ciągłym ruchu. Może dlatego, a raczej na pewno dlatego, opisywanie ma charakter szkicowego pochwytowania zjawisk aniżeli ich całościowe i uporządkowane przedstawienie. Reszty światła, cienia, klimatu i aury barw i otoczenia musimy się domyślać. Poeta jest tym, który stara się zdążyć zauważyć i zanotować zjawisko w ruchu, gdyż za moment pole obserwacji się zmieni i wypełnią je inne refleksy i inne relacje oraz wzbudzą w nim samym inne skojarzenia. Bowiem nawet „Na drodze / cień / każdego dnia / inaczej”. To „inaczej” nie zniechęca, ale odwrotnie – zaciekawia. Pociąga do ciągłego poznawania. Fascynacja może nie mieć końca, gdyż za każdym razem coś zostanie odkryte: „Mgła opadła / jaszczurka wygrzewa się na pniaku”. Poeta zarazem jest też tym, który nie przypisuje sobie zbyt dużo praw, bowiem choć wewnętrznie odczuwa i chce odczuwać swój podmiotowy związek z całą naturą, to nie uzurpuje sobie żadnego przywileju narzucania jej czegokolwiek: „Już skrzeczą sówki / – przednie strażę / lasu / intruzem jestem / Wiem coś o tym...” Zdaje się więc jakby nie mieć zbyt dużo czasu na stały pobyt, gdyż kto inny jest lasu mieszkańcem. Wie o tym. Ta inność użycza mu gościny i trzeba ją wobec tego uszanować. Najlepszym sposobem jest korzystanie z uroku chwili,

pochwytywanie jej momentalnie, obrazowo: „Na piaszczystym pagórku / sosny pną się ku słońcu”. Może i coś więcej się z nimi dzieje, ale ta reszta nie musi być już opowiedziana, tak jak wtedy, gdy coś spontanicznie zauważa i obwieszcza dziecko. Raz w poezji łazuki mamy do czynienia z kimś w rodzaju właśnie dziecka, traktującego świat na poły baśniowo, a innym razem ze spojrzeniem już dojrzałym, pełnym refleksji, spojrzeniem obejmującym proces przemijania całorocznego cyklu natury, a na tym tle również obecność samego podmiotu, jego życia, o czym też w tym tomiku poeta nie zapomina napomknąć. Dzieje się wszystko szybko: „jest tchnienie wiosny / lata promień / a po nim jesień / w śniegach zima”. Zdania, wersy łazuki są krótkie. Nic nie trwa zbyt długo. Dlatego szansę zauważenia czegokolwiek ma tylko poeta niepozbawiony refleksu: „Kropla / wody / z leszczynowej bazi / spada / do strumienia”. W ten sposób tylko – powiedziałbym – nadąża, a za nim czytelnik: „krople wahają się / przez chwilę”. Oczywiście to wszystko wynika

z obranej poetyki, ulubionej i sobie właściwej, niekiedy nawet wzbudzającej niedosyt, niedostatek, w końcu chciałoby się być w szerszej panoramie, na dłużej w jednym miejscu, być osadzonym w realiach krajobrazu. To w końcu potrafi łazuka, tak jak w pięknym wierszu, dedykowanym Marii Morawskiej, czyż nie najpiękniejszym, poświęconym opisowi pobytu „tu w lasach”, gdzie w leśniczówce „W kominie huczy bo dobry jest ciąg / światło płomieni skacze po pokoju / siedzę i piszę wiersz” i „Widzę w poświęcie (księżyc w całej krasie) / jak sarny idą na pole ozimin”. Takim wierszem można odetchnąć, jego wszystkie napięcia są harmonijnie rozłożone. Mam, chcę to na koniec już zauważyć, do czynienia z poezją wrażliwego poety, który podejmuje nieustanny dialog ze światem zewnętrznym, dla niego jest nim świat przyrody, w której rozgrywa się swoiste być albo nie być. Jest w tym tomiku także kilka ładnych, delikatnych tonacji poetyckiego erotyku.

Czesław Sobkowiak

Wezwany w górę

Wystawa Władysław Kłępki ANABAZA II prezentowana w Zielonogórskim Ośrodku Kultury, 28.10.2008.

Sztuka, wśród mnogich definicji może mieć i taką: tłumaczenie świata na inny język. On sam przecież przemawia – różnymi językami, czy może jednym, własnym i tajemnym, ale w jakiś sposób pewnie do wszystkich, tyle że jedni wyraźniej słyszą, inni ostrzej widzą. Wiele zależy od tego, w jakim kontakcie pozostają ze światem, czy umieją się z nim porozumiewać oraz czy on, świat, pozwoli zajrzeć w siebie. Pozwoli na wiele, nawet na duże zbliżenie, o ile się do niego odpowiednio „przystępuje”, w takim znaczeniu słowa, jakie nadał mu Stachura. Zdawać się może, że w takim razie każdy artysta czyni to „należycie”. Otóż nie! Jak z przekładami – są udane, oddające pierwotny przekaz i takie, które gubią jego wartość, choć niby zachowują treść.

Ten wstęp był mi potrzebny ze względu na artystę, o jakim mam pisać oraz stąd, że język obrazów mam przełożyć na słowa. No i – sama się wpłatałam! Uda

mi się ta sztuka, czy nie? Zaczniemy od tego, że Władysław Kłępka jest autorem szeregu tomików poetyckich, których tytuły nie są rzeczą przypadku: *Węzeł serdeczny*, *Lato zimorodka*, *Świetlisty cień Rafaela*, *Bordiura z akantem*, *Siedmiokrąg*, *Za wiatrem za wodą*, *Zielonym do góry*. Już w samych tytułach jest coś obrazowego, malarskiego bez mała. Poeta mawia czasem o swoim pisaniu, że „bawi się słowem”. Jedni traktują to określenie z szacunkiem, inni może nieco pobłażliwie, ale często poprzestają na tym. Tyle że akcentując warstwę słowną, zatrzymując się nas tym poziomie, pozbawia się tę poezję jej głębszych znaczeń i coś ważnego się traci. Owszem, słowa dla poety są ważne; wzajemne oddziaływanie znaczeń, ich brzmienia, podobieństwa i zderzenia dźwięków sąsiadujących, ale są tym, czym barwy dla plastyka – nie samym tworzywem, lecz sposobem na wyrażenie tego, co... właśnie, czego? W przypadku

ProLibi

artystów, wypowiadających się poprzez różne dziedziny sztuki bywa tak, że one się dopełniają; gdzie słowa nie starcza – może dopełnić obraz i odwrotnie, ale nie jest tak w twórczości tego poety. Wydaje się bowiem, że choć plastyczne dokonanie były pierwsze, a i z wykształcenia oraz zawodowo pozostaje w stałym związku z plastyką, to jednak ma duszę i wyobraźnię na wskroś poetycką, toteż obie te sztuki są obecne w każdej jego artystycznej wypowiedzi.

Tytuł wystawy (ANABAZA II) prezentowanej w Zielonogórskim Ośrodku Kultury – tłumny wernisaż odbył się 28 października 2008 r. – kieruje interpretację obrazów wertykalnie, ale ich materia, jakby na przekór temu, w odwrotnym kierunku. A jest ona bliska poecie i to wielowarstwowo, gdy weźmie się pod uwagę nie tylko samo tworzywo, z jakiego powstały. To mianowicie papier, już „wyczerpany” słowem i powracający do swojej wcześniejszej, plastycznej postaci, jaką jest masa papierowa. Pominę techniczne szczegóły, a choć ważne i pracochłonne, budzące w czasie wernisazu widoczne zainteresowanie, to przecież drugorzędne, gdy patrzymy na gotowe obrazy. Należy jednak zwrócić uwagę na efekty, zwłaszcza kolorystyczne i przestrzenne, jakie dzięki tej technice artysta uzyskuje. Są one szczególnie wyraźne w abstrakcji, gdzie znakomicie uwidoczniona jest zróżnicowana faktura i struktura obrazu (nie bez przyczyny jeden z nich zatytułowany został właśnie *Struktura*), a trzeba dodać, że w niektóre obrazy wlepia on także inny materiał, może być to okrusz kamienia, fragment rośliny, włókno, strzępek materiału. Nie jest to tzw. malarstwo strukturalne, ale w jakiś sposób może się z nim kojarzyć.

Gdy mówimy obrazy, odruchowo myślimy o malarstwie. Otóż w tym przypadku jest tak i nie jest. Jeśli właściwością „malunku” jest farba – mamy ją i tutaj, jeśli narzędzia typu pędzel, i pędzelków artysta używa, a jednak wolalabym użyć słowa *lepienie*, które, choć wydać się może mało poważne, najlepiej oddaje walor i odmienność tych prac. Z masy, czegoś wtórnego lub właśnie powracającego do początków, Władysław Kłępka „zlepia” świat na nowo. Każdy obraz jest zderzeniem widzenia – tego, co realne, co widziane w wyobraźni oraz pewnego przypadku, jakim jest samo tworzenie dzieła. W tej jednakże technice, jak podkreśla sam autor, trudno precyzyjnie zaplanować sposób, w jaki rozleje się tworzywo malarskie. Stąd efekt jest, do pewnego stopnia, nawet dla niego niespodzianką. Czasem pisarze mówią

o swoim bohaterach, że im się wymykają i żyją własnym życiem. Coś podobnego dzieje się i tutaj, a jest szczególnym urokiem i wymiarem tych prac. Nie sposób przecież „zapanować” nad światem, nawet tym stwarzanym na nowo, a pewna bezbronność tworzącego wobec materii, jest jedną z tajemnic sztuki. To wydobywanie z niej, z materii, tkwiących w niej wcześniej możliwości.

Dokładnie tak, jak ze światem realnym... Tu wracam do początku i podkreślam dające się zauważyć zbieżności jego poezji i plastyki: Władysławowi Kłępce świat najwyraźniej chce się pokazywać, nie umyka przed nim. Odmienność ta, że w poezji widzimy z bliska, nawet bardzo bliska, zaby i koniki polne, gniazda ptasie i żdźbła traw, słyszymy życie nieustannie dziejące się obok nas, którego na co dzień nie zauważamy lub które, bywa, nawet rozdeptujemy. W obrazach poety dzieje się mniej, na niektórych panuje głęboka cisza, a perspektywa patrzenia na świat nieco się oddala, jakby malarz chciał ogarnąć więcej, a poeta – dokładniej. Bardzo ciekawy, może nawet symboliczny, jest jego „cykl solarny”. To szereg obrazów, w których centralnym punktem jest słońce, a ono, jak umiejscowiamy w nie patrząc wiadomo, może mieć przeróżne barwy, jak i sam świat. Mogą być mroczne albo przeświecone, zieleń może być niebieskawa lub żółta, a czasem wydaje się, że nic na ziemi nie ma „swojego” własnego koloru, wszystko zatopione jest w szarości. Bo to i prawda, wszak od rodzaju i natężenia światła zależą barwy i kształty świata. W niezwykle prosty, rzec by można nawet – po dziecięcemu prosty sposób oczy artyści to widzą, a wyobraźnia i dłoń pokazują. Podobnie jest z szeregiem pejzaży, aczkolwiek to nieco umowna nazwa, zważywszy ich małą wyrazistość, zwłaszcza w poszczególnych elementach krajobrazu. To obrazy czegoś, co czasem majaczy na horyzoncie, jakby było na wpół snem, na wpół przypomnieniem lub odpamiętywaniem, często owinięte zasłoną mgły lub półświatła. A na obrazie – są to przenikające się w kolejnych planach płaszczyzny barw, na ogół stonowanych, ożywionych kropkami, plamkami i plamami, wzmagającymi walory świetlne i przestrzenne. Efekty podobne, pewnej nieostrości, rozmycia dają najczęściej akwarele lub pastele. Jest w tych obrazach dużo ciszy, spokoju, czasem melancholii i ciepła, choć oczywiście nie zawsze. W kilku przypadkach obrazy są wyraźnie agresywne, mocna barwa i niespokojna falistość linii dominuje, wychodzi do widza, zmuszając go do cofnięcia się.

Wystawa, o której mowa, podzielona jest na kilka części. Znamienne jednak, że tylko jeden cykl, niewielki, poświęcony jest ludziom. Większość to obrazy z ich nieobecnością. A i tych kilka to raczej niewyraźne sylwetki ludzi, jakby cienie tylko. Są one, poza jednym obrazem, pt. *Tańczące*, statyczne. Stoją lub siedzą, często w tzw. postawie zamkniętej, zwrócone w swoją stronę lub tylko obok będące, jak by ich nic lub niewiele łączyło, może rozmawiają, może oczekują. Na co? Może na możliwość zbliżenia... Wychodzą z zagęszczonego tła czasem ledwie zaznaczonym konturem, jakby je otoczenie wchłaniało, albo tak bladą plamą, jakby były jedynie znakiem własnej obecności, nie zaś życiem prawdziwym. Znamienne i niezwykle są także autoportrety. *Autoportrety z czasu przemian* – tak nazwał je autor. Tu, jak sądzę, patrzący mieć mogą szereg interpretacyjnych domysłów. Autoportret? Jak poznać artystę, skoro nie ma twarzy? To znów tylko zarys, obrys głowy, wydłużonej szyi i – w porównaniu z głową – dość nikłych ramion. Czym się różnią? Otóż aurą. Pierwsza „podobizna” jest szara, ale opływa ją nieomal krwawa, ognista aura, a ten sam kolor mają oczy. Ci, którzy bliżej weszli w tematykę barw wiedzą, że kolor czerwieni, wbrew potocznym mniemaniom wcale nie musi być ciepły. Przeciwnie, może mrozić niepokojem. I coś takiego jest w tym obrazie, coś elektryzującego, przenikającego dreszczem. Druga postać, w której ledwie widoczny jest ślad twarzy, choć ma niby ciemniejszy kolor, przecież, paradoksalnie, jest jaśniejsza. Ta „wydziela” słoneczną, ciepłą aurę, a całość jest wyraźnie spokojniejsza. Interpretacje? Nie, pozostawmy to jako tajemnicę malarza.

Ponieważ cała ekspozycja jest doprawdy obszer-na, trudno omówić wszystkie obrazy. Nawet najciekawszych nie sposób w szczegółach zaprezentować. W szczegółach? Ba! Otóż artysta szczegóły właśnie pomija! Trzeba jednak doprecyzować: chodzi o szczegóły w potocznym znaczeniu, jako detal, owszem, mający znaczenie, ale w obrazach mistrzów holenderskich czy włoskich, kiedy obraz był tym „lepszy”, im wierniej je odtwarzał. Skoro w autoportretach brak „rysów szczególnych”, czegokolwiek zwanego podobizną, rozumiemy, domyślamy się przynajmniej sensów ukrytych. Ale też autoportrety są o tyle charakterystyczne, że oddają istotę malarstwa Władysława Kłepki. W jego pracach chodzi raczej o pochwycenie „istoty” rzeczy przedstawianej. Najlepszym tego określeniem jest słowo, które

utworzył Czesław Miłosz: „sroczość”. Otóż takie są prace tego malarza. Jest na wystawie obraz zatytułowany – *To jest ryba*. Podpis pod obrazem jest, oczywiście, przejawem poczucia humoru twórcy. Bo to na pewno nie jest ryba, ale jest to właśnie „rybość” (a może rybność? – jak to woli). Podobnie obraz *Tańczący* – to nie nie ludzie w tańcu, ale wirujące, roztańczone barwne linie i plamy, ujęcie istoty tańca. Szczególne wrażenie czyni także *Sacrum*. Obraz dobrze eksponowany – świadomy zamysł czy intuicja komisarza wystawy – umieszczony jako jedyny na odrębnej płaszczyźnie. Stoimy za kilkoma znieu-chomiałymi sylwetkami (znów jedynie ich zarys), które wrastają w dolną linię, wychodzą z niej, a na linii naszego wzroku wznosi się biały krzyż. Taki najprostszy, jakby ręką dziecka uczyniony, otoczony ciepłą, rozświetloną aureolą, zataczającą trójbarwne półkola. Można, jeśli ktoś chce, zobaczyć tu jakiś zarys ołtarza, ale – w jakiś niesamowity sposób przywodzi on na myśl kształt Świętej Głowy z bizantyjskiej ikony. Głowy, której twarz zastępuje ów krzyż. Cisza, skupienie, kontemplacja, s a c r u m, nic więcej. I w tym obrazie jest to także, co charakteryzuje całą twórczość Władysława Kłepki – nie wiem, jak to nazwać inaczej, by nie aż tak prozaicznie: przy minimum środków, maksimum wyrazu. Nie efektu! Boże broń, właśnie wyrazu!

Kilka lat temu Władysław Kłepka wydał podwójny tomik, w którym jedną jego stroną były haiku, drugą (odwrotną, tj. „do góry literami”), stanowiły tanka, również krótka i mająca także japońską proveniencję forma. Ów tomik (*Za wiatrem za wodą*) ozdobiony jest niezwykle delikatnymi rysunkami autora, nawiązującymi do japońskich tradycji. Doprawdy – prześliczne! Ale, choć i one godne uwagi, nie o tym chcę mówić. Otóż wydaje się, że można by poszczególnie obrazy „podpisać” owymi haiku i tanka. Tak zresztą czyniono na Dalekim i najdalszym Wschodzie, gdzie słowo lub kilka słów często wplatanano w malunek. Tytuł tej wystawy można oczywiście różnie sobie tłumaczyć, dodawać znaczeń. A to, że rzeczą artysty jest iść ciągle w górę, że wchodzenie w górę, to także wejście w głębię, albo – że patrząc z góry widzimy inaczej, szerzej, że wówczas linię horyzontu możemy mieć nawet na wysokości stóp, nie oczu (o, jakże dla artysty ciekawa perspektywa malarska!) lub – jak ktoś chce jeszcze szerzej – że w końcu życie to przecież ciągle wchodzenie. Mnie jednak „czyta się” ta wystawa, w jakiś sposób, poprzez poezję jej autora. Może dlatego, że znam

ją wcześniej, ale zapewniam – warto poznać obie!
I oto właśnie jedna tanka mówi o czymś tak ulotnym,
jak *Okamgnienie*, (taki jest tytuł), a cóż dla malarza
ważniejszego:

W grach światłocienia
miłość nabiera życia
Krople wydarzeń
w nienasyconych oczach
nie gaszą światła cieniem.

Nawiązując do tytułu wystawy, omówienie to
nazwałabym nie swoimi, lecz właśnie słowami poety
barw, malarza słów, wziętymi z jednego haiku:

wezwany w górę
grudka ziemi – skowronek
śpiewa na chwałę

Jeśli w tych obrazach, pełnych słońca (choć nie
zawsze jasnego), ziemi, wody, nieba, pól zielonych
i pszenicznych, obrazach, jak i jego poezja, nasyc-
onych Naturą, nie ma skowronka, to tylko dlatego, że
został wezwany w górę, a malarz wciąż za nim
patrzy...

Pewną oceną wystawy jest zawsze pytanie: czy
chciałoby się ten czy ów obraz mieć we własnym
domu, budzić się z nim, zasypiać, odpoczywać lub
przy nim pracować? Proszę mi za przesadny entu-
zjizm nie wziąć mojej odpowiedzi, bo jest ona nie
tylko moja, widziałam to w oczach patrzących.
Gdyby dziś było miłośników sztuki stać na „naby-
wanie” jej, pod każdym obrazem widniałaby literka
„R” – zarezerwowane. Niektóre, pewnie by licyto-
wano!

Maria Miłek

Refleksje o pamiętniku Marii Dąbrowskiej

Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, Czytelnik, Warszawa 1988, 1914–1965, wyd. od 1988.

Pewnego razu, podczas wyprzedaży książek na
jarmarku w Babimoście, kupiłem za symboliczne
raczej pieniądze kilkutomowe *Dzienniki* Marii
Dąbrowskiej (Czytelnik 1988). Jakoś wcześniej nie
wpadły mi w ręce, specjalnie ich zresztą nie poszuki-
wałem.

Lekturę zacząłem parę lat temu podczas waka-
cyjnego urlopu w Suwałkach. Pomiąłem obszerny
wstęp Tadeusza Drewnowskiego, woląc samemu
dochodzić, co autorka *Nocy i dni* ma do przekazania
czytelnikom. Wstępem zająłem się na końcu...

Jedną z pierwszych rzeczy, które w tych zapiskach
odkryłem dla siebie, to rozliczne znajomości młodej,
jeszcze nieopierzonej pisarki Marii Szumskiej, z posta-
ciami, które w przyszłości miały decydować o losie
Polski. Wspomnienia zaczynają się bowiem na samym
początku I wojny światowej (pierwszy wpis jest
z 13 listopada 1914), ale znajomości sięgają lat stu-
denckich Dąbrowskiej, okresu jej działalności
spółdzielczej, społecznej, niepodległościowej. Wpro-
wadzona m.in. przez swego męża, Mariana
Dąbrowskiego, autorka miała w przyszłości korzystać

z tych znajomości, ale nie w dzisiejszym znaczeniu
„załatwiania” sobie czegoś. Te kontakty z wybitnymi
postaciami nauki, kultury, polityki, wojskowości mogą
budzić zazdrość ze względu na ich wartość intelek-
tualną. Choć z drugiej strony światek kulturalny, inte-
ligencki XX-lecia międzywojennego nie był raczej zbyt
wielki (skupiał się w Warszawie, we Lwowie, Krako-
wie i Wilnie) i niemal wszyscy siłą rzeczy musieli się znać.

Inna sprawa, która rzuciła mi się w oczy podczas
powolnego czytania *Dzienników*, to trzeźwość kon-
statacji i dystans, jaki pisarka potrafiła utrzymywać
wobec biegnącej obok rzeczywistości. Wiele z jej ocen
dotyczących zachowań ludzi, społeczeństw, mecha-
nizmów politycznych jest nadal aktualnych. Ba, są
w tych zapisach oceny tak ponadczasowe, że aż
smutne. „Czytam listy Orzeszkowej. Nieskończony
smutek wielkiego osamotnienia wieje z tych listów.
W Polsce było zawsze tak, jak jest dzisiaj. Pomyje
i plwociny dla wielkich i szlachetnych, uznanie i entu-
zjizm dla bałwanów lub zgola nędzników. Straszno
jest żyć i pracować w tym kraju tak niewdzięcznym
i w którym kochać można tylko: kilkoro ludzi, ziemię

i swoją złotą o Polsce chimere” (t. 2, s. 204–205). Czy coś się zmieniło u nas w tej mierze albo wygląda chociaż, że idzie w kierunku zmian? Nie...! A powyższa wypowiedź pochodzi z lat 30. Ale co sądzić o zapisie z 4 grudnia 1916 r.? „Grabowski opowiadał o hopkach, jakie młodzież wyprawiała Sikorskiemu w Warszawie. Okropne. Podobno w Warszawie nikt o nikim inaczej nie mówi, tylko że »przekupiony«. Ten przez Niemców, ów przez Austriaków, inny przez Żydów, masonów itp. Cała Polska przekupiona w swoim własnym mniemaniu. I tak tą fikcją przekupienia wszyscy się w sobie żrą” (t. 1, s. 69). Wygląda jakby to dotyczyło roku 2006 lub 2007 w państwie państwa Kaczyńskich. Podobnie jak zapis z 11 lipca 1921 r.: „Czym jest Polska? Straszliwe złodziejstwa, szwindle i nadużycia. Obracanie na własną korzyść powierzonymi państwowymi pieniędzmi to jedno z najmniejszych przestępstw. Obok złodziejstwa – niedołęstwo, nieporządek, nieład” (t. 1, s. 156).

Takich fragmentów jest sporo. Co zatem zaskakuje i co uderza w kontekście sytuacji obecnej Polski, 20 lat po transformacji ustrojowej, to niesamowite wręcz analogie między tamtymi a dzisiejszymi czasami. Albo może inaczej: niezmiennosc negatywnych postaw i charakterów Polaków kiedyś i teraz, co oznacza, iż społeczność nad Odrą i Bugiem, a także Wisłą mimo upływu kolejnych dekad, zmian ustrojów, przesunięć terytorialnych państwa po prostu nie dojrzewa. Nie wyciąga wniosków z przeszłości. I nie sieje ze sobą wciąż te same, najgorsze cechy społeczne.

Te fragmenty pamiętników, które wręcz porażają aktualnością, zacząłem sobie podkreślać i wynotowywać w miarę lektury. I z nich zrodził się ten szkic. Smutne w nich jest to, że gdyby Dąbrowska żyła dziś, owe obserwacje mogłaby „toczka w toczkę” powtórzyć.

Ale ma również wręcz wizjonerskie, czyli perspektywiczne uwagi dotyczące kraju. 14 października 1918 r. spotkała w Warszawie manifestację „grobowo i przewlekłe zawodzącą: »Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Paniek. Dużo okrzyków i napisów: »Niech żyje Piłsudski«, a nawet »Niech żyje Wilson«, ani jednego: – niech żyje Gdańsk, Śląsk, połączona Polska” (t. 1, s. 116). Zapewne to wydarzenie było odbiciem propagandy piłsudczykowskiej, jak i prowschodniego nakierowania ówczesnego społeczeństwa w zaborze rosyjskim. Ziemię piastowskie nie były ważne, „zamęt” powstania wielkopolskiego nie

był Piłsudskiemu na rękę, co zresztą później się ujawniło w jego pismach, postawie, wręcz niechęci wobec Wielkopolski.

Lecz Dąbrowska już wówczas potrafiła patrzeć na kraj szeroko, politycznie. Dlatego zanotowała: „Jesteśmy naród nie z baśni, tylko z bajki, żywy temat do satyry, i to jest to miejsce, z którego może się zacząć szerzyć śmierć na cały organizm. Naród tragikomiczny, groteskowy, patetyczny, naród bez prostoty”. Zatem M. Dąbrowska zauważa coś, czego ludzie będący przy władzy (obecnie i w przeszłości) nie zauważają albo nie rozumieją. Dziś, w dobie kaczynizmu-tuskizmu, w dobie kapitalizmu, którego pisarka na pewno nie była zwolenniczką („Jaka straszna gra międzynarodowego kapitalizmu wszystkim, co jest osłonięte sztandarami czcigodnych hasel”), zapewne znowu znalazłaby się na cenzurowanym, choć trudno też byłoby tę wielką postać pominąć, nie zauważyć.

W czasie lektury tomów codziennych niemal zapisów wybierałem (początkowo chyba nieświadomie, tylko dla własnej satysfakcji) fragmenty pasujące do dzisiejszej rzeczywistości. Wręcz profetyczne. Po zakończeniu lektury uznałem, iż warto się tymi „kawałkami Dąbrowskiej” podzielić. Co czynię. Czytajcie, Moi Drodzy, i porównujcie z dzisiejszą smutną Polską!

Masoneria

„Masoneria polska rozwiązała się sama z czystego patriotyzmu, aby nie utrudniać pozycji rządu i aby nie dostać się pod mordę polskiego chuliastaństwa (...). Przedstawiciele masonerii poszli o tym oficjalnie zawiadomić Składkowskiego. Mimo to Prezydent ogłosił dzisiaj dekret o rozwiązaniu stowarzyszeń wolnomularskich, co oczywiście daje takie wrażenie, jakby masoneria rozwiązała się na rozkaz z góry; a to jest nieprawda (...). Stwarzanie pseudofaktów historycznych.

Każdy z ludzi, wymienianych w nagonkach i denuncjacjach (fałszywych w dodatku) w prasie gadzinowej jako mason, jest wobec swoich prześladowców jak święty wobec świń. (...) Wiem też i o tym, że każdy, na kogo szczują jako masona, to z reguły człowiek prawdziwie na obraz i podobieństwo Boże. Zawsze to są i byli ludzie z typu, który Polskę w dziejach dźwigał do góry; natomiast ci, co walczyli z masonią, to byli zawsze ludzie z typu, który Polskę gubił i grzebał.

(...) Druga rzecz to oddanie wykonania tego dekretu w ręce (obok ministra Spraw Wewnętrznych) – Grabowskiemu, deprawatorowi polskiego sądownictwa, prześladowcy więźniów, jednemu z tych ludzi, jakich zwykle krwawe rewolucje wieszają na łąkach. I pomyśleć, że szubienicznik ten jest ministrem w odrodzonej Rzeczypospolitej. Noc zapada nad naszą ojczyzną, może zresztą nad światem, który przechodzi stopniowo we władzę złych ludzi” (t. 2, 279–281).

Polityka zagraniczna

„Myślę o naszych sprawach. O tym, że Polska jest dziś nielubiana i niepopularna w całym świecie, mimo głuszcowego tokowania i samoupajania się na wewnątrz i pasowania kanaliowatego Becka na bohatera narodowego. Cała nasza polityka zagraniczna zdaje się być czymś, co nawet psu na budę się nie zda (obym się myliła!). Jest to polityka na złość robienia to Francji, to Czechom – która jeśli nie ma doprowadzić do wojny, co byłoby zbrodnią i nie-szczęściem, to w ogóle nie ma sensu. Polityka żołdatów” (t. 2, s. 80).

O księżach i biskupach

„Przyjeżdża Jadzia. Księża zrobili na nią i na panią Dobek donos do biskupa i do ministerstwa, że »uprawiają komunizm«. Z czym można tych ludzi porównać, to już nie wiem doprawdy. Chyba ze świniami, i to zbyt wiele zaszczytu. Wszystko co szlachetniejsze, zacznie wkrótce w Polsce od nich cierpieć” (t. 2, s. 176–177).

Endecja

„Telefon od Wolfkego o nikczemnych awanturach opryszków studenckich. Obrzucili go jajami. To się dzieje wobec profesora, który jest chlubą nauki polskiej i który w każdym innym kraju mógłby być sławą światową. Nie ma już na to wszystko słów. Polska staje się krajem bandytów i chuliganów. Wystarczy odezwać się szlachetnemu człowiekowi aby skierowały się przeciw niemu majcher, nóż, kastet – fajno (...).

Michałowić zrobił nam piękną niespodziankę. Jeden jedyny spośród 700 profesorów wystąpił (...) przeciwko zajęciom z prof. Wolfkem i antyżydowskim” (t. 2, s. 182–183).

„Ujejski opowiada o bestialskim zniszczeniu uniwersytetu przez endeckich Hunnów i o ich bez-

wstydnie tchórzliwym zachowaniu się wobec policji. Straszne czasy, w których policja jest ostatnią instancją (...). Nikczemna ulotka endecka, łącząca już bez żadnych skrupułów, przesycona jadem ponurej nienawiści. Ale Ujejski jest naiwny, ponieważ nie wie, że jego własny rząd (którego jest wiceministrem) wchodzi w tajne konszachty z endekami i subsydiuje ich pisma” (t. 2, s. 185).

Proamerykanizm i endecja

„Dziś endecja wielki pochód narodowy urządziła, na którym bardzo niesmaczne było niesienie jak Matki Boskiej portretu Wilsona. Okrzyki na cześć Wilsona »obrońcy narodu polskiego« i koalicji. Jest to chyba mimowolna (co chyba nie sprytnie robiona) reklama najazdu nowego – amerykańskich wytworów i kapitałów, które się już szykują na Polskę, a naiwni i dobrodusznicy Polacy już braterstwo broni i idei widzą w Amerykanach. A jednak mimo całej dobrej woli, z jaką roztrząsam ich politykę, endecy nie przestaną mi być wstrętnei. To prawda, endecja jest taka, jaką jest większość społeczeństwa, i dlatego ma siłę, ale ta siła polega na pobudzeniu i wykorzystywaniu pod maską idei niskich instynktów mas” (t. 1, s. 125–126).

Piłsudski

„»Nie ma wojska bez Piłsudskiego« to pusto brzmiący frazes. Od jednego śmiertelnego człowieka nie można uzależniać rzeczy tak wielkiej jak wojsko narodowe” (t. 1, s. 117).

„Piłsudski rozczarował mnie. Witany przez tłum, powiedział z balkonu, że jest chory na gardło” (t. 1, s. 124).

„Marszałek Piłsudski ogłosił artykuł, w którym najgorszymi wyrazami zezwał od ostatnich cały sejm, specjalnie od ciężkich idiotów i plugawców wymyślał Woźnickiego i Libermana, a ostatecznie – lżył, jak zawsze, cały naród” (t. 1, s. 285).

„Dziś ukazała się nowa enuncjacja Piłsudskiego. (...) Na końcu jest znów historyjka o ekskrementach. Między innymi Marszałek powiada, że on wynalazł sejm. Chociaż to nie jest zgodne z obiektywną prawdą. (...) Marszałek w ciągu całego swego życia niszczy narzędzia działania i walki, które sam stworzył. Tak było z wydziałem bojowym PPS, tak było z Legionami, tak jest z sejmem. Może to jest najbardziej twórcza droga? Może te plugawe wymyślania są odpowiednikiem piorunów jakiegoś Savonaroli? Dlaczego każdy krok obecny Piłsudskiego

budzi taki sprzeciw wewnętrzny i takie uczucie wstydu z siebie" (t. 1, s. 303–304).

Ostatni tom dzienników, piąty, czytany po paru latach już w realiach domowych, nie zaowocował podobnymi zakreśleniami ówkiem na książce. Więc ich nie przytaczam. Przyniósł jednak końcową refleksję, iż wybitna pisarka – po II wojnie, już w PRL – jako człowiek-instytucja, mimo trudnego okresu stalinowskiego, potem łżejszej gomułkowszczyzny, wciąż, do samego końca, pozostawała sobą, a także socjalistką i patriotką. Socjalistką w duchu spółdzielczości Abramowskiego, wielkopolskich organiczników, ba, także w duchu ideałów masońskich. Mocno trzymała się ziemi, realiów i... Polski. Jeżdżąc po wojnie do zakładów pracy, na spotkania autorskie po kraju i Europie, bywając też na salonach władzy

obserwowała niedorzeczności realnego socjalizmu, ale i sukcesy tegoż ustroju i ich nie negowała. Zachowywała wobec socrealizmu dystans i krytycyzm. Ale podobnie wobec Zachodu. Z tej drogi nigdy nie dała się zepchnąć i to w niej cenię najbardziej.

Myślała nie tylko o sobie, ale o kraju, jego obywatelach. Wypowiadała się z myślą o nich, prostych ludziach. Brzmi to może górnołotnie, lecz Dąbrowska była „ze starej szkoły”, dla której długo nieobecne na mapie Europy państwo polskie było wartością nadrzędną. Dlatego w czasie wojny pozostawała w kraju, w Warszawie. Takich ludzi, „państwowców”, już chyba nie ma. Ostatnim był, zdaje się, Jerzy Giedroyc. Dlatego docierając do ostatnich zapisów dziennych pisarki w 1965 r. czułem autentyczny żal, że odchodzi z tych kart.

Eugeniusz Kurzawa

Męczący „Bóg urojony”

Richard Dawkins, *Bóg urojony*, Wydawnictwo CiS, Warszawa 2007, 520 s.

Kupiłem sobie *Boga urojonego* autorstwa Richarda Dawkinsa. Rewelację ostatniego okresu, recenzowaną tu i ówdzie, pretekst do polemik w różnych czasopismach. Dla mnie także – w zamyśle – szansę poruszenia stęchłego życia umysłowego w Polsce. Opasła pozycja liczy ponad 500 stron, „trochę” kosztuje i wymaga czasu, żeby ją „zaliczyć”.

Oczekiwałem, nie tylko jako ateista, ale i czytelnik różnych innych interesujących pozycji z tego zakresu, że znajdę w książce ciekawe, a przede wszystkim odkrywcze rozważania i mądre argumenty. Myślałem, że po lekturze polecę dzieło znajomym i będzie to dobry pretekst do dyskusji. Publicznych lub domowych.

Tymczasem zdołałem przebrnąć pierwszych 160 stron i książkę odłożyłem. Może uda się ją kiedyś zmęczyć. Może zmienię zdanie. Może potrzebuję dystansu. Na razie jednak muszę stwierdzić, iż pozycja ta wprawia mnie w irytację głównie z powodu manieryzmu autora i publicystyczności całego tekstu. I dlatego nie mogę jej studiować dalej, nie wkurzając się. Wobec powyższego rzecz wstawiłem na półkę.

Ważne bowiem (wydawałoby się) dla wielu ludzi rozważania filozoficzne traktuje Dawkins jako przede wszystkim możliwość polemik z bliżej mi nieznanymi mędrcami Zachodu, znajomymi, wydawcami i bóg wie kim jeszcze. Rzecz cała umocowana jest w sosie licznych dygresji, anegdot, jakichś jednonarodowych dowcipów sytuacyjnych lub językowych, gdyż wszystko odbywa się w anglo-amerykańskim światku naukowców-publicystów. Czyżby uważał, że inny świat, poza opłótkami Stanów Zjednoczonych, już nie istnieje?

Być może pisarz chciał, po amerykańsku, wykazać się lotnością, a dzięki żartom przemycić poważne treści, ale z tego wszystkiego pozostał mi w głowie tylko wykład o czajniczku Bertranda Russela. Trafny – dodam. Większość dowcipów okazała się jednak (tylko dla mnie, podkreślam) pustostawem zamulającym treść (ale być może dzięki temu rozdymającym objętość pozycji, co z kolei wpływa potem na honoraria) i nie pozwalającym skupić się na sensie, o ile jakiś sens w tym jest...

Wiem, to złośliwość prostaczka z Zielonej Góry wobec Autorytetu Zachodu, ale co mi tam, mogę

ProLib

sobie na to pozwolić. Jestem u siebie, czyli w języku polskim.

Manieryczność Dawkinsa odrzuca, świadczy bowiem o jednostronności pisarskiej i kiepskiej metodologii. Opinię tę (w moim mniemaniu) potwierdza Appendix z tyłu książki, gdzie wymienia się pozycje wyłącznie z dwóch krajów, a poświadcza to dodatkowo bibliografia. Brak w niej źródeł europejskich (poza angielskimi) – moim zdaniem – uwala całe to „dzieło”. Co wywodzię będąc zwykłym magistrem po WSP. Zapytam przekornie: czyżby w Europie nie powstały żadne sensowne dzieła w tym zakresie? A w Rosji, o Azji, Chinach, Indiach nie wspominając?

Tak na marginesie – niemal od ręki, po kilku zdaniach lub co najwyżej kartkach, da się wyczuć, iż

autor jakiejś pozycji (podręcznika, poradnika, kryminału, powieści) wywodzi się ze świata kultury anglo-amerykańskiej (uogólniam, wiem, nie znam przecież nawet poważnej części tej literatury, mówię zaś tylko o tym, co do tej pory w życiu przestudiowałem). Ludzie ci bowiem piszą z tak charakterystyczną manierą, z takim nachyleniem pedagogicznym, „wychowującym” czytelnika i w takim schematyzmie, że to po prostu odrzuca. Czy tam, za Oceanem, piszących kształci się w jednej szkole?

Tak więc do rozważań o urojonym bogu wykorzystam chyba stojących na półkach koło mnie klasyków filozofii. A Dawkins niech się uczy.

Eugeniusz Kurzawa

Deutschland in Polen

Steffen Möller, *Viva Polonia. Als deutscher Gastarbeiter in Polen*, Scherz Verlag, Frankfurt am Main 2008, S. 256.

Der zweitbekannteste Deutsche in Polen, gleich nach dem Papst, das ist Steffen Möller. Er hat seine Bekanntheit wohl vor allem einer Rolle in der polnischen Seifenoper „L wie Liebe” zu verdanken. Aber kaum ein Deutscher würde ihn kennen, wenn er nicht auch in Deutschland im Radio zu hören wäre und ein Buch auf den Markt gebracht hätte, von dem sich inzwischen die 11. Auflage verkauft.

In „Viva Polonia” macht Möller seiner Polen-Begeisterung auf mehr als 350 Seiten Luft. Von A wie Aberglaube bis Z wie Zeitzone buchstabiert er die polnische Mentalität durch. Manches kennt man, zumindest, wenn man nahe der Grenze wohnt oder polnische Freunde und Bekannte hat. Zum Beispiel die polnische Gastfreundschaft, mit der der gebürtige Wuppertaler auch nach 13 Jahren in Polen einfach nicht mithalten kann. Aber vieles in diesem Buch ist neu und kann nur von einem Insider wie Steffen Möller erzählt werden. Etwa, dass polnische Frauen ihre Handtasche nie auf den Boden stellen würden, weil dann das Geld herauslaufen könnte, sich davonmachen würde auf nimmer Wiedersehen. Und wer will das schon?

Steffen Möllers Buch ist kurzweilig zu lesen. Nicht nur, weil er es in viele kleine Kapitel eingeteilt hat, sondern auch, weil er sich und seine polnischen Mitmenschen mit Humor sieht. Und es hat einen weiteren Vorteil: Man kommt mit Polen sofort ins Gespräch, wenn man eine Episode aus diesem Buch erzählt. Offensichtlich hat Möller wirklich das aufgeschrieben, was typisch polnisch ist: Diskretion, Ehre, Fatalismus, Komplimente, Kultfilme, Trotz und, und, und.

Und noch etwas darf nicht vergessen werden: Dieses Buch macht den Deutschen Mut, Polnisch zu lernen. Nicht nur, weil Möller sehr genau und mit allen Rückschlägen von seinen eigenen Erfahrungen mit dieser Sprache berichtet, sondern auch, weil er immer wieder eine kleine Lektion einstreut. Das beginnt mit der Deklination der Eigennamen, geht mit Lehnwörtern aus dem Deutschen weiter (Pantoflarz = Pantoffelheld) und hört mit den sechs wichtigsten Wörtern für deutsche Touristen noch nicht auf. Überhaupt Touristen – dieses Buch macht auch Lust, nach Polen zu reisen. Am besten man nimmt es mit.

Carmen Winter

Niemiec w Polsce

Steffen Möller, *Viva Polonia. Niemiecki gastarbeiter w Polsce*, Scherz Verlag, Frankfurt nad Menem 2008, 256 s.

Drugim najbardziej znanym Niemcem w Polsce, zaraz po papieżu, jest Steffen Möller. Popularność zawdzięcza chyba przede wszystkim roli w polskiej operze mydlanej *M jak miłość*. Ale w Niemczech byłby niemal nieznanym, gdyby nie to, że można go usłyszeć także w niemieckim radio, i że opublikował książkę, sprzedawaną właśnie w 11. wydaniu.

W *Viva Polonia* Möller na ponad 350 stronach manifestuje swój zachwyt dla Polski. Od A jak absurd, po Ż jak życzliwość – czytelnik znajdzie tu całą polską mentalność. Niektóre jej cechy nie są nam nieznane, przynajmniej tym, którzy mieszkają blisko granicy i mają polskich przyjaciół czy znajomych. Na przykład polska gościnność, do której rodzonemu wuppertalczykowi nawet po 13 latach w Polsce wciąż jeszcze ponoć daleko. Jednak z książki można dowiedzieć się także wielu nowych rzeczy, dostępnych tylko komuś, kto, jak Steffen Möller, zna temat od podszewki. Dajmy na to, że żadna Polka nie postawi swojej torebki na podłodze, bo mogą uciec z niej pieniądze, w daleki świat, że potem szukaj wiatru w polu. A kto by sobie na to pozwolił?

Książkę Steffena Möllera czyta się jak zbiór anegdot. Nie tylko dlatego, że podzielił ją na krótkie rozdziały, ale także dlatego, że swoich polskich sąsiadów ocenia z humorem. A ma to jeszcze jedną zaletę: bardzo łatwo nawiązać kontakt z Polakami po prostu opowiadając im jakąś historię z tej książki. Najwyraźniej Möller opisał wszystko, co typowe dla Polaków: dyskrecję, honor, fatalizm, komplementy, kultowe filmy, hardość i wiele, wiele innych.

I jeszcze o jednym nie wolno zapomnieć: ta książka dodaje odwagi Niemcom chcącym uczyć się polskiego. Nie tylko dlatego, że Möller donosi o wszystkich szczegółach i swoich porażkach na tym polu, także dlatego, że zawsze wtrąca jakąś małą lekcję. Zaczyna od deklinacji imion własnych, opowiada o zapożyczeniach z niemieckiego (pantofflarz – Pantoffelheld) i bynajmniej nie kończy na szczęście najważniejszych słowach, które powinien znać każdy turysta. *A propos* turysty – ta książka naprawdę zachęca do wizyty w Polsce. Tylko trzeba koniecznie zabrać ją ze sobą.

Carmen Winter

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Tutam w Lubuskim Teatrze

Sztuka Bogusława Schaeffera, *Tutam*, w reż. Krzysztofa Prusa, występują: Renata Dancewicz i Zbigniew Stryj, Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze.

„Nigdy w życiu nie skrzywdziłem żadnej kobiety, ty głupia krowo!” – mówi „świniowaty” Kelner do swej ukochanej – „francowatej” Kelnerki. Mniej więcej w tym samym czasie Klient czule obejmuje Klientkę i obiecuje, że jej nie opuści. Oto dwie strony miłości, erotyczny dualizm, dramatyczne *Tutam* Bogusława Schaeffera w doskonałej teatralnej aranżacji Krzysztofa Prusa (reżyseria) i Marka Mikulskiego (scenografia). Wraz z odtwórcami ról – Renatą Dancewicz i Zbigniewem Stryjem – wykre-

owali oni niezwykłą, bo podwójną przestrzeń podrzędnej kawiarni, w której ugościli widzów Lubuskiego Teatru 20 lutego 2009 roku.

Lokal nie jest zbyt obszerny: dwa stoliki, krzesła można policzyć na palcach jednej dłoni, drzwi wejściowe i na zapleczu. Niby ciasno, a jednak – jak się wkrótce okazuje – dla bohaterów sztuki odległość, która ich dzieli, jest mimo wszystko zbyt wielka, aby mówić o zwykłej, międzyludzkiej komunikacji. Stoły, przy których piją kawę i herbatę Pan i Pani, przypo-

ProLibi

minają dwie strony barykady; sala i zaplecze to jakby sąsiednie planety, a ich mieszkańcy – Kelnerzy i Klienci – na próżno starają się uzyskać ze sobą jakiegokolwiek kontakt. Ta niemożność porozumienia dziwi tym bardziej, że przecież osoby dramatu są do siebie bliźniaczo podobne, nie tylko dlatego że aktorzy odgrywają podwójne role, ale także poprzez swe uczucia, marzenia, wątpliwości, chęć zaimponowania i bycia kochanym, poprzez swój czysto ludzki egoizm, z powodu którego – paradoksalnie – potrzebujemy drugiej osoby, aby czuć się szczęśliwymi. Dzięki oszczędności elementów wystroju kawiarni odbiorca kupia się na emocjach łączących (lub dzielących) bohaterów sztuki, koncentruje się na dialogach i gestach mających często charakter gier towarzyskich wymuszonych przez przyjętą pozę i konwenanse. To tylko jedna z zalet genialnej, w wymiarze odczucia, scenografii. Marek Mikulski, dzięki umiejętnemu operowaniu oświetleniem i umieszczeniu na scenie półprzezroczystej „ściany”, wielokrotnie w trakcie spektaklu wprowadza nas w przestrzeń zaplecza. Tym samym kawiarniane „tam” staje się „tu”, a my uczestniczymy w dramacie uczucia Kelnera i Kelnerki.

Na pochwałę zasługuje nie tylko praca scenografa, ale również gra aktorska Renaty Dancewicz i Zbigniewa Stryja, którzy bez problemu odtwarzają podwójne role, raz wcielając się w postaci zmanierowanych intelektualistów (którzy chyba trochę się siebie boją i dlatego starają się sprawiać na sobie wrażenie jeszcze bardziej inteligentnych i zmanierowanych), to znów przyjmując postawę prostackiej bezpośredniości charakterystyczną dla pary kelnerów. Aktorzy zdają się doskonale czuć w obu rolach (oczywiście na tyle, na ile odrzucona kochanka, zapijaczony prymityw czy dwoje zbłązowanych artystów może czuć się dobrze w swoim własnym ciecie), a widz nigdy nie ma wątpliwości, którą postać prezentuje w danym momencie odtwórca roli. Podziw budzi nie tylko umiejętność częstego i błyskawicznego przechodzenia (w sensie dosłownym i metaforycznym) z sali na zaplecze i z powrotem, ale również fakt, że poprzez ten interesujący zabieg formalny aktorzy zdają się przyjmować dwie postawy jednocześnie. Tym samym ukazują, że Kelner i Kelnerka wcale aż tak bardzo nie różnią się od Klienta i Klientki; że mogą wymieniać się rolami (Klient nieraz przynosi Klientce kawę z zaplecza, a Kelnerka celnie definiuje intuicję i wspomina wykłady z poetyki nor-

matywnej, w których niegdyś uczestniczyła); że – mimo różnic w wykształceniu, w wysokości zarobków, w charakterze wykonywanego zawodu – obie pary tak naprawdę są bardzo podobne do siebie, a także do widza, zadającego sobie pytanie, w której części kawiarni znalazłby się, gdyby przyszło mu odegrać swoje własne życie na deskach teatru. A może, podobnie jak odtwórcy ról, wystąpiłby w obu miejscach jednocześnie, w tytułowym „tutam”?

O ile gra aktorska Zbigniewa Stryja wydaje mi się bliska perfekcji (świadczy o tym fakt, że podczas pierwszej zmiany ról miałam wątpliwości, czy w postaci Klienta i Kelnera wcieliła się ta sama osoba), o tyle Renacie Dancewicz można by zarzucić zbyt ciche i czasami niewyraźne wypowiadanie kwestii. Oczywiście zrozumiałe jest, że predyspozycje głosowe to kwestia natury, a nie kultury, jednak udział w takim przedstawieniu teatralnym jak *Tutam* wymaga głośnego i zrozumiałego przekazu treści słownej, oś dramatyczną tej sztuki tworzą bowiem nie tyle wydarzenia, co dialogi uzewnętrzniające uczucia i wzajemny stosunek bohaterów.

Pozostając przy kwestiach dotyczących dźwięku, warto zwrócić uwagę na muzykę, skomponowaną przez samego Schaeffera, który jest przecież nie tylko dramaturgiem, ale i kompozytorem, muzykologiem, krytykiem muzycznym. Spodziewając się po twórcy tej rangi interesujących rozwiązań, widz musi być zawiedziony oszczędnością środków użytych w warstwie brzmieniowej. W ciągu całej sztuki występują tylko dwa krótkie motywy muzyczne, które, co prawda, oddają nastrój chwili, ale ich ciągła powtarzalność, nieraz brzmiąca jak odtwarzanie jednego fragmentu w zapętleniu, pozwala na wysnucie wniosku, iż muzyka nie jest najmocniejszą i najlepiej dopracowaną stroną spektaklu. Towarzystwem jej nagrania rozmów, najczęściej odtwarzane w ciemnościach zalegających scenę, mające sprawiać wrażenie rozmów prywatnych bohaterów dramatu. Rozwiązanie dość ciekawe, jednak zastanawiający jest jeden z tak realizowanych dialogów. Dotyczy on braku prywatności w teatrze, w którym wszak Klient i Klientka (bo to oni „wypowiadają” nagrane kwestie) w danej chwili się znajdują. Taka niespodziewana wzmianka nie tylko razi widza, ale wprost go „odczarowuje”, wyprowadza z kawiarni z powrotem na widownię. Zastanawiać może celowość zastosowania takiego zabiegu artystycznego. Czy postaci chcą w ten sposób ukazać dystans, który mają wobec swego

własnego dramatu? A może chcą po prostu przypomnieć odbiorcy, że znajduje się w teatrze? Uwaga taka wydaje się całkiem na miejscu, zważywszy na fakt, że nie wszyscy widzowie potrafią zachować się stosownie do okoliczności. Podczas trwania przedstawienia na widowni niejednokrotnie dzwięczały dzwonki telefonów komórkowych, zaś po spektaklu rozegrała się prawdziwa bitwa o płaszcze pozostawione w szatni.

W świetle opisanej sytuacji tym bardziej aktualna wydaje się problematyka społeczna, poruszana w dramacie Schaeffera. Mówi się wszak o podziale społeczeństwa na klasy socjalne, o degradacji klasy niższej i zmanierowaniu wyższej, ale i o wymienności społecznych ról, o emocjonalnej równości „kelnerów” i „klientów”, o tym, że w każdym z nas (a szczególnie w spektatorach sztuk teatralnych) jest coś z inteligenta-pozera, ale i z prostackiego „filistra”. Do myślenia dają również kwestie dotyczące miłości. Obserwując rozpad uczucia Kelnera i Kelnerki oraz jego kielkowanie i rozwój w przypadku Klienta i Klientki, zastanawiamy się, kiedy i dlaczego związek ma szansę narodzić się i przetrwać, a także kiedy i dlaczego umiera. Zadajemy sobie pytanie, czy historia nie mogła potoczyć się inaczej i dlaczego właśnie członkowie niższej klasy społecznej skazani są na klęskę; czy naprawdę istnieje podział na tych „na górze” i na tych „na dole”? Do takich refleksji przywodzi m.in. cień drabiny widocznej czasami gdzieś w głębi zaplecza. Znajduje ona praktyczne zastosowanie tylko raz w trakcie spektaklu – wówczas, gdy wspina się na nią Kelner, który wskutek halucynacji chęłpi się przed nieistniejącą klientką kowbojskim kapeluszem, jaki kiedyś posiadał. Rekwizyt może zatem symbolizować „drabinę społeczną”, na której wyżyny udało się wznieść Kelnerowi tylko w czasie onirycznego majaczenia. Wymiar symboliczny można również przypisać takim elementom,

jak pierze z rozerwanej poduszki, młynek do mielenia mięsa czy filiżanki. Dzięki wyważonej oszczędności scenografa oko i myśl widza zatrzymują się tych szczegółach, a całość dramatu skłania do refleksji. Wymaga on zresztą niematej elokwencji, bohaterowie poruszają bowiem w swych rozmowach zagadnienia związane ze sztuką i filozofią. Nie oznacza to bynajmniej, że widz nie pojmie przesłania spektaklu bez znajomości myśli Schopenhauera. Wprost przeciwnie – dialogi bohaterów niejednokrotnie obnażają fałszywą, pozerską erudycję klasy wyższej i pouczają, że można być dobrym i niegłupim człowiekiem nawet wtedy, gdy myli się aforyzmem z aforyzmem.

Twórcy sztuki określają *Tutam* jako komedię. Rzeczywiście obfituje ona w komizm słowny i sytuacyjny, ale byłabym skłonna nazwać ją raczej tragi-komedią. Mamy bowiem do czynienia z dwoma wątkami, odpowiadającymi obu gatunkom dramatycznym. Historia miłości Kelnera i Kelnerki jest niewątpliwie tragiczna, pełna napięć, wzajemnego żalu, dążąca do nieszczyśliwego zakończenia. Uczucie Klienta i Klientki obfituje natomiast w zabawne zbiegi okoliczności i nieporozumienia, a zakończenie sztuki daje nadzieję na baśniowe: „I żyli długo i szczęśliwie”. Obie teatralne wizje miłości są równie prawdopodobne i bliskie odbiorcy sztuki, który mimowolnie w czasie jej trwania sytuuje sam siebie na sali lub na zapleczu, ustawia się na którymś ze stopni drabiny społecznej i porównuje własną sytuację uczuciową z emocjami *personae dramatis*. Nie tylko dwie części kawiarni stapiają się w jedno, ale ma się wrażenie, jakby widownia łączyła się ze sceną, a odbiorca nagle znajdował się w miejscu, gdzie nakładają się przestrzenie i postawy – w uniwersalnym, dziwnym i zastanawiającym *Tutam*.

Agnieszka Szpylma

KRONIKA LUBUSKA

grudzień 2008 – luty 2009

- W dniach 1-6 grudnia odbywały się w Kargowej VII Ogólnopolskie Spotkania Muzyczne, podczas których były prowadzone warsztaty wokalne, gitarowe, instrumentów klawiszowych, perkusji i podstaw realizacji dźwięku.
- 3 grudnia w zielonogórskiej bibliotece wojewódzkiej otwarto wystawę Bożeny Cajdler-Gruszkiewicz zatytułowaną *Kraina Czarów*.
- Tego też dnia w Zielonej Górze na ul. Bohaterów Westerplatte odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Ignacego Łukasiewicza.
- 4 grudnia w bibliotece Norwida miało miejsce spotkanie autorskie ze znanym satyrykiem, powieściopisarzem i felietonistą – Marcinem Wolskim.
- Rick Hollander, perkusista i wokalista 5 grudnia zagrał w gorzowskim Jazz Clubie Pod Filarami.
- Również tego dnia w Galerii PWW UZ otwarto wystawę *Czy Ty to widzisz?* Przemysława Obarskiego, absolwenta Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu.
- W niedzielę, 7 września w zielonogórskim klubie 4 Róże dla Lucienne odbył się kolejny koncert z cyklu Maximum Punkrocka. Zegrali: Kubuś Rozpruwacz, Pełna Kultura i Padlina Szarika.
- Także 7 września swoją działalność zainaugurował Klub Muzyczny Awangarda Stu. Na otwarciu zagrał zespół Grube Ryby.
- 9 grudnia w zielonogórskiej Hydrogalerii otwarto wystawę fotograficzną *Zielona Góra lata siedemdziesiąte–osiemdziesiąte*. Autorem prac był Zbigniew Rajche.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej od 10 grudnia można było oglądać ekspozycję prac Antoniego Górnika zatytułowaną *Perspektywy retrospektywy*.
- 10 grudnia w galerii i zarazem pijalni czekolady Heban w Zielonej Górze odbył się koncert *Sentymentalne piosenki w sosie soulowo-jazowym*. Na imprezie wystąpili: Anna Imiołczyk, Daria Kurdyban i Łukasz Wicherek.
- W czwartek, 11 grudnia w sali Hydro(za)gadki podczas koncertu *Tak sobie śpiewam* zaprezentowali się młodzi artyści z Zielonej Góry, Nowej Soli, Gubina i Wschowy.
- 12 grudnia w Filharmonii Zielonogórskiej odbył się koncert symfoniczny Ruy Blas. Orkiestra wystąpiła pod batutą Jerzego Salwarowskiego. W programie znalazły się dzieła Mendelssohna, Beethovena i Czajkowskiego.
- W sobotę, 13 grudnia na deptaku w Świebodzinie miał miejsce polsko-niemiecki jarmark kulinarny. Organizatorzy przewidzieli szereg atrakcji, m.in. rozstrzygnięto kilka konkursów i wystąpiła orkiestra dęta.
- W Żarskim Domu Kultury odbył się 14 grudnia koncert poświęcony żydowskiemu Świątu Świąteł i Słodczy „Chanuka”. W programie znalazły się skecze i piosenki.
- 15 grudnia w gorzowskiej bibliotece wojewódzkiej wystąpiło poznańskie Trio Kameralne, w składzie: Laura Sobolewska (fortepian), Anna Ziółkowska (skrzypce), Dagny Musielak (wiolonczela). Zagrało utwory współczesnej muzyki klasycznej.
- W środę, 17 grudnia w Hydro(za)gacie odbyła się wyjątkowa impreza. Niesłyszące dzieci dały koncert. Mali podopieczni Polskiego Związku Głuchych śpiewali m.in. kolędy.
- Podczas Czwartku Lubuskiego w bibliotece Norwida, 18 grudnia miało miejsce spotkanie autorskie z dwiema lubuskimi poetkami połączone z promocją tomików: *Drzwi jesieni* Krystyny Nawrockiej i *Pod powiekami czasu* Marii Kuleszyńskiej-Kozak.
- Również 18 grudnia w Galerii BWA można było oglądać ekspozycję prac Rafała Jakubowicza *Jakieś takie*.
- 19 grudnia w sulechowskiej bibliotece otwarto wystawę z okazji wybuchu powstania wielkopolskiego, która zainaugurowała gminne obchody 90. rocznicy tegoż wydarzenia.
- 20 grudnia w Filharmonii Zielonogórskiej odbył się koncert świąteczny. Orkiestra FZ i Chór Filharmonii Śląskiej wystąpili pod batutą Czesława Grabowskiego. W programie znalazło się oratorium *Mesjasz* Haendla.
- 27 grudnia gwiazdą koncertu *Cała Polska śpiewa kolędy* na Starym Rynku w Zielonej Górze była Arka Noego.
- Podczas koncertu kolęd, w sobotę 27 grudnia, w budynku powstającego Domu Seniora-Hospicjum na os. Zacisze w Zielonej Górze wystąpił Piotr Baron.

- W trakcie sylwestrowej nocy na zielonogórskim rynku wystąpili: zespół Make Up, formacja Spoko Filipa Czeszyka oraz zespół The Jet Set.
- 6 stycznia w Galerii BWA otwarto wystawę malarstwa Michała Jankowskiego *Zachodzące słońce*.
- Na dużej scenie Lubuskiego Teatru od 9 stycznia grano spektakl muzyczny *Bar Moskwa*. Główna treść tego przedstawienia to radzieckie i rosyjskie piosenki o miłości, przyjaźni i wolności.
- W 4 Różach dla Lucienne 9 stycznia Noworoczny Blues Jam Session zainaugurował sezon bluesowy.
- 9 stycznia w Filharmonii Zielonogórskiej miał miejsce pierwszy z czterech Koncertów Noworocznych. Zagrała Orkiestra Symfoniczna pod batutą Czesława Grabowskiego, zaśpiewała Ewa Uryga, wystąpili: Cygański Teatr Muzyczny „Terno” i kabearet Elita.
- Również tego dnia w Kostrzyńskim Centrum Kultury wystąpiła grupa Sing Sing Penelope. Kapela następnego dnia zagrała w Gorzowie.
- 9 stycznia w Jazz Clubie Pod Filarami zagrał saksofonista Ray Blue.
- Zielonogórskie Biuro Wystaw Artystycznych 9 stycznia zaprosiło na film Bogny Burskiej *Shooting Star*. Pokaz miał miejsce w kinie Nawa. Następnego dnia w BWA wystąpił kompozytor muzyki współczesnej, Zbigniew Karkowski.
- 10 stycznia w Małej Galerii GTF otwarto wystawę *Na granicy mroku*, która przybliżała odwiedzającym klimat gothic rocka.
- Także 10 stycznia w gorzowskim Domu Kultury Małyszyn, podczas Karnawałowej Sceny Kabaretowej wystąpili szczecińscy aktorzy Teatru Polskiego. W programie *Czarny kot rudy* znalazły się piosenki Wiesława Dymnego i teksty satyryczne Stanisława Tyma.
- W niedzielę, 11 stycznia, po raz 17. zagrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. W Sulechowie od rana zbierano pieniądze i grano – koncert na scenie pl. Ratuszowego poprowadził Sławomir Kordyjalik. W Wolsztynie kwstowało ok. stu wolontariuszy, a na scenie tamtejszego domu kultury wystąpiło kilka zespołów. Również bogaty był w tym dniu program imprez w Świebodzinie i w Zbąszyniu.
- 12 stycznia w Zielonogórskim Ośrodku Kultury pod hasłem *Zew Natury* zaprezentowali się młodzi kabareciarze.
- Na dużej scenie Lubuskiego Teatru 12 stycznia kabaret Starsze Panie wystąpił z przedstawieniem *Wrzosowy Śledź*.
- 14 stycznia w Muzeum Ziemi Lubuskiej otwarto wystawę fotografii Witolda Krumplewskiego zatytułowaną *Twarze i maski*.
- 15 stycznia w bibliotece wojewódzkiej w Zielonej Górze na Czwartku Lubuskim odbyła się promocja książki Tomasza Florkowskiego *Blżej piątego wymiaru*.
- Ogłoszono wyniki XVIII Krajowego Salonu Fotografii Artystycznej – Żary 2008. Zwyciężyła Ewa Zauścińska. Do końca lutego w Salonie Wystaw Artystycznych można było obejrzeć wystawę pokonkursową.
- 16 stycznia w Hydro(za)gacie Jacek Kleyff promował *Nową płytę*.
- W Polkowickim Centrum Animacji 16 stycznia wystąpiła Katarzyna Groniec, promując swój pierwszy koncertowy album *Na żywo*.
- 16 stycznia w Jazz Clubie Pod Filarami gorzowscy artyści zaprezentowali piosenki Wandy Warskiej i Andrzeja Kurylewicza.
- Tego też dnia w Żarskim Domu Kultury odbył się koncert kolęd. Wystąpił zespół New Morning Trio & Paulina Gołębiowska.
- Prowadzony przez Aleksandra Lewczyszyna chór Sotiria wystąpił w gorzowskiej Cerkwi 17 stycznia.
- 18 stycznia w Kolegacie w Zbąszyniu gościli Skaldowie. Muzykę do misterium *Moje Betlejem* skomponował Jacek Zieliński, a słowa napisał Leszek Aleksander Moczulski.
- 21 stycznia w Kawonie publikę rozbawiała formacja Słuchajcie.
- Podczas Czwartku Lubuskiego w bibliotece Norwida, 22 stycznia odbyła się promocja książki Eugenii Pawłowskiej *I ja tam byłam...*
- W Świebodzińskim Domu Kultury 22 stycznia wystąpił Kabarecik-Bakalercik. Seniorzy przygotowali spektakl podsumowujący 2008 rok.
- 23 stycznia w Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie zaśpiewała Elżbieta Kuczyńska oraz wystąpił zespół Metatrans z Teatru Wielkie Koło w Będzinie.
- 25 stycznia w Kawonie odbył się spektakl Teatru Tańca Hakashanti *Carmen – kobieta środka*.
- W Teatrze Osterwy 27 stycznia wystąpiła Halina Kunicka. Na fortepianie akompaniował jej Czesław Majewski.
- W Kawonie 29 stycznia koncertem Underground Fly zainaugurowano cykl Kawon Akustycznie.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 30 stycznia odbył się koncert symfoniczny z okazji 10. rocznicy śmierci Joaquina Rodrigo. Orkiestrą dyrygowała Monika

Wolińska. Wystąpiła skrzypaczka Patrycja Piekutowska.

- 30 stycznia w Teatrze Osterwy operetkowo-musicalowy repertuar zaprezentowała Gorzowska Orkiestra Kameralna pod kierunkiem Szczepana Kaszyńskiego.
- Również w tym dniu w Jazz Clubie Pod Filarami koncert jazzowy dało Trio RGG.
- 31 stycznia w sali widowiskowej w Zborze wystawiono poetycko-muzyczny spektakl w reżyserii Jana Nowickiego. W programie przedstawienia *Z obłoków na ziemię* znalazły się utwory Jana Twardowskiego, Bolesława Leśmiana i Jana Nowickiego.
- W Filharmonii Zielonogórskiej 31 stycznia gratka dla fanów Urszuli Dudziak. Znakomita wokalista zaśpiewała utwory m.in. z płyty *Forever Green – Zawsze Zielona*.
- 3 lutego w holu biblioteki Norwida otwarto wystawę fotograficzną Jerzego Szewczyka *Witaj Nepalu*.
- 5 lutego w zielonogórskiej księżnicy podczas autorskiego spotkania z Jackiem Katosem Katarzyńskim była prezentowana jego najnowsza książka *Oko jak imperator...*
- 6 lutego w Filharmonii Zielonogórskiej Maria Peszek promowała swoją najnowszą płytę *Maria Awaria*, a w następnym dniu wystąpiła Kasia Kowalska, która również zaśpiewała utwory z nowej płyty – *Antepenultimate*.
- W Małej Galerii GTF 6 lutego po raz 54. zaprezentowali się gorzowscy fotografowie.
- W piątek 6 lutego Jazz Clubie Pod Filarami wystąpił saksofonista Adam Wendt, a w sobotę fani jazzu mogli posłuchać Michała Maculewicza.
- W Lubuskim Teatrze 8 lutego odbyła się premiera bajki *Koci, Koci, Łapci* na podstawie *Stoliczku nakryj się* braci Grimm.
- W 4 Różach dla Lucienne 8 lutego zagrał gorzowski zespół Kawałek Kulki.
- Polkowickie Dni Teatru otworzyło (11 lutego) przedstawienie Teatru Polskiego ze Szczecina pt. *Tużim zaczarowany*. W lutym i w marcu w ramach tej imprezy wystawiono 13 spektakli.
- 12 lutego w Lubuskim Teatrze wystąpiła Grupa MoCarta.
- Od 13 lutego w gorzowskiej Galerii Pod Pocztowną Trąbką eksponowane były prace Ireny Zakrzewskiej-Smołki.
- 13 lutego w sali Hydro(za)gadki miał miejsce recital Ewy Błaszczuk *I poczucie szczęścia... Nawet gdy*

wichura. Znakomita aktorka zaśpiewała m.in. utwory Agnieszki Osieckiej, Jana Twardowskiego i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

- W tym samym dniu w BWA zaprezentował się zespół Ballady i Romanse, który tworzą siostry Zuzanna i Barbara Wrońskie.
- W czytelni muzycznej biblioteki Norwida 13 lutego odbył się koncert zespołu Bez Twarzy.
- W Miejskim Centrum Kultury w Gorzowie 13 lutego wystąpiła kapela Strachy na Lachy wraz z Grabażem.
- Walentynki obchodzono w zamku w Koźuchowie razem z Martyną Jakubowicz i jej zespołem.
- W Filharmonii Zielonogórskiej na koncercie waleńtyńkowym zaśpiewali: Olga Bończyk i Przemysław Branny.
- 14 lutego w Jazz Clubie Pod Filarami można było usłyszeć dwa koncerty fortepianowe w wykonaniu poznańskich muzyków: Jana Barańskiego i Julii Wolańskiej.
- 19 lutego w nowosolskiej Kawiarni Teatralnej wystąpił bard, Marek Dyjak.
- Na Czwartku Lubuskim w Norwidzie 19 lutego promowana była książka *Pradawne pieśni* Agnieszki Haupe.
- W Lubuskim Teatrze 20 lutego można było obejrzeć komedię *Tutam* wyreżyserowaną przez Krzysztofa Prusa. W rolach głównych wystąpili: Renata Dancewicz i Zbigniew Strzyż.
- 20 lutego gorzowski Teatr Karykatury obchodził 17. urodziny. Z tej okazji zaśpiewała Marta Andrzejczyk, następnie odbyła się czytana próba najnowszego spektaklu Kreatur.
- 21 lutego w Galerii Sztuki Najnowszej w Gorzowie swoje fotografie prezentował Stanisław Kulawik.
- W gorzowskich Filarach 21 lutego zagrał keyboardzista Zbigniew Jakubek w towarzystwie Artura Lesickiego (gitara), Tomasza Grabowego (bas) i Artura Lipińskiego (perkusja).
- 26 lutego w Jazz Clubie Pod Filarami sonety Beethovena zagrał Piotr Szychowski.
- W sali dębowej zielonogórskiej biblioteki wojewódzkiej 26 lutego odbyła się uroczystość wręczenia XV Lubuskiego Wawrzynu Literackiego i IV Lubuskiego Wawrzynu Naukowego.
- 27 lutego w Teatrze Osterwy wystawiono *Dowód* Davida Auburna w reżyserii Andrzeja Seweryna. W spektaklu wystąpiły Maria Seweryn i Joanna Trzepiecińska.

Krzysztof Benyskiewicz, *Księga ławnicza Nowego Kramaska 1572–1782*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2008, 123 s.

Maciej Boryna, *Małomice na rubieży Borów Dolnośląskich*, „Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski, Żary 2008, 92 s.

Andrzej Buck, *Teatr Drewniana Kurtyna Żarskiego Domu Kultury (1978–2008)*, Żarski Dom Kultury, Żary 2008, 191 s.

Krystyna Caban, *Czas rozebrany*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 60 s.

Eduard Diłanian, *Kocham cię, glino*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 150 s.

Małgorzata Dobrowolska, *W niemocy kobiet*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 63 s.

Marek Grewling, *Anachoreta w klasztorze mizantropii*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 45 s.

Ryszard Gryca, *Podróże po życiu*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 223 s.

Władysław Klępka, *Wyka Pana*, ORGANON, Zielona Góra 2008, 81 s.

Robert Kufel, Tadeusz Dzwonkowski, *Inwentarz archiwalny Kurii Administracji Apostolskiej w Gorzowie Wlkp. z lat 1945–1972*, Wydawnictwo Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, Zielona Góra 2008, 280 s.

Katarzyna Kulikowska, *Bomba emocji*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2008, 27 s.

Bernard Najdek, *Przechadzka*, Zielona Góra 2008, 66 s.

Renata Paliga, *Gruszka na wierzbie*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 63 s.

Aldona Robak, *Martwa natura z brzoskwiniami*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 54 s.

Andrzej Toczewski, *Historia Ziemi Lubuskiej. Krótki zarys dawnych dziejów*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2008, 47 s.

Teresa Wilczyk-Surmacz, *Głód miłości*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, Gorzów 2008, 49 s.

Kazimierz Wysocki, *Pejzaże duszy*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2008, 31 s.

Jerzy Bielerzewski

Germanista, tłumacz języka niemieckiego, kierownik Studium Języków Obcych w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie.

Andrea Böning

Ur. w 1967 r., artystka niemiecka

Eva-Maria Budemann

Członkini Frauenzentrum Cottbus e.V.

Agnieszka Der

Studentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, członek Klubu Szufladera, dziennikarka radiowa.

Lidia Głuchowska

Historyk sztuki i literatury, animator kultury. Doktoryzowała się w 2004 r. na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Od 2005 r. prowadzi zajęcia z historii sztuki i kultury na Uniwersytecie Europejskim Viadrina oraz Uniwersytecie Zielonogórskim.

Agnieszka Graczev-Czarkowska

Ur. w 1970 r. w Zielonej Górze, zawód wolny – artystka.

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Laureat konkursów poetyckich. Stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Anna Janczys

Stypendystka ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Doktorantka w Instytucie Historii UZ.

Krystyna Kamińska

Gorzowska dziennikarka (m.in.: „Ziemia Gorzowska”, „Arsenał Gorzowski”, „Głos Wlkp.”, „Kurier Gorzowski”, „Radio Zachód”, Telewizja „Vigor”), właścicielka Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego „Arsenał”. Popularyzatorka kultury regionu.

Rita König

Poetka, prozautorka. Mieszka i pracuje we Frankfurcie n. Odrą.

Janusz Koniusz

Ur. w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Przemysław Kot

Student teologii (Wyższe Seminarium Duchowne w Paradyżu), były członek grup poetyckich BEZ KONTEKSTU i Klub Szufladera.

Zbigniew Kozłowski

Prozaik, laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2004, autor powieści historycznych.

Anita Kucharska-Dziedzic

Adiunkt na Wydziale Humanistycznym Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet „Baba”.

Eugeniusz Kurzawa

Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej”. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Katrin Lechler

Reportarka radiowa z polsko-niemieckiego pogranicza (Rundfunk Berlin Brandenburg), dziennikarka („Dialog”).
Zainteresowania: historia, ekologia.

Alicja Lipińska

Bibliotekoznawca, absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracuje w Dziale Zbiorów Specjalnych WiMBP w Zielonej Górze.

Piotr Michałowski

Literaturoznawca, dr hab. prof. Uniwersytetu Szczecińskiego. Pracuje w Zakładzie Teorii Literatury. Liczne publikacje w „Nowych Książkach”, „Literaturze na świecie”, „Odrze”.

Maria Miłek

Ur. 1954 r. w Myślenicach; bibliotekarka, laureatka wyróżnień w konkursach literackich, współpracownik pism literackich.

Woldemar Nürnbergger (1818–1869)

Znany w literaturze niem. jako M. Solitaire, syn Josefa Emila. Uczęszczał do landsberskiego gimnazjum, potem studiował medycynę w Berlinie, Lipsku i Halle. Od 1843 roku osiadł w Landsbergu otwierając tu praktykę lekarską. Zostawił bardzo bogatą spuściznę literacką: epos, zbiory nowel i opowiadań, powieści, komedie, relacje z podróży.

Jakub Rawski

Student filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Alfred Siatecki

Ur. w 1947 r., autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, słuchowisk oraz bio-bibliografii pisarzy Środkowego Nadodrza. Laureat prestiżowych nagród literackich. Pracuje jako dziennikarz w „Gazecie Lubuskiej”.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

Anna Szóstak

Ur. w 1965 r. Dr hab., historyk literatury, kierownik Pracowni Literatury Współczesnej UZ.

Agnieszka Szpyłma

Studentka filologii polskiej UZ. Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Joanna Wawryk

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki ze specjalnością edytorską, bibliotekarz w WiMBP w Zielonej Górze.

Adam Bolesław Wierzbicki

Ur. w 1972 r. w Krośnie Odrz., poeta.

Carmen Winter

Publicystka i poetka. Prowadzi agencję Publicystyki i Public Relation. Mieszka i pracuje we Frankfurcie nad Odrą.

Jacek Wesołowski

Artysta i teoretyk nowej sztuki, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Mieszka w Berlinie i Białowicach w Lubuskiem.

Elżbieta Wozowczyk-Leszko

Dziennikarka Radia Zachód w Zielonej Górze.

Grażyna Zwolińska

Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Po przeprowadzce w 1994 r. do Zielonej Góry, związała się z „Gazetą Lubuską”. Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej. Pisuje m.in. reportaże.

Leszek Żuliński

Ur. w 1949 r., krytyk literacki, poeta, publicysta, felietonista.



